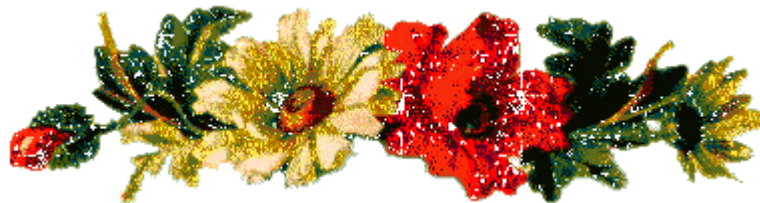




*FRANCESCA
CLEMENTIS*



MIŁOŚCI NIE KUPISZ

Tytuł oryginalny: Can't Buy Me Love

*Mojej chrześnicy Natashy Bingle– Williams,
najwspanialszemu cudowi*

*Chrisowi Fouty, najbardziej szalonemu i najbardziej
rozsądnemu przyjacielowi, imigrantowi, teraz emigrantowi*

*Elsbeth, Iane'owi, Ionie i Kristy Donaldson,
moim dobrym przyjaciółom, Steve'owi i Freyi*

*Podziękowania dla Gillian Green z wydawnictwa Piatkus
za to, że dopingowała mnie, by ta książka była jeszcze lepsza...
i delikatnie przekonała, żebym zmieniła zakończenie!*

1

Oto moje życie, pomyślała Tess bez emocji. To przyjęcie doskonale je podsumowuje. Nie mnie, ma się rozumieć –ja to co innego – ale egzystencję, jaką wiodę. Jak na dłoni widać moje wybory i preferencje, dokonania i pomysły. Wszystko jest jasne, a to przyjęcie streszcza moją przeszłość i wyznacza kierunek przyszłości.

Jedzenie. Nie dość, że zaserwowała zdrową żywność, kupowaną w sklepach, w których nie stosuje się kodów kreskowych, nie dość, że niezbyt smaczną i nie do rozpoznania, najważniejsze, że przyrządziła ją według przepisów na wpół niepiśmiennych tokańskich wieśniaczek, które poznała podczas urlopu w wiosce niewymienianej w przewodnikach.

Wino – złowrogo mętne, a na etykiecie wypisano chyba wszystko o winnicy i jej właścicielach, pominięto tylko ich profile astrologiczne. Paskudne. Najważniejsze jednak, że pochodzi z ekologicznej komuny na greckiej wyspie, której nie znajdziesz w żadnym atlasie, a do której cię dopuszczą jedynie pod warunkiem, że na tydzień zapomnisz o dezodorancie i depilatorze.

Goście, oczywiście dyskretnie zamożni, spełnieni w życiu zawodowym i rodzinnym – wszyscy mają po czworo dzieci –i zadowoleni z siebie. Są też dowcipni, lojalni, no i są jej przyjaciółmi od ponad dziesięciu lat.

Tak wygląda moje życie. Rany! Tess głęboko wciągnęła powietrze w płuca, a wraz z nim bogactwo swojego świata. Starła się przy tym ominąć nieprzyjemną świadomość jego powierzchowności. Moje życie, moje przyjęcie.

Nie bawiła się tak dobrze, jak powinna, nie tak jak dawniej. Co prawda nigdy nie przepadała za przyjęciami, wręcz ich nie znosiła. Jednak lubiła

swoich przyjaciół i małe spotkania w ich kręgu. Angażowała się w nie tą częścią siebie, którą odkrywała przed innymi – zebrani wiedzieli o niej tylko tyle, ile chciała im powiedzieć, Oni z kolei nie naciskali i nie starali się przekonać, co jeszcze się w niej kryje.

Zazwyczaj takie przyjęcia sprawiały jej przyjemność. Jednak to okazało się nieudane.

Od kilku miesięcy coś nie dawało jej spokoju, szeptało niezrozumiale. Drażniło ją.

Postanowiła zaprosić wszystkich pod wpływem impulsu, w nadziei że kilka chwil w towarzystwie przyjaciół przywróci jej poczucie normalności. Ta strategia zawiodła.

– Czerwone czy białe, skarbie?

Zamrugła szybko, wiedząc, że odpłynęła myślami. Spojrzała na Maksa: pochylał się nad nią w przesadnej pozie usłużnego kelnera. Liczył, że tym sposobem skróci się o kilka centymetrów ze swoich prawie dwóch metrów wzrostu.

Nawet na fotografiach ślubnych się wygłupiał. Wykorzystał cały repertuar zabawnych póz, byle nie górować nad drobną, szczupłą Tess. Pochylał się niedbale do przodu, z rękami wbitymi w kieszenie, jak Frank Sinatra w jednym z filmów. Albo opierał się o framugę w klasycznej pozie niesfornego uczniaka. Na wielu zdjęciach klęczał na jednym kolanie i ironicznie patrzył żonie w oczy.

Tess bardzo lubiła te fotografie, bo wiedziała, że tylko ona dostrzega niepewność, która kryje się za błazeńskimi popisami. Ilekroć przeczesywał włosy palcami, nie chciał ukryć zdenerwowania, tylko poskromić niesforną czuprynę bez naturalnego przedziałka. Gdyby nie żel, nie dałby sobie z nią rady Kiedyś zdecydował się na radykalny krok – ostrzygł się na jeża. Chciał

wreszcie wyglądać porządnie, być wartym pięknej żony. Ba, po cichu liczył, że i w innych dziedzinach jego życia zapanuje ład, że razem z rozdwijającymi się końcówkami włosów pozbędzie się i innych kłopotów.

Jedynym rezultatem były częste zatrzymania przez policję –funkcjonariuszy interesowało, jakim cudem zbiegły terrorysta prowadzi bmw.

W końcu zaakceptował fakt, że wygląda niesfornie, jest za duży i nieco niechlujny oraz że zawsze i wszędzie zwraca na siebie uwagę. Na nic się nie zdało osiemnaście lat, podczas których Tess tłumaczyła mu, że nie przeszkadza jej jego wzrost, przeciwnie, czerpie z niego otuchę i poczucie bezpieczeństwa. Max nigdy nie przepuścił okazji, by się pomniejszyć, zniknąć z oczu.

Nie rozumiał, że Tess potrzebowała jego wzrostu. Kryła się za nim, pozwalała, by na nim skupiała się cała uwaga.

Czasami obserwował, jak się szykuje do wyjścia. Nigdy go nie nudziło przeobrażenie z niewinnej dziewczynki (dla niego zawsze zostanie młodą dziewczyną – znowu kwestia wzrostu), w małą psotnicę, która dobrała się do kosmetyczki mamy.

– Dlaczego się tym mażesz? Przecież tego nie lubisz? – pytał co jakiś czas i czekał na logiczne wyjaśnienie.

Tess obojętnie zerknęła w lustro. Wiedziała, że bez makijażu wygląda lepiej. Nie miała zmarszczek, choć zawdzięczała to dobrym genom, a nie trosce o cerę. Włosy, grube i ciężkie, układały się świetnie nawet kilka miesięcy po strzyżeniu. Ciemne włosy i błękitne oczy, do tego drobna budowa i niski wzrost –idealne warunki, by się nie starzeć. Ubierała się schludnie, w dopasowane rzeczy w instynktownie dobieranych kolorach.

– Tak trzeba – odpowiadała. – Dorosłe kobiety się malują.

Nigdy nie rozwijała tych zdawkowych aluzji do dorosłości, bo sama ich do końca nie rozumiała. Wiedziała tylko, że największą zagadką jej życia był

moment, w którym dorosła. Chciała wiedzieć dokładnie, kiedy to się stało, żeby przyjrzeć się uważnie swojemu życiu i dostrzec sens w jego reszcie.

Nie mogła się pozbyć przykrego wrażenia, że ominęło ją coś między trzynastymi a trzydziestymi dziewiątymi urodzinami.

– Czerwone czy białe? – powtórzył Max z nutą irytacji w głosie, a Tess wróciła na ziemię, do Battersea.

– Przepraszam. Białe proszę.

Max nalał jej wina. Uśmiechnęła się do niego czy raczej próbowała, bo unikał jej wzroku.

Wmawiam to sobie, pomyślała. Jednak od razu wiedziała, że coś jest nie tak. I to naprawdę nie tak, bo w oczach Maksa nie było psotnej iskierki, jak wtedy, gdy za wszelką cenę starał się utrzymać niespodziankę w tajemnicy. Właściwie to musi dziać się coś bardzo złego, bo nie miała o niczym pojęcia, a to oznacza, że Max bardzo, ale to bardzo stara się to przed nią ukryć.

– Tess, stało się coś? Dlaczego marszczysz brwi? Szybko przywołała uprzejmy uśmiech na twarz. Cholera.

Spotkania bliskich przyjaciół mają tę wadę, że wszyscy doskonale się znają, wyczuwają zmiany w nastroju, dostrzegają najmniejszego marsa na czole, słyszą chłodne nuty w małżeńskiej wymianie zdań, widzą minimalnie opuszczone kąciki ust.

– Przepraszam, Fi! – Tess zamaskowała chwilę zadumy sztucznym uśmiechem.

Fiona była jej najlepszą przyjaciółką; obie stanowiły rdzeń grupy przyjaciół. Poznały się w szkole rodzenia, a polubiły, gdy się okazało, że tylko one parsknęły śmiechem, kiedy instruktorka wyjęła z plastikowej reklamówki macicę wydziernaną na drutach. Skarczone groźnymi spojrzeniami ciężarnych

koleżanek, których nie bawiły wełniane części kobiecej anatomii, wycofały się do ostatniego rzędu, skąd bezlitośnie nabijały się z pozostałych pań.

Wystarczyły im jedne zajęcia, by doszły do wniosku, że to nie dla nich.

– Może się mylę – mruknęła Fiona – ale mam wrażenie, że te przedziwne kobiety chcą, żeby je jak najbardziej bolało, i to najlepiej od poczęcia do mniej więcej piątych urodzin dziecka, oczywiście cały czas karmionego piersią.

Tess zachichotała w filiżankę „podwójnego espresso z dodatkową kofeiną, jeśli się da” – w taki zuchwały sposób Fiona zamówiła dla nich napoje, chcąc jak najbardziej zdystansować się od ciężarnych koleżanek.

– Widziałaś? Wszystkie się zapisały na jogę dla przyszłych matek – zaczęła Tess i energicznie umoczyła w kawie czekoladowe ciastko.

Fiona skinęła głową.

– To do nich podobne. Pewnie już od lat nie jedzą nabiału i pszenicy...

Tess radośnie podchwyciła ten wątek.

– Ich faceci noszą brody i swetry z szorstkiej wełny...

– ...a w czasie porodu, naturalnego, ma się rozumieć, będą łagodzić bóle mamuśki, łaskocząc ją orlim piórem po brzuchu...

– ...i mamrotać mantry...

Żartowały tak przez dwie godziny, z krótkimi przerwami na wzajemne zapewnianie się, że znieczulenie zewnątrzoponowe to jedyne rozsądne rozwiązanie dla zrównoważonej psychicznie kobiety.

Tess była zachwycona – oto kobieta, która nie tylko podziela jej zdanie, ale też ma odwagę wypowiadać je głośno. Fiona nie przejmowała się normami społecznymi. Najpierw mówiła, potem analizowała konsekwencje, jeśli w ogóle to robiła.

Tess tymczasem rozważała możliwe następstwa swoich słów i czynów całymi dniami, a czasami też nocami, w przykrych, męczących snach. Ciągle

się obawiała, że padnie ofiarą swojej popędliwości albo „wykracze” dramatyczne zmiany w swoim życiu.

Uzupełniały się doskonale – Tess łagodziła co dziksze wybryki Fiony, a Fiona pomagała jej odrobinę uchylić zatrzaśnięte drzwi emocji.

Ich przyjaźń się zacieśniła podczas ciąży, wkrótce drugiej i trzeciej w przypadku Fiony, choć to akurat ominęło Tess. Naturalną kolejną rzeczą zaprzyjaźnili się także ich mężowie, a potem dołączyła Millie i jej mąż. Razem odbierały dzieci z przedszkola, włóczyły się po sklepach z ubrankami i zabawkami w całym Londynie, prowadziły maluchy do szkoły. Aż w końcu trzy małżeństwa stały się... no właśnie, ludźmi, którzy spotykają się na przyjacielskich kolacyjkach.

To dla nich wszystkich nowy etap. Najmłodsze dzieci chodzą już do szkoły, czas powiększania rodziny się zakończył, niemowlęce akcesoria definitywnie odeszły w zapomnienie, a dorośli odzyskali odrobinę wolności. Coraz rzadziej odwoływali spotkania z powodu nagłej choroby dziecka, za to coraz częściej dzieci towarzyszyły im przy kolacji bez obawy, że nagle zwymiotują na stół albo na gości. Wspólne kolacje zaczynały wchodzić im w krew. Rozmawiali już o innych sprawach i w ogólnym rozrachunku życie było o wiele prostsze. A może po prostu lepiej sypiali.

Poza Maksem i Tess, którzy sypiali fatalnie.

– Wino nie jest aż takie beznadziejne. – Fiona puściła oko do Tess, gdy ta po raz kolejny zmarkotniała.

Tess się skrzywiła.

– A właśnie że jest. Nie wiem, co Maksa opętało, czemu tyle tego kupił. Już w Grecji było paskudne, ale jakoś na słońcu wydawało się...

– Wiem – wpadła jej w słowo Fiona. Naprawdę wiedziała. Największą zaletą prawdziwej przyjaźni jest bliskość, która pozwala ograniczyć rozmowę

do półsłówki i znaczących spojrzeń. Dzięki temu zostaje więcej czasu na rozmowę o poważnych sprawach. Właśnie teraz Fiona dążyła do takiej rozmowy, a Tess za wszelką cenę starała się jej uniknąć.

Przed niewygodnymi pytaniami uratowały ją jęki zachwyty – tak je w każdym razie zinterpretowała – gdy goście skosztowali jej risotta zrobionego nie z ryżem, tylko z kaszą kuskus. Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

Tess obserwowała, jak Max siada do stołu. Po raz pierwszy od kilku tygodni przyłapała go na chwili nieuwagi, zanim przywołał na twarz nieprzenikniętą uprzejmą minę, z którą się ostatnio nie rozstawał.

Coś go martwi, uświadomiła sobie. I to coś więcej niż krzywy zgryz Lary, pęknięta dachówka i lisy przegryzające kable w ogrodzie. Ma tę straszliwie ponurą minę, którą zobaczyła po raz pierwszy wkrótce po narodzinach ich jedynej córki.

Zawsze był pesymistą. Tess raczej to wzruszało niż denerwowało. Taka drobna słabość w partnerze pozwalała jej zapomnieć o jej własnych, o wiele poważniejszych niedoskonałościach. Postawiła sobie za cel dodawać mu pewności siebie. Jego zadaniem zaś było budzić w niej przekonanie, że jej się udało. Ostatnio jednak poniosła klęskę z bardzo prostego powodu – nie wiedziała, czemu właściwie ma go pocieszać.

Max uśmiechnął się sztucznie i zabrał do jedzenia. Tess niemal widziała, jak liczy kęsy, zanim przełknie.

Najchętniej zaprowadziłaby go na górę, usadziła w ulubionym fotelu, jedynym meblu, który zabrał z kawalerskiego mieszkania, i nie wypuściła, póki jej wszystkiego nie powie.

Nie mogła jednak. Musi jeszcze podać dwa dania, kawę i dolewkę, zanim goście sobie pójdą, a wtedy będą z Maksem tak zmęczeni, że stać ich będzie

jedynie na rozmowę o tym, kto następnego dnia przygotuje Larze kanapki i zawiezie ją do szkoły.

– Mamy wam coś do powiedzenia! – oznajmiła nagle Fiona.

Wszyscy ucichli. Podczas pierwszych pięciu lat ich znajomości to zdanie, wypowiedane, wydawałoby się, niemal co miesiąc, oznaczało, że kolejne dziecko jest w drodze.

– Ale nie to, co myślicie – dodała szybko Fiona.

Za szybko, zauważyła Tess. O co tu chodzi?

Fiona mówiła dalej:

– To znaczy, nasza rodzina się powiększy, ale nie o dziecko.

Graham, jej mąż, mruknął coś pod nosem. Sądząc po minie Fiony, nie były to słowa otuchy. Posłała mu mordercze spojrzenie i zamilkł.

– Zamieszka z nami moja matka.

Wiadomość o narodzinach czworaczków wywołałaby mniejsze wrażenie. I przerażenie.

To pierwszy taki przypadek. Choć wszyscy razem mieli dziewięcioro dzieci i musieli się zmierzyć z każdym chyba problemem rodzicielskim znanym w cywilizacji zachodu, do tej pory omijała ich konfrontacja ze starością.

– To miło – powiedziała Tess niepewnie.

Fiona się skrzywiła.

– Nie wygłupiaj się, Tess. Wcale nie miło! Wiesz, jaka ona jest.

Owszem, wiedziała. Gorączkowo zastanawiała się, co dobrego mogłaby powiedzieć o matce Fiony. Nic a nic. Do tej pory najlepsze w niej było to, że mieszkała o sto kilometrów stąd.

– No to załatwiłaś imprezę – syknął Graham do żony.

Fiona pokazała mu język.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła Tess stanowczo.

A Graham nie kłócił się z nią o to stwierdzenie, bo nie jest jego żoną. To niepisana zasada. Gniewnie nadział kawałek kurczaka na widelec. Pewnie sobie wyobraża, że to teściowa, pomyślała. Bardzo mu współczuła.

– Ma jakiś powód? – zwróciła się do przyjaciółki.

– Pewnie, że ma – odpowiedział Graham za żonę. – Chce nas dręczyć. Starej wiedźmie nie wystarczy, że co roku na Gwiazdkę kupuje mi akrylowy sweter i żąda, żebym go wkładał, kiedy idziemy na kolację. Teraz zamieszka z nami aż do śmierci i będzie mnie codziennie karać za to, że ożeniłem się z jej córką, chociaż nie jestem lekarzem, dentystą ani prawnikiem.

– A co ma przeciwko księgowym? – zainteresował się Max.

– Jest święcie przekonana, że uknułem sto tysięcy sprytnych planów, żeby pozbawić ją oszczędności całego życia.

– Wcale się jej nie dziwię – burknęła Fiona. – A w odpowiedzi na twoje pytanie, Tess: sprzedała swój dom. Twierdzi, że schody za bardzo dawały się jej we znaki.

– Nie mogliście zamówić jej windy? – podsunęła Tess.

– To samo powiedziałem! – zapalił się Graham. – Ale odmówiła, oburzyła się, że to uwłacza jej godności! Tłumaczyłem, że uwłaczające jej godności byłoby, gdybym zatrudnił nielegalnego imigranta, żeby taszczył japo tych cholernych schodach, ale winda? Thora Hird nie miała nic przeciwko, a była przecież instytucją w tym kraju! A jeśli już o instytucjach mowa...

– Dzięki, Graham – wpadła mu w słowo Fiona. Spojrzała na pozostałych.

– Co za takt. Kiedy ostatnio u niej byliśmy, zawiózł plik ulotek o domach starców.

– Dzisiaj się nie mówi „domy starców” – poprawił Graham. – Domy starców śmierdziały kapustą, a zamieszkiwali je nieszczęśnicy w piżamach,

których zmuszano do gry w bingo i farbowano im włosy na fioletowo. Teraz takie ośrodki nazywają się Złota Jesień albo Spokojna Przystań, a goście zajadają *fettuccine*, grają w brydża i noszą dresy.

Tim, mąż Millie, przytomnie dołał Grahamowi wina, co przerwało jego tyradę. Wszystkich zdziwił, ale nie zaskoczył jego wybuch. Jako mąż Fiony, która mówiła dużo i głośno, Graham rzadko miał okazję przedstawić swoje zdanie.

Był powściągliwy pod każdym względem. Nawet jego włosy trzymały się z daleka od czoła i zaczęły wędrówkę do tyłu, kiedy miał zaledwie dziewiętnaście lat. Na szczęście był całkowicie pozbawiony próżności, więc powitał przedwczesne symptomy wieku średniego ze spokojem. Kiedy zaokrąglił mu się brzusek, kupił nowe spodnie, zamiast zapisywać się na siłownię. Gdy zasypywano go rewolucyjnymi hasłami, chował się za swoim egzemplarzem „Independent”. Radykalizm pozostawił Fionie.

Jedynym tematem, który wyrывał go z letargu, była teściowa. Wystarczyła najmniejsza wzmianka o zmurze jego życia, a wszystkie opinie, których zazwyczaj nie wypowiadał, wybuchały gwałtownym, jadowitym strumieniem.

Ponieważ wszyscy zebrani mieli okazję poznać Daphne, szczerze wyrażali współczucie.

– Graham usiłuje powiedzieć, że moja matka nie chce mieszkać w domu starców. Uważa, że to wyrzucanie pieniędzy w błoto, skoro mamy taki duży dom.

Graham wychylił kieliszek do dna i mruknął coś pod nosem. Tess wyobraziła sobie mieszkanie z matką. Ta wizja oderwała ją od ponurych rozmyślań, i dobrze, bo nawet najbardziej przerażająca wizja była lepsza od prawdziwych problemów czających się na progu świadomości.

Wieczór ciągnął się Tess jak w zwolnionym tempie, liczyła minuty w oczekiwaniu na moment, gdy wycisnie z Maksa całą prawdę. Przez większość czasu uciekała w zadumę, wyobrażała sobie różne warianty ich rozmowy i zastanawiała się, co powie.

– Tess, Millie do ciebie mówi – warknął Max zirytowany. Wróciła do rzeczywistości ze sceny trzydziestej drugiej,

w której pocieszała Maksa, że guz, który wymacał u siebie na kolanie, to tylko wrzód, nie rak.

– Przepraszam, zamyśliłam się. Nie wiem, co się ze mną dzieje. To chyba zmęczenie.

Wszyscy pokiwali głowami ze zrozumieniem. Przepadali za tymi spotkaniami. Tylko inni rodzice są w stanie zrozumieć zmęczenie, które dopada ich wieczorami. Co z tego, że dzieci chodzą do szkoły, a później opiekują się nimi dziewczyny *au pair*, męcząca jest sama świadomość odpowiedzialności za cudze życie. W swoim towarzystwie mogli się odprężyć. Nie musieli być zabawni czy intrygujący, za dobrze się znali. Co roku jeździli razem na wakacje; były to chaotyczne szalone imprezy, które z trudem przetrzymywali. Wracali do domu związani ze sobą jeszcze mocniej, z przekonaniem, że znają się jeszcze lepiej – może aż za dobrze.

– Przepraszam, co mówiłaś? – Tess skupiła się na Millie, która, co dopiero teraz zauważyła, była bardzo cicha przez cały wieczór, a to do niej niepodobne.

Poznały Millie w prywatnym przedszkolu prowadzonym przez kobietę w ogrodniczkach, która nalegała, by ją nazywać pani Śmieszkowa. Tess i Fiona wymieniły spojrzenia pełne komicznego przerażenia. Przypomniała się im wełniana macica. Kiedy z trudem tłumili śmiech, podeszła do nich inna matka.

– Opór nie zda się na nic – szepnęła i wyciągnęła rękę. – Jestem Millie. Witajcie w piekle.

Fionie i Tess odpowiadała ich przyjaźń, lecz Millie stanowiła jej doskonale uzupełnienie. Była jak znak przestankowy w strumieniu ich wspólnej świadomości; wypełniała chwilową ciszę, łączyła urwane wątki i zawsze miała w kredensie domowe ciasto – przyjaciółka idealna. I do tego posiadała zadziwiającą umiejętność stawania się dokładnie tą osobą, która w danej chwili była potrzebna.

Masz problem? Millie cię pocieszy. Nudzisz się? Millie cię rozbawi. Dzieciaki doprowadzają cię do szału? Millie się nimi zajmie. Życie cię przytłacza? Millie będzie płakać i śmiać się razem z tobą. Potrafiła rozkręcić każdą imprezę, ale też siedzieć w milczeniu i słuchać starych nagrań Neila Diamonda, jeśli akurat na to masz ochotę. Codziennie była kimś innym. Nikt nie wiedział, jaka jest naprawdę.

Pewnego dnia ją rozgryziemy, powtarzały sobie Fiona i Tess.

Bez względu jednak na to, kim była, tego wieczoru Millie z pewnością nie była sobą. Zarumieniła się, gdy wszyscy czekali, aż powie coś zabawnego albo ciekawego.

– Kiedy to nic takiego, naprawdę.

Tess było przykro, goście się spieszyli. Oczywiście było, że Millie chciała się jej z czegoś zwierzyć i straciła okazję. Tess obiecała sobie, że porozmawia z nią przy deserze.

Zapomniała.

Wpadli w konwersacyjną rutynę. Wsłuchani w niesłyszalny rytm śpiewali monotonną litanie niepracujących matek i zapracowanych ojców z klasy średniej. Bezpieczni w otoczeniu wygodnych mebli, drogich drobiazgów i sztuki współczesnej czuli się jak u siebie w domu. Właściwie ich domy

niewiele różniły się od siebie, tak podobny był wystrój wewnątrz. Tess złapała się na tym, że słucha wybiórczo i skupia się tylko na wypowiedziach wymagających reakcji.

– Więc mówię do Walburgi: „Nie przeszkadza mi, że się spotykasz z chłopcami, chociaż twoja matka chyba umarłaby ze strachu, widząc, z kim się umawiasz, ale jeśli puszki po piwie walają się po całej kuchni...”

– Tłumaczę Richiemu, że nasz udział wynosi czternaście i sześć dziesiątych procenta od trzech lat, wobec tego czy pomysł, żeby go zwiększyć...

– A potem w ogóle nie chciał jeść, więc zagroziłam, że na tydzień zabiorę mu komputer...

– W ogóle nas nie słuchał, no wiesz, ja rozumiem, nikt go nie lubił, ale żeby tak po prostu rzucić pracę na tydzień przed...

– Najpierw wymiotowała Carly, potem Nathan, Lucy się obudziła...

– Było mi autentycznie niedobrze, rozumiesz, pracowałem nad tym od trzech miesięcy, miałem gotową prezentację...

Max też słuchał wybiórczo. Miał pewną przewagę nad Tess. Doskonale wiedział, co jest nie tak i do jakiego stopnia. I właśnie ta wiedza rzutowała na jego odbiór informacji.

– Wiesz, dziewczyny *au pair* są czasami nie do zniesienia... Sto dwadzieścia funtów tygodniowo, pomyślał Max.

– ...więc zamówiliśmy skrzynkę sancerre i skrzynkę chablis...

Około dwustu pięćdziesięciu funtów.

– ...myślimy, czy nie wyskoczyć do Wenecji na rocznicę ślubu...

Dwa tysiące funtów...

– ...dzieciaki oczywiście podrzucimy rodzicom, może wyślemy ich razem do Francji...

– .. .Millie zagroziła, że się ze mną rozwiedzie, jeśli nie zrobimy remontu kuchni...

Pięć tysięcy.

– ...ej, nie przesadzaj, powiedziałam tylko, że jeśli ty kupujesz sobie nowy samochód...

– No nie, ty też? Graham nalega, żebyśmy zmienili auto!

– ...no, skoro w przyszłym roku wszyscy mamy jechać do Prowansji, będzie nam potrzebny...

Max przestał liczyć, w ogóle przestał słuchać. Sumy były zbyt wielkie, niewyobrażalne, niezrozumiałe. Wystarczająco przybił go paragon z zakupów, który wcześniej znalazł w kuchni.

– Dwadzieścia trzy funty za kurczaka? – szepnął przez ściśnięte gardło. – Czterdzieści sześć za dwa?

Tess dalej rozpakowywała zakupy. Nie wyczuła oskarżycielskiej nuty w jego głosie.

– Nie za byle kurczaki, tylko dwa ekologiczne, karmione ziarnem okazy. Tyle kosztują.

Max gapił się na paragon.

– Za taką cenę powinny same się udusić w czerwonym winie i pofrunąć na stół, śpiewając na całe gardło. Wiesz, że w Tesco są kurczaki po trzy dziewięćdziesiąt dziewięć? Czy różnica w smaku jest naprawdę warta dziewiętnaście funtów? Czy ktokolwiek to zauważy? W końcu i tak udusisz je w ziołach, więc po co przepłacać?

Tess spojrzała na niego ciekawie.

– O co chodzi, Max? Od kiedy sprawdzasz ceny kurczaków w supermarketach?

Dostrzegł jej niepokój i wycofał się szybko. Zmiał paragon i zrećnie cisnął do kosza.

– Nie słuchaj mnie, po prostu mnie to bawi, bo przecież dobrze ich znamy. Są tacy sami jak my, dojadają po dzieciach paluszki rybne i frytki, wieczorami podjadają czekoladki i tak jak my kiedyś studiowali. Wtedy wystarczało im spaghetti z sosem bolognese i bułgarskie wino. Ludzie aż tak się nie zmieniają. Ciągle mam wrażenie, że wystarczyłaby im fasolka po bretońsku!

Tess się odprężyła.

– Świetnie, w takim razie na urlopie zaserwujesz fasolkę po bretońsku, kiedy będzie twoja kolej gotować. A skoro o wakacjach mowa, Fiona ma zdjęcia tego domu we Francji! Jest tam wielki basen. Jutro wszystko zobaczymy. Musimy się zdecydować do końca tego tygodnia.

Max się odwrócił, żeby nie widziała, jak zbladł.

– Świetnie – powiedział.

Tess machinalnie poklepała go po ramieniu i otworzyła lodówkę.

– Dobrze, dobrze, w każdym razie wstrzymaj się z fasolką do urlopu, a na dzisiaj...

Uśmiechnął się z trudem i bardzo się starał, żeby ten uśmiech nie zniknął z jego twarzy przez cały wieczór. Teraz jednak nie miał już siły.

Widział, jak po drugiej stronie stołu oczy Tess zasnuwają się mgłą. Dawniej go to bawiło. Później, w łóżku żartował z niej, a ona zaklinała się, że to nieprawda, że świetnie się bawiła i słyszała wszystko, co się do niej mówi.

Lecz oboje wiedzieli, że jakaś część Tess nie daje się wciągnąć w cudzy świat. Max miał nawet wrażenie, że ta część trzyma się z dala od niego, od ich małżeństwa. Zazwyczaj to szanował, nawet kochał, czasami jednak miał tego dosyć.

Teraz liczył, że właśnie ta cecha Tess ich uratuje.

Prawie koniec. Za kwadrans jedenasta, późno jak na środowy wieczór. Zresztą wszyscy muszą mieć na uwadze opiekunki do dzieci. Dobrze chociaż, że my nie musieliśmy brać opiekunki, pomyślał Max. Z drugiej strony, za cenę dwóch ekologicznych kurczaków i warzyw, które zapewne przyleciały prywatnym samolotem z samego serca dżungli, mogliby wynająć dla Lary cały cyrk.

Nadeszła pora pożegnalnych całusów, przesadnych podziękowań, wymiany przepisów i rozmów o ubrankach, z których wyrosły dzieci. Przy pożegnaniu z Millie Tess zauważyła, że przyjaciółka źle wygląda. Cholera, pomyślała, zapomniałam z nią porozmawiać. Zadzwoń do niej następnego dnia. Żegnając się z Timem, mężem Millie, uświadomiła sobie, że praktycznie się nie odzywał. Co prawda w towarzystwie kobiet nigdy nie był zbyt rozmowny i zamykał się w sobie, gdy Tess, Fiona i Millie monopolizowały rozmowę, ale zawsze miał o czym pogadać z Grahamem i Maksem. Tego wieczoru jednak był wyjątkowo cichy.

Tess odpędziła tę myśl od siebie, bardziej martwiła ją Millie. Chyba że milczenie Tima wiąże się z jej złym wyglądem? Trudno, dzisiaj już tego nie wyjaśni. Ma na głowie inne, pilniejsze problemy.

W końcu wszyscy poszli.

Tess i Max automatycznie zebrali naczynia i zanieśli je do kuchni. Tess wyrzucała resztki do śmieci, Max ustawiał talerze w zmywarce.

Starał się nie patrzeć, ile dobrego jedzenia ląduje w koszu, powtarzał sobie, że nie może liczyć, ile pieniędzy dosłownie trafia na śmieci.

Tess bez słowa wstawiła dzbanek mleka do mikrofalówki i przygotowała obojgu po kubku gorącej czekolady. Postawiła je na stole, wzięła Maksa za rękę i delikatnie pchnęła na krzesło.

– No dobra, dosyć tego. O co chodzi?

Byli razem od osiemnastu lat, z czego piętnaście jako małżeństwo, i Tess nie musiała uciekać się do dramatycznych zaklęć, by udowodnić, że dzisiaj musi poznać prawdę. Max wyczytał z jej miny, że nie da się spławić.

Zresztą jeśli nie powie jej dzisiaj, będzie musiał to zrobić za kilka dni. Sytuacja stała się zbyt poważna.

– Jesteśmy splukani – powiedział cicho. Uniosła brwi.

– Tak myślałam. Dlatego tyle zamieszania o kurczaki! Nie martw się, ograniczymy wydatki. Nie pierwszy raz.

Spodziewała się, że przytuli ją do siebie i odetchnie z ulgą, ale milczał. Wywnioskowała z tego, słusznie zresztą, że oszczędzanie na ekologicznych kurczakach i tropikalnych warzywach nie rozwiąże ich problemów.

– Aż tak źle? – zapytała pół żartem, pół serio. – Mam odkurzyć przepisy na zapiekanki?

Max milczał. Tess nerwowo przełknęła ślinę.

– No nie! Wracamy do domowego farbowania włosów? Obierania warzyw własnoręcznie, zamiast kupowania obranych i pokrojonych? Gry w scrabble, zamiast wyjść do teatru? Przeżyjemy!

Max przerwał jej, zanim wdała się w tyradę na temat rozkoszy kupowania ubrań w domach towarowych, czytania książek z biblioteki i kupowania hurtowo.

– To coś poważniejszego, Tess. Jesteśmy naprawdę splukani. Stracimy dom, sklep, pieniądze, szkołę Lary. Wszystko. – Kiedy już zaczął, słowa popłynęły wartkim strumieniem: – Sklep przynosi straty od wielu miesięcy, płaciłem za wszystko kartami kredytowymi, musiałem wziąć dodatkową pożyczkę pod zastaw sklepu, od trzech miesięcy nie płaciliśmy rat za dom, a czesne Lary uiściłem czekiem bez pokrycia...

Tess położyła mu palec na ustach. Nie docierało do niej do końca, co przed chwilą powiedział, ale nie chciała słyszeć nic więcej. Max tymczasem dopiero się rozgrzewał. Już było gorzej, niż sądziła, a wyczuła, że jeszcze nie doszedł nawet do połowy listy.

Błyskawicznie przebiegła myślami ostatnich kilka miesięcy i od razu dostrzegła symptomy, teraz boleśnie oczywiste. Max namawiał, żeby nie korzystała z konta, tylko za wszystko płaciła kartą, bo przelewa pieniądze z konta firmowego na prywatne, żeby zmniejszyć podstawę opodatkowania czy coś takiego. Proponował, że sam ureguluje sprawy z bankiem, przy okazji, skoro robi księgowość firmy. Sugerował, żeby wzięli lokatora, przecież ich dom jest za duży jak na jedną rodzinę, a dodatkowe pieniądze zainwestują w sklep... W najbliższych dniach przypomni sobie jeszcze wiele takich sytuacji.

Idiotka, wyzywała się w myślach. Człowiek z odrobiną oleju w głowie zauważyłby te sygnały, ale nie ja, za bardzo mnie pochłaniało... właściwie co? Rozważanie, czy do łazienki przy pokoju gościnnym lepiej się nadaje mydło rumiankowe czy z aloesem?

Nie była jednak gotowa, by wziąć na siebie odpowiedzialność za ich klęskę, jeszcze nie. Powstrzymała się, by nie wylać mu gorącej czekolady na głowę. Max jest słaby, ona silna. Przynajmniej teraz. Z czasem to się zmieni. Czas na ciskanie naczyńmi i karczemne awantury zapewne przyjdzie później, jak to w małżeństwie.

Tymczasem jednak muszą doczekać jutra. Tylko o tym była w stanie myśleć.

Max ukrył twarz w dłoniach, wyczerpany wyznaniem.

Siedzieli w milczeniu dziesięć minut, które ciągnęły się w nieskończoność. W końcu Tess kucnęła przy nim i czekała cierpliwie, aż na nią spojrzy.

– Przepraszam – powiedział. Tess się roześmiała.

– Za co? To tylko pieniądze. Dawniej dawaliśmy sobie radę bez nich, mamy i teraz. Mamy siebie, Larę, przyjaciół, jesteśmy zdrowi. To, co ważne, wcale się nie zmieni.

Tulili się do siebie i oboje udawali, że w to wierzą.

TTLR

2

Tess siedziała w Organique i sączyła herbatkę rumiankową. Tym razem jej uwagi uszedł charakterystyczny smak, który zawdzięczała kwiatom rosnącym tylko w jednej dolinie na Sycylii; odkryli ją z Maksem kilka lat temu.

Nie zdobyła się na to, by jak co rano iść do kuchni. Dzisiaj Max musi się zdać na kucharkę i Rose, która pomagała w sklepie. Żadna z nich nie potrzebowała pracy, traktowały ją raczej jako rozrywkę i urozmaicenie życia towarzyskiego, ale zapewne obie się zmartwią, kiedy usłyszą smutną nowinę. Wiedziała, iż Max bardzo przeżyje, że sprawi im zawód, zwłaszcza że nie będzie nawet mógł dać im przyzwoitej odprawy.

Tess obrzuciła wzrokiem cztery stoliki przed sklepem. Zbankrutowaliśmy, pomyślała z niedowierzaniem i patrzyła na sklep innym wzrokiem.

No tak, pewne rzeczy od razu rzucały się w oczy: cztery stoliki, z których jeden praktycznie ciągle zajmują ja albo moje przyjaciółki, a przyjaciele przecież nie płacą. Czyli zostają trzy stoliki, przy których najczęściej siedzą kobiety sączące filiżankę kawy bezkofeinowej (czyli bezsmakowej). Czasami wezmą też kawałek bezglutenowego ciasta. Kawał drogiej sklepowej przestrzeni, a zysk? Pewnie mniej niż pięć funtów na godzinę.

Rozglądała się po sklepie nowymi oczami. Jak to możliwe, że wcześniej tego nie widziałam? – zastanawiała się. Przecież tu nic nie ma, w każdym razie za mało. Przypomniała sobie, jak omawiała wystrój wnętrza z Fioną i Millie. Zgodziły się jednomyślnie, że nie może być zagracone.

– Pamiętaj, feng shui – radziła Fiona.

I tak spora część przestrzeni świeciła pustkami, jeśli nie liczyć dramatycznie wyeksponowanej świecy zapachowej czy suszonego pędu bambusa w misie z terakoty. Na długiej półce stał tylko słój z bezcukrowymi lizakami po trzydzieści pięć pensów, których sprzedawali dwa, trzy dziennie. Na staroświeckich mahoniowych półkach pyszniły się ekskluzywne smakołyki: dzemy i konfitury bez barwników i konserwantów, dziewięć funtów za słoik, których data ważności wkrótce minie i wylądują na śmietniku; ręcznej roboty makarony z dodatkiem wyciągu z kałamarnic, które po ugotowaniu przypominają ślimaki, i słoiczki z arabskimi napisami, których zawartość nawet po przetłumaczeniu wymykała się europejskiej zdolności pojmowania.

Dlaczego wcześniej tego nie dostrzegałam? – złościła się Tess. I co ważniejsze, dlaczego Max tego nie widział? To on spędza tu całe dnie, chyba zdawał sobie sprawę, jacy byliśmy naiwni.

Starła się nie myśleć o mężu, żeby nie dodawać kolejnych zarzutów do już i tak imponującej listy. Skupiła się na pozostałych klientach. Było to siedem kobiet, takich jak ona. Wyprostowała się gwałtownie. Dosłownie takich jak ja, zauważyła nagle. Jakim cudem dotychczas tego nie widziałam?

Miały na sobie, jak ona, obcisłe bawełniane spodnie i luźne sweterki. Włosy, starannie przycięte, swobodnie opadały na ramiona z pozorną nonszalancją, charakterystyczną dla dobrego strzyżenia. Ich torby, podniszczone, ale markowe, i wygodne buty zdawały się krzyczeć: „Wiem, gdzie jest moje miejsce, wiem, dokąd zmierzam i kogo spotkam na drodze”.

Oczywiście trudno było się domyślić, kim są naprawdę, ale to chyba nie miało dla nich znaczenia. Może właśnie przed odpowiedzią na to pytanie uciekały. A ponieważ Tess bezustannie zadawała sobie to pytanie, nie mogła się w ten sposób oszukiwać.

To mundurek, przeszło jej przez głowę. Należę do klubu i ubieram się tak samo, ale nie pamiętam, żebym się zapisywała. Może ktoś wypełnił za mnie formularz zgłoszeniowy, sfałszował mój podpis, powiesił w nocy ciuchy w mojej szafie. Nie zawsze taka byłam, to wiem na pewno.

Wtedy sobie uświadomiła, że już niedługo przestanie taka być. Choć zapewniała Maksa, że nic ważnego się nie zmieni, wiedziała, że zmieni się wszystko. Staną się innymi ludźmi. Będą musieli.

– Oczywiście najlepsza herbata rumiankowa pochodzi z Tybetu, gdzie kwiaty podlewa się deszczówką zwożoną z gór przez roczne wielbłądy, a każdy płatek otrzymuje błogosławieństwo buddyjskiego mnicha, zanim wyschnie na słońcu, na kaszmirowej płachcie...

– Cześć, Fiona! – Tess się roześmiała. Co za ulga, pomyślała. Już się obawiałam, że nigdy nie będę się śmiać.

Przyjrzała się przyjaciółce, szukając w niej podobieństwa do siebie i, co za tym idzie, do innych kobiet w kawiarence. Różni się ode mnie, stwierdziła. Twarz Fiony była bardziej pociągła, włosy – rozjaśnione blond pasemkami – krótsze, rysy ostrzejsze, nie tak regularne. Urodziła czworo dzieci i żadne ćwiczenia nie były w stanie przywrócić jej dawnej figury. Odwracała uwagę od niedoskonałości sylwetki za pomocą najbardziej jaskrawej szminki, jaką mogła dostać. Na tle innych kobiet jej usta świeciły jak neony. Zrezygnowała także z katalogu Boden, ukochanego przez Tess i jej sobowtóry, na rzecz spodni bojówek i bluz z kapturem. Jej zdaniem spełniały dwójaką rolę: maskowały jej figurę i przedstawiały ją jako kobietę o radykalnych poglądach. Fiona nie jest taka jak my, stwierdziła Tess.

Drażniła ją świadomość, że sama upodobniła się do innych kobiet, choć zdawała sobie sprawę, że teraz nie czas rozczulać się nad utraconą tożsamością.

Fiona usiadła i z ponurą miną upiła łyk mętnej herbaty, którą zamówiła tylko ze względu na przyjaciółkę.

– Przykro mi, Tess, wiem, że to wasz sklep, ale nie pojmuję, jak możesz pić to świństwo.

– Nie ty jedna – mruknęła Tess ponuro.

Fiona odstawiła filiżankę.

– Jak to? Coś nie tak?

Tess rozejrzała się dokoła.

– To. – Wskazała sklep.

– Cóż, herbata jest ohydna – przyznała Fiona otwarcie – ale reszta jest super, wszyscy są tego zdania.

Najwyraźniej nie wszyscy, pomyślała Tess. Głęboko zaczerpnęła tchu, żeby powiedzieć przyjaciółce, co się stało, lecz w tym momencie na stoliku pojawiła się kartka papieru.

– Co ty na to? – zapytała Fiona.

Tess wzięła arkusz i zobaczyła fotografię dużego domu, bardzo francuskiego i bardzo drogiego.

– Zdjęcie nie jest najlepszej jakości, ściągnęłam je z Internetu – tłumaczyła się Fiona. – Ale to superokazja!

Tess wolała nie czytać opisów wszystkich wspaniałości. Nieważne, co to za okazja. Nie ma szans, żeby w tym roku pojechali z Maksem na urlop z przyjaciółmi. Nie wiadomo, czy jeszcze kiedykolwiek będzie ich na to stać.

– Najważniejsze, że jest przybudówka. Umieścimy tam Millie i Tima, gdyby dziecko urodziło się wcześniej.

Tess podniosła głowę.

– Jakie dziecko? – zapytała głupio.

Fiona zakryła usta dłonią.

– Nie powiedziała ci?

– Millie jest w ciąży? – Tess była w szoku.

Fiona skinęła głową.

– Zanim spytasz: nie, nie planowali tego i wcale się nie cieszy. Za to Tim tak, tak przynajmniej twierdzi Millie. – Zamyśliła się. – Ale kto wie, co się dzieje w małżeństwie?

Obie się zadumały. Fiona poruszyła głową, żeby rozluźnić nagle napięte mięśnie karku.

– Ciekawe, dlaczego mi nie powiedziała – zaczęła Tess i zaraz zrozumiała. Przecież to oczywiste.

Wzięła się w garść na tyle, że powiedziała Fionie, iż coś wpadło jej do oka, i pobiegła do łazienki, która, teraz to widziała, była na tyle duża, że spokojnie zmieściłyby się tu trzy zamrażarki.

Minęło już sporo czasu, odkąd ostatnio musiała się uporać z gorzkimi uczuciami, które zżerały ją od środka. Musi po prostu przeczekać ból. Przejdzie szybko, o wiele szybciej niż na początku. Poprawiła starannie makijaż i wróciła do Fiony.

– Wiesz, równie dobrze mogłaś rozplakać się przy mnie, zamiast marnować bezcenny niechlorowany papier toaletowy – zauważyła sucho Fiona. – Już do tego przywykłam. Zapewniłabym ci doskonałe alibi, wtrąciłabym do rozmowy kilka terminów ginekologicznych, żeby odstraszyć potencjalnych podsłuchujących.

Tess uśmiechnęła się wbrew sobie i jednocześnie poczuła łyzy pod powiekami.

Fiona wzięła ją za rękę.

– Tylko znowu nie zaczynaj.

Tess nadludzkim wysiłkiem wzięła się w garść i się nie rozpląkała. Był to jeden z jej rozlicznych talentów, z którego, zwłaszcza ostatnio, często robiła użytek.

– Przykro mi, że to przede mną ukrywała. Przecież w końcu i tak musiałam się dowiedzieć.

Przez kilka chwil rozpamiętywała stare rany, choć od dawna już nie bolały. Wspominała wszystkie poronienia, badania, niejasne diagnozy i ostateczny werdykt – prawdopodobnie będą mieli tylko jedno dziecko, choć wszyscy dokoła planowali rodzinę jak kucharz bez wyobraźni codzienny obiad:

Przystawka: dziewczynka

Zupa: (16 miesięcy później): chłopczyk

Danie główne: (16 do 18 miesięcy później – nie czepiajmy się szczegółów): chłopiec

Deser: (16 miesięcy później – znam cykl jak własną kieszeń): chłopiec albo dziewczynka – właściwie to bez znaczenia, ale dziewczynka pozwoliłaby zachować pewną symetrię.

Tess nie mieściło się w głowie, z jaką łatwością inne kobiety zachodziły w ciążę. Doprowadzało ją do szału, że to dla nich oczywiste. I że tego nie doceniają. Oczywiście kochały dzieci, tak przynajmniej sądziła, ale gdzie się podziała ich radość? Kilka tygodni po porodzie przekazywały malucha niani albo dziewczynie *au pair* i uciekały na tenisa. Nawet Fiona i Millie cieszyły się, gdy uciekały od dzieci, podczas gdy Tess – i Max, skoro już o tym mowa – nie mogli się nacieszyć Larą.

Miała wrażenie, że inne kobiety pociąga idea dzieci i rodziny, ale rzeczywistość je rozczarowuje.

W tajemnicy, skrywanej nawet przed sobą, Tess uważała, że zasługuje na dzieci bardziej niż one. Nie musiała zresztą mówić tego na głos, Fiona i Millie to wiedziały i robiły co mogły, by nie zżerało jej poczucie krzywdy.

Fiona uznała, że trzeba rozprawić się z problemem, zanim urośnie do niebotycznych rozmiarów. Powiedziały sobie wszystko, co było do powiedzenia na ten temat, i zdaniem Tess nie było sensu do tego wracać. Odezwała się rzeczowym tonem przełożonej żeńskiej pensji:

– Chyba oszalała. Wszystkie mamy to już za sobą. Nie wiem, jak ona to wytrzyma kolejny raz. Zresztą pomyśl, jaki to wywoła zamęt w życiu nas wszystkich. W końcu wszyscy będziemy bawić malucha. I możemy się pożegnać z niedzielnymi lunchami, spokojnymi, bo dzieciaki bawią się w ogrodzie bez opieki. Nie żeby dzieci Millie można było zostawić bez opieki. Jak myślisz, to małe będzie inne? – dodała złośliwie.

Było powszechnie wiadome, że dzieci Millie i Tima to najbardziej rozpuszczone bachory w południowym Londynie, a wśród liberalnej klasy średniej, przekonanej, że dyscyplina tłamsi kreatywność, konkurencja była ostra.

Tess uśmiechnęła się na myśl o kolejnej ludzkiej bombie atomowej w ich wypieszczonym domu.

Fionę ucieszyła jej pozorna bez troska.

– Wystarczająco straszliwe jest to, że moja matka się sprowadza – mruknęła. – O rany! Czy to bardzo egoistyczne z mojej strony?

Tess nie dostrzegła w tym żadnego egoizmu, bo zawstydziała się swoją samolubnością. Starła się ignorować ukłucie zazdrości na myśl o ciąży Millie i nagle dotarło do niej, że wszystkie trzy padły jednocześnie ofiarą czegoś, o czym rzadko się mówi, co spotyka każdą kobietę po trzydziestce, a przed

menopauzą– kosmicznego żartu. To brzemiennie w skutki wydarzenie, które nieoczekiwanie zmienia spokojne, poukładane życie.

Wszystkie trzy spotkało to jednocześnie, ale Tess uważała, że ją spotkał najgorszy los. Najgorszy. Zresztą chętnie wzięłaby na siebie problem Millie. Albo nawet Fiony. Albo tej kobiety w kącie, która narzeka, że znowu jej się popsuł samochód. Albo Madonny.

– Nie, to żaden egoizm – zapewniła Fionę. – A przynajmniej nie większy niż zwykle – dodała złośliwie.

Mało brakowało, a Fiona oplułaby ją herbatą.

– Mówisz jak ja! Więc co ty na to? To znaczy, na ciężę Millie, a nie moją wieczną samolubność, o tym moja szanowna matka będzie mi przypominała przez najbliższe dwadzieścia lat.

Tess wzruszyła ramionami.

– Nie będę kłamać, przyznaję, że skręca mnie z zazdrości. Pytasz, jak to będzie z Millie? Kto to wie? Moim zdaniem jest jedyną osobą, która poradzi sobie ze wszystkim. Nic jej nie dołuje. Chociaż przypuszczam, że nawet ona byłaby nieco... przygaszona, gdyby dotknęła ją moja... powiedzmy, niespodzianka.

– Jaka niespodzianka? – Fiona darowała sobie herbatę i z zapalemssała kawałek brązowego cukru, żeby się pozbyć posmaku napoju.

Tess głęboko nabrała tchu.

– Zbankrutowaliśmy. – No proszę. Powiedziałam to.

Fiona nie wierzyła własnym uszom.

– Jak to? Będiesz gotowała z resztek? Sama farbowała włosy?

Tess smutno pokręciła głową.

– Gorzej.

Fiona szeroko otworzyła oczy.

– Wprowadzicie się do bunkra razem z nielegalnymi imigrantami? Zamieszkacie na stacji metra? Przywiążecie sobie dziecko do pleców i powędrujecie przez rosyjskie stepy, żywiąc się trawą i mlekiem jaków?

Tess się wreszcie roześmiała.

– No dobra, wygrałaś, aż tak źle nie jest. Ale nie najlepiej. – Spoważniała i rozejrzała się dokoła. – Musimy zamknąć sklep i się przeprowadzić.

Fiona była w szoku. Z trudem trawiła informację.

– Chyba żartujesz! Jak to? Przesadzasz! Przeprowadzić się? Nie możesz, po prostu nie możesz! Przecież w zeszłym roku posadziłaś glicynie, a wiesz, że zakwitnie dopiero za pięć lat!

Tess zapomniała o glicynii, lecz to wspomnienie sprawiło, że znalazła się niebezpiecznie blisko granicy załamania, bliżej niż przy innych wspomnieniach, które co chwila stawały jej przed oczami. Zasadzenie tego potężnego pnącza było poważnym aktem, symbolizowało dalekosiężne plany jej rodziny i tego domu. Szkoda, że nie ograniczyła się do lwich paszczy.

Zniżyła głos i wytłumaczyła Fionie, w jakiej sytuacji się znaleźli.

– Musimy jak najszybciej wynająć dom. Nie możemy go sprzedać, bo wzięliśmy kredyt hipoteczny i zostalibyśmy bez niczego. Jeśli wynajmiemy go na kilka lat, potem tu wrócimy... może.

– Ale dokąd pójdziecie? – Fiona wpadła w panikę, widząc, jak kolejny element w jej spokojnej przyszłości znika.

Tess była zmęczona.

– Jeszcze nie wiemy, ale na pewno nie zostaniemy tutaj. Wynajmiemy coś, mieszkanie albo mały domek. W tańszej okolicy.

Fiona chciała pytać o wszystkie szczegóły. Co ze szkołą Lary? Co ze skomplikowanym systemem odwożenia dzieci do szkoły i wspólnym odrabianiem lekcji? Co z wakacjami, przyjęciami, wypadami na obiady i do

klubu fitness, co z tym wszystkim, co nadawało sens ich życiu? Nie mogła jednak, bo każda z tych rzeczy oznaczała pieniądze, a tych Tess nie miała. Po raz pierwszy, odkąd się znały, nie wiedziała, co powiedzieć.

Tess zrobiło się jej żal.

– Nie przejmuj się tak. Przynajmniej mamy pewność, że moja matka z nami nie zamieszka.

Fiona jednak straciła poczucie humoru.

– Nie pojmuję tego! Jak to się stało? Przecież interes kwitnie. No, popatrz. Wszystkie stoliki zajęte. Ludzie stoją w kolejce do kasy i zobacz, co mają w koszykach! Każdy ma warzyw za co najmniej dwadzieścia funtów. Przecież to kopalnia złota.

Tess smutno pokręciła głową.

– Też tak myślałam. Niestety, rok temu podnieśli nam czynsz i przy takich opłatach jak teraz ci wszyscy ludzie musieliby kupować co najmniej ekologiczne bmw, żebyśmy wyszli na swoje.

Żadna nie powiedziała na głos tego, o czym obie myślały – Graham, mąż Fiony, ostrzegał Tess i Maksa, że może do tego dojść. Przewidział wszystko, co ich spotkało. I jeszcze więcej.

– Akurat ten zakątek Clapham to jedna z najdroższych dzielnic Londynu – tłumaczył. – Zrozumcie, po fazie rozwoju przychodzi recesja. Nie pamiętacie, jak to wyglądało ostatnio?

Tess i Max ogłuchli na wszelkie przestrogi.

– Musicie zrozumieć, istnieją pewne reguły, wzorce i jeśli ceny mieszkań idą w górę, podskoczą też koszty czynszu.

Tłumaczył, że nie będą mogli podnieść cen na tyle, by zrównoważyły wzrost czynszu, skoro żywność ekologiczna i tak jest bardzo droga. A jeśli to zrobią, klienci zaczną kupować gdzie indziej. Udowadniał, że w dzisiejszych

czasach nawet supermarkety prowadzą zdrową żywność i mały sklepik nie wytrzyma konkurencji z gigantem.

W przyjacielskich wywodach znalazły się także groźne słowa: hipoteka i bankructwo, które jednak przeszły Maksowi i Tess mimo uszu, tak bardzo zapalili się do swojego pomysłu.

Słuchali uprzejmie i zaraz zapomnieli o wszystkim, co powiedział. Zaciągnęli ogromną pożyczkę hipoteczną pod zastaw domu i związali się tym samym z małą niezależną firmą, bo żaden duży bank nie chciał udzielić im kredytu.

Wtedy Tess była przede wszystkim zaskoczona, że Max waży się na takie ryzyko. Dotychczas był typem, który płaci rachunki, ledwie je dostanie, z obawy, że jeśli tego nie zrobi, przyjdzie ponaglenie.

– Jesteś pewien, że tego chcesz? – pytała go w kółko, zanim podpisali dokumenty.

– Na sto procent – powtarzał stanowczo. – Absolutnie. Całkowicie. Nie mam najmniejszych wątpliwości.

Tylko że to wcale nie była prawda. Wątpliwości nie dawały mu spokoju. Nocami nie sypiał, ciągle miał mdłości. Wiedział jednak, że nie ma innego wyjścia. Tess przez tyle lat znosiła jego zachowawczy stosunek do życia, nie złościła się, kiedy marnował czas na cieplej posadce, chociaż nudził się jak mops. Choćby ze względu na nią musi raz zaryzykować. Udowodni jej, że go na to stać.

– To wspaniała przygoda – zapewniał ze sztucznym entuzjazmem. – Nowa, wspólna przyszłość.

– No tak, ale słyszałeś, co mówił Graham – Tess nie dawała za wygraną, chciała się upewnić, że Max wie, co robi.

– Och, przecież wiesz, jaki on jest – machnął ręką, a Tess kamień spadł z serca. Dobrze wiedziała, co chciał przez to powiedzieć.

Bo Graham, choć świetnie znał się na finansach, nie miał za grosz wyobraźni. Tess i Max byli o tym przekonani. Szczerze mówiąc, nie pojmowali, jakim cudem ożenił się z Fioną. Pozornie zupełnie do siebie nie pasowali – ona pełna życia, a on nudny i bezbarwny.

– To jedyny znany mi człowiek, który zachowuje się i wygląda na pięćdziesiątkę, odkąd stuknęła mu trzydziestka – orzekła Tess złośliwie, żeby tylko zdyskredytować jego ostrzeżenia.

Nie dostrzega wyjątkowego charakteru naszej dzielnicy, chociaż tu mieszka, powtarzali sobie. Może i zna się na finansach, ale nie bierze pod uwagę potencjału okolicy. W jego oczach to tylko spokojny zakątek, zamieszkały przez ludzi takich jak on. Trzeba jednak spojrzeć na to z szerszej perspektywy – okiem nie geografa, tylko socjologa. Nawet media to dostrzegły i nadały ich dzielnicy chwytliwy, znaczący przydomek Dolina Pampersów.

– Nie znoszę tej nazwy! – złościła się Fiona. – Nie życzę sobie, żeby mnie utożsamiano z innymi tylko dlatego, że mamy ten sam kod pocztowy!

– Chodzi o coś więcej, Fi. Rozejrzyj się! Czy kiedykolwiek widziałaś naraz tyle małych dzieci? Poza wesołym miasteczkiem?

– No tak, ale tu są duże domy, nic dziwnego, że mieszkają w nich wielodzietne rodziny – zauważyła, na moment zapominając o małej rodzinie Tess. – Przecież takie dzielnice na pewno są w całej Anglii. W każdym miasteczku.

– Pewnie – Tess skinęła głową. – Ale mediom chodzi o ceny.

I na to właśnie liczyli z Makssem. Mieszkali w dzielnicy, która w ciągu kilku lat przeszła transformację. Ze zwykłej plątaniny uliczek pełnych wiktoriańskich oraz edwardiańskich domów i bliźniaków stała się niebem dla

handlarzy nieruchomościami. Ceny rosły o sto, dwieście procent, póki nie utworzyła się nowa warstwa społeczna – rodziny, do niedawna o przeciętnym dochodzie, gdzie mężowie zarabiali tyle, że żony mogły sobie pozwolić na wychowanie dzieci w domu. Nagle się okazało, że ich domy są warte po pół miliona funtów.

Nie uważali się za bogaczy, a jednak nimi byli. Przy stosunkowo niskich obciążeniach hipotecznych i rosnącej wartości domów nagle mieli więcej pieniędzy, niż potrzebowali.

Tess i Max zaliczali się do tych szczęśliwców. Ani się zorientowali, a mknęli już do nowej klasy społecznej – nowych zamożnych, nie milionerów, nie klasy wyższej, a jednak nagle, nieoczekiwanie bogatych.

A jeśli ich filozofię dałoby się podsumować jednym słowem, brzmiałoby ono: ekologicznie.

Tess, jak wszystkie inne matki w okolicy, oszalała na punkcie żywności ekologicznej. Pochłaniała wszystko, co jej wpadło w ręce na ten temat, i wierzyła ekspertom, którzy zapewniali, że tym sposobem będzie lepszą matką. Ignorowała kpiny niedowiarków, przekonanych, że to wszystko bujda.

– Przejrzyj wreszcie na oczy – zaczął kiedyś Max. Obierał niekształtny kartofel, miękki i nieładny.

– Że niby co? – Tess przebierała jabłka, szukając nierobaczywych. Lara uparcie odmawiała jedzenia czegokolwiek, co jest „popsute”, i domagała się powrotu do jabłek okrągłutkich i czerwonych. Mówiąc krótko, jeśli żywności nie wyprodukował, ewentualnie nie zebrał z pola zubożały farmer uciśniony jarzmem reżimu, sterany barbarzyńskimi warunkami pracy, Lara nie brała tego ust. Max w głębi ducha zgadzał się z córką. Podobały mu się równiutkie, zgrabne marchewki i owoce, powiedzmy sobie szczerze, bez robaków w środku.

Nie dawał za wygraną, nadal dzielnie obierał ziemniaki.

– Kupujesz to wszystko tylko dlatego, że jest droższe. Gdyby było tańsze niż zwykle...

– Trujące – syknęła Tess.

– Niż zwykle produkty – nie dał zbić się z tropu – nie kupiłabyś niczego.

Popatrz na to. Ile zapłaciłaś?

– Koło trzydziestu funtów – odparła i śmiało spojrzała mu w oczy. Niech no tylko zaprotestuje.

Trzeba mu przyznać, że nie zareagował, przynajmniej nie w sposób widoczny – w jego głowie już szykowała się jadowita przemowa, którą uraczy Tess w bardziej odpowiedniej chwili. Odchrząknął głośno.

– No tak. Trzydzieści funtów. Za dwie siatki owoców i warzyw, z których, po odrzuceniu oczek, plam i robactwa, zostanie ledwo tyle, żeby nas nakarmić.

Zdjął ślimaka z liścia sałaty i podsunął go pod nos przerażonej Tess.

Jeszcze nie skończył.

– Gdyby te warzywa leżały w supermarkecie przy kasie, na stoisku z przecenionymi towarami, obchodziłabyś je łukiem.

Nie dała się wciągnąć w dyskusję, choć miał rację.

– Może tak, może nie. W każdym razie czuję się lepiej, kiedy to kupuję.

I właśnie ta niepodważalna prawda, w połączeniu z faktem, że w okolicy mieszka mnóstwo rodzin o podobnym nastawieniu, podsunęła im pomysł na własny interes. Max pokonał wrodzony wstręt do niekształtnych warzyw, marzył mu się spory dochód z własnej firmy. Było to godne tego, by zaryzykować po raz pierwszy w życiu.

– Musi nam się udać, Tess! –zapewniał podekscytowany. –Pomyśl tylko. Sklep z produktami ekologicznymi i do tego mała kafejka. Może

namówimy Millie, żeby dla nas piekła. Mogłabyś pracować, ile chcesz, ustalać sobie godziny. Zatrudnimy też kogoś do pomocy, oczywiście za przyzwoitą stawkę.

I Tess dała się przekonać, bo tego chciała. Bo było im to potrzebne, w ich życiu pojawiła się stagnacja – Lara chodziła do szkoły. Max niedawno został zwolniony i powoli ogarniała go panika, gdy okazało się, że wcale nie jest łatwo o pracę w branży reklamowej. Tess chciała wrócić do pracy, ale nie w pełnym wymiarze godzin.

Także w ich małżeństwie zapachniało rutyną. Lara, cud, który się zdarzył po sześciu koszmarnych latach starań, zajmowała im każdą chwilę, dominowała każdą rozmowę, każdą decyzję. Tess i Max zapomnieli, co to znaczy być parą, i zaczęli się nudzić w swoim towarzystwie.

W rzadkich chwilach autorefleksji, których unikała jak ognia, Tess zadawała sobie pytanie, czy ich małżeństwo w ogóle miało szansę. Ledwie skończyły im się tematy do rozmowy, zaczęli się starać o dziecko – to stanowiło główny problem, aż do narodzin Lary. Już od wielu lat nie są parą, uświadomiła sobie ze smutkiem, stali się rodzicami, którzy mieszkają pod jednym dachem. Byli jednak gotowi ratować ten związek, a to oznaczało konieczność działania.

Mieli dwa wyjścia – zmiany w życiu osobistym, czyli powrót do szaleńczego młyna starań o następne dziecko (co, jak wiedzieli, niesło kolejne problemy), albo w życiu zawodowym.

Po wielu latach zaczną się zastanawiać, dlaczego nie brali pod uwagę trzeciego wyjścia – łatania przepaści między nimi przed podjęciem innych decyzji. Jeszcze długo będą się dręczyć rozważaniem, co by było gdyby.

Może jednak ich związek stanowił zbyt bolesny temat, więc woleli przymknąć oczy na istniejące problemy i modlić się po cichu, że przepaść zasypie się sama. Postanowili założyć własny interes.

Przyjaciele byli zachwyceni. W każdym razie przyjaciółki.

– Super! – cieszyła się Millie. – Pewnie, że będę dla was piekła. I robiła u was zakupy!

– Ja też! – zawtórowała Fiona. – To znaczy, piec nie będę. Ale jestem świetna w robieniu zakupów i wydawaniu pieniędzy, to będzie mój wkład w waszą firmę! Jestem też najbardziej bezczelną i wymagającą klientką, jaką sobie można wyobrazić, więc jeśli wasz sklep zadowoli mnie, spodoba się wszystkim.

W ten sposób podjęli decyzję, puszczając mimo uszu słowa doradcy finansowego i wszystkich tych, którzy nakazywali ostrożność. Lekceważyli też wewnętrzny szept zdrowego rozsądku, który odzywał się w wieczornej ciszy.

Z perspektywy czasu Tess doszła do wniosku, że tym, co przeważało szalę i skłoniło ich do działania, były poglądy jej matki i rodziców Maksa, którzy uważali, że to bardzo ryzykowne przedsięwzięcie.

– Twoja matka nigdy nie miała o mnie dobrego zdania – narzekał Max. – Wiem, że kiedy mnie zwolnili, uważała, że to moja wina. A moi rodzice nie mają pojęcia, co to znaczy zaryzykować. To klasyczne urzędasy. Wyobrażasz sobie, że mój ojciec co miesiąc wpłaca pięć procent swojej pensji na konto? I to dokąd zaczął pracować, od czterdziestu pięciu lat. Nigdy nie tknął tej sumy, nie chce jej nawet przenieść do banku z lepszym oprocentowaniem. Tłumaczy, że nie zrezygnuje z czegoś, co mu odpowiada, i że tam jego pieniądze są bezpieczne. Chce mieć pewność, że nieważne, co go w życiu spotka, będzie na to finansowo przygotowany. Już taki jest.

Wiele lat później Tess miała pożałować, że Max nie przypomina ojca w tym względzie.

Potrzebowali pieniędzy, i to sumy większej niż odprawa Maksa. Zaciągnęli więc olbrzymią pożyczkę hipoteczną pod zastaw domu. To oczywiste. W końcu mieszkają w Dolinie Pampersów, szczycie marzeń każdej rodziny. Tutaj domy są warte majątek, zresztą ich wartość rośnie z dnia na dzień. Tyle pieniędzy dosłownie leży na ich progu! Więc je wzięli.

I to ich zgubiło.

– Chyba jesteś zmęczona, Millie – zaczęła Fiona delikatnie.

Millie się skrzywiła.

– Dziękuję. – Wiedziała o tym. Była boleśnie świadoma swoich ograniczeń – średniego wzrostu, lekkiej nadwagi, cery, z której nigdy do końca nie znikły ślady młodzieńczego trądziku, i włosów, wyglądających przyzwoicie tylko wtedy, jeśli myła je codziennie. Zdawała sobie sprawę z tego wszystkiego i pogodziła się z faktem, że po godzinnych zabiegach upiększających wygląda znośnie, nic poza tym. W taki dzień jak dzisiaj, kiedy się nie kąpała, ba, nawet nie zerknęła do lustra i nosiła nietwarzowe okulary, wyglądała jak zdjęcie „przed” w gazetowej sesji fotograficznej. Lecz wygląd stanowił jej najmniejszy problem.

Fiona powiedziała jej o położeniu Tess.

– To było okropne – opowiadała. – A ja zachowałam się jak świnia. Narzekałam ciągle, jak to się na mnie odbije, że będzie mi jej bardzo brakowało. Pomogłam jej, nie ma co.

Millie uśmiechnęła się ze współczuciem.

– Pewnie bardziej niż myślisz. Gdybyś się nad nią rozczułała, tylko pogorszyłabyś jej stan. Było nie było, z nas dwóch to ja służę ramieniem i wsparciem, ty jesteś suką. Nie wprowadzaj zamętu zamianą ról.

Fiona klepnęła ją w ramię.

– Dzięki, ja też cię kocham!

– Jak myślisz, obrazi się, jeśli zaproponuję jej pieniądze? – zaczęła Millie z wahaniem. – Mogę powiedzieć, że to pożyczka, żeby nie było jej głupio.

Fiona ze smutkiem pokręcił głową.

– Właśnie rozmawiałam o tym z Grahamem. Uważa, że Tess może by się zgodziła, ale Max nie zechce nawet o tym słyszeć. Powiedział, że on też zareagowałby w ten sposób.

– Przecież to głupota! Znamy się tak dobrze... Fiona nie była przekonana.

– Moim zdaniem musimy im pomóc w każdy możliwy sposób, ale nie proponując pieniędzy.

Obie umilkły. Wysiły rzadko używaną wyobraźnię, by wymyślić, w jaki niepieniężny sposób opatrzyć finansowe rany. Fiona znużona potarła czoło.

– Co jest? – spytała Millie.

– Wiem, że uznasz, iż jestem okropna, ale i tak to powiem... – zaczęła Fiona.

Millie uniosła brew z rozbawieniem. Fiona zmarszczyła czoło.

– Chodzi o to, że zanim mi powiedziała, rozmawialiśmy o wakacjach.

Wyjęła kartkę z opisem domu w Prowansji. Obie wpatrywały się w arkusik, który nagle stał się symbolem końca spokojnego, uregulowanego życia, a wyznaczał początek nowej, niespokojnej egzystencji.

– Pojedziemy bez nich czy nie? – zapytała Fiona.

Millie nie odpowiadała.

Tim siedział w biurze i ponuro gapił się w terminarz na biurku. Szukał w nim pociechy, a okazało się, że w wolnym czasie jest równie zajęty jak w pracy. Przekładał kartkę za kartką, szukając cudnie pustej przestrzeni, na którą

mógłby czekać z utęsknieniem. Pragnął spokoju, próżni, w której mógłby unosić się bez celu, nie iść w przód ani w tył, po prostu być.

Jak do tego doszło? Ostatnio coraz częściej zadawał sobie to pytanie. Skąd w moim życiu taki ruch? Byłem spokojnym człowiekiem. Co ja opowiadam? Jestem spokojnym człowiekiem. Zawsze pragnąłem nudnego życia: rodziny, bezpiecznej posady, chwil delikatnych uniesień, niczego specjalnego, co wytrąciłoby mnie z utartych kolein.

Więc ożeniłem się z miłą dziewczyną, która wydawała się taka sama jak ja – spokojna, o umiarkowanych ambicjach. Millie bez żalu porzuciła pracę, kiedy na świecie pojawiły się dzieci. A potem to wszystko mnie otoczyło: hałas, bałagan, inni ludzie, przyjaciele Millie, z którymi i ja miałem się przyjaźnić. Nie jesteśmy małą, odizolowaną rodziną, nasz dom to komuna, a na progu co chwila staje ktoś obcy.

Natłok zajęć w ich życiu pozbawił Tima czasu do rozmyślań. Po latach rozważań zrozumiał, co było tego przyczyną.

To wina Millie, uznał. Oszukała go, sprawiła, że uwierzył, iż jest taka jak on, podczas gdy w rzeczywistości tylko udawała. I dobrze jej to szło, musiał to przyznać. Ba, poradziła sobie z tym jak profesjonalistka.

Dopiero kiedy zaprzyjaźniła się z Tess i Fioną, zobaczył, w jaki sposób działa, jak spełnia oczekiwania innych, jak płynnie, bez wysiłku zmienia osobowości.

I choć podziwiał jej umiejętność i poświęcenie, z jakim odgrywała różne role, dzień w dzień, rok po roku, nigdy nie oczekiwał, że jego żona będzie grała również w małżeństwie.

Nie wiedział już, co myśleć. Miał wrażenie, że w ogóle nie zna tej kobiety. Wiadomość o dziecku zwała go z nóg. Zastanawiał się, czy zaszła w ciążę celowo, choć po Nathanie wspólnie uznali, że już dosyć. Twierdziła, że

to przypadek, ale mówiła dużo rzeczy, a on już nie był pewien, co jest prawdą, a co zmyślnym kłamstwem.

Jedno wiedział na pewno: nie podobało mu się jego życie i chciał z kimś o tym porozmawiać, z kimś, kto go naprawdę rozumiał. Tylko jedno imię przychodziło mu na myśl, ale odrzucał tę myśl jako bezsensowną, wręcz absurdalną.

Ale kto jeszcze? – zastanawiał się, zanim wykonał krok, który miał go pozbawić ostatniej wolnej przestrzeni, w kalendarzu i w życiu.

Tess i Max jak szczeniaki szli po domu za agentem nieruchomości i chciwie wsłuchiwali się w niezrozumiałe pomruki, które wydawał do dyktafonu. Pewnie wyrażał się lekceważąco o ich domu.

Doceniali, chyba po raz pierwszy od kilku lat, ilość czasu potrzebną, by przemierzyć ich rezydencję; trzy piętra i ogromne schody dawały im poczucie bezpieczeństwa. Oto dom z prawdziwego zdarzenia.

Mieszkali na parterze, w czterech pomieszczeniach. Były tam kuchnia, jadalnia, salon i pokój zabaw. Sfatygowane deski podłogi symbolizowały ich ostateczne wyzwolenie się spod wpływu rodziców. W oczach starszego pokolenia wykładzina dywanowa symbolizowała dostatek, a jej brak budził niepokój i zdumienie.

Tess i Max jak zwykle czuli się nieswojo, gdy agent zaglądał do sześciu sypialni, z których tylko dwie były zamieszkane, choć wszystkie odnowiono i urządzono ekstrawagancko.

Myśleliśmy, że będziemy mieli więcej dzieci, chcieli krzyknąć. Nie kupiliśmy takiego wielkiego domu, żeby się bawić w hotel.

Max stał blisko agenta z nadzieją, że mężczyzna doceni meble, które opowiadają historię rodziny. Chyba dostrzeże ich wartość, przecież widzi, że nie ma tu żadnych sklejek czy paździerzy. Powinien jęknąć z zachwytem, widząc

nowoczesne obrazy i rzeźby, tak dziwaczne, że musiały kosztować fortunę. No i nie ujdzie jego uwagi, że kanapę w kącie wykonano na specjalne zamówienie, według instrukcji Maksa i Tess, które spędzały im sen z powiek przez dobrych kilka tygodni. Chyba się zorientuje, że materiał na zasłony przyjechał z Hongkongu, a dywaniki z Chin?

Lecz dla obcego, który podsumowywał ich życie, to wszystko zdawało się bez znaczenia. Niepokoiło ich to widoczne lekceważenie wypieszczonego wnętrza, a on przemierzał pokój za pokojem i z niemal nienormalnym skupieniem przemawiał do dyktafonu.

Przynajmniej jest czysto, pomyślała Tess, to na pewno dużo znaczy.

Fiona i Millie wpadły poprzedniego dnia, kiedy odwiozły dzieci do szkoły. Przez cały dzień pomagały Tess wysprzątać dom od piwnicy po strych. Millie pracowała najciężej. Tess uściskała ją serdecznie, nie tylko z wdzięczności, także dlatego że Millie dręczyło irracjonalne poczucie winy, że tak łatwo zachodzi w ciążę.

Po szkole cała dziewiątka dzieciaków też zabrała się do pracy – po tym, jak rodzice zgodzili się napisać im na jutro usprawiedliwienie za brak pracy domowej – i nawet Walburga, leniwa *au pair* Fiony, zakasała rękawy. Wieczorem, gdy Tim i Graham wrócili z pracy, a Max z przykrego spotkania w banku, oni także rzucili się w wir porządków. Tim zamówił pizzę – i zapłacił za nią – Graham skoczył do domu po dobre wino. Tess miała w oczach łzy wzruszenia.

Było to ostatnie pogodne spotkanie na długi, długi czas.

Kiedy wszyscy wyszli, Tess i Max ciężko opadli na kanapę. Już poczuli się trochę obco w domu, który nigdy, odkąd się wprowadzili, nie lśnił czystością do takiego stopnia.

– Nie do wiary, że minęło tylko czterdzieści osiem godzin –mruknęła Tess. – Zaledwie dwa dni temu wszystko było w porządku, nasze życie było zaplanowane i zorganizowane, a teraz wolę nie myśleć, co będzie dalej niż jutro.

Max chciał wziąć ją za rękę, ale zżerały go wyrzuty sumienia. Uważał, że tylko on ponosi winę za zaistniałą sytuację i hipokryzją byłoby teraz dodawać Tess otuchy.

Wzięła go za rękę, bo doskonale wiedziała, co teraz czuje, chciała go pocieszyć, chociaż przyznawała, że wina w dużej mierze jest po jego stronie. Uznała, że to odpowiednia chwila, by zadać pytanie, które dotychczas nie padło.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – Starła się mówić spokojnie, bez pretensji w głosie. Nie było to łatwe, zwłaszcza że jakaś jej cząstka najchętniej zawinęłaby włosy na wałki, włożyła szlafrok, złapała wałek do ciasta i wymyślała mu niczym żona z kiepskich dowcipów.

Max. obawiał się odpowiedzi na to pytanie tak samo, jak Tess bała się je zadać.

– Myślałem, że wszystko się ułoży. Miałem nowe pomysły i nadzieję, że jeśli przetrwam najgorsze miesiące i spłacę długi, to wszystko wróci do normy.

Tess poczuła gniew, wzbierający mimo jej wysiłków, by zachować spokój.

– Ja, ja! Dlaczego ciągle słyszę: ja? A my? Nie przyszło ci do głowy, że ja też mogłam mieć jakiś pomysł? Zwłaszcza że sprawa dotyczy też mojej przyszłości...

Urwała, wewnętrzny głos ostrzegał, że są słowa, których nie należy wypowiadać, jeśli mają to przetrwać. Pewnych zarzutów nie może wygłosić,

żeby nie usłyszeć usprawiedliwień, które pogłębią rysy na niepewnych fundamentach ich związku.

To nieważne. Max i tak wiedział, co chciała powiedzieć. Skulił się. Ten odruch zawsze ją wzruszał.

– Wiem. Chciałem cię ochronić.

No proszę, powiedział to. Dopiero kiedy te słowa padły, zdał sobie sprawę, że to prawda. Do tej chwili nie wiedział, dlaczego ukrywał przed nią tragiczny stan ich finansów. Po latach przekonania, że to nad nim rozpina się parasol ochronny, tym razem to on chciał jej oszczędzić kłopotów. I poniósł sromotną klęskę.

– Ty także? – syknęła. – Najpierw Millie, teraz ty...

– Niby przed czym Millie chciała cię chronić? – zainteresował się.

Tess zaklęła w myślach.

– Przed niczym.

Max przyglądał się jej uważnie. Westchnęła.

– Jest w ciąży.

Max się zamyślił.

– Od dawna wiesz?

– Od kilku dni, Fiona mi powiedziała.

Powoli skinął głową.

– Dlaczego przedtem mi nie powiedziałaś?

– Bo nie chciałam cię martwić.

Uśmiechnęli się smutno.

– Ale z nas para – mruknęła Tess.

Jedna z małżeńskich rys nieco zbladła. Rozkoszowali się chwilą harmonii.

– Myślałem, że już ci przeszło – zaczął Max.

Tess zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Wiedziałam, że nie będziesz chciał o tym rozmawiać, więc nic nie mówiłam.

Max poruszył się niespokojnie.

– To okropne, co mówisz. I tak czują, że zawiodłem jako mąż, a teraz jeszcze się okazuje, że moja żona nie rozmawia ze mną o swoich uczuciach z obawy, że mnie zdenerwuje.

Tess starała się go ułagodzić.

– Nie o to mi chodzi. Po prostu nie chciałam zawracać ci głowy. Pogadałam z Fioną i Millie, a tobie pozwoliłam samotnie uporać się z tym, co czujesz.

Przyglądał się jej bacznie.

– Niby jak? Miałem panikować, szaleć, zamartwiać się? Albo wszystko zwalić na ciebie?

Rysa pojawiła się ponownie, wyraźniejsza, głębsza niż przedtem, zresztą nigdy nie zniknęła całkowicie.

Max, podobnie jak ona, chciał mieć dużą rodzinę. Tess nie mieściło się w głowie, z jaką lekkomyślnością i bez troską podchodzili do tej kwestii na początku.

– Jak myślisz, kiedy zaczniemy? – zapytał po pierwszym upojnym roku małżeństwa.

Tess przechyliła głowę na bok i myślała.

– Chciałabym urodzić dziecko tuż przed trzydziestką – powiedziała wtedy. – Tym sposobem będę już miała ustaloną pozycję zawodową i bez problemów wrócę później do pracy. I następane zaraz później, żeby razem dorastały, i żebyśmy stosunkowo szybko pozbyli się pieluch z domu.

Max się zgodził. I on, i Tess byli jedynakami, więc zależało im, żeby ich dziecko nie dorastało bez rodzeństwa.

– Co powiesz na czwórkę? – zapytał. – Z moich rachunków wynika, że na tyle nas stać, zakładając, że oprocentowanie utrzyma się na tym samym poziomie i pošlemy je do prywatnych szkół.

Tess kochała go za poważne podejście do życia. Z natury refleksyjna, na myśl o dzieciach traciła głowę i Max był jej potrzebny, by nie dała się ponieść marzeniom.

– Sama nie wiem – powiedziała wtedy. – Może troje wystarczy. Przynajmniej na początek. Może zaczniemy od trójki, a potem pomyślimy.

Obojgu chciało się płakać na wspomnienie takiej naiwności. Nigdy nawet przez myśl im nie przeszło, że nie będą mieli dzieci akurat wtedy, kiedy tego zapragną. A kiedy się okazało, że w ich dzielnicy płodność zdaje się wliczona w cenę domu, nabrali pewności, że ich plany są bardzo realne.

Ich małżeństwo z trudem przetrwało lata starań o Larę. Kiedy się pobierali, żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że dzieci niekoniecznie stanowią element równania. Czy gdyby mieli tę świadomość, podjęliby tę samą decyzję? Oboje bali się sami przed sobą odpowiedzieć na to pytanie, a co dopiero zadać je drugiej osobie. To było bardzo, ale to bardzo niebezpieczne. Za bardzo.

Lecz zjawiała się Lara, jak cud, w ostatniej chwili. Nigdy o tym nie rozmawiali, lecz oboje poważnie myśleli o rozwodzie, zanim się nie urodziła.

Wtedy wszystko zaczęło się od nowa. Plany dużej rodziny, nadzieje, poronienia. Przestali, zanim zniszczyli się wzajemnie. Mieli Larę i na nic więcej nie mogli liczyć. Lecz reakcja Maksa na wiadomość o Millie uświadomiła obojgu, że temat pozostał.

Tess nie powiedziała wielu rzeczy, które cisnęły się jej na usta. Zamiast tego rozsądnie zmieniła taktykę. Nerwowo szukała bezpiecznego tematu, gdy nagle do niej dotarło, że teraz już nie ma i nie będzie bezpiecznych tematów. Ich życie się zmienia – i to na gorsze, nie na lepsze – trzeba więc uporać się z mnóstwem problemów. Teraz nie będą mogli kupować drogich rzeźb czy wyjeżdżać na weekendowy kurs dla koneserów wina, żeby przetrwać trudne chwile. Nie będzie ich na to stać. Zresztą czeka ich tyle trudności w codziennym życiu, że muszą się nauczyć stawiać im czoło, żeby nie zginąć.

I co teraz? – zastanawiała się. Coś ważnego, żeby odwrócić jego uwagę od niebezpiecznego tematu dzieci?

Zaatakowała z grubej rury.

– Myślałeś już, gdzie będziemy mieszkać? – zapytała. Max wziął się w garść i skupił na pytaniu.

– Jeśli nie skoczysz mi do gardła, że nie pytałem cię o zdanie... Tess zabawnie się skrzywiła i Max prawie, ale tylko prawie się uśmiechnął.

– Sprawdziłem, ile mamy pieniędzy, dzwoniłem w kilka miejsc, szperałem w Internecie i wygląda na to, że jeśli nie chcemy wyprowadzać się zbyt daleko stąd, będzie nas stać tylko na mieszkanie.

Już otwierała usta, żeby protestować, ale powstrzymała ją ruchem ręki.

– Nie w bloku, tylko w domu przerobionym na mieszkanie. Uspokoila się.

– Brzmi nieźle. Gdzie?

Max mówił dalej:

– Musimy też brać pod uwagę szkoły.

Tess zrobiło się słabo na myśl, że zabiorą Larę z prywatnej szkoły, którą tak lubiła i w której uczyli się jej przyjaciele – dzieci Fiony i Millie.

– Sprawdziłem, które państwowe szkoły są najlepsze i... oczywiście, brałem pod uwagę okolicę... Właściwie nie mamy dużego wyboru...

– Gdzie? – warknęła.

Max mruknął coś niewyraźnie.

– Słucham? Nie dosłyszałam. – Tess nie ukrywała irytacji. W tej chwili drażniło ją wszystko, co mówił i robił.

– Powiedziałem: Heaverbury.

Ściągnęła brwi.

– Heaverbury? To Heaverbury?

Max się wyprostował, gotów walczyć o swoje.

– Nie jest tak źle, jak ci się wydaje. W latach siedemdziesiątych dzielnica cieszyła się złą reputacją, ale potem mieszkańcy wykupili swoje domy, wyremontowali je...

Tess nie dała mu dokończyć.

– ...zamknęli większość melin narkomanów, wręczyli wymówienia stadom karaluchów i wywieźli wszystkie podpalone samochody...

Położył jej palec na ustach, demonstrując pokłady cierpliwości, o których istnieniu nie miała pojęcia.

– Skarbie, to nie film, to rzeczywistość. W Heaverbury nigdy nie było tak źle. Domy są całkiem duże.

– Bo budowano je z myślą o ciężarnych nastolatkach, które, jak się spodziewano, urodzą tuzin dzieciaków tuzinowi różnych facetów – burknęła.

Max przyglądał się jej z rozbawieniem.

– Mam taką teorię, że każdy, kto czuje się zagrożony, staje się zwolennikiem konserwatystów.

Tess na próżno usiłowała się roześmiać.

– No dobrze, może trochę przesadziłam – przyznała.

– Trochę? – zapytał kpiąco. Jęknęła.

– Dobra, dobra, poddaję się. Ale nie przekonasz mnie, że ktoś chciałby z własnej woli zamieszkać w Heaverbury.

Podrapał się w głowę i szukał odpowiednich słów.

– Widzisz, Tess, my też nie mamy wyboru. Przysięgam, przemyślałem każdą możliwość. Jeśli nie chcesz się wyprowadzić z Londynu, pozostaje nam Heaverbury.

Westchnęła.

– Wiesz, jak je nazywają?

– Nie. Słucham.

– Ubawi cię to – powiedziała bez cienia rozbawienia w głosie. – Wiesz, że naszą dzielnicę nazywają Doliną Pampersów?

– Pewnie – burknął.

Ona też go irytowała.

– No więc wśród mieszkańców Doliny Pampersów o Heaverbury mówi się Dolina Blokiersów. Wyprowadzamy się do Doliny Blokiersów. Wielkie dzięki.

Z tymi słowami wstała, poszła do ogrodu i rozplakała się nad sadzonkami glicynii, których kwiatów nigdy nie zobaczy.

3

Tess siedziała w małej ciasnej kuchni. – I co ty na to? – zapytał Max z nadzieją.

– W porządku.

Nie mogła powiedzieć nic innego. Było to jedyne mieszkanie w okolicy, na które mogli sobie pozwolić. I prezentowało się tak sobie, małe, ale w porządku – dwie sypialnie, salonik, kuchnia i mały zapuszczony ogródek.

– Co zrobimy z naszymi rzeczami? – zastanawiała się na głos. – Tutaj się nie zmieszczą. Będziemy musieli wszystko sprzedać? – Głos jej się załamał na myśl o ostateczności tej decyzji.

Max nabrał otuchy, gdy zaakceptowała mieszkanie.

– Możemy oddać rzeczy na przechowanie, to niezbyt drogie, już się dowiadywałem. Nie zapominaj, że nie wprowadzamy się tu na stałe. Nadal mamy nasz dom. Musimy tylko trochę zarobić, spłacić długi i możemy wrócić.

Wrócić, pomyślała. Muszę się skupić na patrzeniu w przyszłość. Przeprowadzka to najłatwiejsza część. Trudniejsze będzie zarabianie pieniędzy, chociaż Max mówi o tym ot tak, od niechcienia.

– Sprzedamy ze sklepu i kawiarenki, co się da – ciągnął. – I cały towar.

No tak, towar, powtórzyła w myślach. Ten, który schodził w tempie mniej więcej jednego słoika toskańskich oliwek na godzinę. Akurat dużo im to pomoże.

Nie wyczuwał jej sceptycyzmu.

– To wystarczy na czynsz na dwa miesiące i pierwszą ratę dla dłużników. Nie zależy im na naszym bankructwie, bo jeszcze jest szansa, że wszystko zwrócimy. Na razie wystarczy im, że w ogóle cokolwiek robimy w tym

kierunku. Za kilka tygodni, kiedy znajdziemy pracę, będziemy mogli przedstawić im plan spłat.

– Tak po prostu? Znajdziemy pracę za kilka tygodni? – zdziwiła się. – Czy ty w gazetach czytasz tylko sport i giełdę? Ludzie latami nie znajdują pracy.

– Wiem, ale my jesteśmy po studiach.

Tess syknęła w charakterystyczny sposób, zazwyczaj zarezerwowany dla Lary, gdy ta skrupulatnie wybierała każde źdźbło ziół, które wypatrzyła w jedzeniu. Zaczęło się po szkolnej wycieczce na farmę, gdzie żona rolnika z dumą pokazała dzieciom swój ogródek i grządki ziół. Opowiadała właśnie kwieście, jak to czysty deszczyk sprawia, że ziółka rosną zielone i soczyste, gdy zjawił się pies, zadarł nogę i nasikał prosto na rośliny, sprawiając zapewne, że stały się jeszcze bardziej zielone i soczyste. Dzieciaki chichotały i krzyczały, rozkosznie przerażone. Był to punkt kulminacyjny wycieczki. Lecz od tego czasu Lara – i jak się okazało, większość jej koleżanek i kolegów – żywiła niesłabnącą awersję do wszelkiej zieleniny na talerzu. Tess myślała, że do takiej wściekłości może ją doprowadzić tylko upór dziesięciolatki, ale okazało się, że Max działa na nią podobnie.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że jako ludzie po studiach nie nadajemy się do niczego? Spójrz na nas. Przez piętnaście lat pracowałeś w agencji reklamowej, potem przez trzy prowadziłeś sklep. Z jednego cię zwolnili, drugie zbankrutowało.

Max się skrzywił i Tess zrobiło się go żal, wiedziała jednak, że teraz najważniejsze to nie pozwolić mu bujać w obłokach. Odkąd wziął na siebie odpowiedzialność za ich obecne położenie, bardzo się zmienił. Stracił całą dawną ostrożność, brnął do przodu, nie zważając na konsekwencje. Tess nie wiedziała nawet, czy w ogóle czymś się martwił. I to ją niepokoiło.

Złagodniała.

– Chcę tylko powiedzieć, że może minąć dużo czasu, zanim znowu znajdziesz pracę w reklamie, może nawet kilka miesięcy. Słyszałam dzisiaj rano, jak dzwoniłeś do starych znajomych. Nie brzmiało to, jakby cię błagali na kolanach, żebyś wrócił.

– Rozpuszczam wici, to wszystko. – Max nie dawał za wygraną.

Westchnęła.

– Wiem, wiem, ale nawet jeśli coś z tego wyjdzie, to nie od razu. Moim zdaniem musimy poszukać czegoś od zaraz.

Spowaźniał.

– A ty? Nie pracowałaś, odkąd Lara się urodziła, tylko pomagałaś w sklepie. – Chciał odpowiedzieć ciosem za cios i nie obchodziło go, że jego słowa ociekają jadem.

Tess miała tego dosyć.

– Właśnie o to mi chodzi! Nieważne, że skończyliśmy studia, że w przeszłości zarabialiśmy krocie. Teraz nie mamy grosza i musimy zrezygnować z wygórowanych ambicji.

Max się nachmurzył.

– Świetnie, to może od razu pójdę na rozmowę kwalifikacyjną na zamiatacza ulic.

Tess parsknęła śmiechem.

– Aż tak źle z nami nie jest – zapewniła i na wszelki wypadek zacisnęła kciuki. Pocałowała go w czubek głowy.

Max się uśmiechnął.

– No więc jak? – zapytał. – Co będziesz robić?

Tess już się nad tym zastanawiała.

– Nie mogę pracować na pełny etat, bo powinnam być w domu, kiedy Lara wraca ze szkoły, zresztą, co z wakacjami? Moja cała pensja poszłaby na opiekunkę. No i wiadomo, jak pracodawcy odnoszą się do kobiet, które w kółko chodzą na zwolnienia z powodu choroby dziecka.

– No dobrze, rozumiem! Wszystko w moich rękach.

– Nie to chciałam powiedzieć – sprzeciwiła się, ale właśnie o to jej chodziło.

– Więc co nam zostaje? – Max znowu się zasepił.

Tess zmierzwiła mu włosy, tak samo jak na początku ich związku. Max nie znosił ich niesfornej natury, ona je kochała.

– Coś wymyślę. Jak zawsze. Wyzwania to moja specjalność. Daj mi pudełko po butach, sznurek, watę i rurkę, a zrobię ci maszynę do dializy. Coś wymyślę, znasz mnie.

Wymienili znaczące spojrzenia, które mówiły: znamy się, jesteśmy tacy sami, chcemy tego samego, mamy wspólną przeszłość, rozumiemy się bez słów.

Nagle pojawiła się isierka nadziei. Chwilowy optymizm dodał Tess odwagi, by poruszyć delikatny temat.

– Musiałam powiedzieć mamie, że się przeprowadzamy. Max zeszywniał.

– Co dokładnie jej powiedziałaś?

– Nie mogłam kłamać. – Tess zaczęła się bronić. – Powiedziałam, że mamy kłopoty w interesach i przeprowadzamy się, żeby spłacić długi.

– Świetnie – syknął, żeby Lara go nie słyszała. – Więc teraz wszystkie jej podejrzenia się potwierdziły i może spokojnie rozgłaszać całemu światu, że jestem nieudacznikiem, za którego zawsze mnie uważała.

– Nie wygłupiaj się – sprzeciwiła się Tess słabo. – Martwi się o nas...

– O ciebie i Larę – poprawił Max.

– O nas wszystkich. I chciałyby pomóc. – No, powiedziała to. Wstrzymała oddech, czekała, aż Max wybuchnie.

I wybuchł.

– Nie! Absolutnie nie! W żadnym wypadku. Nawet gdybyśmy umierali z głodu i nie mieli dachu nad głową, nie przyjmę ani grosza od twojej matki.

Tess już otwierała usta, żeby zaprotestować, ale jeszcze nie skończył.

– Zanim spytasz, nie przyjmę też datków od moich rodziców. To mój problem, moja rodzina, i ja nas z tego wyciągnę.

Zacisnęła pięści, zdenerwowana oślim uporem męża.

– Mamo, tu jest super! – Lara wbiegła do kuchni i pociągnęła rodziców za sobą na dwór. Nie poszła do szkoły, żeby zobaczyć z nimi nowy dom i rozejrzeć się po okolicznych podstawówkach. – Patrzcie! – krzyczała zachwycona.

Tess i Max rozglądali się po miniaturowym ogródku w poszukiwaniu czegoś super. Lara podbiegła do muru porośniętego bluszczem, jeżynami i Bóg jeden wie czym jeszcze, w każdym razie czymś zielonym i kłującym. Wślizgnęła się za roślinną kurtynę i znikła. Po chwili wyskoczyła rozpromieniona.

– Kryjówka! Zawsze chciałam mieć kryjówkę!

Objęła ich serdecznie. Rodzice odwzajemnili uścisk. Chwila bliskości pozwoliła im się uspokoić.

Kiedy Lara wybrała sobie pokój (ten z widokiem na stadion psich wyścigów – to się nazywa miejski szyk, jak później zauważy Fiona), Max zaproponował przechadzkę po ich nowej dzielnicy.

– Świetny pomysł. – Tess jeszcze raz spojrzała na nowy dom i złowieszczą liczbę zamków oraz zasuw w drzwiach, a potem wraz z rodziną wyruszyła na podbój ich nowego świata.

Upewniła się, że ma w torebce lakier do włosów – to wersja maczugi dla kobiet z klasy średniej, tłumaczyła Fiona. Najpierw psikaj, potem myśl.

Max upewnił się, że ma w kieszeni gwizdek – to wersja pistoletu dla faceta z klasy średniej, tłumaczył Graham. Gwiżdż ile sił i uciekaj!

Obojgu było głupio, ale czuli się zarazem dzielni i odważni, gdy przekraczali próg. Chcieliby wrócić do domu, do starego domu i udać, że wszystko jest w porządku.

Fiona siedziała u Millie w kuchni i bawiła się ciastem. Obserwowała, jak przyjaciółka powoli się porusza i stara się nie ulec porannym mdłościom.

Minęło pięć lat, odkąd ostatnio były w ciąży i Fiona z przerażeniem obserwowała brutalny wpływ tego stanu na przyjaciółkę. Millie była zmęczona i wyglądała, szczerze mówiąc, staro. Proste włosy zwisały smętnie wokół bladej, umęczonej twarzy, a grube, brzydkie okulary dopełniały wizerunku zahukanej kury domowej z lat trzydziestych.

– Dlaczego nie włożyłaś szkieł kontaktowych? – zapytała.

– Bo teraz wymiotuję przez cały dzień i oczy mnie bołą –padła odpowiedź.

Fiona już miała na końcu języka, że to wcale nie usprawiedliwia brudnych włosów i nieświeżych ubrań. Ale to Tess potrafiła mówić takie rzeczy. Gdyby sama to zrobiła, wyszłaby na straszną sukę.

– Głupio mi, że siedzimy tu bez Tess – powiedziała w końcu. –I wiem, że to idiotyczne, ale nic nie mogę na to poradzić.

Millie wyjęła z pieca blachę ciasteczek i wstawiła następne. – Czuję się tak samo. To znaczy, póki piekę dla kafejki, mam wrażenie, że nadal jest... jedną z nas, ale to się skończy, kiedy się wyprowadzą...

Fiona zaplotła ręce na piersi.

– Nic mnie to nie obchodzi. Nie pozwolę, żeby się od nas oddaliła. Jest mi potrzebna. Zmieniają się okoliczności, ale nie my. Nie możemy.

Millie myślała to samo.

Rozmowa się nie kleiła. Choć często spotykały się we dwie, robiąc coś, czego trzecia nie lubiła, tym razem było inaczej. Miały gorzki przedsmak tego, jak już wkrótce może wyglądać ich życie. Tylko one dwie.

Stanowiły trójkąt, tak miało być. Każda знаła swoje miejsce w tym układzie. Odpowiadała im taka definicja. Czerpały siłę jedna od drugiej. Kiedy jednej zabraknie, wszystko się zawali.

Odejście Tess polegało nie tylko na przeprowadzce – w końcu Heaverbury nie jest aż tak daleko – ale na porzuceniu wspólnego stylu życia. Nie będzie jej stać na rozrywki, którym zawsze oddawały się wspólnie. A jeśli dokładnie się nad tym zastanowić i odrzucić wszystko, za co trzeba płacić, niewiele im zostaje. Ta świadomość sprawiła, że poczuły się nieswojo. Czyżby były aż tak płytkie?

– Nadal będziemy się umawiać na kawę – zapewniała Fiona rozpaczliwie poprzedniego wieczoru, gdy Tess się rozplakała. Znaleźli lokatorów, którzy chcieli wynająć dom, i muszą się wyprowadzić za dwa tygodnie.

– W domach – dodała pospiesznie Millie, przerażona, że może Tess nie będzie nawet stać na kawę. I słusznie. Sytuacja finansowa Maksa i Tess była o wiele gorsza, niż sądzili ich przyjaciele.

Tess roześmiała się przez łzy.

– Jak to, wypuścicie się w podróż do Doliny Blokiersów?

Fiona udała, że się nad tym zastanawia.

– Cóż, najpierw oczywiście trzeba sobie kupić kaski...

– I kamizelki kuloodporne – zawtórowała Millie.

– I zapłacić lokalnemu rzeźmieszkowi, żeby pilnował naszych samochodów...

– Ale pomyśl, z drugiej strony będziemy mogły kupować narkotyki po cenach hurtowych...

– I podawać je na przyjęciach zamiast miętowego wafelka na zakończenie...

Tess podniosła rękę.

– To rzeczywistość, nie film – oznajmiła, przedrzeźniając Maksa. – Tak naprawdę nie jest tam aż tak źle.

– Żartujesz! – Fiona komicznie załamała rękę. – A ja się już cieszyłam, że się upodobnisz do tubylców. To byłoby super – jak mała rólka w *Pulp Fiction*.

Millie z dezaprobatą pokręciła głową.

– A ty nam wmawiasz, że tam wcale nie jest tak źle. I to ma być slogan reklamowy? Heaverbury – wcale nie jest tak źle?

Tess nie odpowiedziała. Dobrze też nie było, a przynajmniej nic na to nie wskazywało. Bo nawet to, co dobre, łączyło się z komplikacjami.

Tess i Max puścili swoje idiotyczne uzbrojenie – lakier i gwizdek – po kilku minutach, kiedy dotarło do nich, że to nie jest apokaliptyczna kraina, którą sobie wyobrażali. Odpnęli się i zaczęli oglądać okolicę jak rodzina. Jak zwykle trzeba było dziecka, żeby dostrzegło prawdziwe wartości pod powierzchownymi wadami.

– Spójrzcie! – zawołała Lara. – Plac zabaw! Super!

Tess zauważyła, że jest zaniedbany i łatwo na nim o wypadek, i od razu zrozumiała, iż stanowi to jego główną atrakcję w oczach Lary. Dziewczynka

dostawała wszystko, o czym tylko zamarzy dziecko w jej wieku, lecz trzęśli się nad nią do tego stopnia, że niebezpieczeństwo było jej niespełnionym pragnieniem – darmowym, lecz zakazanym.

Tess odsunęła niepokój na bok. Dobrze, że szpital jest pięć minut stąd, upomniała się. Zapamiętała, żeby kilka razy na próbę przejechać tę trasę, zanim pozwoli Larze wstąpić na „pole minowe”.

– Widziałaś jakieś igły? – zapytał Max szeptem, gdy Lara odbiegła. Odkąd Tess pozornie pogodziła się z sytuacją, odpuścił sobie entuzjastyczny ton sprzedawcy.

Wyczerpany chciał, żeby Tess wzięła stery w swoje ręce, żeby to ona wszystkim kierowała, żeby dodawała im otuchy i humoru. A najbardziej pragnął usiąść sobie spokojnie w kącie, martwić się do woli i czekać, aż żona poda mu lampkę czerwonego wina i znajdzie rozwiązanie wszystkich problemów.

– Nie wygłupiaj się! – syknęła. Nie, nie było igieł. Przyglądała się uważnie, gdy mijali plac zabaw, ale nie przyzna się, że podzielała jego obawy.

Nie wiedziała dlaczego, ale uznała, że w każdej sytuacji jedno z nich musi myśleć pozytywnie. Miała tylko nadzieję, że ta rola nie zawsze przypadnie jej. Już i tak była zmęczona.

– Popatrz, mamó! – Lara odkryła kolejny skarb.

– Wygląda jak wielka publiczna toaleta – zauważył Max pod nosem. Tess zdzieliła go w ramię lakierem do włosów, który przezornie wzięła w garść, gdy mijała ich grupa nastolatków. Nie napadli ich, nawet nie zwrócili na nich uwagi. Uśmiechnęli się do Lary i poszli dalej.

– To dom kultury! – Lara przeczytała napis przy drzwiach. –Super, jeszcze nigdy nie mieszkaliśmy koło domu kultury.

To prawda, pomyślała Tess. W Clapham mieliśmy ośrodki medycyny alternatywnej, ekologiczne kawiarnie i przestronne kuchnie w domach przyjaciół. I to nam wystarczało.

– Zobaczcie, co tu robią! – Dziewczynka nie posiadała się z radości.

Lista oferowanych zajęć była rzeczywiście imponująca: nauka pieczenia, drużyna skautowska, aerobik, szkolenia psów, karate, salsa...

– Jakoś nie widzę obrabiania samochodów dla początkujących – mruknął Max.

Tess znowu go szturchnęła.

Lara bez wahania pchnęła ciężkie drzwi i wbiegła do środka. Tess i Max pospieszyli za nią, oboje przerażeni myślą, że stanie twarzą w twarz z absolwentami kursu podpalaczy samochodów.

Hol był przestronny i czysty. Z ich córką rozmawiała kobieta mniej więcej w wieku Tess. Miała ciekawą twarz, o ciemnych brązowych oczach i wąskich ustach. Nie było na niej ani śladu makijażu. Naturalny styl podkreślały proste jasne włosy spływające na ramiona. Była wysoka i kanciasta, co uwydatniały spodnie od dresu i bluza, która wyglądała, jakby należała do boksera wagi ciężkiej. Tak totalne lekceważenie własnego wyglądu przemówiło do jakiejś cząstki Tess, o której istnieniu już całkiem zapomniała. Do tego stopnia pochłonęło ją „wyglądanie”, ubieranie się, ba, zachowywanie się w określonym stylu, że straciła kontakt z beztroską dziewczyną, którą kiedyś była, a dla której ważniejsze od właściwego zestawienia ubrań było spełnianie swoich marzeń.

Wobec tej imponującej kobiety poczuła się malutka. Fiona i Millie były, jak ona, dosyć niskie, więc przywykła myśleć, że wszystkie kobiety są drobne. Pokręciła głową, chcąc wyrzucić z niej to i inne fałszywe przekonania, które zaszczerpiła w niej Dolina Pampersów.

Nieznajoma odwróciła się i wyciągnęła rękę.

– Cześć! Wasza urocza córeczka zdradziła mi, że jesteście tu nowi. Witajcie. Heather Riggs.

– Tess Keane. A to Max, mój mąż. Naszą Larę już znasz. Podali sobie ręce i Tess od razu poczuła się swobodnie w towarzystwie nowej znajomej.

– Nie mam teraz czasu na pogawędkę – tłumaczyła się Heather. – Trwa zebranie rady gminy. Chcemy wywalczyć więcej pieniędzy dla ośrodka. Ale może umówimy się na kawę?

Tess była tak zdumiona, że nie zdołała wymyślić wiarygodnej wymówki. Myślała o tym, żeby powiedzieć: „Przykro mi, ale nie znam cię, a w moim życiu panuje teraz taki chaos, że dobrze się czuję tylko w towarzystwie starych przyjaciół”. Nie zrobiła tego jednak.

– No... cóż, to bardzo miło z twojej strony.

– Świetnie. – Heather wyraźnie się ucieszyła. – Może w piątek, koło jedenastej? Wpadnij tutaj.

Tess sama nie wiedziała, kiedy się zgodziła, chociaż początkowo nie miała zamiaru tu przyjeżdżać, póki się nie przeprowadzą. Nie chciała spędzać tu ani chwili dłużej niż to konieczne, a jednak nie mogła się doczekać ponownego spotkania z tą kobietą.

Przypomniła sobie pierwsze spotkanie z Fioną i cudowny dreszcz, który zdradził, że zaczyna się wspaniała przyjaźń.

Dzieciom wydaje się, że tylko one doświadczają tego uczucia, iż zanika ono, kiedy się dorasta. Że w przyjaźniach dorosłych nie ma tego dreszczyku emocji. Tess jednak miała już trzydzieści dziewięć lat, a nadal nie mogła się nadziwić, jak wielki wpływ przyjaciele mają na nasze życie.

I nagle, zupełnie nieoczekiwanie, ogarnęły ją irracjonalne wyrzuty sumienia, że zdradza Fionę i Millie, myśląc o przyjaźni z tą kobietą.

Za dużo tego naraz, żeby o tym myśleć. Później będzie się zamartwiać, choć nie wiadomo, z kim się podzieli refleksjami. Max uzna, że to bzdura, Fionie i Millie nic nie powie z obawy, że pomyślą coś wręcz przeciwnego i obrażą się, iż tak szybko o nich zapomniała. Wyobraźnia natychmiast podsunęła jej wizję podwójnego życia, z dwoma grupami przyjaciół, których trzeba za wszelką cenę utrzymać z dala od siebie, bo nigdy się nie dogadają.

Wzdrygnęła się na samą myśl. Przyjaźń ma ułatwiać życie, a nie je komplikować. A jej życie jest już wystarczająco poplątane.

Heather wyprowadziła ich na zewnątrz, zamknęła podwójne drzwi.

– No dobra, do zobaczenia w piątek. Miło było was poznać! – zawołała i odeszła.

Po kilku krokach zatrzymała się i zawróciła.

– Wiem, że to zabrzmie wariacko, ale byłabym na siebie wściekła, gdybym cię nie zapytała, a później okazałoby się, że mogłaś nam pomóc.

– Wal. – Tess nie ukrywała rozbawienia.

– Widzisz, mamy tu zajęcia jogi, ale nasza instruktorka niespodziewanie rzuciła pracę w zeszłym tygodniu. Nie – uprzedziła niezadane pytanie Maksa.

– Jeśli chcesz wiedzieć, nie padła ofiarą ulicznej strzelaniny ani nie porwali jej narkomani.

Max zaczerwienił się po czubki uszu. Wystarczająco denerwujące jest mieć żonę, która czyta ci w myślach – nie życzył sobie, by robiła to obca kobieta.

Tess zaniósła się kaszlem, żeby zamaskować zdradziecki chichot. Heather mówiła dalej.

– Okazało się, że jest w ciąży, i tyle. W każdym razie szukamy nowej instruktorki. Od kilku dni wisi ogłoszenie, ale nikt się nie zgłosił. Więc pytamy

wszystkich z nadzieją, że może ktoś zna kogoś odpowiedniego. Płaca nie jest zawrotna, ale regularna i prosto do ręki.

– Ja mogłabym poprowadzić te zajęcia – powiedziała Tess.

Odwróciła się, żeby zobaczyć, kto się odezwał. O rany, to ja, uświadomiła sobie. Max przyglądał się jej z niedowierzaniem.

– Mogłabyś? – powtórzył ostrożnie. – Może jeszcze to przemyśl? Nie chciałbym, żebyś się... przemęczała.

– Oczywiście, że mogłabym. – Patrzyła na Heather, żeby uniknąć wzroku Maksa. – Właśnie rozmawialiśmy, że chciałabym pracować w niepełnym wymiarze godzin.

Ale robić coś, co potrafisz, dokończył Max w myślach.

– Cudowny zbieg okoliczności! – Heather się rozpromieniła. – Miałam przeczucie, że warto cię o to zapytać.

Tess uśmiechnęła się blado.

– Cudowny – zgodziła się.

– Omówimy wszystko w piątek. Na razie! – I już jej nie było.

– Mamo, co to jest joga? – zapytała Lara niewinnie. Max kręcił głową jak piesek za szybą samochodu.

– Czyś ty zupełnie oszalała? Nigdy nawet nie chodziłaś na jogę, a co dopiero mówić o tym, żebyś jej uczyła.

Tess nie dawała za wygraną.

– Chodziłam na inne zajęcia. Joga to taki wolny aerobik. Jutro kupię sobie książkę i kasetę wideo. Jestem sprawna, inteligentna, szybko się uczę. To praca, a ja szukam pracy. Czy to aż takie skomplikowane?

Max nie odpowiedział. Bał się, ale zaczął się tym martwić w wolnej chwili.

Po południu Tess spotkała się z Millie i Fioną. Opowiedziała o nowej dzielnicy, nie wspomniała tylko o spotkaniu z Heather i tej sprawie z jogą. Żałowała teraz, że pod wpływem impulsu zgodziła się przyjąć posadę, i nie miała ochoty ujawniać, jak się wygłupiła.

Świetnie, teraz mam już tajemnice przed najlepszymi przyjaciółkami, myślała ponuro. I to akurat teraz, kiedy mi pomagały, a nie unikały mnie z obawy, że bankructwo jest zaraźliwe, choć inni postąpili właśnie w ten sposób.

– Nie ma tam lombardów? I podejrzanych spelunek, w których gangsterzy dobijają interesu i zapewniają się nawzajem, że bardzo kochają swoje mamusie? – Fionę rozczarował opis Tess. Gdzie opowieści o lokalnym kolorycie, które miały zastąpić im inną rozrywkę, czyli wspólne wypadki do kina?

Tess bezradnie rozłożyła ręce.

– Kupiłam lokalną gazetę i przejrzałam reklamy, ale żadnej spelunki nie widziałam.

– W takim razie może ją otworzysz – podsunęła Fiona. Tess udała, że się zastanawia.

– Hm, coś jakby salonik literacki, tylko że zamiast pisarzy i poetów zapraszałabym lokalnych złodziejasków i paserów...

– Czym dokładnie zajmuje się paser? – zainteresowała się Millie, która od wieści o przeprowadzce Tess przejawiała niezdrową fascynację londyńskim światkiem przestępczym.

– Nie mam pojęcia – mruknęła Fiona. – Ale jeśli Tess otwiera spelunkę, przynajmniej jeden paser musi być.

Tess szybko zapomniała o Heather i chwilowym przyływie optymizmu. To jej prawdziwe przyjaciółki. Wystarczą jej. Błyskawicznie odnalazły wspólny język; każda знаła swoje miejsce w trójce, dobrze się czuła w

swojej roli. Znowu przestraszyła się przeprowadzki. Chciała, żeby wszystko zostało tak, jak jest.

– Co się nosi w spelunkach? – zastanawiała się Millie.

– Chyba wszystko, oprócz Gapa – orzekła Fiona.

I tak paplały, zbyt przerażone, by poważnie porozmawiać o przyszłości. Lecz ciągle podtrzymywanie dobrego humoru wykończyło je. Wieczorem Fiona zadzwoniła do Millie i umówiły się na rano.

– Jak myślisz, jak ona sobie z tym radzi? – zapytała Fiona.

Millie wzruszyła ramionami.

– Chyba jeszcze do niej w pełni nie dotarło, co się stało. Robi co w jej mocy, by traktować to wszystko jak wielką przygodę, głównie ze względu na Larę, ale też dla samej siebie i dla Maksa. Nie wiem jak ty, ale ja nie widzę w tym nic pozytywnego.

Fiona przyznała jej rację. Siedziały w ponurym milczeniu, złe, że po latach swobody w ciągu jednej nocy pojawiło się między nimi skrepowanie.

– Dobra, zostawmy to. Kiedy przyjeżdża twoja matka? – zapytała złośliwie Millie.

– Dzięki, że mi przypominałaś. – Fiona spochmurniała jeszcze bardziej. – Przyleci na miotle w przyszłym tygodniu. Ale najpierw trzeba przemeblować cały dom. Musi mieć sypialnię obok łazienki, więc Nathan przeprowadza się do gościnnego.

– A co dzieciaki na nowego domownika?

– Nie mogą się doczekać! Bez przerwy daje im pieniądze i słodycze. I pozwala jeść, co zechcą. Co więcej, gotuje każdemu z osobna!

– Biedactwo. – Millie ze współczuciem pokiwała głową. – Masz, weź ciasteczko.

– Nie pieczesz ich do kawiarni?

Millie się zadumała. Wzięła ciasteczko, upuściła je na podłogę, podniosła i podsunęła Fionie.

– Proszę bardzo. Do kawiarni się nie nadaje, bo leżało na ziemi. Zresztą zamykają pod koniec tygodnia, a nigdy nie sprzedawali wszystkich moich wypieków.

Fiona ugryzła jeszcze ciepłe ciastko.

– Jesteś okropna. Wiesz, jak byśmy nawrzeszczały na dzieciaki, gdyby zjadły coś z podłogi?

Millie odłamała sobie kawałek ciastka.

– Właśnie dlatego jesteśmy rodzicami, Fi. Żebyśmy mogły wyżywać się na naszych dzieciach, jak nasi rodzice na nas.

– Słuszna obserwacja. – Fiona zaśmiała się z pełnymi ustami. Poczula się lepiej. Pomogło ciastko i towarzystwo Millie.

Miała jednak przykre wrażenie, że to nie wystarczy, by poprawić jej humor, gdy zjawi się matka. Przyszłość jawiła się w jej oczach jak dożywotnie więzienie z matką w roli strażnika. Zdawała sobie sprawę, że to bardzo melodramatyczne, ale też dobrze znała swoją matkę.

Liczyła, że Tess udzieli jej wsparcia. Millie niosła pociechę, świetnie się dostosowała do humoru towarzystwa, lecz Tess była ostoją. Fiona nauczyła się polegać na jej spokoju. Bardzo szybko zrozumiała, że w Tess zakończył się proces, który w większości kobiet dopiero się zaczynał. Zdecydowała, jaka jej część jest dostępna dla innych, a ile zostaje dla niej. Fionie to imponowało. Chciała być taka jak Tess, a teraz, wobec przyjazdu matki, potrzebowała korepetycji z samoobrony.

Musi uwierzyć, że ich przyjaźń przetrwa wszystkie burze.

– Ja tego nie wytrzymam – sapnął Graham ponuro. Fiona masowała mu bolące plecy. Wcześniej, na polecenie żony, posłusznie przesuwiał ciężkie

meble. Nie był zbyt silny i nadwreżył mięśnie, bezużyteczne podczas dni spędzanych za biurkiem.

Fiona kochała miękkość jego ciała. Sama nie pozwalała sobie na to, ćwiczyła zapamiętanie, odkąd przestała karmić piersią. Co prawda nigdy nie udało jej się poskromić brzucha, który po mistrzowsku maskowała, ale przysięgła sobie, że reszta jej ciała będzie twarda i jędrna. Był to jedyny substytut zbroi, jaki udało jej się znaleźć, na dodatek łatwiejszy do utrzymania niż bariery emocjonalne.

Graham nie wstydził się ani lekko obwisłego ciała, ani coraz większej łysinki, której wcale nie ukrywał, i Fiona kochała go również za to. Prawda była taka, że mąż bardziej interesował się nią niż samym sobą. Uściskała go serdecznie.

– Nie gadaj bzdur – mruknęła, choć doskonale wiedziała, że wcale tego nie robi.

Przesuwanie mebli to najłatwiejsza sprawa. Zmiany w ich egzystencji będą o wiele gorsze. Nagłe przybycie wiekowego rodzica odbiłoby się na życiu każdej rodziny. A przeprowadzka Daphne Guinn, której jedynym hobby jest dręczenie krewnych, do domu, gdzie już mieszka jej znenawidzony zięć, zapowiadała katastrofę.

Fiona i Graham niejedną noc zmarnowali na kłótnie o Daphne.

– Dlaczego nie spalimy jej na stosie, jak na wiedźmę przystało? – zapytał kiedyś Graham rozsądnie.

Właściwie nie zapytał, ale często o tym myślał i czerpał otuchę z wizji teściowej w płomieniach. Dzięki temu nie tracił rozumu i mógł rozmawiać na ten drażliwy temat w sposób cywilizowany.

– Dlaczego z nami? – zapytał. – Twój brat ma większy dom.

Fiona westchnęła i odpowiedziała tonem, którego używała,

tłumacząc synom, że jedzenie kanapki z ręką w spodniach nie jest społecznie akceptowane.

– Mówiłam ci, uważa, że pomoże nam przy dzieciach. Inne wnuki są już dorosłe. Jeśli ma zamieszkać z którymś z nas, chce się do czegoś przydać.

Graham pozwolił sobie na godzinę spekulacji, do czego mogłaby się przydać teściowa. Nie podzielił się z żoną tymi refleksjami, ale się odprężył.

Później tego wieczoru zauważył, że Fiona jest niespodziewanie cicha. Zdarzało się to tak rzadko, iż natychmiast się zaniepokoił.

– Nie zwracaj na mnie uwagi – odparła, na próżno siląc się na beztroskę.
– Chodzi o mamę.

Chodzi o mamę. Trzy słowa, a Fiona zazwyczaj użyłaby około tysiąca. Graham był na siebie wściekły, że robił jej wyrzuty. Powinien się domyślić, że jest jej o wiele ciężiej.

Przyciągnął ją do siebie i przytulił. Odprężyła się po raz pierwszy od bardzo długiego czasu. Nie musiał nic mówić. Znała jego myśli.

Wiem, co twoja matka ci robi swoim lekceważeniem, tłumaczył bez słów. Widzę, jak faworyzuje twoich braci, wychwala nijakie dania ich żon, ich bezbarwne dzieci i nudne domy, a ciebie poniża przy każdej okazji. Nie, nie wpadasz w paranoję, naprawdę się krzywi na widok Millie i Tess. Tak, naprawdę bawią ją twoje wysiłki.

Właśnie dlatego go uwielbiam, myślała Fiona, bo mnie zna i kocha. I jest dobry.

– Przepraszam, że byłem nieznośny – szepnął. – Oczywiście, że może z nami zamieszkać.

Wiedział, dlaczego to dla Fiony takie ważne. Zawsze chciała zdobyć aprobatę matki; jako córka, matka i kobieta. Teraz miała okazję.

Graham zebrał całą silną wolę, która ukryła się w mysiej dziurze na myśl o przerażającej Daphne. Nieważne, ile mnie to będzie kosztowało, pomogę Fionie wyzwolić się z tego dziwnego uzależnienia od matki.

A jeśli nasz dom ma być polem bitwy, niech i tak będzie.

Max i Tess nie rozmawiali, choć trzymali się za ręce, by Lara miała wrażenie, że wszystko jest w porządku. Rok wcześniej rozwiedli się rodzice jej koleżanki z klasy i bardzo to przeżyła. Miała koszmary, obsesyjnie się bała, że i jej rodzice mogliby się rozstać.

Wystarczyło, żeby Tess i Max pokłócili się o pilot od telewizora, a Lara zalewała się łzami i panikowała, że będzie musiała wybierać, z kim zamieszka. Nie dawała się uspokoić i zdesperowani rodzice postanowili zawsze, w każdej sytuacji udawać idealną rodzinę.

Tess przerwała milczenie. To było jej zadanie.

– Nie rozumiem, czemu tak się tym przejmujesz. To w końcu moja sprawa.

– Po prostu zaskoczyła mnie łatwość, z jaką skłamałaś. To niepodobne do ciebie. Jesteśmy razem od dawna, wydawało mi się, że cię znam. A teraz się zastanawiam, do czego jeszcze jesteś zdolna.

– Na rany boskie, Max, to tylko zajęcia jogi w domu kultury! Nie udaję, że znam się na chirurgii naczyniowej!

Skrzywił się, słysząc jej sarkazm.

– To coś więcej i dobrze o tym wiesz. Też umieram ze strachu na myśl o zaczynaniu wszystkiego od nowa. Muszę mieć w czymś oparcie, czymś starym. A na razie jedyna stała rzecz to my, nasz związek. Aż tu nagle objawiasz się jako kłamczucha i instruktorka jogi!

Teraz to Tess się najeżyła. Miała ochotę zabrać rękę, ale uczucia Lary zawsze stały na pierwszym miejscu.

– A może po prostu jesteś zły, że pierwsza znalazłam pracę.

Lara się zatrzymała i spojrzała na nich. Uśmiechnęli się szeroko i szaleńczo, przez co wyglądali jak wściekłe bullteriery. Lara poszła dalej, nie wiadomo dlaczego uspokojona.

Tess i Max z ulgą pozbyli się idiotycznych uśmiechów. Szli w milczeniu główną ulicą handlową, póki nie zatrzymali się przed kolejnym urzędowo wyglądającym budynkiem.

– Super – zauważył Max ironicznie. – Może tutaj też się zatrudnisz. Jako fizyk jądrowy? Albo instruktorka tańców latynoamerykańskich? Co powiesz na taką ścieżkę kariery?

Tess wbiła sobie paznokcie w dłonie, ale zaraz sobie przypomniała, że ogryzła je doszczętnie kilka dni temu. Cofam się, pomyślała. Akurat teraz, kiedy powinnam iść do przodu, wracają stare nawyki. Jeśli nie wezmę się w garść, wyskubię sobie brwi, jak w młodości, ilekroć pojawiły się problemy.

– Co to jest? – zapytała głośno.

– Biblioteka – oznajmiła Lara. Denerwująco małym paluszkim jeździła po napisie na tabliczce. – Tu jest napisane BIBLIOTEKA HEAVERBURY.

Maksa i Tess chwilowo połączyła nienawiść do przemądrzałego bachora. Skrzywili się, przełknęli inwektywy, którymi chcieli ją obrzucić, i skupili się na nowym kulturalnym klejnocie, który się znalazł na ich drodze.

– Popatrz, jest tablica ogłoszeń! – zawołał Max. – Sprawdźmy, czy nie ma nic dla ciebie! – Zaśmiał się, ale uśmiech graniczył niebezpiecznie ze złośliwym grymasem.

Dla zabicia czasu przebiegli wzrokiem ogłoszenia. Lara tymczasem wspinała się na rzeźbę przedstawiającą...

– Tess, na co ona włązi?

Tess uważnie przyjrzała się metalowej bryle.

– Może się mylę, ale wydaje mi się, że to mężczyzna i kobieta. Nadzy.

Max zmrużył oczy i zobaczył to samo.

– Czy ty widzisz, na czym ona stoi?

Widziała, ale zamknęła oczy i szybko się odwróciła.

– Lepiej nie widzieć – mruknęła.

Max już nie słuchał. Przyglądał się ogłoszeniu. Tess czekała, aż znowu będzie jej dokuczał, on jednak studiował karteczkę wrogu.

– Na co się tak gapisz?

Pokazał żółtą kartkę. Przeczytała, pewna, że patrzy nie na to, co trzeba.

Poszukiwani taksówkarze. Sam ustalasz godziny pracy. Dobre zarobki.

Konieczny własny samochód.

Tess była zagubiona.

– Dlaczego to czytasz?

Max się ożywił.

– To idealne rozwiązanie.

Nie wiedziała, o co mu chodzi. Dźgnął ogłoszenie palcem.

– To! Pomyśl tylko! Mogę dalej szukać lepszej posady, ale na razie zarabiać, jeżdżąc taksówką. Sam ustalam sobie godziny pracy, a z tego można mieć trochę forsy.

– Teraz ty oszalałeś! – krzyknęła. – Nie jesteś taksówkarzem. Tacy goście mają na imię Mickey albo Terry, jeżdżą vauxhallem astrą i słuchają lokalnych stacji soulowych. – Starła się żartować, ale w rzeczywistości zaskoczyła ją impulsywna reakcja Maksa. Tak szybko zmieniał nastroje, że nie wiedziała już, z kim ma do czynienia.

Jednego była pewna – wołała starego Maksa. Przy tamtym mężu wiedziała, na czym stoi. Jeśli ma zamiar co godzina zmieniać osobowość, musi się dostosować. Chyba że od niego ucieknie.

Nie. Tego nie zrobi. Zerknął na nią chłodno.

– Skoro ty możesz zostać instruktorką jogi, ja mogę być kierowcą taksówki. Sama mówiłaś, że oboje musimy szybko poszukać pracy! I już ją mamy.

Tylko że nie o to mi chodziło, odparła w myślach. Ciekawe, ile jeszcze niespodzianek los ma dla nich w zanadrzu?

TTLR

Ojej, macie za sobą ciężkie chwile, co? Pani Bowers, dyrektorka szkoły, cmokała ze współczuciem, gdy czytała formularze, w których Max i Tess zdradzili wszystkie żenujące szczegóły i tłumaczyli, dlaczego Lara musi odejść z prywatnej szkoły.

Ponieważ był środek semestru i w szkole podstawowej w Heaverbury oficjalnie nie było wolnych miejsc, musieli posunąć się do dodatkowych kroków, żeby pani Bowers przyjęła Larę.

Max miał ochotę od razu wstać i wyjść, przekonany, że jeśli ktoś zwraca się do dorosłych takimi słowami, nie jest to odpowiedni człowiek do szykowania młodych pokoleń na trudy dzisiejszego świata.

Lara poszła na wycieczkę po szkole, potem czekała ją rozmowa z nauczycielką. Nie chodziło o poziom wiedzy, raczej o wybadanie, czy nadaje się do szkoły przykościelnej. Tess i Max kłócili się o to godzinami.

– To najlepsza państwowa szkoła w okolicy – tłumaczyła Tess. – Mają świetne wyniki i dbają o dyscyplinę. Czego chcesz więcej?

Max miał wątpliwości.

– Nie podoba mi się, że będzie chodziła do takiej szkoły, skoro nie chodzimy do kościoła.

– Myślisz, że wszyscy inni rodzice chodzą? – Tess była zła. – Nie, posyłają tam dzieciaki, bo to dobra szkoła. A jeśli w związku z tym raz na kilka miesięcy muszą iść do kościoła, trudno.

– Ależ my nie chodzimy do kościoła! – krzyknął Max. – A chyba wypadałoby chodzić, zanim przyjmą nasze dziecko do tej szkoły.

– Jakoś sobie z tym poradzimy. – Tess obstawała przy swoim.

– Nie ma mowy.

Max się zapał, ale Tess go przekonała kilka dni później.

– Heather opowiadała mi o świetnym wikarym. Dzwoniła już do niego i mówiła o nas. Powiedział, że jeśli się z nim spotkamy, wstawi się za nami u władz szkoły.

Max jęknął.

– O nie, tylko nie to. Wszystko tylko nie księża! Masz pojęcie, jak w dzisiejszych czasach wyglądają kościoły? Ksiądz ma na imię Limbo albo Baz, nosi czapczkę baseballową daszkiem do tyłu i sweter w paski...

. Tess parsknęła śmiechem.

– Widziałeś to w telewizji!

Max się zachmurzył, ostatnio ponura mina niemal nie znikwała z jego twarzy.

– Wiem, jak tam jest. W dzisiejszych czasach nie śpiewa się hymnów. Grają na perkusji, wszyscy klaszczą, podchodzą do ciebie i mówią: „Pokój nam wszystkim”, i różne takie.

– Doprawdy, powinni tego zabronić – syknęła Tess sucho. Max łypnął na nią spode łba.

– Uprzedzam, jeśli ktoś do mnie podejdzie z wyciągniętą ręką i padnie słowo „pokój”, nie ręcę za siebie.

Dlatego Tess, gdy zadzwoniła do świetnego księdza, zapytała najdelikatniej, jak umiała, czy będzie życzył im pokoju. Roześmiał się głośno i zaprzeczył. Ponieważ sprawa była pilna, obiecał natychmiast porozmawiać z władzami szkolnymi.

– Więc widzimy się w kościele w niedzielę, tak, Tess? – zapytał na zakończenie. – Ty, Lara i Max?

– Oczywiście – zapewniła, przekonana, że nawet boska interwencja nie przekona jej męża, by przekroczył próg kościoła.

– Mój mąż był identyczny – powiedziała Heather, gdy Tess napomknęła coś o oporach Maksa.

– I jak go przekonałaś? – Tess zawsze była otwarta na nowe techniki manipulacji mężem. Chyba wyczerpała już asortyment Fiony i Millie, a w nowym trudnym życiu przydadzą się skuteczne sztuczki. Zanim Heather odpowiedziała, zadzwonił telefon. Tess zaimponowało, jak spokojnie Heather poradziła sobie z trudnym pytaniem o zajęcia tai chi dla niesłyszących.

Kiedy odłożyła słuchawkę, podała Tess poobijany kubek wypełniony po brzegi zabójczą dla żołądka herbatą. Była tak ciemna, że jej spotkanie z mlekiem było chyba tylko teoretyczne. A jednak Tess przywykła do niej. Podobnie jak do Heather.

Nowa przyjaźń jest jak nowy związek. W początkowym stadium czujesz się nieswojo, gdy przedstawiasz starannie zredagowaną biografię i prezentujesz się w ciekawszym świetle, niż naprawdę na to zasługujesz. Potem, jeśli masz szczęście, przychodzi zachwyt, gdy dostrzegasz coś z siebie w drugiej osobie. To trochę jak zakochanie; świadomość, że twoje życie może potoczyć się inaczej, bo towarzyszy ci inny przewodnik, przyprawia o zawrót głowy.

Brakowało jej tylko okazji, by podzielić się tym uczuciem ze starymi przyjaciółkami. Tess nie powiedziała Fionie ani Millie o Heather, wyczuwała podświadomie, że chyba nie będą zachwycone, iż tak szybko znalazła sobie nową znajomą.

Dziwne, bardzo dziwne, dumiała i szukała w głowie definicji zdrady.

Pierwsza wspólna kawa – a dla Tess pierwszy kontakt z herbatą Heather – znacznie się różniła od leniwych poranków w Organique.

Zamiast wtulić się w wygodne, miękkie fotele, Heather i Tess biegały po całym domu kultury w poszukiwaniu dwóch w miarę czystych krzeseł. Nie było kawy *latte*, parzonej z mlekiem pochodzącym z ekologicznej farmy, z

ziaren zbieranych w Brazylii przez robotnika, który dostawał przyzwoite wynagrodzenie – Tess i Max wyobrażali sobie zwykle, że ma na imię Juan i śpiewa rewolucyjne pieśni swojej Juanicie. Piły herbatę zaparzoną z torebek pełnych szarego pyłu.

Brakowało też harmonijnego akompaniamentu śmiechu i rozmów, akcentowanego czasem krzykiem malucha. Heather i Tess przekrzykiwały się wzajemnie; otaczała je kakofonia dźwięków: na dworze huczał młot pneumatyczny, a z boiska sąsiedniej podstawówki dobiegał niewybredny język.

A one, zamiast o systemach nauczania początkowego, wadach i zaletach dwóch lokalnych szkół muzycznych i cenach nieruchomości w Prowansji, rozmawiały o problemach z pieniędzmi i mężami, którzy nie chcą chodzić do kościoła.

– Uznasz, że jestem okropna – zaczęła Tess ostrożnie.

Heather zbyła ją machnięciem ręki.

– Mało prawdopodobne. No, mów.

Tess się spieszyła.

– Widzisz, chodzi o to, że braku pieniędzy obawiam się najbardziej. Moi rodzice zawsze byli zamożni, nam też się dobrze powodziło. I chociaż wiem, że szczęścia nie można kupić, podobnie jak nie wykpisz się w ten sposób od kłopotów, przywykłam myśleć, że pieniądze to nie problem. A kiedy jest się bankrutem, to, no cóż, nie wiem, czy mnie na cokolwiek stać...

Heather mało nie zakrztusiła się herbatą, tak bardzo się śmiała.

– Chyba żartujesz! Bankruci? Wy? No, słucham. Czy w waszym jakoby mikroskopijnym mieszkanku będzie telewizor? Magnetowid? Odtwarzacz DVD? Zwykłe meble, nie takie, które trzeba samemu montować? Maszyna do chleba?

Tess twierdząco kiwała głową przy każdym pytaniu. Heather wyliczała dalej.

– Komputer?

– Oczywiście! – Tess podniosła głowę. – Ale to konieczność, żaden luksus. – Dostrzegła rozbawienie Heather i rozwinęła tę myśl. – Dawniej mieliśmy trzy.

Heather parsknęła śmiechem. Tess się uśmiechnęła, zawstydzona tym, co mówi.

– Na naszą obronę: trzy były nam potrzebne, a przynajmniej tak się nam wydawało. Lara miała jeden u siebie, drugi był nasz, do pracy, a trzeci stał w salonie, żeby korzystała z Internetu pod naszym nadzorem.

Heather uniosła brew.

– A teraz musicie sobie poradzić z jednym. I ty mówisz o bankructwie? – Ciepłe spojrzenie łagodziło ostre słowa.

– Mówiłam, że pomyślisz, iż jestem okropna! – krzyknęła Tess. – Słuchaj, nie jestem głupia. Wiem, że nie jesteśmy bardzo biedni, nie będziemy chodzić na darmowe zupy do Armii Zbawienia, ale...

– Ale przywykłaś, że wszystko jest takie proste, nigdy nie wiedziałaś, ile dokładnie masz pieniędzy na koncie, kupowałaś wszystko najlepszej jakości, przyzwyczyłaś się do tego, aż uwierzyłaś, że tego potrzebujesz – dokończyła za nią Heather.

– Nie jestem taka straszna. Nie uważam, żebym kiedykolwiek przepuszczała pieniądze. Ale masz rację, nigdy nie musiałam o nich myśleć. To zmartwienie, a od ślubu powtarzam mężowi, że nie ma sensu się martwić.

– Z czasem się przekonasz, że jedzenie sprzedają też w innych sklepach, nie tylko Marks and Spencer.

– Uznasz, że jestem płytką – zmartwiła się Tess. –I zaraz mi przypomnisz, że w Afryce głodują miliony. – Ukarła się sporym haustem czarnej herbaty. –I pomyśleć, że tyle razy wygłaszałam taką mowę do Lary, a teraz przekonuję się na własnej skórze, jak trudno spojrzeć na siebie z perspektywy.

Heather obserwowała z uśmiechem, jak Tess z trudem się powstrzymuje, żeby się nie wzdrygnąć, kiedy łykała herbatę.

– Nie jesteś płytką. W każdym razie nie bardziej niż my wszystkie. Znam to z autopsji.

Tess się zdziwiła.

– Ty?

Heather skinęła głową.

– Miałam własną firmę PR. Mieliśmy wszystko: duży dom, dzieci w prywatnych szkołach i, tylko nikomu ani słowa, aż cztery komputery.

Tess zdała sobie sprawę, że jej zdziwienie może zostać odebrane jako obraźliwe, więc szybko zmieniła minę na uprzejme zainteresowanie. Heather prychnęła, widząc jej nieudolne wysiłki.

– Nie martw się, wiem, co sobie myślisz, i nie obrażam się. Powiem ci, jak wyglądam w twoich oczach: nie ma hinduskiej sukienki, więc nie jest hipiską, która mieszka w slumsach z przyczyn ideologicznych; ma tanie ciuchy, czyli nie ma pieniędzy; nie pracuje, ale nie dlatego że nie potrzebuje gotówki, czyli nie ma kwalifikacji, żeby robić coś lukratywnego; w ośrodku kultury czuje się jak u siebie w domu, czyli przywykła do przebywania wśród ludzi, których nie stać na siłownię czy wyjście do teatru. Wniosek? Jest jak bohaterka telenoweli, biedna kobieta z klasy robotniczej, która walczy o przetrwanie w brutalnym świecie, bez perspektyw ucieczki i poprawy losu.

Rumieńce na twarzy Tess zdradzały, że właśnie tak oceniła Heather. Najgorsze, że zaszufładowała ją tak szybko i niesłusznie już przy pierwszym spotkaniu. Nie zwróciła uwagi na jej miły dla ucha głos i wyszukane, bogate słownictwo, dostrzegła tylko brzydkie ubrania i brak makijażu. I od razu umieściła ją w przegródce, którą zawczasu przygotowała dla mieszkańców Heaverbury. Zanim zdążyła jakoś przekonująco zaprzeczyć, Heather delikatnie dotknęła jej dłoni.

– Nie przejmuj się. Jak powiedziałam, wiem, co myślisz, bo sama przez to przeszłam.

– Co się stało? – Tess wstydziła się nagłej nadziei, że może historia Heather jest gorsza niż ich. Jeśli ta miła kobieta przetrwała tak dramatyczną odmianę losu, może i jej się uda.

Heather szybko umyła kubki, zgasiła światło i podeszła do drzwi. Tess pobiegła za nią.

Zamknęła drzwi ogromnym kluczem, zanim odpowiedziała na pytanie Tess.

– To samo co w waszym przypadku. Pożyczki, mój mąż stracił pracę, ja za długo siedziałam w domu, zabrali nam dom, mamy długi, których może nigdy nie spłacimy.

Jej uśmiech budził w Tess pokorę i niepokój zarazem. Woląла wrócić do bezpieczniejszych tematów.

– Mówiłaś, że też miałaś kłopoty, aby przekonać męża, żeby poszedł do kościoła – zaczęła. – Jak go namówiłaś?

Heather odwróciła się w jej stronę.

– Nie powiedziałam ci? – zdziwiła się. – Nie namówiłam go. Alan nie przyjmował do wiadomości, że wszystko się zmieniło i musimy zrezygnować z wielu rzeczy, że skończyło się wykręcanie się pieniędzmi od wszystkich

kłopotów. Jego zdaniem powinniśmy więcej pożyczyć i wynająć klitkę gdzieś w naszej starej dzielnicy. Oddałby wszystko, byle uniknąć zmian.

Tess rozumiała to doskonale, ale nic nie powiedziała. Heather opowiadała dalej.

– Nie chciał nawet słyszeć o państwowej szkole dla dzieci. Twierdził, że załatwimy pożyczkę i niech zostaną w prywatnej. I tak, ja szukałam szkoły i domu, a Alan studiował podejrzane ulotki z obietnicą pożyczki dla każdego!

Tess była w szoku.

– I jak go w końcu przekonałaś?

– Nie przekonałam. Nie chciał przejrzeć na oczy. Uparł się, żeby nas wpędzić w jeszcze większe długi, choć tego tak nie postrzegał. Alan zawsze był przekonany, że zaraz, za moment los się do niego uśmiechnie.

– No i... ? – Tess ponaglała. Nie pojmowała, jak im się udało zasypać przepaść między nimi.

– No i – dokończyła Heather – od niego odeszłam.

Tess złapała się na tym, że mocniej przytula Maksa, ilekroć pomyśli o małżeństwie Heather, które się rozpadło w podobnych okolicznościach. Do tej pory skupiała się na rozwiązywaniu bieżących problemów, uświadomiła sobie jednak, że zagraża im o wiele gorsze niebezpieczeństwo. Jeśli nie pogodzą się, zanim zaczną się nowy etap w ich wspólnym życiu, mogą nie mieć kolejnej szansy w nowej, surowej rzeczywistości.

Pierwszym wyzwaniem była rozmowa z dyrektorką szkoły. W niczym nie przypominało to pogawędki przed przyjęciem Lary do Leonard Hall, podczas której nauczyciele starali się przede wszystkim dowiedzieć, jaki będzie wkład rodziców do corocznej aukcji organizowanej przez szkołę.

Inni rodzice zdradzili im w sekrecie, że oryginalne albo drogie datki znacznie zwiększą szansę Lary na dostanie się do szkoły. Max wtedy zajmował

się kampanią reklamową dla linii lotniczych i od niechcienia napomknął, że może załatwić darmowe bilety.

Oczywiście Lara została przyjęta.

Obecna rozmowa, w skromnym, ale przytulnym gabinecie, była jak z innego świata, a Tess i Max nie znali obowiązującego języka.

Pani Bowers naprawdę się martwiła, jak Lara sobie poradzi z rodzinnymi kłopotami, i zaproponowała, żeby jej opiekunką została szczególnie wrażliwa nauczycielka. Wychwyci wszystkie problemy, zanim urosną do niewyobrażalnych rozmiarów.

– Macie tu aukcje? – zapytał Max złośliwie. Nie ulegnie ciepłym słowom, nie on, którego od miesiący wierzyciele mieszają z błotem.

Pani Bowers nie wiedziała, o co chodzi. Tess pospieszyła z wyjaśnieniami.

– Och, nie, nie urządzamy nic takiego, ale oczywiście organizujemy letni kiermasz i bardzo nas cieszy wszelka pomoc ze strony rodziców.

Max z satysfakcją zerknął na Tess. Pani Bowers jeszcze nie skończyła:

– Przede wszystkim chodzi o pomoc w obsłudze stoisk. Jeśli Lara do nas dołączy, będzie w piątej klasie, która prowadzi stoisko rzucania mokrymi gąbkami w dorosłych. Więc gdyby zechcieli poświęcić państwo czas i twarz, będziemy zachwyceni!

Tess odwzajemniła spojrzenie Maksa i w myślach zacierała ręce w oczekiwaniu na pierwszą gąbkę.

Millie ugryzła mały kawałek ciasteczka i wybiegła z kuchni. Z łazienki dochodziły zwierzęce odgłosy, póki nie wróciła, blada i nieszczęśliwa.

– Tak źle jak poprzednio? – zapytała Fiona. Nie zapomniała, jak Millie znosiła poprzednie ciężę.

– Gorzej, bo tym razem tego nie planowałam. Poprzednio mogłam się przygotować. Poza tym dzieci były mniejsze, mogłam zostawić je z opiekunką i iść do łóżka. Teraz to bardziej skomplikowane. Trzeba tyle zrobić, tu czytać, tam lekcje, tu wycieczka, no wiesz. I cały czas musisz mieć na nie oko, bo inaczej w ułamku sekundy wyrosną z nich młodociani przestępcy.

Fiona rozumiała aż za dobrze. Idąc do szkoły, nawet dobrej prywatnej szkoły, dzieci wymykały się spod kontroli rodziców. Już po kilku dniach przynosiły do domu słownictwo, którego na pewno nie nauczyły się w przedszkolu pani Śmieszki.

– Niedługo będzie lepiej – zapewniła. – Mdłości ustąpią i poczujesz się, jakbyś spotkała starego przyjaciela. W końcu już nieraz przez to przechodziłaś.

Millie łypnęła groźnie.

– Jeśli teraz powiesz, że po czwórce dzieci poród będzie jak wyłuskanie groszku ze strączka, zamorduję cię. – To miał być żart, ale żadna się nie roześmiała.

Fiona podniosła rękę.

– Nie śmiałabym.

Millie było przykro, że warknęła, ale nie przeprosiła, za bardzo była zajęta innymi problemami. Z tą ciążą wszystko było jakoś nie tak; wywołała chyba cały ciąg nieszczęść. Wiedziała, że Tess się wyprowadza z zupełnie innego powodu, a jednak miała poczucie winy.

Liczyła na wsparcie obu przyjaciółek w trudnym czasie. Tim udawał, że cieszy go ten „wypadek przy pracy”, ale za dobrze go znała, żeby dać się nabrać. Odsunął się od niej, odkąd mu powiedziała. Pracował coraz dłużej, dzwonił coraz rzadziej, całował ją coraz bardziej zdawkowo. Wiedziała, że powinna z nim porozmawiać, ale najpierw musi uporać się ze swoimi uczuciami. A do tego potrzebne jej obie przyjaciółki.

Zadzwoił telefon. Fionę zdziwiło, że poczuła ulgę. Dawniej drażniło je, gdy telefon przerywał im pogawędkę. Lecz teraz milczenie się przedłużało i nie było już takie przyjazne.

Zbierała okruszki ciasta i słuchała, jak Millie podejmuje kłótnię, której pewnie rano nie dokończyli z Timem. Wyobrażała sobie, co mówi Tim, na podstawie słów Millie.

– Zostawiłam wszystko na stole, miałeś tylko zrobić im kanapki... (Uciekł mi pociąg i spóźniłem się na spotkanie).

– Trzeba było wcześniej wstać... (I wstałbym, gdybym wiedział, że zwalisz na mnie szykowanie dzieciakom drugiego śniadania).

– Cóż, to nie moja wina, że mam mdłości... (Chcesz powiedzieć, że to moja wina?).

– No, nie było to niepokalane poczęcie... (Wybacz mi, że nie jestem na bieżąco z twoim cyklem owulacyjnym...).

Nie, w tym momencie Fiona dała się ponieść wyobraźni. Tim nie jest mężczyzną, który rozmawiałby o owulacji. Rozbawiła ją ta wizja.

– Tim, poczekaj chwilę. – Millie zakryła słuchawkę dłonią. –Z czego się śmiejesz?

Fiona zagryzła usta. Wyprostowała się jak uczennica przyłapana na ściąganiu.

– Z niczego. – Zarumieniła się po czubki uszu.

Millie podjęła przerwana rozmowę. Fiona dała sobie spokój z wymyślaniem odpowiedzi i zamiast tego ciskała okruszkami w sufit.

– Słuchaj, Tim, muszę kończyć, Fiona jest u mnie. Fionie nie spodobała się długa cisza, która potem nastąpiła.

Zdecydowanie za długa na zwykle: „To miło, skarbie”, czyli odpowiednią reakcją na informację Millie. Miała wrażenie, że Tim obrzuca ją

stkiem wyzwisk. Millie słuchała. Fiona była zbulwersowana. Co on opowiada? Miał dość czasu, by wygłosić nawet „Ta szmata nie ma wstępu do naszego domu”.

Co się ze mną dzieje? – zastanawiała się. Chyba tracę rozum. Wyobrażam sobie rozmowy, których nie słyszę, ba, obrażam się w zastępstwie na męża przyjaciółki, który pewnie w ogóle nie zwraca na mnie uwagi.

Millie odłożyła słuchawkę i zobaczyła, jak okruszek mknie w górę.

– Co ty robisz? – zapytała, autentycznie zaciekawiona.

Fiona odłożyła kolejny pocisk.

– Staram się przykleić okruszki do sufitu.

– No tak.

– Co u Tima? – Fiona dała Millie okazję, by powtórzyła wszystkie inwektywy Tima. Albo nie.

– Był zły, miał ciężki ranek, ale później humor mu się poprawił. Idzie na lunch z kimś ze szkoły.

– No, to załatwia sprawę. Graham zawsze jest w świetnym humorze po lunchu z chłopakami. Gadają o krykiecie, siatkówce plażowej i urządzają sobie konkursy bekania.

– To chyba nie będzie taki lunch – powiedziała Millie spokojnie.

– A jaki?

– Z przyjaciółką.

Fiona uniosła brew.

– W takim razie godzinka wspomnień, mętne obietnice ponownego spotkania i do widzenia. Wiem, sama to przerabiałam.

Millie wyjęła kolejną blachę z pieca.

– Chyba nie. To jego pierwsza miłość.

– A teraz – zarządziła pani Bowers – kolejna kwestia: kościół.

Max zeszywniał. Długo rozmawiali o tym z Tess. Kiedy wreszcie się przekonał, że jest to jedyna przyzwoita i bezpłatna szkoła w okolicy, zgodził się, że póki Lara nie zadamowi się w szkole, będą musieli udawać, że czasami chodzą do kościoła.

Hipokryzja nie przeszkadzała im ani trochę. Miesiąc temu byłoby inaczej, ale teraz byli w rozpaczliwej sytuacji. Z zasadami jest tak jak z żywnością ekologiczną – to dobry wybór, pod warunkiem że cię na to stać.

Postanowili, że głównie Tess będzie mówić, bo Max, ledwie pojawiał się temat kościoła, wpadał w tyradę na temat odpadów z *Big Brothera*, które we wszystkich programach telewizyjnych wspominają msze swego dzieciństwa.

Tak więc Tess zręcznie odpowiadała na pytania i mówiła o Johnie Wspaniałym Wikarym jak o ich duchowym przewodniku.

Pani Bowers nie dała się nabrać. Robiła dobrą minę do złej gry, choć widać było, że nie wierzy w ani jedno słowo.

– Zależy nam przede wszystkim na waszym przyszłym zaangażowaniu – powiedziała i spojrzała znacząco na Maksa, który miał dość przyzwoitości, by się zarumienić.

– Oczywiście – bąknął.

– To świetnie. – Pani Bowers chyba ucieszyły ich odpowiedzi. – W takim razie co niedziela spotkamy się w kościele!

Tess i Max nie wiedzieli, o co chodzi. Liczyli, że zajrzą tam kilka razy, a potem dyskretnie się wycofają. Pani Bowers uśmiechnęła się szeroko.

– John wam nie mówił? Też chodzę do tego kościoła.

– Kto? – zapytał Graham.

– Tim Parsons – powtórzyła sekretarka.

Graham szukał chwilę w pamięci, aż zrozumiał.

– A, Tim! Tak, oczywiście, połącz mnie. Halo? Tim? Co się stało? Coś z Millie? Z dziećmiakami?

To normalne pytania. Choć od dziesięciu lat się spotykali z żonami i dziećmi, nigdy się nie zaprzyjaźnili. Czasami, kiedy Tim potrzebował rad finansowych, a Graham miał pytania dotyczące komputerów, umawiali się na lunch. Chodzili też razem do kina na głupie, brutalne filmy, których nie tolerowały ich żony, ale to wszystko. Nigdy nie dzwonili do siebie do pracy.

Tim starał się go uspokoić.

– Bez paniki! Wszystko w porządku, jeśli nie liczyć Millie, która wymiotuje dzień w dzień, od rana do nocy. No, ale z tym się muszę pogodzić, nie?

Graham wyczuł nutę pretensji w jego głosie i zastanowił się, czy Fiona ma rację, twierdząc, że Tim się cieszy na kolejne dziecko.

– To dobrze. Co mogę dla ciebie zrobić?

Tim odchrząknął. Właściwie chrząkał przez całą rozmowę. Nawet Graham, który nie szczycił się wybitną intuicją, zorientował się, że dręczy go nie chryпка, tylko nerwy.

– To trochę skomplikowane... – zaczął Tim.

Graham czekał, co dalej, póki nie zorientował się, że będzie musiał to z niego wyciągnąć. Niestety, nie miał w tym względzie dużego doświadczenia. Od dwunastu lat jego żoną była Fiona, która informowała go o wszystkim, co przyszło jej na myśl, czy tego chciał, czy nie. Mieszkanie z nią to jak słuchanie radia dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wypracował sobie technikę wyłączania się i włączania, gdy mówiła coś stosunkowo ważnego.

. W miarę upływu czasu przekonał się, że jej gadatliwość to jedna z jej zalet, nie wad. Dzięki temu nie musiał podtrzymywać rozmowy, co zawsze szło mu fatalnie, bo urodził się bez odrobiny taktu i wycucia.

– To chyba skaza genetyczna – zwierzył się Fionie, kiedy zdołał wielokrotnie urazić jej przyjaciół i krewnych – zwłaszcza matkę – w ciągu zaledwie pierwszego miesiąca znajomości. – Najlepiej będzie, jeśli nie będę się odzywał, a jeśli już, to tylko w odpowiedzi na konkretne pytania.

Kiedy podejmował tę decyzję, miał świadomość, że wszyscy uznają go za nudziarza, ale doszedł do wniosku, że lepsze to niż etykieta gbura. Nudziarz nie stanowi zagrożenia dla małżeństwa i przyjaźni.

Na szczęście Fiona uznała, że to urocze, i nie widziała przeszkód, żeby za niego wyjść. Podobnie jak Graham dostrzegał zalety jej gadatliwości, Fionę cieszyła jego małomówność. Wiedziała, że nie mogłaby wyjść za kogoś równie gadatliwego jak ona. Przecież nigdzie by ich nie zapraszano, że już nie wspomni o innych sprawach.

Graham odprężył się jedynie w jej towarzystwie. Wiedziała o tym i za to go kochała.

Jednak wadą długiego szczęśliwego życia z gadułą jest to, że nigdy nie nauczył się prowadzić rozmowy, w każdym razie nigdy nie wzbił się ponad poziom jednosylabowych pomruków nastolatków. Chyba że, ma się rozumieć, tematem była jego teściowa. Wtedy blokada znikła i zamieniał się w hip-hopowca z najczarniejszego getta, który wypluwał urazę i gniew jadowitym strumieniem.

Niestety nie przypuszczał, żeby Tim zadzwonił, bo chciał pogadać o jego teściowej, więc był w kropce. I błagał los, żeby mąż Millie nie zadał mu pytań innych niż bardzo konkretne i rzeczowe.

Ponieważ nic innego nie przychodziło mu do głowy, powtórzył zdanie, od którego zaczął rozmowę:

– Co mogę dla ciebie zrobić?

Skrzywił się, słysząc, jak blado to wypadło, ale zadziało. Co więcej, Tim, jak już zaczął, nie mógł przestać.

– Pewnie nic, ale nie wiedziałem, do kogo jeszcze mógłbym się zwrócić. To znaczy, Millie nie wchodzi w grę z oczywistych powodów, rozmawiałem z nią o tym czy raczej wspominałem, ale w jej głosie zaraz pojawiła się ta nuta, wiesz jaka, więc wolałem nie zagłębiać się w szczegóły, ale kiedy odłożyłem słuchawkę, uznałem, że muszę z kimś o tym pogadać, a nie mam z kim. Tak to jest, jak się ma żonę i dzieci, traci się starych przyjaciół, to znaczy, kobiety ich nie tracą, ba, zawierają nowe znajomości...

Paplał i paplał, a Graham, jak się tego nauczył w małżeństwie, wyłączył się i czekał na coś ważnego, znaczącego. W końcu wychwycił cel tej dziwnej rozmowy.

– Przepraszam, Tim, co powiedziałeś?

– Że idę na lunch ze starą znajomą ze szkoły. No dobrze, będę szczery, to ktoś więcej, to moja pierwsza dziewczyna. Chodziliśmy ze sobą w klasie maturalnej, potem się rozstaliśmy, kiedy poszedłem na studia. Oczywiście obiecywaliśmy sobie, że pozostaniemy w kontakcie, ale wiesz, jak to jest, kiedy się wyjeżdża na studia.

Graham wiedział aż za dobrze. Wspomnienie pierwszej dziewczyny zerwało plaster, którym leczył rany sprzed dwudziestu lat, plaster, który ostatnio coraz częściej go drażnił. Wolał o tym nie myśleć.

– Skontaktowała się ze mną przez tę stronę internetową, wiesz, taką, na której można odnaleźć starych znajomych ze szkoły... co ja opowiadam? Pewnie że wiesz! To ty mi ją pokazałeś!

– Uznałem, że fajnie byłoby się dowiedzieć, co wyrosło ze starych kolegów – bronił się Graham. – Mówiłem tylko, żebyś poczytał notki biograficzne. Nie radziłem, żebyś się z kimś kontaktował.

– Wiem, wiem, ale wydawało mi się, że nic złego się nie stanie, kiedy się dopiszę do listy. – Tim zawahał się i mówił dalej: – Na początku tylko pisaliśmy do siebie e–maile, informowaliśmy się o zmianach w naszym życiu, no wiesz. Potem podała mi swój numer telefonu, więc poczułem się zobowiązany dać jej mój, do pracy. I, mówiąc krótko...

Graham uniósł brwi; ta rozmowa trwa już dwadzieścia minut.

– ... zadzwoniła dzisiaj rano i zgodziłem się zjeść z nią lunch. Dzisiaj. Ale dziwnie się czuję, jakbym był niełojalny wobec Millie, chociaż zgodziłem się tylko z ciekawości, przysięgam. Pomyślałem sobie, że jeśli zobaczę Alison tylko jeden raz, to... no wiesz.

Graham wiedział. W wyobraźni tysiące razy odbywał podobne spotkanie. Nigdy jednak nie posunął się do tego, by wysłać e–maila. To zbyt niebezpieczne, ostrzegał wewnętrzny głos.

I nie w porządku wobec Fiony, która, jak się domyślał, odebrałaby taki gest jako zdradę. Ale skoro Tim to robi, może będzie go obserwował, zobaczy, jak to się potoczy, i jeśli nie skończy się tragicznie, może...

Z zadumy wyrwało go dokładnie to pytanie, na które nie chciał odpowiadać.

– Widzisz, Graham, chciałem cię zapytać, czy mam tam iść, czy wszystko odwołać i więcej się z nią nie kontaktować?

Jasna sprawa. Oczywiście, że powinien wszystko odwołać. Otwiera drzwi, których, być może, nigdy nie zamknie. Może się okazać, że ktoś wsunie w nie stopę. Wtedy otworzy je szerzej. Tak to jest z drzwiami. Chyba że wytnie dziurę dokoła stopy i zamknie je w ten sposób. Tylko że wtedy drzwi są uszkodzone, a co komu po takich?

Zresztą jaki sens budzić uśpione uczucia, nieważne, dobre czy złe, skoro nie ma się zamiaru pociągnąć ich dalej? Oczywiście, powinien mu powiedzieć,

żeby wszystko odwołał. Jak żonaty mężczyzna żonatemu mężczyźnie, których żony się przyjaźnią, powinien mu stanowczo odradzić takie eskapady.

– Moim zdaniem możesz pójść – powiedział.

– Cóż, chyba wyrażam zdanie zarówno moje, jak i mojego męża, kiedy powiem, że jesteśmy bardzo wdzięczni, że zgodziła się pani przyjąć Larę do szkoły.

Max milczał, nadal wstrząśnięty, że co niedziela będzie musiał chodzić do kościoła. Tess kopnęła go w kostkę, więc uśmiechnął się sztucznie. Lata kopniaków pod stołem zrobiły swoje.

Pani Bowers wyciągnęła rękę. Uścisnęli ją entuzjastycznie.

Wstawali już, kiedy dyrektorka o czymś sobie przypomiała. Tess zagryzła wargi. Błagam, dość tych trudności.

Max się spiął. Był gotów uderzyć ją, jeśli wymyśli kolejną przeszkodę. Tym razem jednak chodziło o Tess.

– Rozmawiałam o pani z Heather Riggs.

Max pokręcił głową z niedowierzaniem. To jak telenowela, wszyscy się tu znają, pewnie wszyscy są spokrewnieni i wieczorami grywają na gitarze w ośrodku kultury. A Heather to jakaś cholerna wszechwiedząca bogini. Wszechobecna. Widział ją tylko raz, a już jej nie znosił.

Pani Bowers przeszła do rzeczy.

– Muszę przyznać, że byłam pod wrażeniem. To odpowiedź na nasze modlitwy!

Tess wierciła się niespokojnie.

– Jak to? – zapytała ostrożnie.

– Widzi pani, jesteśmy bardzo postępową szkołą. Zawsze staramy się nadążać za trendami, a kiedy kilka tygodni temu odeszła jedna nauczycielka, mieliśmy spory problem.

Tess była na granicy paniki. Miała straszne przeczucie, że wie, do czego zmierza dyrektorka.

– Problem? – Jej głos drżał.

– Już nie! – Pani Bowers uśmiechała się od ucha do ucha. – Heather zapewniła mnie, że chętnie poprowadzi pani zajęcia jogi!

Tess łypnęła kątem oka na Maksa i błagała go w myślach, żeby się nie roześmiał.

Później żałowała, że nie pozwoliła mu na tę chwilę triumfu, choćby jej kosztem. Bo dzień okazał się chyba najgorszym dniem w ich życiu. Na dwadzieścia cztery godziny przed przeprowadzką pakowali swój dobytek. Wielu rzeczy nie zobaczą przez co najmniej kilka lat, jeśli w ogóle kiedykolwiek je ujrzą. Dokładnie zmierzili nowe mieszkanie i wyliczyli, co mogą zabrać, a co trzeba oddać na przechowanie.

Kiedy nagromadziliśmy tyle przedmiotów? – zastanawiała się. Jakim cudem dwoje ludzi posiada tak wiele? Pamiętała, jak kupowali to wszystko, no, prawie wszystko. Pierwsze lata małżeństwa upłynęły im pod znakiem wyszukiwania skarbów, pusty dom wypełniał się meblami, a ich wspólne życie – anegdotami.

Błądziła wzrokiem po sosnowych meblach, po wytartych kanapach i fotelach, regałach pełnych książek, których więcej nie przeczytają. Wszystkie powierzchnie wypełnione troskliwie i starannie: tu wiekowe donice, tam miseczki z *potpourri*, w oknach ciężkie zasłony.

Efektom ich starań był artystyczny nieład, współczesna niedbałość, którą osiąga się wielkim nakładem kosztów i starań. Trzeba się całkowicie poświęcić, zanim osiągnie się tak doskonały rezultat.

Z westchnieniem zabrała się da pracy. Czuła się, jakby przeprowadzała remont ich małżeństwa. Co gorsza, to był konkurs. Jak w *Idolu*, choć tu

głosujesz na ulubiony prezent na rocznicę ślubu, najważniejsze zdjęcia, krzesła, drobiazgi. Musieli przedyskutować wszystko większe od książki. Tak czy nie.

Było to bolesne i przykre.

– Który fotel zabieramy? – zapytała. Do wyboru mieli dwa: jego stary kawalerski fotel albo ogromne wygodne siedzisko, na którym razem oglądali telewizję. W nowym mieszkaniu było miejsce tylko na jeden.

Max był przekonany, że zna właściwą odpowiedź na to pytanie.

– Duży, ma się rozumieć.

Tess przyglądała mu się uważnie.

– Więc będę miała wyrzuty sumienia, że nie pozwoliłam ci zabrać ukochanego fotela – syknęła. – Będziesz miał do mnie o to pretensje, ilekroć usiądziesz. Jak myślisz, jak się będę z tym czuła?

– Więc weźmy mój.

– Bardzo sprytnie to sobie wymyśliłeś, tak mną zmanipulowałeś, że podjęłam decyzję za ciebie!

– To nie fair – powiedział cicho.

No, a niby czyja to wina? Nie powiedziała tego, choć te słowa cisnęły się jej na usta. Z czasem w końcu wykrzyczy mu to w twarz, lecz na razie uważała, że im dłużej się powstrzymuje, tym mniej bolesny będzie ten cios. Może nawet mu wybaczy.

Ha, ha, ha.

Westchnęła.

– Weź swój fotel. Ten drugi i tak jest za duży.

– Super – zachnął się. – W ten sposób delikatnie dajesz mi do zrozumienia, że nowe mieszkanie jest ciasne, co, jak w kółko mi wypominasz, też jest moją winą.

I tak bez przerwy.

– Dlaczego odkładasz to na kupkę „nie”? To zdjęcie domu, w którym byliśmy na pierwszym urlopie z Larą! – oburzyła się Tess.

– Wiem, ale już wybraliśmy zdjęcia, które zabieramy. Na ścianach nie ma już więcej miejsca.

Rzuciła się do pudła do zabrania.

– Więc coś musi zostać. Może to?

– Przecież tam byliśmy w podróży poślubnej – zauważył. –Chcesz powiedzieć, że to mniej ważne? Że nasze życie nie miało sensu, dopóki nie urodziła się Lara?

I tak dalej, póki ich dom i piętnaście lat małżeństwa nie znalazło się w pudłach „tak” i „nie”.

Skończyli o drugiej nad ranem. Siedzieli wyczerpani, psychicznie i fizycznie. Przejrzeli wszystko.

Oprócz dwóch rzeczy, które kupili z myślą o nowym życiu: kasety wideo do ćwiczeń jogi oraz szczegółowej mapy Londynu i okolic.

Bo za czterdzieści osiem godzin Tess poprowadzi pierwsze zajęcia, a Max zawiezie jakąś rodzinę na lotnisko Stansted.

Problem w tym, że Tess się przekonała, że joga nie ma nic wspólnego z aerobikiem, a Max dowiedział się, że jutro komornik zajmie mu samochód.

Tess żałowała, że niebo nie zasnuło się czarnymi chmurami, a na glicynii i ścianach z czerwonej cegły nie ścielą się posępne cienie. Chciałaby, żeby pożegnanie było łatwe, a przynajmniej łatwiejsze. Tymczasem ogród był skąpany w słońcu, jak plan kiczowatego filmu.

Starła się zdystansować, spojrzeć na ulicę oczyma obiektywnego obserwatora, a nie mieszkańca. Co prawda takie uliczki, pełne edwardiańskich i wiktoriańskich domów, są w każdym angielskim miasteczku, lecz tutaj panowała atmosfera dobrobytu.

Może przywołały ją drogie systemy alarmowe na każdym domu, a może pnące rośliny łagodzące surowość murów, sugerowały, że tu panują trwałość i ciągłość. Na pewno miał na to wpływ brak śmieci i grafitti, które znikwały zaraz po tym, jak się pojawiły – usuwali je sami mieszkańcy albo ich źle opłacane sprzątaczkę; no i obecność wielkich lśniących i drogich samochodów stojących wzdłuż chodników – renault espace i fordów galaxy, wypełnionych dziecięcymi fotelikami, oraz land-roverów z bagażnikiem do przewozu nart. Wszystko to świadczyło, że mieszkańcy są tacy sami, jacy jeszcze do niedawna byli Tess i Max.

Fiona i Millie stały na chodniku i przelykały lzy, ich mężowie nie wiedzieli, gdzie podziąć wzrok, a dzieciaki się nudziły. Była niedziela, ósma rano, i uliczka świeciła pustkami, chociaż Tess mogłaby przysiąc, że gdzieś w oddali grają Wagnera, jako odpowiedni akompaniament dla tej dramatycznej sceny.

Nie było wozu meblowego, nie było facetów w kombinezonach, którzy beztrąsko ciskają pudła z bezcennymi kryształami, była tylko poobijana półciężarówka z napisem: PRZEPROWADZKI FRANKA – NAJTANIEJ W CAŁYM

LONDYNIE. Max wynajął ją na jeden dzień i będzie jeździł tam i z powrotem, aż przewiezie wszystko do nowego domu.

Żeby oszczędzić sobie upokorzenia, sam zaprowadził samochód do komornika – nie chciał, by przyjaciele patrzyli, jak faceci w ciemnych okularach zabierają jego wóz. O szóstej rano oddał go w ręce zaspanego nastolatka, który chyba do końca nie wiedział, co podpisuje, bo przez cały czas nie odezwał się ani słowem.

Tim i Graham pomogą mu załadować sprzęty, ale najpierw zawiezie Larę i Tess do nowego mieszkania, żeby spróbowały zamienić je w dom.

Tess dzielnie uściskała przyjaciółki. Mocno zaciskały usta z obawy, by nie padły niepożądane słowa. Obiecały sobie, że nie pozwolą, by ten dzień był prawdziwym pożegnaniem, lecz postanowienia się chwiałały, gdy patrzyły, jak Max taszczy pudło podpisane: RZECZY TESS I MAKSA.

Pozwolili Larze zabrać tyle, ile się dało, chcieli najdłużej, jak się da, chronić ją przed skutkami przeprowadzki. Oznaczało to jednak tyle, że ich rzeczy musiały się zmieścić w jednym pudle, które zdawało się symbolizować ich nowe, ubogie życie.

Millie i Fiona złapały się na rozważaniach, czy byłyby w stanie zredukować swoje życie do kilku pudełek. Przerazająca perspektywa. Wołały skupić się na nieszczęściu Tess.

– Boże, wiem, miałyśmy nie gadać bzdur, ale to straszne! – Fiona złapała ją, jakby rozstawały się na zawsze.

Millie natychmiast weszła w zwykłą rolę rozjemcy i ściągnęła przyjaciółki na ziemię.

– Ej, przestańcie! – zbesztła je. – Przecież we wtorek idziemy do Tess na kawę. To już za czterdzieści osiem godzin. Nieraz nie widziałyśmy się dłużej. W końcu nie rozstajemy się na zawsze.

Udawały, że w to wierzą, i wzięły się w garść. Rozmawiały już spokojniej, a Max usiłował sobie przypomnieć skomplikowane instrukcje Franka, jak zamykać zardzewiałe drzwi. Pamiętał, że było tam coś o pięści, kopniaku i soczystym przekleństwie.

Tim tymczasem stał przy bramie, teoretycznie po to, żeby pilnować, czy żadne z dziewięciorga dzieci nie rzuca się pod samochód (chyba mleczarza, bo nikt inny nie jeździł o tej porze). Tak naprawdę chciał być sam, żeby pomyśleć. W domu, w którym jest czwórka dzieci i ciężarna żona, coraz bardziej nieznośna, było to absolutnie niemożliwe. Co za ironia losu, że tylko w większym tłoku udało mu się znaleźć chwilę dla siebie.

A miał o czym myśleć. Czy raczej miał jeden temat i wiele, wiele dygresji. Lunch z Alison.

Rozpoznali się od razu, co zaskoczyło ich oboje. Uściskali się bez śladu skrępowania, usiedli i natychmiast pograżyli we wspomnieniach, upojnych i zarazem smutnych.

– Wyglądasz tak samo! – zawołali jednocześnie i zaśmiali się w tej samej chwili.

– Wiem, jak to brzmi, ale to prawda – zapewniła Alison.

Tim skinął głową.

– Zawsze mi się wydawało, że zmieniłem się fizycznie, skoro zmieniło się wszystko inne w moim życiu.

Alison pochyliła się nad stolikiem. . – Mam to samo wrażenie. To znaczy, jak się pomyśli, czego dokonaliśmy w ciągu tych dwudziestu lat...

Poprawili się na krzesłach i przypomnieli sobie, czego się o sobie dowiedzieli podczas ostatnich tygodni wymiany e-maili. Tim trochę się wstydił, że jego dorosłe życie było takie nudne, a przecież kiedy miał

osiemnaście lat, wydawało mu się – jemu i Alison – że ma nieograniczone możliwości.

Studia na wydziale matematyki ukończone z niezłą oceną na dobrym uniwersytecie, kilka lat gromadzenia doświadczenia w dużej korporacji o konserwatywnej reputacji, powolna wspinaczka po szczeblach kariery do stanowiska dyrektora, małżeństwo z Millie – którą w swojej elektronicznej biografii określił jako interesującą i złożoną osobowość – w wieku dwudziestu ośmiu lat, czwórka dzieci w ciągu pięciu lat. I tyle.

Złapał się na tym, że przemilcza sam przed sobą dodatkowe szczegóły w postaci piątego dziecka w drodze i wolał się nie zastanawiać, dlaczego tak robi.

Wiedział, że powinien dodać co nieco, żeby Alison nadal go odbierała jako wartościowego człowieka. Ale szczerze mówiąc, nie wiedział, co powiedzieć. Grał w golfa, ale bał się o tym wspomnieć ze strachu, że wyjdzie na faceta w średnim wieku... którym był. Regularnie chodził do opery, ale nie chciał wyjść na nudziarza z klasy średniej, którym był. Czytywał współczesną literaturę i lubił dobre wino, ale nie chciał, żeby go wzięła za snoba, choć też nim był.

W gruncie rzeczy odczuł ulgę, gdy powiedziała, że wygląda tak samo. Ciężko i systematycznie pracował, żeby to osiągnąć. Był to jedyny element jego życia, nad którym jeszcze panował. Najlepsze chwile przeżył jako osiemnastolatek. I tak się łudził, że dzięki tej samej fryzurze z przedziałkiem pośrodku, dzięki smukłej sylwetce będzie mógł wrócić do przeszłości, kiedy tylko zechce. Upierał się nawet przy takich samych oprawkach do okularów, chociaż już wtedy lennonki nie pasowały do jego twarzy, a teraz wyglądały po prostu śmiesznie.

Umówili się na lunch w środku tygodnia, więc miał na sobie garnitur, lecz Alison byłaby zdziwiona, gdyby wiedziała, że w weekendy nadal ubiera

się tak samo jak przed laty, w opadające džinsy i luźne koszule, spod których wyłazi podkoszulek, a wszystko dlatego że kiedyś mu powiedziała, iż ładnie wygląda. Ponieważ nikt inny nie sprawił mu takiego komplementu, kiedy eksperymentował z innymi stylami, pozostał przy tym, co spodobało się jej najbardziej.

– Zdziwiłam się, kiedy odpowiedziałeś na mojego e-maila. – Alison pierwsza przerwała ciszę.

– Dlaczego?

Wbiła wzrok w przestrzeń.

– Kilka lat temu nie odezwałabym się do ciebie. Z tego co słyszałam, z usług takich stron korzystają tylko ludzie, którzy... – zawahała się.

– Którzy co? – Tim przeszedł do obrony.

Szukała odpowiednich słów.

– Którzy są niezadowoleni – powiedziała w końcu. Bała się, czy go nie uraziła.

Tim był zaskoczony, nie urażony. Dopóki nie powiedziała tego głośno, nie przyszło mu na myśl, że jest niezadowolony. Pewnie dlatego że żył z tym uczuciem od tak dawna, iż zapomniał już, że może być inaczej.

Lecz lojalność wobec Millie i niechęć przyznania przed samym sobą, że jego życie nie jest pasmem sukcesów, kazały mu zaprzeczyć.

– Szczerze mówiąc, wcale się nad tym nie zastanawiałem. Nie wiem, z czego miałbym być niezadowolony. – Powiedz jej, że będziecie mieli jeszcze jedno dziecko, szeptał wewnętrzny głos. Powiedz jej, że nie posiadasz się z radości, że powiększy ci się rodzina, i że żona ciągle się rozwija. – Ucieszyłem się, kiedy do mnie napisałaś, i pomyślałem, że fajnie będzie się dowiedzieć, co u ciebie słychać.

Zdawał sobie sprawę, jak słabo to zabrzmiało. I co z tego? Jestem słabeuszem, tłumaczył sobie.

– A ty? To znaczy, dlaczego się do mnie odezwałaś? Byłaś czymś rozczarowana?

– Tak – odparła szczerze.

Tima zaskoczyła jej bezpośredniość, póki sobie nie przypomniał, że właśnie to go w niej urzekło przed laty.

– Uśmiechasz się – zauważyła. Natychmiast spoważniał.

– No, teraz lepiej – zażartowała.

Dwadzieścia lat rozplynęło się bez śladu.

Chłopak, osiemnaście lat, matura na karku, koszmarna – z tendencją poprawkową – cera i fatalny – z tendencją spadkową – wzrok. Nieśmiały, pilny; czeka na coś ekscytującego, ale nie ryzykuje. Żyje nadzieją, że jutro przyniesie coś więcej niż dzisiaj.

I dziewczyna, prawie osiemnaście lat, świetna cera i wzrok, regularne rysy, mnóstwo energii. Kontaktowa, pracowita, rzuca się na każdą okazję ze strachu, że jutro może być za późno.

Tim nie wierzył własnemu szczęściu, kiedy zaczęła się za nim uganiać. Początkowo myślał, że robi to dla żartu albo żeby wygrać zakład, więc starał się schodzić jej z drogi. Nie chciał kolejnych upokorzeń w życiu, wystarczały mu trądzik i okulary.

– Dlaczego mnie unikasz? – zapytała w końcu.

– Dlaczego mnie ścigasz? – zapytał w nieoczekiwanym –u niego – przyplwywie odwagi.

– Bo grasz na saksofonie – padła odpowiedź.

Zbiła go tym z tropu. Nawet o tym nie wspominał, kiedy o sobie mówił, do tego stopnia był nieświadomy magnetycznego działania saksofonu na

kobiety. Grał tylko dlatego, że jego ojciec był nauczycielem tego instrumentu i wszystkie jego dzieci grały. I choć fizyczny wysiłek podczas gry sprawiał mu przyjemność, muzyka była nieważna.

– Ale kiepsko – zaprotestował. – Gary Chrisholm zdobywa nagrodę za nagrodą za swoje skrzypce, a słyszałaś Keitha Wilsona za fortepianem?

Alison pokręciła głową z politowaniem.

– Niczego nie rozumiesz, co?

Nie rozumiał. Więc go uświadomiła.

– Nic się nie może równać z saksofonem, jest taki głęboki, mroczny, znaczący, surowy... – powiedziała wtedy.

– ...taki szczeniacki – dokończyła, krzywiąc się na to wspomnienie. Zakryła oczy, wstydząc się nastoletniej egzaltacji. –Nie chce mi się wierzyć, że mówiłam takie bzdury!

– Ja nie mogłem w to uwierzyć już wtedy – zauważył Tim. –Nie miałem pojęcia, o co ci chodzi.

– I nie masz na myśli tylko saksofonu, co? – zażartowała. Teraz Tim zakrył oczy.

– Byłaś dla mnie jak istota z innego świata – przyznał. –Moi przyjaciele byli tacy jak ja, zwykłe dzieciaki, udawaliśmy, że uwielbiamy Genesis, chociaż woleliśmy The Carpenters, a całą tygodniówkę wydawaliśmy na clearasil. Nie mieliśmy pojęcia o niczym, co nie było w zagadnieniach maturalnych.

– Byłam taka sama – zauważyła. – Tylko udawałam, że jest inaczej.

Tim spojrział na siedemnastolatkę z perspektywy swoich trzydziestu ośmiu lat i uznał, że przepaść między nimi jest równie głęboka jak dawniej. Nawet teraz, dwadzieścia lat później, nie potrafił udawać kogoś innego, niż był. Był taki sam jak wszyscy, choć jakiś głos w głębi duszy podpowiadał mu, że nie przyszedł na świat, żeby się dostosowywać.

– Doskonale ci szło – mruknął. – Byłaś zupełnie inna. I taka pewna siebie, że zbijałaś nas wszystkich z tropu.

– Udawałam – powtórzyła.

Jednak wiedział, że to nieprawda. Nikt nie może grać przez całe życie. A Alison była zadziwiająco konsekwentna, sądząc po jej życiorysie.

Przez trzy lata włóczyła się z plecakiem po świecie; z tej wędrowki przywiozła znajomość sześciu języków, dolegliwość żołądkową i brazylijskiego lekarza. Po powrocie do Anglii poszła na medycynę. Znowu podróżowała. Wróciła, otworzyła prywatną praktykę z Brazylijczykiem, obecnie jej mężem. Pisała bestsellerowe poradniki dla kobiet i na trzydzieste trzecie urodziny wspięła się na Mount Everest. Błyskawiczna kariera, na myśl o której Timowi kręciło się w głowie.

Zauważył brak dzieci, ale nie skomentował tego. Ona też nie.

– Więc czemu się do mnie odezwałaś? – zapytał ponownie.

– Odeszłam do męża.

– Przykro mi, Ali. – Wzjął ją za rękę. Był to pierwszy nieśmiały krok w krainę uczuciowych niebezpieczeństw.

STREFA BEZ NARKOTYKÓW, głosił napis przy ich nowej ulicy. Tess i Max z ponurymi minami stali się oto pełnoprawnymi mieszkańcami Doliny Blokatorów.

– Czy ten znak był tam od początku? – zapytała Tess. Max zacisnął dłoń na kierownicy.

– Nie pytaj mnie, w końcu to ty spędzasz tu każdą wolną chwilę z nową przyjaciółką.

Odkąd poznała Heather, Tess postrzegała przeprowadzkę w jaśniejszych barwach. Może "Jaśniejsze barwy" to za wiele powiedziane, ale koniec świata

się oddalił i był teraz małym punktem na horyzoncie, a nie chmurą tuż nad głową.

Maksa drażnił dobry humor Tess. Po niezliczonych godzinach wysłuchiwania jej zarzutów – tych wypowiedzianych i tylko pomyślanych – że zrujnował im życie, doprowadzało go do szału, że nagle dostrzega dobre strony przeprowadzki.

Odebrał to jako przyznanie Tess, że i ona częściowo ponosi winę za ich położenie, na co niecierpliwie czekał. Miał nadzieję, że szybko wrócą do starego układu i będą udawali, że to on jest silniejszy, choć oboje wiedzą, iż jest inaczej.

– Nigdy tędy nie jechaliśmy – zauważyła. Chciała uniknąć kłótni, zwłaszcza takiej, której głównym powodem, jak zawsze ostatnio, byłaby ona.

– Bo jeździliśmy samochodem z porządnymi resorami, który dawał sobie radę z progami zwalniającymi na ulicach, a teraz jedziemy gratem, w którym rura wydechowa trzyma się na słowo honoru.

I to też moja wina? – pomyślała z goryczą.

W końcu nie mieli wyboru, musieli podjechać pod nowy dom po drodze usianej progami. Zacisnęli zęby i udało im się zatrzymać śniadanie w żołądkach, choć pod podwoziem coś zaszurało złowrogo. Tess i Max udawali, że nic nie słyszą, w przeciwieństwie do Lary, która, ponieważ nie martwiła się, że straci kaucję na rzecz Franka, Króla Tanich Samochodów, rozkoszowała się każdym wybojem.

– Jaki fajny samochód! Możemy go zatrzymać, skoro już nie mamy range-rovera?

Tess i Max się uśmiechnęli. Była to rzadka chwila poczucia wspólnoty, ale takie momenty pozwalały im trwać dalej w złudzeniu, że nic ich nie rozdzieli.

Ta chwila trwała jeszcze krócej niż inne. Ledwie skręcili w swoją uliczkę, dostrzegli coś, co z daleka wyglądało jak remiza przed weselem. Niestety, okazało się, że to ich dom czy raczej mieszkanie na parterze, ozdobione balonami. Przymocowano je do drzwi, okien i smętnego drzewa na chodniku.

– Zobacz, mamo, urządzili nam przyjęcie! Super! – Lara nadal nie pojmowała, że mieszkają tylko w części domu. Jeszcze wielu rzeczy nie pojmuje, pomyślała Tess z nadzieją, że uda się im jak najdłużej utrzymać córkę w błogiej nieświadomości ich oplakanego położenia.

Zatrzymali się i zobaczyli transparent nad drzwiami. Na pożółkłym prześcieradle wypisano brokatowymi farbami: **KOBIECY KLUB JOGI W HEAVERBURY WITA TESS I JEJ RODZINĘ.**

– Miło z ich strony, prawda? – zauważyła niepewnie.

– Może tobie miło – burknął Max. – Witają ciebie, Lara i ja jesteśmy tylko „rodziną”. A przecież twoja przyjaciółka Heather poznała nas i wie, jak się nazywamy.

Rozsądnie puściła tę uwagę mimo uszu i wysiadła z samochodu. Lara wyskoczyła za nią. Zaniepokoił ją namacalny dowód solidarności pań uprawiających jogę. Nie myślała, że są na tyle zorganizowane, by przygotować transparent powitalny.

Liczyła, że wpadają na zajęcia od czasu do czasu, w drodze po dzieci, w czasie przerwy na lunch. Nie spodziewała się, że się znają. To znacznie utrudni jej zadanie.

Nieraz zaglądała do sali ćwiczeń i złościła się, że nie może dotrzymać kroku chudej modelce, która nieudolnie udawała instruktorkę. Oczywiście nigdy się nie skarżyła z obawy, że wszystkie pozostałe panie są zachwycone instruktorką i jej problemy wynikają z niezdarności.

Na to liczyła, kiedy planowała wmówić paniom z Heaverbury, że jest instruktorką jogi. Albo przynajmniej że jest w stanie dotknąć dłońmi palców u nóg.

Teraz jednak dotarło do niej, że te kobiety się znają. Właściwie, odkąd poznała Heather, mogła się tego spodziewać.

Potrzebna błyskawiczna zmiana planów, zdecydowała. Jutro pierwsze zajęcia. Wiem, rzucę się ze schodów i złamię nogę!

I być może poważnie wzięłaby to pod uwagę, gdyby tak bardzo nie bała się bólu. Poza tym to by oznaczało, że jest kompletnie niezdolna do pracy, a nie miała na razie pomysłu na inne zajęcie.

Ale wpadła na pewien pomysł. Wcale nie musi sobie niczego łamać. Może udawać. Nic poważnego. Zawinie sobie kostkę bandażem elastycznym i będzie dzielnie utykać. Doskonały pomysł.

– Fatalny pomysł – orzekł Graham, gdy usiłowali z Timem wynieść wielką kanapę z salonu.

– Niby dlaczego? – dopytywał się Tim. – Nie robię przecież nic złego. To jakbym się spotykał ze starą koleżanką. Poszliśmy na lunch, ale mieliśmy mało czasu, bo Alison spieszyła się na pociąg. To będzie to samo, tylko że zjemy na dworze.

Graham pokręcił głową ze zważeniem, zarówno nad naiwnością Tima, jak i szansami wyniesienia kanapy przez drzwi.

– Wiesz doskonale, że to zupełnie coś innego. Gdyby to był facet, proszę bardzo, możecie się w kółko spotykać, ale nie na piknikach. I powiedziałałbyś o tym Millie.

Niemal wypluł słowo „piknik”, co od razu wychwycił Tim.

– Zdaję sobie sprawę, jak to brzmi, i właśnie dlatego nie chcę mówić Millie. Nie teraz. No bo popatrz, skoro ty automatycznie widzisz w tym coś

podejrzanego, to jak ona zareaguje? Ostatnio jest bardzo nerwowa. Poza tym chyba przeraża cię słowo „piknik”. Może zamiast tego pomyśl: „kaszanka”? Bo jeśli Alison jest choć trochę taka jak dawniej, to przygotowuje kaszanke, a nie wędzonego łososa i truskawki w szampanie, wyjadane z pępka. Czy to cię uspokaja?

Grahamowi zrobiło się słabo na myśl, że ktoś miałby jeść z jego pępka, i po raz kolejny podziękował opatrznosci, że ożenił się z Fioną.

Przerwali rozmowę, mierząc wzrokiem kanapę i drzwi. Żaden nie chciał jako pierwszy powiedzieć, że nie ma sposobu, by jedno weszło w drugie. Jak prawdziwi macho, podjęli kolejną próbę, tym razem z użyciem siły. Zdawali się wychodzić z założenia, że nawet prawa fizyki nie oprą się takim dwóm twardzielom.

Fiona i Millie obserwowały ich rozbawione. Fiona spojrzała na przyjaciółkę.

– Która z nas powie im, że mają większe szanse wynieść kanapę, mówiąc pokus–pokus, niż tak się siłując?

Millie uniosła brwi.

– O nie, nie psuj mi zabawy. Tim ostatnio tak często wychodzi, że od dawna tak dobrze się nie bawiłam, patrząc, jak cierpi.

Dodała uśmiech na zakończenie, lecz ociągała się za długo i Fionę uderzył jad w jej głosie.

– Jak było na lunchu? – zapytała cicho.

– Nie wiem – odparła Millie. – Nie pytałam.

– Dlaczego nie? Nie umierasz z ciekawości? Ja na twoim miejscu bym nie wytrzymała. – Fiona podziwiała jej samokontrolę.

– Oczywiście, że umieram. Ale chcę, żeby sam mi o tym powiedział.

Fiona pokręciła głową.

– Dla mnie to zbyt skomplikowane. To znaczy, znasz Tima lepiej niż ja, ale zawsze wydaje się taki... daleki.

Millie miała łzy w oczach.

– Nie umie kłamać. Nie chcę go pytać, żeby mnie nie okłamał. Albo powie mi prawdę, która mi się nie spodoba. Nie, chcę, żeby mi powiedział, kiedy będzie gotowy.

Fiona dziękowała Bogu, że nie jest na tyle sprytna, by bawić się w takie gierki z Grahamem. Millie jeszcze nie skończyła.

– Ale obserwuję go uważnie. Bardzo uważnie.

Graham nie dawał za wygraną i z umiarkowanym zapalem starał się pokazać Timowi moralną dwuznaczność jego postępowania. Poza tym czuł coś więcej niż ukłucie zazdrości, wysłuchując entuzjastycznych opisów lunchu z młodo wyglądającą, boską Alison. Nie chciał się przekonać, że to wspaniałe przeżycie, skoro sam miał tego nigdy nie doświadczyć. Bał się.

– Wydaje mi się, że posługuje się tobą, żeby się otrząsnąć po rozstaniu z mężem – oznajmił, zbierając do kupy banały, które podsłuchał podczas rozmów Fiony z przyjaciółkami. – Stanowisz dla niej odskocznię, nie ma nic do stracenia, za to ty –wszystko.

Wskazał głową Millie, która, niestety, akurat w tej chwili nie wyglądała na zbyt cenny skarb. Łypała na nich groźnie, jakby wiedziała, o czym rozmawiają.

Grahama dopadły wyrzuty sumienia, aż potknął się o własne nogi. Walnął łokciem o framugę i upuścił swój koniec kanapy.

– Uważaj! – wrzasnął Tim.

Graham spojrzał na niego spod oka.

– To samo chciałem ci powiedzieć, stary – mruknął.

Daphne Guinn obserwowała nieufnie, jak młodzi mężczyźni pakują jej rzeczy do skrzyń.

– Ostrożnie, to antyki! – zawołała.

Młody Człowiek Numer Jeden, z identyfikatorem, który głosił: MAM NA IMIĘ MACCA, W CZYM MOGĘ POMÓC?, zaklął pod nosem.

– Słyszałam to! Proszę się tak nie wyrażać, bo powiem o tym pana przełożonemu! Mój najstarszy syn jest prawnikiem, więc niech pan sobie nie wyobraża, że może coś bezkarnie ukraść albo zepsuć!

Macca spojrział na Młodego Człowieka Numer Dwa (JESTEM TREV, PRZEPROWADŹ SIĘ ZE MNA), w jego wzroku były głębokie filozoficzne pytania o sens życia. Czy takowy może się objawić podczas pakowania wyszczerbionej porcelany zrzędliwej staruchy?

– A co to za mina? – Daphne jeszcze nie skończyła. – Wasza firma reklamuje się jako usługi z uśmiechem, tak mi powiedzieli, kiedy zadzwoniłam. Pogodni i godni zaufania. Na razie nie widzę ani jednego, ani drugiego. Spóźniliście się pięć minut i cały czas tylko narzekacie i dąsacie się jak rozkapryszone nastolatki.

Tyrada przyniosła taki efekt, że Macca i Trev pracowali w pocie czoła, żeby skończyć robotę w rekordowym czasie i uciec stąd jak najdalej. Ba, utyskiwania Daphne podziałały na nich do tego stopnia, że jeszcze tego samego dnia rzucili pracę i założyli własną firmę, specjalizującą się w przeprowadzkach młodych ludzi, pod żadnym pozorem nie przyjmowali zleceń od klientów po pięćdziesiątce.

Daphne ostrożnie usiadła na ostatnim niezapakowanym krześle. Powinna ich przeprosić. Nie chciała na nich tak naskoczyć, po prostu bardzo ją bolały plecy i nogi. A jedynym sposobem na złagodzenie bólu są środki, które tak ją otepiają, że traci kontrolę nad własnym życiem.

Jeszcze nie dam się przykuć do łóżka, jeszcze nie, powtarzała sobie, oddychając z trudem, gdy fale bólu uderzały w jej kręgosłup jak elektrowstrząsy. U Fiony będzie mi dobrze. Będę jej pomagała przy dzieciach. Nie będę musiała tyle wychodzić.

Przydam się na coś. To moja ostatnia szansa, żeby uzyskać jej przebaczenie.

– Wredna stara jędra – mruknął Macca do Treva i obserwował, jak Daphne z trudem oddycha, sparaliżowana bólem, fizycznym i psychicznym.

– Właściwie dlaczego to musi być piknik? – zapytał Graham.

Teraz usiłowali z Timem wynieść kanapę przez okno. Graham był w środku, Tim na zewnątrz. Tim jęknął.

– Zaczynam żałować, że w ogóle ci o tym powiedziałem. Co w tym dziwnego? Alison pracuje w Kent, ja w City. Nie mogę wziąć wolnego dnia, weekendy w ogóle nie wchodzą w grę, nie przy... – machnął ręką w stronę gromadki dzieci, z których połowa była jego. – Ale oboje możemy wygospodarować kilka godzin w środku dnia, więc spotkanie w połowie drogi jest najrozsądniejszym wyjściem. A piknik jest bardziej praktyczny niż lunch w pubie czy restauracji, szybszy, wygodniejszy.

Bardziej romantyczny, pomyśleli obydwaj – Graham ponuro, Tim z nadzieją.

– Co wy wyprawiacie?

Jednocześnie przestali pchać i szarpać. Max właśnie wrócił. Przyglądał się im ciekawie.

Graham i Tim odwzajemnili spojrzenie.

– A jak myślisz? – zapytał Graham.

– Nie wyniesiecie jej przez okno.

– Wiesz, przez drzwi już próbowaliśmy i też się nie dało – zauważył Tim.

– Święta prawda – zgodził się Max. – Trzeba przekreślić wajchę pod spodem, wtedy siedzenie się składa. To proste.

Graham i Tim zajrzeli pod kanapę i zobaczyli wajchę oraz naklejkę z wielkim napisem instruującym, jak złożyć kanapę. Bez słowa zostawili mebel w oknie, poszli do prawie pustej kuchni i sięgnęli po otwartą butelkę burgunda. Rozlali ją sprawiedliwie do dwóch szklanek i wzniesli toast. Opijali swoją świętą cierpliwość i opanowanie – mogli przecież wypchnąć cholerną kanapę przez okno, prosto na głowę Maksa.

Wino na pusty żołądek złagodziło napięte nerwy.

– Za twój piknik – powiedział Graham dziwnym, stłumionym głosem i wzniosł toast.

Tim nie odpowiedział. Myślni już tam był. Wszędzie, byle nie tutaj.

– No, to jesteśmy w domu – powiedziała Tess dużo później tego samego wieczoru. Pili gorącą czekoladę przyrządzoną z resztek wybranych z drogiej belgijskiej puszki.

– Jesteśmy – zgodził się Max.

W mieszkaniu było ciepło, choć zapowiadano najzimniejszą noc roku. Tess specjalnie włączyła ogrzewanie już poprzedniego dnia. Dopiero później pomyśli o kosztach.

Kolejna rzecz, do której nie przywykłam, zauważyła.

Rozejrzała się po mieszkaniu. Nie mogła się powstrzymać od porównywania go z domem, który dopiero co opuścili. Nawet jeśli uciekała wzrokiem w okno, dopadała ją ponura rzeczywistość.

O dziwo, układ uliczki i wiktoriańskich oraz edwardiańskich domów przypominał ich starą ulicę. Dlaczego więc to wszystko sprawia takie przygnębiające wrażenie? – dumiała w nadziei, że proste odpowiedzi podsuną jej skuteczną strategię działania.

Lecz piętrzące się przed nią problemy wydawały się nie do pokonania. Poszczególne usterki nie były na pierwszy rzut oka istotne: odpadający tynk, brudne okna w salonie, samochody z urwanymi wycieraczkami, zapomniana w ogródku mata łazienkowa.

Gdzieniedzie dostrzegała domy ludzi z klasy średniej, kupione w nadziei, że Heaverbury zyska lepszą reputację w niedalekiej przyszłości. Podwórko pełne materiałów budowlanych, dobry samochód, remont strychu... Wzruszał ją optymizm ludzi podobnych do niej, którzy ryzykowali własne szczęście i osiedlali się tutaj z własnego wyboru.

Ale kiedy ponownie spojrzała na salonik, spochmurniała. Małe pomieszczenie tonęło w natłoku ich wielkich mebli. Ekstrawaganckie obicia gryzły się z tapetą, która była chyba pozostałością po hinduskiej restauracji. W efekcie powstała zgryźliwa parodia ich dawnego życia. Nawet martwe przedmioty przypominały, jak było dawniej. Teraz musiała przyznać, że rozsądniej byłoby oddać wszystko na przechowanie i kupić tanie meble z drugiej ręki. Zmiana byłaby drastyczniejsza, ale bardziej znośna.

– O czym myślisz? – zapytał Max.

Uważaj, powiedziała sobie. Tak naprawdę wcale nie chce wiedzieć, o czym myślę, tylko żeby dodała mu otuchy. Skup się na rzeczach pozytywnych.

– Że to miło ze strony Grahama i Fiony, że pożyczili nam samochód.

Niestety, Max nie widział w tym nic pozytywnego.

– To chyba niewielkie poświęcenie z ich strony, co? W końcu mają trzy, a teraz, kiedy zamieszka z nimi matka Fiony, będą mieli cztery. Przy drobinie szczęścia wkrótce i ją nam pożyczą. Będzie tu świetnie pasowała ze swoim dobrym humorkiem.

Tess poważnie się zastanawiała, czy nie wręczyć Maksowi opasłego podręcznika do jogi i poprosić, żeby zatłukł ją na śmierć, zamiast dręczyć złośliwościami. Nieważne, co myśli mąż, jej zdaniem propozycja Fiony była szczerą i wielkoduszną.

– Weźcie go – nalegała. – Po co mi? I tak tylko zajmuje miejsce w garażu, a teraz jeszcze dojdzie nam samochód mamy. Rzadko siada za kierownicą, ale nie chce go sprzedać.

Tess nie mogła się nadziwić, z jakim idealnym wyczuciem czasu w jej chaotycznym od niedawna życiu zdarzają się cuda. Kiedy sytuacja wydawała się beznadziejna, kiedy wydawało się, że los wymierzy im ostateczny cios, zdarzał się cud, zawsze w ostatniej chwili.

Wszystkie cuda zawdzięczali przyjaciołom, starym i nowym. Fiona pożyczyła im samochód, niezbędny, skoro Max miał pracować jako taksówkarz. Millie zrezygnowała ze swego skromnego udziału w Organique, a Heather powiedziała Tess, że może do niej wpadać o każdej porze dnia i nocy i brać, co jej potrzebne.

Tess nie posiadała się z radości, kiedy się okazało, że Heather mieszka tylko ulicę dalej. Nie miała zamiaru nadużywać jej gościnności, ale czuła, że przynajmniej na początku będzie u niej częstym gościem.

– Mam tylko nadzieję, że nie powiedziałaś, iż nasz dom też jest dla niej otwarty – burknął Max, kiedy usiłowała przekonać go do Heather.

– Od kiedy jesteś taki skąpy? – zachnęła się.

– Odkąd nie stać mnie na hojność – odparł.

Tego wieczoru zdecydowali się na zawieszenie broni, które, mieli nadzieję, potrwa dłużej niż kilka godzin, jak ostatnio.

– Dobrze, że Lara tak bezboleśnie to znosi – zauważyła Tess. Córka stanowiła bezpieczny temat.

Max się odprężył.

– Dzieciaki są niesamowite. Ale z drugiej strony uchroniliśmy ją przed całym tym brudem.

Ja ją przed tym obroniłam, chciałeś powiedzieć, pomyślała Tess. W kółko to robię. Ty chciałeś mnie chronić raz jeden i zobacz, do czego nas to doprowadziło.

Max obserwował ją. Czy mu się wydaje, czy naprawdę lekko porusza ustami? Idę o zakład, że wiem, co ci chodzi po głowie, pomyślał. Szkoda tylko, że nie powiesz tego na głos.

Od jakiegoś czasu dużo myślał o ich małżeństwie. Przywykł, że Tess zamyka się w sobie, nie tylko przed nim, przed wszystkimi, ale ostatnio zauważył, że robi to coraz częściej. Jego zdaniem pewne minimum komunikacji jest niezbędne, by utrzymać związek, a wkład Tess malał w zastraszającym tempie. Max zaczynał się poważnie obawiać, czy ich małżeństwo to przetrwa.

Milczał jednak. Podobnie jak Tess, podświadomie uznał, że lepiej omijać niebezpieczne tematy, póki nie minie najgorsze. Niestety, w tym układzie zostawało im bardzo niewiele, a ponieważ na razie najgorsze nie miało zamiaru minąć, niebezpieczne tematy musiały jeszcze długo poczekać.

– O której jutro jedziesz na lotnisko? – zapytała z nadzieją, że jej słowa zabrzmiały pogodnie i entuzjastycznie.

– Dlaczego do wszystkiego, co robię, odnosisz się z taką pogardą?

Musi sobie zapamiętać, żeby skreślić kolejny punkt z listy bezpiecznych tematów. Lista zresztą malała w zastraszającym tempie, wkrótce zostanie na niej tylko Lara, pogoda i niechęć do filmów z Kevinem Costnerem.

– Przepraszam, jeśli tak to zabrzmiało – poprawiła się ostrożnie. – Nie chciałam, naprawdę jestem ciekawa. Poza tym muszę jakoś zaplanować dzień, więc chciałabym wiedzieć, kiedy wyjdiesz i kiedy wrócisz.

Max się uspokoił. Mniej więcej.

– Wpół do jedenastej. Liczę półtorej godziny na dojazd na lotnisko, na wszelki wypadek. Jeśli się spóźnię na samolot, nie zarobię ani grosza.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła z uśmiechem cieplejszym niż jej słowa.

– Na pewno – mruknął. Po udanej wymianie zdań odwzajemnił pytanie. – A ty o której masz zajęcia?

– O jedenastej. Półtorej godziny – odparła cicho.

Max się uśmiechnął.

– Cóż, powiedziałbym, że wszystko będzie dobrze, ale sobie tego nie wyobrażam.

Cisnęła w niego poduszką.

– Mam już pomysł.

Zdziwił się.

– Co uknułaś?

Uznała, że nie może powiedzieć mu prawdy. Wstydziła się, że będzie udawała, nie chciała, żeby stracił dla niej resztki szacunku.

Improwizowała.

– Wymyśliłam sobie, że im powiem, iż zaczniemy od zupełnych podstaw, bo muszę się przekonać, na jakim są poziomie, zanim zaplanuję zajęcia pod ich kątem. Na początek zrobimy same proste ruchy.

Był pod wrażeniem. Tess też. Czemu wcześniej na to nie wpadła?

– Może chcesz na mnie potrenować? – zaproponował.

– Żartujesz?

Podniósł ręce.

– Przemyśl to. Jeśli ja, niezdarny wielkolud, zrozumie twoje instrukcje, poradzisz sobie ze stadem kobiet z gumy.

Tess wzdrygnęła się na myśl, że któraś z uczennic mogłaby być nawet nie z gumy, lecz choćby średnio wygimnastykowana. Ale przyjęła propozycję.

– Dobra. Najpierw wstań, stopy na szerokość bioder, ramiona wzdłuż ciała, o tak, i powoli, bardzo powoli, pochyl głowę do przodu. Powoli, bardzo powoli.

Max zademonstrował zadziwiający wdzięk przy wykonywaniu jej poleceń.

– Dobrze, teraz opuść brodę do klatki piersiowej. Powoli, powoli, powoli...

Bułka z masłem, pomyślała. Przeciągnę to na co najmniej dziesięć minut. Niestety, zmieniła zdanie, kiedy Max źle zrozumiał instrukcję, wyciągnął głowę do przodu, stracił równowagę i runął jak długi na stolik, który załamał się pod jego ciężarem.

Usiadł powoli, bardzo powoli i potarł krwawiący podbródek. Spojrzał na Tess rozbawiony.

– Jeśli uda ci się przeciągnąć pochylanie głowy na półtorej godziny, wszystko będzie dobrze – orzekł.

6

Dzisiaj jest pierwszy dzień z reszty twojego życia! Tess stłumiła uśmiech, czytając słowa starannie wykaligrafowane na kartce.

– Laro, śliczne! Dziękuję!

– Super, co? Przeczytałam to w książce. Zapamiętam to zdanie do końca życia!

Max zerknął na kartkę zmęczonym wzrokiem. Źle spał.

– Wspaniała. To bardzo miło z twojej strony, skarbie. Przedstawili Larze starannie ocenioną wersję ostatnich

wydarzeń. Tess uważała, żeby nie obwiniać Maksa, a Max robił co w jego mocy, by ustrzec córkę przed co bardziej dotkliwymi aspektami bankructwa. Jak dotąd jej dobry humor świadczył, że im się udało.

Lara pobiegła włożyć nowy szkolny mundurek – czy raczej najlepszy używany, jaki udało im się znaleźć – a Max spojrzał na Tess.

– Chociaż, skoro koniecznie chciała cię uszczęśliwić banałem, mogła wybrać: „Nie musisz być świrem, żeby tu pracować, ale to pomaga”.

Tess uderzyła go pieszczotliwie, zadowolona, że z jego głosu zniknęły nuty goryczy. Przytuliła się do niego na chwilę, zanim rzeczywistość postawiła ich na nogi.

– Najdziwniejsze w banałach jest to, że są prawdziwe.

Max odsunął się od niej i spojrzał jak na przedstawicielkę innego gatunku.

– Czy ja cię znam? Gdzie się podziała moja żona, która nie znosi przeciętności? Czy teraz zaczniesz cytować mądrości z kart urodzinowych?

Tess się skrzywiła.

– Pomyślałam tylko, że jeśli chodzi o rzecz wielkiej wagi... –a tutaj mamy z takimi do czynienia, wiedzieli o tym oboje –...nie wiemy, jak sobie z nimi radzić. Nie mamy doświadczenia, nie znamy odpowiednich słów. Mogę na dwadzieścia różnych sposobów powiedzieć: Przykro mi, że twoja *au pair* zbiła kryształ, który miał dla ciebie wielką wartość sentymentalną. Ale nie wiem, co ci powiedzieć, zanim po raz pierwszy wyruszysz po klientów. I nie wiem, co powiedzieć samej sobie, kiedy najchętniej skuliłabym się pod kołdrą i wstała dopiero, kiedy wszystko będzie jak dawniej.

Max objął ją mocno.

– Włączmy radio, może akurat grają optymistyczną piosenkę, która sprawi, że się uśmiechniemy i uznamy to za dobrą wróżbę na przyszłość. W filmach zawsze tak jest.

Tess nie była przekonana, ale nie chciała psuć mu zabawy. Włączyła radio przy łóżku. Zgodnie z obecną pozycją społeczną słuchali programu drugiego – byli za starzy na pierwszy, za mało wyrefinowani na trzeci i teraz za biedni na czwarty.

Rozległ się znany utwór instrumentalny. Żadne z nich nie mogło sobie przypomnieć tytułu.

– Fleetwood Mac, to wiem – mruknął Mac.

Tess zmrużyła oczy, usiłując wygrzebać tytuł z zakamarków pamięci. Lecz dopiero kiedy utwór dobiegł końca i Terry Wogan podał tytuł płyty, oboje pstryknęli palcami, bo już wiedzieli. I zaraz zapadali w ponurą zadumę, gdy dotarło do nich znaczenie tytułu.

Brzmiał on: *Albatros*.

Millie nie obchodziło, że jest poniedziałek. W jej stanie ducha to nie miało znaczenia. Każdy dzień był gorszy od poprzedniego, i tak cały czas, odkąd się dowiedziała, że jest w ciąży.

– Nie chodzi tylko o ciążę – tłumaczyła. – Chociaż to też nie poprawia mi samopoczucia. Do tego ta baba, która zjawiała się nie wiadomo skąd, w najgorszym możliwym czasie. Akurat kiedy nie radzę sobie z włosami, a co dopiero z mężem.

– Mówił coś o niej? – zapytała Fiona.

Przestała już namawiać Millie, żeby pierwsza poruszyła ten temat.

Przyjaciółka pokręciła głową.

– I to mnie martwi. Gdyby chodziło tylko o tamten lunch, nie przejmowałabym się tak bardzo, ale to wszystko to tylko wierzchołek góry lodowej. Między nami nie było najlepiej od wielu miesięcy, może nawet lat.

Odkroiła wielki kawał ciasta marchewkowego i podsunęła Fionie. Organique zamknięto w zeszłym tygodniu, a Millie nadal miała zamrażarkę pełną ciast i ciasteczek. Ponieważ w ciąży straciła apetyt na słodczy, raczyła gości ogromnymi porcjami, czy tego chcieli, czy nie.

Fiona od razu straciła apetyt.

– Millie, wiem, że będziesz na mnie wściekła, że to mówię, ale to tylko hormony, sama wiesz. Widzisz wszystko w czarnych barwach.

Millie pokręciła głową.

– Nie, to coś więcej. Problem w tym, że kiedy się ma czworo dzieci, nie masz nawet czasu, żeby pomyśleć.

Przy tych słowach Fiona nabiła na widelczyk olbrzymi kęs ciasta.

– Więc chociaż od dawna miałam przykre wrażenie, że Tim nie jest szczęśliwy – ciągnęła Millie – ten problem zawsze lądował na samym końcu listy rzeczy do zrobienia. Wiesz, takiej, która się zaczyna od: „nakarmić dzieciaki”, a potem wylicza wszystkie zbiórki, wycieczki, baseny, prezenty na przyjęcia i tak dalej. Niestety, jest na tyle długa, że nigdy nie dotarłam do: „Zapytać męża, czy jest ze mną szczęśliwy”. Powiedz, że jesteś taka sama.

Fiona była gotowa przyznać, tylko po to, żeby Millie poczuła się lepiej, ale uznała, że nie fair byłoby wprowadzać przyjaciółkę w błąd, zamiast namawiać ją do działania.

– Wiem, o co ci chodzi z tymi listami. Graham też jest na samym końcu mojej, ale kiedy coś jest nie tak, zaraz przesuвам go na początek.

– A skąd wiesz, że coś jest nie tak? Jestem taka zmęczona, że sił starcza mi tylko na spełnianie żądań dzieci. Zawsze sądziłam, że kiedy trochę podrosną, uda mi się wszystko między nami naprawić. Myślałam, że Tim zdaje sobie sprawę, iż to tylko chwilowy chaos.

– Może on naprawdę o tym wie, ale teraz jest w szoku, jak ty, przez kolejne dziecko. Przecież wasz „chwilowy chaos” potrwa co najmniej pięć lat. Nie sądzę, żeby Graham dobrze zniósł taką wiadomość.

Millie nie była przekonana.

– Więc co, przesadzam, kiedy sobie wyobrażam, że to już trwa od pewnego czasu?

Fiona nie była pewna. Ostatnio zauważyła, że Tim się bardzo wyciszył. Nigdy nie był specjalnie rozmowny, to fakt, lecz ostatnio tak daleko błędził myślami, że czuła się głupio, zaczynając z nim rozmowę. Miała wrażenie, że przerywa mu konwersację z kimś innym, choć w rzeczywistości był po prostu głęboko zamyślony. Mówiąc o tym Millie, starannie dobierała słowa.

– Takie jałowe rozważania nie mają sensu. Fakty są takie: będziecie mieli dziecko, a Tim jest nieszczęśliwy. I nie będzie szczęśliwszy, kiedy dziecko już przyjdzie na świat, jeśli już, będzie mu gorzej, więc radziłabym ci wyjaśnić to wszystko teraz, póki panuje względny spokój.

Millie się zadumała.

– Myślałam, czy nie poczekać z tym do wakacji. To tylko kilka miesięcy. Znajdziemy tam chwilę dla siebie, a z dala od Londynu Tim jest zawsze swobodniejszy.

– Jakie wakacje? – zdziwiła się Fiona.

– Dom we Francji! – wyjaśniła Millie. – Myślałam, że już zdecydowaliśmy.

– No tak. – Fiona skinęła głową. – Póki Max i Tess się nie wycofali. Wydawało mi się, że postanowiliśmy, że bez nich nie jedziemy.

Millie wyglądała, jakby miała się zaraz rozplakać.

– Ależ skąd! Przecież Tess nie będzie nam żałowała wakacji. Robimy co w naszej mocy, żeby jej pomóc, ale chyba nie oczekuje, że zmienimy plany tylko po to, by cierpieć razem z nią.

– Na miejscu Tess właśnie tego bym oczekiwała! – rzuciła Fiona lekko.

– No tak, ale Tess nie jest taka jak ty – palnęła Millie bezmyślnie.

Au! stęknęła Fiona w myślach.

– Pewnie masz rację, ale i tak uważam, że byłoby jej przykro. Nic się nie stanie, jeśli poczekamy do ferii w październiku.

Millie się załamała.

– A tak na to liczyłam! Nic się nie zmieni, jeśli będziemy tu siedzieć i czekać na październik. Do tego czasu dziecko się urodzi, a wtedy będzie jeszcze gorzej. Nie, to musi być lipiec!

Fionę zaniepokoił gwałtowny rumieniec Millie.

– No to może tylko nasze rodziny wyskoczą gdzieś na długi weekend?

Millie zapaliła się do tego pomysłu.

– Super! I Tess na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu.

Fiona już niczego nie była pewna. Sięgnęła po kolejny kęs ciasta, ale zobaczyła, że zjadła wszystko. W całym tym stresie pochłonęła je do ostatniego okruszka. Świetnie, zaczynam jeść ze zmartwienia.

Millie zaraz dołożyła jej jeszcze większy kawałek, a Fiona natychmiast się do niego zabrała. Stres złagodniał. Teraz już rozumiem, czemu niektórzy zajadają problemy, myślała. Dzięki temu zaokrąglę się jeszcze bardziej i będę tym lepszą kandydatką do talk-show, w których główne tematy to seks z mężem siostry i zaburzenia łaknienia.

Millie obserwowała, jak je, co błyskawicznie stłumiło apetyt Fiony. Głęboko zaczerpnęła tchu, chociaż nie było to łatwe, bo jej żołądek szczelnie wypełniało ciasto marchewkowe.

– Wiesz co, pogadam z Tess, wybadam sytuację, dowiem się, co o tym sądzi. Jeśli się nie zdenerwuje, może jednak pojedziemy.

Millie się rozpromieniła. Fiona pogroziła jej palcem.

– Ale nie odkładałabym rozmowy z Timem do lipca. Jeśli już teraz jest źle, nie wiadomo, co się wydarzy do tego czasu. Na twoim miejscu zrobiłabym coś.

Mam coś zrobić, pomyślała Millie. Niby co? Teraz uważam za nie lada sukces, jeśli uda mi się wyjść z domu w butach do pary. Ale może Fiona ma rację i działanie okaże się skuteczniejsze od słów. Bo przecież Tim prawdopodobnie odpowie, że wszystko w porządku, jeśli go zapytam.

Zapewne powinnam wynająć prywatnego detektywa. I jeśli naprawdę coś go łączy z tą kobietą, naślę na nią płatnego mordercę, żeby ją załatwił, jakoś krwawo i boleśnie... Tess mi pomoże, w nowym sąsiedztwie na pewno poznała płatnych zabójców.

Zaparzyła sobie herbaty na odzyskanie rozumu, zanim zadzwoni do Quentina Tarantino po radę.

W końcu opanowana, streściła swoje troski w słowach zrozumiałych dla jej umęczonego mózgu. Wszystko sprowadzało się do jednego: skreca ją z zazdrości, że Tim spotyka się z dawną ukochaną.

Z tej perspektywy od razu dostrzegła rozwiązanie, genialne w swej prostocie. Odpowie mu pięknym za nadobne, żeby zrozumiał, jak bardzo ją rani.

Teraz muszę tylko znaleźć byłego ukochanego. W tym problem, bo przed Timem nikogo nie miałam.

Tim od wielu miesięcy nie był równie szczęśliwy. Zdawał sobie sprawę, że to tylko iluzja, a jednak dzięki temu jego życie stało się znośniejsze – stanowiło tylko tło dla pikniku z kobietą, którą pokochał jako pierwszą. To jedynie marzenia, ale w jego życiu nie było marzeń od... właśnie, od czasów Alison.

- Jedź ze mną – poprosiła dwadzieścia lat temu.
- Nie mogę – odparł. – W październiku zaczynam studia w Southampton.
- Odłóż to na rok, zdążysz wrócić, jeśli nadal będziesz chciał.
- Nie mam pieniędzy – tłumaczył.
- Będziemy zarabiać w podróży – wyjaśniła.

Kontrowała każdą wymówkę. Wymienił nawet swoją skłonność do infekcji gardła jako dowód, że nie może oddalać się od domu. Zdawał sobie sprawę, że wychodzi na mięczaka, ale nie mógł się powstrzymać.

W końcu Alison przestała go przekonywać. Patrzyła na niego długo, a potem zapytała:

- Ja czy świat?
- Słucham?
- Co cię tak przeraża? Ja czy świat?

Milczał, bo nie wiedział. Nie przygotował się na takie pytanie. Miał idiotyczną nadzieję, że pójdą na studia, zamieszkają razem, pobiorą się, a potem, no cóż, potem to nieważne.

W Alison odnalazł coś, czego sam nie miał. Była jego pewnością siebie, jego wyobraźnią, odwagą, śmiałością. Jako zakompleksiony nastolatek z zerową samooceną był przekonany, że tych cech w nim nie ma. Musiał je zdobyć, jak markowe džinsy, i Alison okazała się strzałem w dziesiątkę.

Lecz nigdy nie przyszło mu do głowy, że jej ambicje sięgają dalej niż brakujące czterdzieści procent osobowości przyszatego, nerwowego nastolatka.

Zresztą nie mógł tak po prostu zmienić planów i pojechać za nią na koniec świata, bo w głębi duszy nigdy nie wierzył, że Alison może kochać kogoś, kto jest sobą tylko w połowie. Wiele lat później Millie powiedziała mu, że może nie ma wszystkiego, ale ma to, co się liczy. Dopiero wtedy dotarło do niego, że nie jest gorszy niż inni, że wszystkim czegoś brakuje.

Ta świadomość różniła go od chłopca sprzed lat. Dzięki niej poznawał Alison po raz kolejny, jako nowy człowiek. Był inny i dzięki temu zastanawiał się – choćby przelotnie – czy ich związek mógłby być inny.

Zmienił plan dnia, poprzesuwał spotkania z popołudnia, żeby mieć dłuższą przerwę na lunch. Jego kolegów bawił ten przypływ energii. Zazwyczaj był ucieleśnieniem spokojnej, wydajnej pracy, zabawnym dziwakiem w nieformalnej firmie komputerowej. Wszyscy żartowali, że według Tima można regulować zegarek. Jego przerwy na lunch nigdy nie trwały dłużej niż godzinę, choćby w tym czasie miał wizytę u dentysty.

Lecz dzisiaj wszystko było inaczej, jakby chciał udowodnić, że jeszcze nie wszystko o nim wiedzą, że nadal się zmienia.

– Nie wiem, kiedy wrócę – powiedział spokojnie do recepcjonistki, zanim wyszedł kwadrans po dwunastej. – Ale mam włączoną komórkę.

Koledzy odprowadzali go zdumionym wzrokiem.

– Pewnie ma rozmowę kwalifikacyjną – rozeszło się po biurze.

– No bo przecież nie randkę – zgadzali się. – To nie ten typ.

Lecz Tim właśnie się zmieniał i sam jeszcze nie wiedział, co z tego wyniknie.

Max dokładnie wiedział, jakim jest człowiekiem. A teraz martwił się, i to bardzo. Nie tak wyobrażał sobie życie. Będzie woził nieznajomych na lotnisko, rozmawiał z nimi o wakacjach? I to nawet nie w swoim samochodzie. Czuł się nie na miejscu za kierownicą renault clio Fiony, w takim kobiecym wozie. Dziwne uczucie, na które nie ma miejsca w jego życiu, i tak już pełnym zmartwień.

Przez godzinę siedział w biurze korporacji i omawiał z innymi kierowcami najlepsze trasy przejazdu. Chociaż prawdę mówiąc „koledzy” byłoby tu za dużo powiedziane.

Czuł się nie na miejscu w dżinsach zaprasowanych w kant i dopasowanej koszulce, ale zawsze się tak ubierał. Ponieważ ciało wiecznie go zdradzało rozmiarem i niesfornymi włosami, starał się, by jego ubraniom nic nie można było zarzucić. Była to jedna z nielicznych obsesji, które dzielił z Tess. Oboje gorączkowo starali się kontrolować te aspekty życia, na które mieli wpływ. Kiedy każdy dzień niesie nowe wyzwania, tym ważniejsze, by chociaż wygląd się nie zmieniał.

Zdziwiła go różnorodność mężczyzn w biurze. Niektórzy rzeczywiście odpowiadali stereotypowi taksówkarza – niezrozumiały akcent, rozbiegane oczy, podejrzaną plamę na siedzeniach w samochodzie – lecz inni byli tacy jak

on. Zwykli faceci, którzy wykonują normalną, nieźle płatną pracę i czekają, aż los się do nich uśmiechnie.

Szef miał na imię Archie. Trudno było określić, ile miał lat, gdzieś między pięćdziesiątką a siedemdziesiątką. Jego twarz naznaczyły alkohol, nikotyna, ciężkie życie albo po prostu upływ czasu. Nie sposób powiedzieć, czy był optymistą, czy pesymistą – miał zbyt wiele zmarszczek, by stwierdzić, czy częściej się uśmiechał, czy krzywił.

Gęste ciemne włosy, ledwo muśnięte siwizną, sugerowały, że może jest młodszy, niż na to wygląda, ale jego strój...

Nosił brązowe sztruksy, z których wylewał się brzuch opięty flanelową koszulą w kratę i czarną kamizelką. Brakowało tylko gitary, kowbojskich butów i baru w Nashville, pełnego rozochoconych tancerzy.

Max z trudem powstrzymał uśmiech.

Kiedy szef skończył wyliczać wszystkie zasady, okazał się całkiem miły. Przynajmniej miły w rozumieniu Maksa, który obawiał się, że zagrozi mu śmiercią, jeśli utkwi w korku.

– Dawaj sobie dużo czasu, nie przekraczaj dozwolonej prędkości, nie drażnij pasażerów i wszystko będzie dobrze – tłumaczył Archie.

– A co mam robić, jeśli pasażer sprawia kłopoty? – zapytał Max nieśmiało.

Kierowców ubawił jego brak doświadczenia.

– Musisz się nauczyć wyczuwać kłopoty, zanim facet wsiądzie do twojego wozu. Kiedy już jest w środku, możesz liczyć tylko na siebie. Na szczęście to się nie zdarza zbyt często, zwłaszcza jeśli sprawiasz wrażenie typa, który umie zadbać o własny interes.

Po wysłuchaniu takich rad Max postanowił się nie cesać, nie golić i nie uśmiechać.

– Najgorsi są pijacy, którzy rzygają w samochodzie – ostrzegł inny kierowca.

Max pomyślał o wozie Fiony i zmówił szybką modlitwę. Zniosę handlarzy narkotyków, wielokrotnych morderców, naciągaczy, którzy uciekną bez płacenia, ale błagam, niech nikt nie zarzyga obić Fiony, proszę. Rozważał, czy na koniec nie dodać „amen”, lecz uznał, że to bardzo głupie. Mimo wszystko był z siebie dumny, że się uciekł do modlitwy, choćby niekonwencjonalnej i ponadwyznaniowej. Dzięki temu nie czuł się aż takim hipokrytą na myśl o niedzielnej wyprawie do kościoła z Larą i Tess.

Po wielu dyskusjach zdecydował, że pojedzie na lotnisko Stansted autostradą A 11. Nie miał odwagi i szczerze mówiąc, wystarczającej orientacji w terenie, by posłuchać kilku kierowców i wpuścić się w płataninę bocznych dróg.

Zabrał pasażerów bez problemów. Była to czteroosobowa rodzina, wybierali się do Disneylandu. Dwóch chłopców energia rozpierała do tego stopnia, że Max się obawiał o antenę radiową. I zaraz sobie przypomniał, jak Lara wymiotowała z przejęcia, gdy po raz pierwszy zabrali ją na Florydę.

Mam się znowu modlić czy co? – dumał. Jak to działa? Muszę zapytać Wspaniałego Wikarego przy najbliższej okazji. Na wszelki wypadek powtórzył prośbę o podróż bez przygód żołądkowych. W końcu nikogo jeszcze nie wykopali z nieba za nadmiar modlitw, tak się w każdym razie jemu, laikowi, wydawało.

– Proszę się nie obawiać – ojciec chłopców chyba czytał mu w myślach.
– Dostali tabletki przeciwko chorobie lokomocyjnej i wkrótce zasną.

Super, pomyślał Max. Jak wrócę do domu, zrobię listę życzeń.

Dzieciaki nie zasnęły, były za bardzo podekscytowane, ale ochłonęły trochę. I nie wymiotowały. Max czuł się dziwnie, wioząc nie swoją rodzinę. Co

chwila chciał poprosić kobietę o miętusa. W pewnym momencie jeden z chłopców jęknął, że jego brat jest głupi.

– Nie wolno tak mówić. – Max powiedział to bez namysłu. Zarumienił się i przeprosił.

– Proszę się nie przejmować – zapewniła matka. – Miło usłyszeć, że ktoś inny też zwraca im uwagę. Może pana bardziej posłuchają.

Max poczuł dumę; nawet na tak kiepskim stanowisku człowiek honoru się wyróżnia. Zmienił zdanie, kiedy rodzina wysiadła, a on odkrył na tylnych drzwiach gumę do żucia z napisem GŁUPI, wyrytym paznokciem.

Jednak nawet to nie popsulo mu humoru, gdy dostał czterdzieści pięć funtów gotówką za kilka godzin pracy. Nie szkodzi, że musi oddać prowizję Archiemu. Nie był taki zadowolony, odkąd jako trzynastolatek po raz pierwszy odebrał pieniądze za roznoszenie gazet. Kalkulował w myślach – kilka takich kursów dziennie, do tego parę godzin w nocy, lepiej płatnych, i będzie miał nawet trochę czasu, żeby szukać lepszej posady.

Optymizm zaprowadził go do lokalnego sklepu z alkoholami. Okiennice wyglądały na kuloodporne, na ścianach, zamiast plakatów instruujących, w jakiej dokładnie temperaturze podawać poszczególne wina, wisały ręcznie napisane kartki z ostrzeżeniem: *Spróbuj nas okraść, a dopadniemy cię jak psa!* oraz: *W kasie tylko drobne – grube na zapleczu, razem z kijem baseballowym i pitbulem!*

Postanowił w żadnym wypadku nie napadać na ten sklep, gdyby kiedyś zszedł na drogę przestępstwa.

Zaszalał, kupił butelkę przyzwoitego australijskiego pinot noir. Rozejrzał się po sklepie. Zapewne nikt go nie będzie tu zapraszał na degustacje nowych trunków, jak to było w zwyczaju w starej dzielnicy.

Sprzedawca, szeroko uśmiechnięty Azjata, podał mu resztę. Pewnie w życiu nie sprzedał takiej drogiej butelki, pomyślał Max.

– Lubi pan dobre wina? – zapytał sprzedawca.

– Owszem, ale muszę się liczyć z każdym groszem.

– Jestem Rav. – Sprzedawca wyciągnął rękę. Nie był wysoki, mierzył niewiele ponad metr pięćdziesiąt, lecz wydawał się wyższy dzięki dumnej postawie. Miał na sobie dziwny zestaw ubrań – eleganckie spodnie zaprasowane w kant i sweter robiony na drutach, z wizerunkiem golfisty z przodu. Jednak emanowała od niego radość życia – tylko to słowo przychodziło Maksowi na myśl, gdy starał się zdefiniować poczucie harmonii i spokoju, które ten człowiek w nim budził.

Lubię go, zdecydował. Ta świadomość okazała się pierwszym małym krokiem w stronę pozytywnego myślenia w krainie goryczy, która go otaczała.

Rav uśmiechnął się ciepło.

– Następnym razem, kiedy przyjdiesz, poczęstuję cię moim specjałem.

Max zbeształ się w myślach za snobizm. Źle ocenił mały sklepik.

– Bardzo chętnie – ucieszył się. – A co to jest?

– Wino wytwarzane przez moją rodzinę. Jesteśmy jedynym sklepem w Anglii, który je sprzedaje. – Był wyraźnie dumny.

Max nie bardzo rozumiał.

– Twoja rodzina? Chcesz powiedzieć, że...

Rav skinął głową.

– Tak! Bombaj! Nie wiedziałeś, że w Bombaju też się produkuje wino, co?

Max wiedział na pewno, że nie, ale przecież nie będzie dyskutował z facetem, który ma kij baseballowy i pitbula.

– Wiem, co sobie myślisz – ciągnął Rav – ale się zdziwisz. Następnym razem zobaczysz.

Max wyszedł. Najdziwniejsze, że już się cieszył na kolejne spotkanie z Ravem i degustację indyjskiego wina.

Pierwszego dnia reszty swojego życia poczuł się kosmopolitą. Krąg jego znajomości, zarówno zawodowych i prywatnych, znacznie się poszerzył. Miał do czynienia z ludźmi i uczuciami, o których wcześniej nie miał pojęcia. I przetrwał o własnych siłach, bez Tess, która co chwilę mu powtarza, że wszystko będzie dobrze.

Może wcale nie będzie tak źle, pomyślał z dumą.

Jest gorzej, niż myślałam. Tess bolały płuca, czuła się, jakby sforsowała dokładnie wszystkie mięśnie w ciele. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie musiała ukrywać wysiłku przed uczennicami. Szczerze mówiąc, one też wyglądały na ledwo żywe. Tylko że w ich przypadku to oczywiste. Instruktorka natomiast powinna sprawiać wrażenie, że dla niej wszystkie ćwiczenia to banał.

Heather powitała ją ciepło i przedstawiła innym paniom przed zajęciami.

– Drogie panie, z wielką przyjemnością przedstawiam naszą nową instruktorkę jogi. Nie tylko zgodziła się trenować z nami, będzie także uczyć nasze dzieci. Tess Keane!

Wszystkie kobiety uśmiechały się i biły brawo. Emanowało od nich ciepło, silne i autentyczne. Tess nie wiedziała, jak zareagować. W Clapham tak nie było. Tam na ćwiczeniach kobiety półgłosem rozmawiały z przyjaciółkami, co chwila poprawiały fryzury albo chwaliły się swoją zręcznością, często się przeciągając. Instruktorka była jedną z personelu. Nikt nie chciał się z nią przyjaźnić.

Lecz te kobiety w niczym nie przypominały bywalczyń prywatnych klubów sportowych. Po pierwsze, wyglądały inaczej, nie pasowały do stereotypu szczupłej, zadbanej damy, która wystawia się na widok publiczny pod mało przekonującym pozorem, że musi nad sobą pracować. W rzeczywistości chodzi na siłownię po to, żeby eksponować piękne ciało w body Reeboka.

A kobiety z Heaverbury naprawdę chciały się zmienić. Czy było im to potrzebne, czy nie, to inna sprawa, jako że trudno to ocenić, bo ich ciała nikły w obszernych t-shirtach i dresach. Oczywiście było wśród nich kilka pań z nadwagą, ale te szczupłe wydawały się jeszcze bardziej zmęczone, przygnębione troską wypisaną na ich twarzach. Były w różnym wieku, od dziewczyn po dwudziestce po ów nieokreślony wiek, nazywany obecnie wiekiem średnim, w którym kobieta jest tak długo, jak tego pragnie.

Obiecała sobie, że nie sprawi im zawodu. Może dla niej to tylko okazja do zarabiania pieniędzy, ale dla nich te zajęcia są ważne. Żałowała tylko, że nie podjęła tej decyzji kilka dni wcześniej; mogłaby się lepiej przygotować.

– Zaczniemy od rozgrzewki – powiedziała nerwowo, odchrząknęła i powtórzyła to samo głośniej i bardziej stanowczo.

Kobiety wykonywały jej polecenia, pochylały głowy powoli, bardzo powoli i żadna się nie przewróciła. Punkt!

Jednak trwało to tylko dziewięćdziesiąt sekund i Tess zrozumiała, że będzie musiała zaryzykować bardziej, niż tego chciała. Zamiast proponować tylko podstawowe ćwiczenia i tym samym, być może, wzbudzić ich podejrzenia, zrobi wręcz przeciwnie. Każe im wykonywać ruchy i figury tak zaawansowane, że się nie zorientują, że instruktorka nie ma o niczym pojęcia, do tego stopnia pochłoną je wysiłki, by przybrać niewyobrażalne pozycje.

Tak, to się uda.

– Dobrze, teraz kładziemy się na podłogę i zamykamy oczy.
– Posłuchały, a Tess dyskretnie zajrzała do torby, w której ukryła książkę *Joga dla opornych*, tak na wszelki wypadek.

Zerknęła na sam koniec, na pozycje dla zaawansowanych, i zajęła się uczennicami z nowym entuzjazmem.

– Świetnie. Jak wiecie, nie znam was i nie wiem, na jakim jesteście poziomie. Początkowo miałam zamiar zacząć od podstawowych ruchów, żeby się przekonać, ile umiecie, ale uznałam, że to zbyt nudne!

Pomruk zgody upewnił ją, że podjęła właściwą decyzję. Mówiła dalej:

– Spróbujemy wykonać kilka bardziej zaawansowanych ćwiczeń, zobaczymy, jak sobie poradzicie. Oczywiście nie chcę, żeby komuś stała się krzywda, więc nie zrobimy nic na tyle trudnego, żebyście nie mogły chociaż spróbować.

Tak było napisane na okładce książki. Nie miała wyjścia, musiała w to wierzyć. Kiedy Heather zapytała o ubezpieczenie, Tess uśmiechnęła się głupio i powiedziała, że oczywiście ma wszystkie potrzebne dokumenty i przyniesie je, kiedy tylko się rozpakują... To samo powtórzyła pani Bowers w szkole, gdy ta zapytała o jej uprawnienia instruktorskie.

I zajmie się tym wszystkim naprawdę, kiedy tylko przeżyje pierwsze zajęcia. Na razie musi dopilnować, żeby nikt niczego nie połamał, w wyposażeniu ośrodka i we własnym ciele.

Dyskretnie ukryła otwartą książkę za torbę, żeby nikt jej nie dostrzegł.

– No dobrze. Klękamy twarzami do okna i wyciągamy ramiona równoległe do podłogi, daleko, daleko... Teraz wyciągamy lewą nogę...

Kobiety stękały i dyszały, a Tess wstała i przechadzała się po sali, jakby sprawdzała, czy wszystko dobrze robią. Już myślała, że dadzą sobie spokój i poproszą, żeby im pokazała, jak to się robi, gdy zobaczyła, że Heather wygląda

niemal tak jak kobieta na ilustracji w podręczniku. Zachwycona, klasnęła w dłonie.

– Uwaga! Proszę spojrzeć na Heather! Widzicie? O to chodzi.

Do końca zajęć posługiwała się tą wymówką – kazała Heather przejść na przód i demonstrować wszystkie dziwaczne pozycje, które na dzisiaj wybrała. Nie planowała tego, ale ta metoda okazała się skuteczniejsza, niż gdyby sama wszystko demonstrowała. Tak przynajmniej sądziła.

Mimo wszystko zajęcia były także dla niej wyczerpujące fizycznie, bo sama też wykonywała niektóre ćwiczenia. Uważała, że powinna starać się bardziej, wkładać więcej wysiłku niż pozostałe i jej ciało stawiało opór. Przeżyła jednak i była nawet w stanie chodzić i oddychać, choć to oznaczało maksimum koncentracji i bólu.

Pod koniec zajęć kazała wszystkim znowu położyć się na podłodze. Były to ćwiczenia oddechowe i relaksacyjne, w których i ona wzięła udział, bo głowa pękała jej z bólu.

Okazało się, że jest bardzo podatna na medytację. Zasnęła w ciągu minuty. Na szczęście obudziła się przed końcem zajęć i liczyła, że nikt niczego nie zauważył.

Kiedy pozwoliła paniom powoli wstać – w książce podkreślali, żeby robić to powoli, żeby uniknąć zawrotów głowy, więc sądziła, że to ważne – z radością słuchała komentarzy wyczerpanych, ale szczęśliwych kobiet.

– Super – powiedziała jedna. – Poprzednia instruktorka nie pozwalała nam na takie rzeczy, twierdziła, że to zbyt niebezpieczne.

Tess zrobiło się nieswojo, ale przez ostatnie półtorej godziny przywykła już do ukrywania takich uczuć. Heather uściskała ją serdecznie.

– Widzisz? Nie było tak strasznie, co?

Tess odwzajemniła uścisk z wdzięcznością.

– Pierwsze zajęcia z nową grupą zawsze są stresujące, ale wszystko się ułoży.

– Oczywiście. – Heather skinęła głową. – A teraz pójdziesz z nami na lunch?

Tess się zawahała. Ostatnio ciągle myślała o pieniądzach. Heather czytała jej w myślach.

– Nie martw się, tam jest tanio jak barszcz. To zaleta Heaverbury.

Wszystkie kobiety ją namawiały, aż w końcu uległa i zgodziła się z nimi pójść.

To wcale tak bardzo się nie różni od mojego dawnego życia, pomyślała radośnie.

Tess jeszcze nigdy nie była w takim miejscu. Nie wiedziała nawet, jak je określić, za duże na kawiarnię, za obskurne na restaurację. Nad wejściem wisiał szyld z napisem: U CARTERA. W życiu nie widziała tak obszernej karty dań. Na dwunastu kartkach były chyba wszystkie kombinacje jarzyn i mięsa znane angielskiej kuchni.

– Nigdzie nie ma cen – szepnęła do Heather.

– Bo wszystko kosztuje tyle samo; zestaw obiadowy – jeden dziesięćdziesiąt dziewięć. Dowolne danie główne, deser i herbata.

Tess była przerażona. Przecież coś tak taniego na pewno jest niejadalne! A już na pewno nie ekologiczne. Przeglądała menu w poszukiwaniu najbezpieczniejszej opcji.

– Weź spaghetti bolognese – zaproponowała któraś z kobiet. – Zawsze jest pyszne.

Tess obawiała się, jakiego rodzaju mięso ukrywa się pod pomidorowym sosem. Heather po raz kolejny zdawała się czytać w jej myślach.

– Bardzo dobra wołowina – powiedziała. – Widzisz Carol, o tam? – wskazała potężną uśmiechniętą kobietę na krańcu stołu. – Jej mąż jest rzeźnikiem, dostarcza Carterowi mięso. Żadnej koniny, gwarantuję!

Tess miała dość przyzwoitości, by się zarumienić, i zamówiła spaghetti u Cartera we własnej osobie. Na pierwszy rzut oka dałaby mu coś około stu pięćdziesięciu lat. Miał włosy lśniące od brylantyny i smoking wyświecony od ciągłego używania. Ostatnio była bardzo wyczulona na nowo poznanych ludzi, przyczyniło się do tego odrzucenie, którego doświadczyła od starych znajomych, oczywiście z wyjątkiem Fiony i Millie. Carter miał zgarbione ramiona człowieka, który zaznał wielkiej rozpaczki albo ciężko pracował, albo jedno i drugie. Lecz na jego twarzy widniała pogodna akceptacja wszystkiego, co mu przyniósł los, a ciepłe oczy sugerowały, że poczucie humoru jest jego najcenniejszą bronią. Kiedy się odezwał, zauważyła, że sztuczne zęby były trochę za duże, przez co miał nienaturalnie szeroki uśmiech. Polubiła go od razu.

– Jakim cudem zawsze wiesz, co myślę? – zwróciła się do Heather. – Czy to jakiś dar?

– Nic równie wzniosłego – prychnęła Heather. – Mówiłam ci, byłam taka jak ty. Wszystko wydaje się dziwne i podejrzane, bo nowe. Kiedy tu zamieszkałam, ktoś mi pomógł. Byłam taka wdzięczna, że teraz cieszę się, iż mogę się odwdzięczyć, pomagając następnej osobie.

Tess miała łzy w oczach, i tym razem nie były to łzy nad sobą, tylko wdzięczności, że doświadcza tyle dobroci od obcej osoby.

– Dziękuję – powiedziała.

Podano jedzenie i Tess nie mogła się nadziwić gigantycznej porcji.

– W życiu tego nie zjem!

– Musisz, inaczej Carter się obrazi – usłyszała. Z obawą spróbowała makaronu.

– To jest... niewiarygodne – orzekła. Skłamałaby twierdząc, że to najlepsze spaghetti bolognese, jakie w życiu jadła, w końcu tyle urlopów spędziła we Włoszech, jednak z pewnością od dawna nie jadła tak dobrego domowego jedzenia. Herbata była taka sama jak ta, którą piła z Heather – mocna, brązowa i cierpka. Tess zaczynała ją lubić.

Zjadła wszystko, usiadła wygodnie i rozpięła górny guzik dzinsów.

– Jakim cudem on na tym zarabia, przy takich cenach? – zwróciła się do Heather.

– Wieczorami ceny są wyższe, i to znacznie, ale i tak sala nie świeci pustkami.

Tess była rozczarowana.

– Szkoda, chciałam przyprowadzić tu Maksa, ale jeśli jest drogo, to...

– Dostałaś wczoraj lokalną gazetę? – zapytała Heather.

– Tak, ale jeszcze jej nie przejrzałam.

– Znajdziesz w niej mnóstwo kuponów zniżkowych na kolacje. Są tylko w naszej gazetce, tym sposobem Carter odwdzięcza się lokalnej społeczności za duży ruch w czasie lunchu i zniżki, których mu udzielają tutejsi sklepikarze.

– Deser, moje panie? – zapytał Carter i wręczył im nową kartę dań – dwie strony różnych deserów. Były tam lody, budynie i bita śmietana, osobno, razem i z różnymi ciastami.

Tess nie miała już miejsca na deser, jednak wcisnęła w siebie szarlotkę z budyniem.

– W życiu lepszej nie jadłam! – orzekła.

Heather się rozpromieniła, zadowolona, że Tess uległa urokom Cartera, podobnie jak ona, kiedy przyszła tu po raz pierwszy. Wszystko wskazuje na to, że i Tess się odnajdzie w nowej rzeczywistości.

Ta tymczasem myślała o starych przyjaciółkach. Może któregoś wieczoru przyjdziemy tu wszyscy razem? Skoro mnie się podoba, Fiona i Millie też będą zadowolone.

Fiona szła do domu na piechotę, objedzona ciastem Millie. Z niepokojem zobaczyła niewielką ciężarówkę przed domem. Pochmurni młodzi mężczyźni wystawiali skrzynie bez przesadnej troski o ich zawartość.

O nie, pomyślała. Wpadła do domu przez otwarte drzwi. Walburga, jej *au pair*, kulila się w kuchni i wysłuchiwała wykładu, jak przyrządzać herbatę. Wygłaszała go matka Fiony.

– Najpierw trzeba ogrzać dzbanek, inaczej liście zamykają się w sobie i nie wydzielają aromatu.

Walburga tłumaczyła sobie wszystko dosłownie i doszła do wniosku, że starsza pani oszalała. Liście się denerwują? Jednak posłusznie kiwała głową, choć w duszy obiecywała sobie, że jej noga nie postanie w kuchni, jeśli będzie tam ta wariatka.

– No, do roboty, dziewczyno!

Zdała sobie sprawę, że ma zaparzyć herbatę, i zerwała się na równe nogi. Nie była pewna, czy matka pracodawczyni może wydawać jej polecenia, ale bała się odmówić. Wzięła imbryk i wstawiła go do piecyka.

– Co ty wyprawiasz?! – wrzasnęła Daphne.

– Ogrzewam imbryk – odparła Walburga niespokojnie. – Pani mi kazała.

– Głupia! Trzeba nalać gorącej wody i pokręcić!

Walburga zalała się łzami. Fiona zakazała jej mówić dzieciom, że są głupie, bo to obraźliwe słowo. Dziewczyna uznała je za straszną obelgę, którą

można określić jedynie kryminalistów ze społecznych dołów. A teraz słyszy, że jest głupia, chociaż robi to, co jej kazano! Wybiegła z kuchni i minęła Fionę.

Przepraszam! – chciała za nią zawołać Daphne. Nie mogła jednak. Nigdy nikogo nie przeproszała, ani męża, ani dzieci, a co dopiero nieznanym. Zawsze uważała, że inni powinni po prostu wiedzieć, kiedy jest ci przykro, i nie oczekiwać, że to powiesz. Wcale nie miała zamiaru sprawić przykrości tej dziewczynie; chyba to rozumie? Po prostu bardzo chce się napić herbaty, czekała na tę chwilę od rana, odkąd zapakowała imbryk. I chce, żeby była taka, jak trzeba. Tylko tyle.

– Co jej powiedziałaś, mamó? – zaczęła Fiona oskarżycielskim tonem.

– Nic takiego. Tłumaczyłam tylko, jak się parzy herbatę. O ile pamiętam, mówiłaś, że *au pair* przyjeżdżają tu poznać nasz język oraz kulturę. A wiem, że ty jej tego nie nauczysz, ty z twoją obsesją na punkcie herbaty z torebek!

– To żadna obsesja. W dzisiejszych czasach większość ludzi parzy herbatę z torebek, bo tak jest po prostu szybciej. Uważasz, że wszyscy mają obsesję?

– Może nie otrzymali należytego wychowania, w przeciwieństwie do ciebie.

Fiona ugryzła się w język i w dolną wargę. Ugryzłaby się we wszystko, byle jeszcze bardziej nie drażnić Daphne. Jest tu od pięciu minut i proszę, co narobiła, pomyślała.

– Jeśli tak uważasz, mamó.

– Nie musisz traktować mnie z góry. Nie jestem niedołęzna.

Fiona milczała przez chwilę, żeby się opanować, a potem zabrała się do parzenia herbaty tak, jak lubiła jej matka. Gdyby Daphne była w innym pomieszczeniu, zaparzyłaby herbatę z torebki i skłamała. Robiła tak już nieraz

i matka nigdy nie zauważyła różnicy. Jednak pod jej czujnym wzrokiem musiała to zrobić Jak należy".

– Myślałam, że przyjedziesz dopiero po południu – zauważyła, pilnując się, żeby w jej głosie nie było ani odrobiny wyrzutu.

– A co, miałam siedzieć na podłodze w pustym, nieogrzewanym domu, żeby nie zakłócać ci porządku dnia? – warknęła Daphne. Dlaczego to mówię? – pytała się zdesperowana. Dlaczego po prostu nie powiem jej, że umieram z bólu, a jeszcze przez dwie godziny nie mogę brać tabletek, i że po prostu muszę się czymś zająć albo zwariuję? Dlaczego nie powiem: nie zwracaj na mnie uwagi, to wszystko przez ból?

Nie chciała jednak, żeby Fiona traktowała ją jak niedołążną staruszkę. Nie wiedziała właściwie, jak córka ma ją traktować. Żałowała, że nie może cofnąć czasu i na nowo zbudować ich relacji. Tym razem rozmawiałyby z nią i słuchała, co ma do powiedzenia. Nie krytykowałyby jej za podejmowanie decyzji, bo wiedziałyby, że Fiona i tak postąpi po swojemu, ale gdyby miała aprobatę matki, ich życie byłoby o wiele spokojniejsze.

Nie mogła jednak cofnąć czasu, musiała zacząć tu i teraz, na starych, nadwreżonych fundamentach. A póki plecy nie przestaną boleć, nie będzie w stanie pomyśleć o niczym pozytywnym.

– Dobrze się czujesz, mamó? – zapytała Fiona z niepokojem w głosie. – Znowu dokuczają ci plecy? – Odkąd zadzwonili do niej ze szpitala z informacją, że przyjęto matkę na oddział ze strasznym bólem kręgosłupa, była wściekła, że Daphne uparcie zaprzecza, jakoby miała problemy ze zdrowiem.

Niestety, Daphne tak skutecznie ukrywała cierpienie, że Fiona sądziła, iż matka kontroluje sytuację. Gdyby pozwoliły sobie na większą szczerłość, córka zrozumiałaby, skąd się bierze ciągle rozdrażnienie Daphne i nie atakowałaby jej tak szybko.

– Przestań się nade mną trząść! Moim plecom nic nie jest, a filiżanka dobrej herbaty wyleczyła już gorsze schorzenia – warknęła Daphne.

– Świetnie – mruknęła Fiona.

Zaparzyła herbatę, którą matka niechętnie uznała za „znośną”, i zaprowadziła ją do przygotowanego wcześniej pokoju. Daphne ostrożnie położyła się na łóżku.

– Zdrzemnę się – powiedziała krótko. A kiedy córka wyszła, rozplakała się.

Fiona wróciła na dół i zadzwoniła do Grahama do pracy.

– Przyjechała – powiedziała z napięciem. Graham milczał przez dłuższą chwilę.

– Mam wracać?

Była mu wdzięczna, wiedziała, że naprawdę przyjechałby do domu, chociaż wolałby siedzieć w pubie i liczyć na to, że płatny morderca zaoferuje mu swoje usługi, jak to się zdarza dziennikarzom z niedzielnych wydań gazet. Musi jednak poradzić sobie z tym sama.

– Nie trzeba, ale dzięki, że to zaproponowałeś. Po prostu chciałam cię usłyszeć. – Opowiedziała incydent z Walburgą i herbatą. Graham wydawał wszystkie odpowiednie odgłosy współczucia. Fiona była na siebie wściekła, że analizuje każde jego słowo, sprawdza, czy nie jest przesadnie współczujący. To wina matki, pomyślała, przez nią wątpię w siebie i w Grahama.

– Jestem po twojej Stornie, Fi – powiedział na koniec. Mówił szczerze, ale nie udało mu się żony przekonać.

Nie był w stanie całkowicie wcielić się w rolę troskliwego męża, chociaż naprawdę chciał. Po prostu miał inne zmartwienia. Przygotowywał się psychicznie na ciężkie chwile w domu i jednocześnie myślał o e-mailu, który

niedawno dostał. To był już piąty w tym miesiącu, a on nadal nie wiedział, co z tym zrobić.

Dałbym dużo, żeby teraz mieć kogoś po mojej stronie, pomyślał ze smutkiem.

TTLR

Jak się udał piknik? – zapytał Graham. – Jeśli masz zamiar wygłosić następny wykład, daruj sobie – rzucił Tim agresywnie. – Cieszę się, że pojechałem, i wcale nie mam wyrzutów sumienia.

– Nie, nie dlatego dzwonię. Naprawdę jestem ciekawy. W pewnym sensie czuję się odpowiedzialny. Było nie było, to ja ci powiedziałem o tej witrynie internetowej. – Graham miał nadzieję, że mówi nonszalancko.

Tim się najeżył.

– Co nie znaczy, że o niej nie słyszałem. Jesteś tylko pierwszym, kogo znam, kto z niej skorzystał. – Nie podobało mu się, że Graham przypisuje sobie zasługi za pierwszy spontaniczny gest w jego dorosłym, nie, właściwie w całym jego życiu.

– No to jak było?

Tim głęboko zaczerpnął tchu. Wróciły wspomnienia, które towarzyszyły mu od wczoraj.

– Niewiarygodnie – powiedział. – Wspaniale.

Graham stłumił jęk zniecierpliwienia. Nie to chciał usłyszeć. Domagał się konkretów, szczegółowej analizy spotkania, wszelkich uczuć i, co najważniejsze, tego jak to się odbiło na Timie.

Lecz ten zamienił się w nastolatka, który płodzi pierwszy w życiu liś miłosny.

– Była taka piękna...

– Przepraszam, że ci przerywam. – Graham wpadł mu w słowo. Nie lubił takich rozmów w żadnych okolicznościach, a już zwłaszcza w biurze, w otoczeniu innych mężczyzn pracujących w skupieniu, i chciał ją odbyć jak najszybciej. Tego dnia założył nawet swój najnudniejszy krawat, ozdobiony

dyskretnym logo firmy telekomunikacyjnej (wygrał go na loterii fantowej), żeby jak najmniej zwracać na siebie uwagę. A teraz koledzy patrzyli na niego ciekawie. – Co się właściwie działo? – zapytał.

Co się działo? Tim o niczym innym nie myślał.

Alison odebrała go z dworca i zawiozła do parku oddalonego o pięć minut drogi.

– To mój dom – rzuciła od niechcienia, gdy mijali niedużą działkę. Tim się odwrócił, ale widział tylko ogródek na tyłach domu. O to właśnie chodziło Alison, chciała dać mu jedynie przedsmak.

Tim rozkoszował się przejażdżką i skorzystał z okazji, by przyjrzeć się Alison. Podczas pierwszego lunchu nie zwracał uwagi na jej wygląd. Nadal widział w niej nastolatkę.

Jednak z bliska przekonał się, że postarzała się bardziej niż on, tak przynajmniej sądził. Dokoła jej oczu i ust pojawiły się zmarszczki. Oczy, dawniej koloru czekolady, wydawały się wyblakłe, może ze względu na czarny eyeliner i brązowe cienie. Mocny makijaż miał odwracać uwagę od jej nieładnych ust. Oczywiście Tima, nawet gdy widział pewne niedoskonałości, nadal poruszało jej piękno.

Miała na sobie długą sztruksową, czerwoną sukienkę, w odcieniu identycznym jak jej włosy. Włosy! Dopiero teraz zauważył, że je ufarbowała. Były ogniście rude, jakby przesadziła z nakładaniem henny. Farba wysuszyła je, aż stały się kruche i suche. Jak włosy staruszki, przyłapał się na myśli. Nie podobało mu się to. Farbowanie włosów sugeruje chęć stałej, świadomej zmiany, a takie plany budziły w nim nieufność.

– Co się stało z twoimi włosami? – zapytał.

Alison pokręciła głową, rozbawiona.

– Nie do wiary, że dopiero teraz zwróciłeś na to uwagę. W zeszłym tygodniu siedziałeś naprzeciwko mnie przez godzinę i nie zauważyłeś, że już nie jestem brunetką?

Też się nad tym zastanawiał.

– To dlatego że dla mnie twój wygląd nigdy nie miał znaczenia. Oczywiście to, że mi się podobałaś, było dodatkowym atutem, ale przede wszystkim liczyło się dla mnie to, jaka byłaś.

Alison zmarszczyła zabawnie czoło.

– Właściwie mogłabym się obrazić. W przeciwieństwie do tego, co głoszą feministki, kobiety lubią, kiedy zwraca się uwagę na ich wygląd.

– Przykro mi. – Był wstrząśnięty. Przywykł do Millie i jej przyjaciółek, które zmieniły się w klony tej samej osoby po urodzeniu pierwszego dziecka. Jeśli nie liczyć wieczornych wyjść, wszystkimu, co ze sobą robiły, zdawało się przyświecać jedno – wygoda.

Wygodne buty, niekłopotliwe fryzury, funkcjonalne ciuchy, wszystko bardzo drogie i wszystko spełniające dwojaką funkcję; z jednej strony podkreślały ich przynależność społeczną, z drugiej – skutecznie tłumiły wszelkie przejawy indywidualizmu.

Lecz Timowi nie przeszkadzało to ani trochę. Nawet gdyby Millie nosiła spódniczki z trawy, nie pozbyłby się narastającego wrażenia, że jego małżeństwo okazało się wielkim rozczarowaniem.

Alison nie zmieniła się tam, gdzie to ważne. Nadal była tą samą silną, odważną, zdecydowaną dziewczyną, jak wtedy kiedy miała osiemnaście lat. Szczegóły się nie liczą.

– Nie przejmuj się. – Poczł muśnięcie jej dłoni. – Wiem, jaki jesteś. Nie musisz się tłumaczyć.

Myślał, że ulga go rozsadzi. Dopóki tego nie powiedziała, nawet nie zdawał sobie sprawy, iż od lat czekał, żeby usłyszeć te słowa. Że chciał, aby ktoś go rozumiał, ale żeby nie musiał przy tym niczego wyjaśniać.

Oczywiście Millie znała go dobrze, ale zawsze próbowała go lepiej zrozumieć. Bez przerwy zadawała pytania, na które nie chciał odpowiadać, szukała skomplikowanych motywów, choć był w gruncie rzeczy prostym człowiekiem. Zauważył nagle, że od jakiegoś czasu przestała. I dobrze, pomyślał uparcie.

Alison zaprowadziła go wąską ścieżką na trawiastą polanę otoczoną drzewami, które rosły tak gęsto, że zdawały się tworzyć ścianę.

– Jak pokój pod gołym niebem – zauważył ze zdziwieniem.

– No, siadaj – ponaglała. – Umieram z głodu. Rozpakowała siatkę z supermarketu. Okazało się, że zabrała

tyle kanapek, sałatek i ciast, że wystarczyłoby spokojnie dla ośmiu osób. Nie było kaszanki, ale truskawek też nie. Tim czuł, że spokojnie może spojrzeć Grahamowi w twarz.

– Super! – roześmiał się.

– Co cię tak bawi?

– Nic z tego nie jest ekologiczne, o niskiej zawartości tłuszczu czy domowej roboty. Wszystko po prostu kupiłaś! I to nie w Marks and Spencer! Millie wstydziłaby się nazwać to piknikiem. Jeśli jedzenie lub jego przygotowanie nie wiąże się z cierpieniem, ma wrażenie, że nie spełnia się jako żona, matka i żywicielka. Podoba mi się, że to takie niekłopotliwe.

Natychmiast poczuł się winny. Po raz pierwszy opowiada Alison o Millie, i nie powiedział nic dobrego. Gorączkowo szukał czegoś pozytywnego w tej sytuacji. Może, jeśli spróbujemy dokładnie określić, co jest nie tak w

naszym małżeństwie, uda nam się to z Millie naprawić, tłumaczył sobie, choć sam nie wierzył w ani jedno słowo.

– Nic nie szkodzi. – Tym razem dłoń Alison zatrzymała się na jego ręce na dłużej. – Nie zdradzasz żony, mówiąc, że zorganizowałam lepszy piknik!

Jednak oboje wiedzieli, że powiedział coś więcej.

– Po prostu nie chcę marnować czasu narzeczy, w których inni są ode mnie lepsi, na przykład na gotowanie – ciągnęła. – To tylko jedzenie.

Było pyszne, a fakt, że pochodziło ze sklepu, zwalniał Tima od obowiązku komplementowania każdego kęsa, ba, mógł w ogóle nie zwracać na nie uwagi. Mógł spokojnie skupić się na Alison.

Który to fakt Alison z całą premedytacją uwzględniła, planując piknik.

– Nie dusisz się w małym miasteczku po tylu podróżach? – zapytał i wygodnie wyciągnął się na trawie.

Położyła się obok.

– Właśnie przez te wszystkie podróże w końcu zapragnęłam osiąść na stałe. Nie mogłabym żyć tak jak ty, prosto po szkole na studia i od razu do korporacji. Małżeństwo, hipoteka, cały ten kram? No wiesz, nie zastanawiasz się czasami, co jest za granicami twojego świata?

Tim poczuł się zagrożony.

– Pewnie że tak. Ale nie można mieć wszystkiego.

– Ja mogę. W każdym razie robiłam wszystko, co chciałam. Ty też mogłeś. Wystarczyło pojechać ze mną i wrócić. Komputery by poczekały. Może nawet i tak poznałbyś Millie i spłodził te wszystkie dzieci, ale miałbyś wspaniałe wspomnienia, a nie tylko marzenia co by było gdyby.

– Może twoje wspomnienia nie byłyby takie wspaniałe, gdybym z tobą pojechał.

Alison uniosła brew.

– Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy. Byliśmy przyjaciółmi. Nigdy się nie kłóciliśmy. Rozumieliśmy się świetnie. Podobały nam się te same rzeczy, mieliśmy te same marzenia.

– Mając ciebie, miałem wszystko. Nie musiałem walczyć się po świecie w poszukiwaniu spełnienia. Ale ja najwyraźniej ci nie wystarczyłem.

Spojrzała na niego.

– Dla ciebie to zawsze było albo – albo, a dla mnie – i jedno, i drugie.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Tim jadł, co chciał, nie czuł się w obowiązku dokończyć któregoś dania, żeby kogoś nie urazić. Rozkoszował się spokojem; wreszcie nie musiał pilnować dzieci, ścierać ze spodni plam z dżemu czy śmiać się z dowcipów przyjaciółek Millie. Zdawał sobie sprawę, że jest wobec niej nieuczciwy, nawet myśląc w ten sposób, ale nie mógł się opanować.

Miał wrażenie, że od spotkania z Alison w jego mózgu nastąpiło krótkie śpięcie i nagle myśli biegną zupełnie innym torem niż zazwyczaj.

W myślach cofał swoje życie do momentu, gdy pozwolił jej odejść. W wyobraźni jechał z Alison. To byłoby lepsze życie niż obecne, o wiele lepsze. Podróże nie tylko poszerzały jego horyzonty, ale też rozwijały go, aż w końcu spełniał oczekiwania wszystkich i samego siebie.

Zbliżali się z Alison coraz bardziej, razem poznając świat. Złagodniała, powściągnęła ambicje, nauczyła się od niego pokory.

A potem, w tej alternatywnej cudownej rzeczywistości, wrócili do Anglii, pobrali się i...

– Ali, dlaczego nie masz dzieci? – zapytał ciekawie.

Zbierała śmieci do reklamówki.

– Nie chcieliśmy. – Unikała jego wzroku. – Pospiesz się! Musisz zdążyć na pociąg, a ja mam po południu zabieg.

– Przepraszam, jeśli sprawiłem ci przykrość. – Tim chciałby, żeby zwolniła. – Nie powinienem pytać. – Wziął ją za rękę.

Czekał, póki na niego nie spojrzała.

– Przepraszam – powtórzył.

– Nie masz za co. Nie ma sprawy.

– Powiedziałaś: „nie chcieliśmy”? To naprawdę wspólna decyzja?

Alison udawała, że się zastanawia, choć analizowała to pytanie tysiące razy. Szukała odpowiedzi zrozumiałej dla Tima. To ważne.

– W małżeństwie nie ma czegoś takiego jak wspólne decyzje. Chyba to wiesz. Niemożliwością jest oczekiwać, że dwoje ludzi podejmuje dokładnie pięćdziesiąt procent decyzji. Z mojego doświadczenia wynika, że jedno z partnerów ma zawsze decydujący głos.

– Więc to... jak mu tam, nie chciał dzieci? A ty tak?

– Ma na imię Gabriel. Nie, to nie takie proste. Kiedy się poznaliśmy, powiedziałam, że nie chcę mieć dzieci. Nawet kiedy się pobieraliśmy, byłam przekonana, że nie chcę zakładać rodziny. Planowaliśmy popracować w Anglii kilka lat, trochę zaoszczędzić, a potem wyjechać z Lekarzami Bez Granic* w jakiś zakątek świata, gdzie nasze umiejętności naprawdę się przydadzą.

Tim niemal słyszał, jak młoda Alison snuje plany z brazylijskim idealistą.

– I co się zmieniło?

– Ja. Nie mam pojęcia dlaczego, może to wpływ oddziałów położniczych, a może po prostu odezwał się zegar biologiczny. Miałam nadzieję, że Gabriel poczuje to samo. Myliłam się.

** Lekarze Bez Granic – Medecins Sans Frontieres, międzynarodowa organizacja pozarządowa utworzona w 1971 roku przez grupę francuskich lekarzy. Zajmuje się pomocą medyczną w krajach najbiedniejszych oraz dotkniętych klęską żywiołową lub wojną*

Timowi zrobiło się jej żal.

– Co zrobiłaś? Alison westchnęła.

– Rozmawialiśmy o tym miesiącami, ale nie było szans na kompromis. Ja chciałam mieć dziecko, i to szybko, on – w ogóle. W końcu było bardzo źle. Wyjechał dwa tygodnie temu.

Tim myślami cofnął się w czasie. Dwa tygodnie. Mniej więcej wtedy odezwała się do niego po raz pierwszy. Ktoś bardziej bystry dostrzegłby w tym zbiegu okoliczności jej desperację. Lecz dla Tima był to logiczny ciąg wydarzeń – koniec małżeństwa, więc czas na kolejny krok. Postąpiłby tak samo.

– Więc jakie masz teraz plany? Alison podniosła na niego wzrok.

– Nie wiem. A ty?

Lecz Tim musiał się spieszyć na pociąg. Pytanie pojechało z nim, choć nie wspomniał o tym w rozmowie z Grahamem. Podobnie jak nie powiedział ani słowa o dzieciach. Po prostu zapomniał.

– Jakie masz plany? – zapytała Tess Maksa.

Przeciągnął się i ziewnął. Poszedł spać o trzeciej nad ranem, po kursie na lotnisko Gatwick.

– Pomyślałem sobie, że posiedzę trochę w biurze. Najlepsze zlecenia trafiają się tym, którzy tam są. No i lepiej poznam chłopaków.

– Chłopaków? – powtórzyła rozbawiona. – Od kiedy mówisz „chłopaki”?

Max puścił to mimo uszu.

– A ty co? Startujesz w maratonie?

Puściła to mimo uszu. Jakiś cudem zwlokła się z łóżka, ale nie była w stanie wyprostować ani pleców, ani nóg. Poczłapała do saloniku zagraconego

pułdami, które trzeba rozpakować. Nerwowo grzebała w górnych warstwach, szukała paracetamolu, alkoholu, czegokolwiek, co uśmierzy ból.

– Myślałam, że jestem w niezłej formie – mruknęła do Maksa. Przyszedł za nią do saloniku, rozkoszując się widokiem żony, która z trudem powłóczy nogami. – Chyba jestem lepszą instruktorką, niż myślałam. Poruszyłam we własnym ciele mięśnie, o których istnieniu nie miałam pojęcia. No bo czy przyszłoby ci do głowy, że masz jakieś w opuszkach palców? Nawet tam mnie boli.

Starał się zrobić poważną minę.

– Gdybym był złośliwy, powiedziałbym, że dobry instruktor nie doprowadza uczniów na skraj paraliżu, a przynajmniej sam może się poruszać.

Tess cisnęła w niego czymś ciężkim, gdyby miała władzę w rękach. W tym momencie do saloniku weszła Lara, już w szkolnym mundurku.

Tess i Max nie wierzyli własnym oczom. Tess zrobiłaby nawet dramatyczny gest, gdyby była w stanie.

– Nie do wiary – stwierdził Max. – Gdzie się podziała dziewczynka, którą siłą ściągałem z łóżka groźbami, prośbami, a czasami nawet przekupstwem?

Lara przewróciła oczami. Cholera, pomyślała Tess. To akurat mogłam zrobić. Przewróciła oczami, żeby się przekonać, czy nie bołą. Nie.

Lara nasypała sobie płatków kukurydzianych.

– Nie chcę się spóźnić do szkoły – wyjaśniła. – Umówiłam się z dziewczynami przed lekcjami, wymienimy się naklejkami.

Max i Tess nie mogli wyjść z podziwu, że córka tak łatwo przystosowała się do nowej szkoły po ostatnich dramatycznych przejściach.

Lara wsunęła kopiałą łyżkę do ust.

– A po szkole idziemy razem do sklepu, kupić błyszczące rajstopy. Poproszę pięć funtów.

Łup! Max i Tess boleśnie wrócili na ziemię. Spojrzeli na siebie z rozpaczą. Lara zawsze dostawała wszystko, czego zapragnęła. Wiedzieli, że wcześniej czy później będzie musiało do tego dojść, lecz żadne nie chciało jako pierwsze brutalnie ściągać jej na ziemię.

– Proszę. – Max z pochyloną głową wyjął banknot. Lara wsunęła go do portfela i mruknęła pod nosem:

– Dzięki, tato.

Tess łypnęła na Maksa, z trudem hamując wściekłość. Więc to ja mam być ta wredna, tak? Wiedziała, że powinna zabrać córce banknot, lecz nie była w stanie tego zrobić. Później, zdecydowała. Teraz nie mam siły na awanturę.

Obudzili się w dobrych humorach, szczęśliwi, że stosunkowo łatwo przeżyli pierwszy dzień ubóstwa. Co prawda Max był wykończony, a Tess straciła czucie w całym ciele, ale były to nowe wrażenia – jak wszystko inne – przez to wydawały się dziwnie odpowiednie. Sprzeczki o pieniądze były nieuniknione i Tess postanowiła, że nie pozwoli, by to popsuło jej cały dzień.

– Może się później zobaczymy – powiedziała do córki.

– Po co? – Lara zmarszczyła brwi. Nie podobało jej się, że matka chce się wdrzeć na jej nowe terytorium.

– Na pewno już ci mówiłam. Uczę jogi. No, nie do końca jogi, raczej ćwiczeń oddechowych i relaksacyjnych.

– Takich, jakie prowadziłaś wczoraj w domu kultury?

Tess skinęła głową.

– Czy ty naprawdę to potrafisz? – zapytała Lara ze zwątpieniem. – W mojej starej szkole tego nie robiłaś.

– Bo nikt mnie o to nie prosił – odparła Tess niespokojnie. Uzgodnili z Maksem, co powiedzą córce na temat nowej pracy mamy. Nie mogli zdradzić jej prawdy i liczyć, że zatrzyma ją dla siebie. Miała dziesięć lat i była dziewczynką – nie sposób, żeby tego nie wypaplała. Wymyślili więc bajeczkę, jak to Tess uczyła jogi przed narodzinami Lary i dopiero teraz znalazła czas, żeby ponownie się tym zająć.

Lara, jak większość dzieci, miała trudności z uświadomieniem sobie, że w życiu rodziców działo się cokolwiek ważnego przed jej przyjściem na świat, więc historyjka była na tyle nudna, że przy odrobinie szczęścia zazwyczaj ciekawa dziewczynka da im spokój.

– Obiecay mi coś, mamó – poprosiła poważnie.

Tess nadstawiła uszu.

– Słucham.

– Obiecay mi, że nie włożysz legginsów w lamparcie cętki ani tej koszulki, przez którą widać ci stanik, ani rajstop w paski i niczego z cekinami. To wcale nie jest trendy!

Tess zdziwiła się, jaką przykrość sprawiła jej ta prośba. Lara wyliczyła jej ulubione ciuchy, jej domowy mundurek. Kupiła te rzeczy sama, wkładała, kiedy nie było z nią nikogo albo kiedy wyjeżdżali na urlop bez przyjaciół. Stanowiły jej strój cywilny, to był świadomy wybór, protest przeciwko uniformowi żony z przedmieścia.

Czasami zastanawiała się, czy stopniowo nie odejść od powszechnie obowiązującego stylu, który przecież przejęła zupełnie odruchowo, do rzeczy w jej guście. Wiedziała jednak, że się na to nie zdobędzie. Za dużo pytań.

Zawsze czuła się najbardziej sobą w niekonwencjonalnych ciuchach, lecz córka się wstydzi takiej matki. To bolało. Tess musiała wrócić do klatki, z której ostatnio nieśmiało wyszła na wolność.

– Dobrze, nie włożę – zapewniła. Chciała, żeby Lara była z niej dumna. To ważniejsze niż jej uczucia. – A może pożyczę twoją koszulkę ze złotym napisem? – dodała poważnie.

– Mamo! – dziewczynka wrzasnęła na całe gardło.

– Żartuję. – Choć wolałaby, żeby tak nie było. Czuła, że Heather radośnie pomaszerowałaby do szkoły w przezroczystej koszulce i miała w nosie, co powiedzą na to jej dzieci.

Usłyszeli szcęk otworu na listy i stukot wpadających kopert. Lara pobiegła je przynieść. Była jeszcze na tyle młoda, że każda korespondencja wydawała się jej fascynująca. Nawet w reklamach były czasem długopisy czy naklejki, Ale teraz wiedziała, że to same nudy. Wszystkie koperty były brązowe. Podała je ojcu. Spojrzał na nie z niesmakiem.

– Mieszkamy tu dopiero od czterdziestu ośmiu godzin. Jakim cudem już dostajemy rachunki?

– Otwórz – ponaglała Tess. – Może to tylko ulotki.

– Poczekajmy, aż Lara wyjdzie – szepnął.

Tess się skrzywiła. Pewnie, że nie powinni tego robić, póki Lara jest w domu, ale powinna sama o tym pomyśleć, a nie czekać, aż Max zwróci jej na to uwagę.

– Cześć, mamo!

Tess zerknęła na zegarek.

– Już idziesz?

Lara westchnęła. Było to westchnienie charakterystyczne dla dzieci, które irytuje głupota rodziców.

– Mówiłam ci, mamo, umówiłam się wcześniej.

Max przedrzeźniał jej westchnienie.

– Mówiła ci, mamo.

Tess zerknęła na niego groźnie.

– W porządku, skarbie. Baw się dobrze.

Lara szybko pocałowała rodziców i już jej nie było. Tess spojrzała na Maksa.

– Wyobrażasz sobie, że do zeszłego tygodnia nie chodziła do szkoły na piechotę, zawsze ją zawoziliśmy? Co prawda głupotą byłoby jechać, skoro szkoła jest o pięćdziesiąt metrów stąd.

Max wyczuł, że jej duma przeplata się ze smutkiem; ich córka dorasta.

– Mieszka w nowej dzielnicy, chodzi do szkoły, gdzie do niedawna nikogo nie znała, a jest pogodna jak zwykle.

Tess się uśmiechnęła.

– Zawsze powtarzaliśmy, że dobrze byłoby, gdyby mogła chodzić do szkoły na piechotę.

– No proszę! – Max uśmiechnął się sztucznie. – Czasami najlepsze decyzje podejmuje za nas los.

– Skoro tak mówisz... Zobaczymy, co powiesz, jak zobaczysz te rachunki.

Usiadł, powoli otworzył wszystkie koperty, zerknął na zawartość każdej z nich – niestety, to nie były ulotki – i poskładał je w równy stosik na stole.

– No i co? – niepokoila się Tess.

Głęboko zaczerpnął tchu.

– Mamy problem.

Tess zamknęła oczy. Wakacyjny romans z biedą dobiegł końca. Fajnie było, ale czas wracać do domu, gdzie co prawda traci się opaleniznę, lecz można pić wodę z kranu.

I co teraz? Zastanawiała się. Wiedziała, że powinna powiedzieć to głośno, ale Max był za bardzo przybity. Później, zdecydowała. Położyła mu dłonie na ramionach. Gdyby nie obolałe mięśnie, zrobiłaby mu masaż.

– Poradzimy sobie – powiedziała.

– Jak? – w jego głosie pojawiła się panika.

– Oboje dzisiaj pracujemy. Pogadamy o tym później.

Maksowi odrobinę poprawił się humor na myśl o pracy. Zawsze przemawiała do niego idea praktycznych rozwiązań. I zawsze wolał praktyczne problemy od emocjonalnych, jak na przykład kwestia dziecka. Źle znosił rady typu: „myśl pozytywnie, ciesz się tym, co masz, krok po kroczku”. Za to doskonale rozumiał zdanie: „jedź na lotnisko Stansted, zobaczysz, ile zarobisz”.

Pragnął towarzystwa ludzi, którzy niczego o nim nie wiedzą, którzy nie oczekują, że się zachowa w określony sposób. Chciał udawać, że nic się nie stało, że sprawuje pełną kontrolę nad swoim życiem i nie potrzebuje wsparcia od żony czy kogokolwiek innego.

Przypomniawszy sobie, jaki miły był Archie z biura, gdy przyjął nocne zlecenie, którego nikt nie chciał. Archie, fajny koleś. Nie próbowałby go chronić, nie pytałby, jak się wygrzebie z długów.

Właśnie z nim chciałbym teraz być. Z Archiem.

Zerwał się energicznie.

– Wezmę prysznic i lecę. Może trafi się jakiś biznesmen spóźniony na lotnisko.

Odepchnął dłonie Tess.

Zdawała sobie sprawę, że choćby codziennie woził na lotnisko po kilku biznesmenów, niewiele to poprawi ich sytuację. Stłumiła rozgoryczenie, że zostawia ją ze wszystkimi zmartwieniami na głowie.

Sama wybrałam tę rolę, pomyślała. Muszę się z tym uporać. Ale kto mi pomoże? Kto mnie wysłucha i doradzi? Max zwraca się do mnie, a ja do kogo?

Chciałabym być teraz z Heather.

– Chyba mamy problem – zaczęła Millie.

Tim zagryzł usta. Teraz drażniła go każda inwazja Millie w jego myśli. Nie miał nic przeciwko temu, póki trzymała się koniecznych tematów: dzieci, pytania, kiedy on wróci do domu, plotek o jej cholernych przyjaciółkach – przy tym mógł się wyłączyć i odruchowo wydawać odpowiednie pomruki, gdy oczekiwała jego reakcji. Lecz wszystko, co wymagało skupienia, drażniło go.

– Co? – warknął. Złagodniał widząc jej minę. – Przepraszam, skarbie, nie chciałem. Mam problemy w pracy.

– Nic na ten temat nie mówiłeś – zaniepokoiła się nie na żarty. – Co się dzieje?

Super, pomyślał, teraz muszę jeszcze zmyślać problemy, jakby prawdziwe mi nie wystarczyły.

– Nic poważnego, po prostu męczący klient. Poradzę sobie.

Uśmiechnął się sztucznie, przez co stał się niepokojąco podobny do Jacka Nicholsona w *Lśnieniu*. Kiedy ten już oszalał i latał po labiryncie z nożem. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego uśmiech, by Millie zrozumiała, że nie jest to odpowiedni moment, aby podzielić się z mężem złą nowiną. Na razie da mu spokój, porozmawiają, kiedy będzie w lepszym humorze. Bo choć jeszcze tego nie wie, mają ważny temat do omówienia.

Tima bolały mięśnie od sztucznego uśmiechu.

– No, powiedz, o co chodzi?

Millie poklepała jego dłoń, jakby był dzieckiem zwracającym na siebie uwagę.

– To może poczekać. Leć do pracy. – Pocałowała go w czubek głowy i pobięła wymiotować do łazienki.

Nie znoszę, kiedy to robi, pomyślał i wzdrygnął się po przelotnym całusie. Jakbym był jej piątym dzieckiem. Traktuje mnie jak dziecko. Mam tego dosyć. Chcę być dorosły i móc prowadzić poważne rozmowy z innymi dorosłymi. Chcę się komuś zwierzyć z moich problemów i przede wszystkim – porozmawiać o czymś, o czymkolwiek, co nie dotyczy dzieci.

Chcę Alison.

– A, jeszcze jedno! – zawołała Millie z łazienki.

Co znowu? Tim zamknął oczy i wykrzesał z siebie resztki cierpliwości.

– Tak, kochanie?

Millie głęboko zaczerpnęła tchu. Zrób to i już, upomniała się.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że dzisiaj musisz wrócić punktualnie, bo wychodzę.

– Z kim?

– Ze starym znajomym – odparła z całą tajemniczością, na jaką mogła się zdobyć między dwoma falami mdłości. Tim wzruszył ramionami i wyszedł. Millie usłyszała trzaśnięcie drzwi. Oby ziarno padło na podatną glebę.

Skuliła się na podłodze. Był to, jak na razie, najgorszy atak porannych mdłości. Ciekawe, czy potęguje go fakt, że martwi się o Tima. Czowała, że coś jest nie tak i nieważne, o co chodzi, wiadomość o jej ciąży nie poprawiła sytuacji.

Cóż, ja też nie jestem zachwycona, pomyślała z goryczą. Cieszyłam się, że wreszcie będę dorosła, kimś więcej niż tylko matką, po prostu kobietą. Zapomniałam tylu rzeczy: jak mówić bez uśmiechu od ucha do ucha i piskliwego głosiku, jak rozmawiać, nie biegając wzrokiem po całym pokoju,

bo przecież któryś dzieciak może coś zbroić, zapomniałam nawet, jak się rozmawia na tematy niezwiązane z dziećmi.

Nic dziwnego, skoro przez dziesięć lat byłam tylko matką. A już miałam to zmienić. Naprawdę. Zaczęłam nawet rano czytać gazetę, a przecież kiedy dzieciaki były w domu, nie miałam na to czasu.

A teraz z tym koniec. Kolejny ranek spędzę w łazience, a resztę dnia – nadrabiając wszystko to, co miałam zrobić przed południem. A później udam, że wychodzę, żeby wzbudzić w Timie zazdrość.

Chyba tracę rozum. Chciałabym z kimś pogadać. Żeby ktoś wysłuchał moich zmartwień, żeby dostrzegł coś więcej niż plastelinę w moich włosach. Aby mi powiedział, czy postępuję słusznie, a jeśli nie, zaproponował inne rozwiązanie.

Chcę Fiony.

Fiona siedziała w kuchni nad filiżanką letniej herbaty, zaparzonej z torebki. Czerpała z tego perwersyjną przyjemność, ale nie wystarczyło to, by zapomniała o koszmarnym poprzednim wieczorze.

Graham wrócił do domu z dwoma bukietami kwiatów, dla niej i dla Daphne. Fiona nie wierzyła własnym oczom. Domyślała się, ile ten gest go kosztował, przecież nienawidzi teściowej, i uściskała go serdecznie. Zignorowała wewnętrzny głosik, który pytał, czy aby nie stara się za bardzo, a jeśli tak, to dlaczego?

– Mamo, zobacz, co Graham ci przyniósł!

Graham trzymał imponujący bukiet lilii. Daphne siedziała sztywno wyprostowana w wysokim krześle. Pocałował ją w policzek i wręczył kwiaty.

Jakie piękne, pomyślała. Chciało jej się płakać na myśl o jego dobroci, zwłaszcza że domyślała się, jak bardzo go drażni jej obecność. Nie może

jednak. Jeśli raz straci panowanie nad sobą, kto wie, co powie albo zrobi? Więc zacisnęła usta w wąską linię i wzięła kwiaty.

– Dziękuję – powiedziała. – Ale nie mogą stać koło mnie. Lilie bardzo brudzą, nie sposób się pozbyć żółtych plam. Fiona, wstaw je do wazonu i postaw gdzieś, gdzie nie wyrządzą za dużo szkód.

Wyszło ostrzej, niż zamierzała. Zawsze tak było, nie wiedziała dlaczego. Ból ustąpił, kiedy zażyła o szóstą tabletkę i chciała jakoś zatrzeć pierwsze nieprzyjemne wrażenie, wyjść na osobę rezydentną i zdecydowaną.

A jak zawsze wyszła na jędzę. Chciała się zmienić, ale nie potrafiła. W moim wieku to niemożliwe, miała na końcu języka, czując na sobie wzrok rodziny. Byli wściekli, że nadal żyje. Milczała jednak. Nigdy nie rozmawiała z dziećmi na takie tematy i już za późno, żeby zaczynać.

Graham zagryzł usta i przełknął gorzkie zarzuty, które podchodziły mu do gardła. Jesteś złą kobietą i okropną matką, miał na końcu języka. Wiedział jednak, że tak będzie, i nie sprawi żonie zawodu.

Lecz Fiona nie była taka spokojna.

– Czy ty nie możesz chociaż raz być miłą dla Grahama? Dlaczego po prostu nie powiesz: „Bardzo ładne. Dziękuję, że mnie przyjęliście pod swój dach. Że ze względu na mnie przemeblowaliście cały dom. Dziękuję, że nie musiałam iść do domu starców”. Dokąd, tak przy okazji, chcieli cię wysłać wszyscy twoi synowie i synowe.

Daphne naprawdę chciała to wszystko powiedzieć, ale nie mogła, a zwłaszcza nie teraz, kiedy Fiona krzyczała, że musi. Jeśli raz zrobisz, co ci każą, tracisz niezależność, wtedy równie dobrze możesz umrzeć.

– Podziękowałam – powiedziała urażona. – Przykro mi, nie wiedziałam, że mam wygłosić mowę. Nie zdawałam sobie sprawy, że muszę dziękować

rodzinie za wszystko, co dla mnie robi. Nie przypominam sobie, żebyś ty mi dziękowała.

Był to wstęp do klasycznej awantury między dziećmi i rodzicami. Fiona знаła to na pamięć. Czasami ją kusiło, żeby nagrać swój tekst i przy następnej okazji tylko włączyć magnetofon.

Postanowiła jednak, że tego wieczoru nic nie zepsuje. Nie będzie może radosny, ale niech będzie przynajmniej cywilizowany. Z jej strony. Dzieciaki, pomyślała. Przy nich matka się kontroluje.

– Pomyślałam, że zjemy wszyscy razem, bo to twój pierwszy wieczór z nami – rzuciła lekko. – Dzieci! Proszę nakryć do stołu!

Tupot ośmiu nóg na schodach oderwał ich myśli od napięcia w kuchni. Fiona podkreśliła ogień, żeby kolacja była szybciej gotowa.

Rebecca, najstarsza, wpadła do kuchni. Daphne uśmiechnęła się szeroko.

– Cześć, kochanie. Odrobiłaś już lekcje?

– Tak, babciu. Mamo, zdążymy z babcią zagrać partyjkę przed kolacją?

– Tak, macie dziesięć minut.

– Chodź, babciu, pospiesz się.

Daphne wstała, najszybciej jak mogła, i poszła za ukochaną wnuczką do salonu.

– Nie wydaje ci się zabawne, że to Rebecca, tak podobna do ciebie, jest jej ulubienicą? – zauważył Graham. On też dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę.

– Chyba żartujesz! Po prostu Rebecca ma do niej najwięcej cierpliwości i jej nie drażni. Wszyscy lubią grzeczne dzieci. Dlatego nigdy mnie nie lubiła i nadal nie lubi.

Graham ją objął.

– Lubi, lubi, po prostu nie wie, jak to powiedzieć czy okazać, ale to już jej strata.

– A niby co straciła?

– Ciebie.

Fiona zamknęła oczy. Nie wiedziała, co powiedzieć. Czasami przytłaczała ją jego dobroć. Był to przykry wpływ matki, która także nie potrafiła brać. Od początku małżeństwa uczyła się, by pozwolić Grahamowi się kochać, lecz w obecności matki przychodziło jej to trudniej. Od razu kwestionowała jego miłość. Odepchnęła go delikatnie.

– Przebierz się. Jeszcze sobie ubrudzisz garnitur pyłkiem lilii i co wtedy?

Naburmuszył się zabawnie i wyszedł z kuchni.

Wieczór nie należał do udanych. Kolacja przeszła bez problemów. Daphne przejawiała anielską cierpliwość wobec wnuków, chociaż podważała wszystkie polecenia Fiony i Grahama, którzy żądali, żeby dzieci zjadały do końca to, co mają na talerzu, zamykały usta w czasie jedzenia i ogólnie zachowywały się jak ludzie, a nie bohaterowie filmu przyrodniczego.

Po kolacji Daphne przeczytała każdemu dziecku bajkę na dobranoc. Fiona słuchała jej głosu przez głośniki monitorujące oddech. Pamiętała, że i jej matka czytała, i zastanawiała się, kiedy i dlaczego przestała to robić.

Daphne także o tym myślała, z tym że ona znała odpowiedzi na te pytania. Pewnego dnia ośmioletnia Fiona wróciła ze szkoły i oznajmiła, że już umie czytać i mama nie musi tego robić.

Było to bezmyślne okrucieństwo, które rodzice uczą się znosić z rąk dzieci, a jednak nadal bolało. Właśnie dlatego tak się cieszyła na wieczory z wnukami.

Później zeszła do saloniku, do Fiony i Grahama. Rozmawiali o tym, jak mu minął dzień. Urwali w pół słowa, kiedy weszła, i od razu poczuła się jak

intruz. Nie zazdrościła im łączących ich więzów. Ba, cieszyło ją szczęście córki. Jej synowie mieli nudne żony, obserwowała, jak się przedwcześnie starzeją, świadomi, że zadowolają się byle czym, lecz niezdolni nic z tym zrobić.

– Położę się – oznajmiła sucho.

– Jest dopiero wpół do dziewiątej – zaprotestowała Fiona. – Myślałam, że się nie kładziesz przed jedenastą czy dwunastą.

Daphne już była przy schodach, każdy krok sprawiał jej ból.

– Nie chcę wam przeszkadzać. Posiedzę u siebie.

Słyszała męczeńskie nuty w swoim głosie i była na siebie wściekła. Nie robiła tego celowo. Po prostu wkładała całą energię w zmuszanie niesfornych kończyn, żeby ruszyły z miejsca. Głos musi radzić sobie sam, a jeśli brzmi staro i żałośnie, no cóż, nie jest ani młoda, ani szczęśliwa z tego powodu.

Przez resztę wieczoru Fiona wyżywała się na Grahamie, który absorbował to jak małżeńska gąbka, jak zwykle. Przykro mi, że tak na niego naskoczyłam, pomyślała następnego ranka. Jemu też jest ciężko, może nawet ciężiej niż mnie, bo to nie jego matka. Ale potrafi słuchać i jest taki cierpliwy.

Po raz kolejny zwróciła uwagę, że tego wieczoru wydawał się jakiś daleki. Wtedy uznała, że to wszystko przez Daphne, ale teraz nie była już taka pewna. Zazwyczaj ledwie padło imię teściowej, wygłaszał kolejną tyradę. I chociaż obiecał, że będzie ją wspierał, liczyła się z tym, że co jakiś czas puszcza mu nerwy.

Nie ma sensu pytać go, czy coś jest nie w porządku, i tak jej nie powie. O ile problem nie dotyczył Fiony i dzieci, wołał uporać się z nim sam.

I może to całkiem niezłe rozwiązanie, pod warunkiem że to rzeczywiście nic poważnego. Choć Fiona i tak wolałaby o tym wiedzieć. Z małych problemów szybko robią się duże, jeśli się ich błyskawicznie nie wytepi.

Chciałabym z kimś porozmawiać, upewnić się, że się nie wygłupiam, pomyślała. Może udzielił mi się strach Millie, która niepokoi się o Tima. Muszę o tym pogadać z kimś, kto zna i mnie, i Grahama. Chciałabym wyrzucić to z siebie, bez cenzury, bez namysłu. Chciałabym, żeby ktoś wyłuskał z tego najważniejsze fragmenty i ubrał przeczucia w słowa. I żeby mi powiedział, co robić.

Chcę Tess.

Graham pogodził się z tym, że Fiona uważa za konieczne dzielić się najmniejszymi szczegółami ze swego życia zarówno z nim, jak i z przyjaciółkami. I z dziewczyną *au pair*. I z fryzjerką. I z każdym, kto rozmawia z nią dłużej niż pół minuty.

On był inny. Zawsze to wiedziała. Nigdy nie ukrywał niesmaku, jaki w nim budziły niekończące się wyznania, więc Fiona nie powinna się dziwić, że nie chce z nią rozmawiać o swoim ostatnim problemie. Zresztą nawet gdyby zawsze wszystko jej mówił, akurat to przemilczałby i tak.

Poszedł do pracy, a tam czekał na niego kolejny e-mail. Otworzył go, przerażony tym, co przeczyta, ale niezdolny usunąć go bez czytania, chociaż właśnie to powinien zrobić.

Cześć Graham

Tak się zaczynał.

Nie wiem nawet, czy dostajesz te e-maile. Wysyłam je przez witrynę, bo nie chcę mi podać twojego adresu.

Zakładam, że je czytasz, tylko nie chcesz mi odpowiedzieć. Rozumiem, pewnie nie jesteś zainteresowany. W porządku, napisz mi to i przestanę zawracać ci głowę. A pamiętam, jak cię to wkurzało!

Ale jeśli się obawiasz nawiązać kontakt, niepotrzebnie. Chciałabym po prostu dowiedzieć się, co u ciebie słychać, jak sobie ułożyłeś życie

(twoja notka biograficzna na stronie jest bardzo tajemnicza), czy czegoś żałujesz. Bo ja tak.

Pomyślałam, że gdyby nam się udało wyjaśnić sobie, co się wtedy, przed laty, stało, mogłabym żyć dalej. W tej chwili stoję w miejscu. Nic mi się teraz nie układa i jak zwykle w takich momentach patrzę w przeszłość, kiedy było lepiej. Najlepiej, szczerze mówiąc.

W każdym razie to mój ostatni e-mail. Gdybym napisała jeszcze słowo, mógłbyś mnie pozwać o nękanie! Więc teraz wszystko w twoich rękach.

Całusy,

Christine

Może gdyby w domu było lepiej, nie stanowiłaby takiej pokusy, rozmyślał. Przecież to nie tak, że nie mogłem zapobiec przybyciu Daphne. Koniec końców ja podjąłem decyzję. Ze względu na Fionę, bo ją kocham. Pewnie, inaczej niż Christine, bo to miłość dorosła. Dojrzała, bardziej realistyczna.

Ale chciałbym z kimś o tym pogadać. Tak, wiem, zawsze powtarzałem, że nie podoba mi się ciągle gadanie o uczuciach, podobno charakterystyczne dla naszego pokolenia. Ale może dobrze byłoby wyrzucić to wszystko z siebie, odpowiednio zasufladkować, żeby problemy nie nakładały się jeden na drugi.

Z Fioną nie mogę, to jasne. Nie dość, że czułaby się zagrożona istnieniem Christine, to jeszcze mogłaby uznać, że takie rozmowy to nowy element w naszym związku, i nie daj Boże oczekiwała, że już zawsze będę jej o wszystkim mówił.

Nie pogadam z Timem, bo do tego stopnia pochłonęła go własna wycieczka w przeszłość, że na pewno będzie mnie namawiał, żebym poszedł w jego ślady.

Max? Cóż, lubię Maksa. W pewnym sensie jest podobny do mnie, pozwala Tess myśleć, że to ona wszystkim rządzi. Ale jest ostatnią osobą, której akurat teraz zważyłbym na głowę moje problemy.

Najlepszy byłby ktoś z zewnątrz. Kto mnie zna, ale ten fakt nie odbija się na reszcie mojego życia. Właściwie tak naprawdę otworzyłem się tylko przed jedną osobą. Oczywiście słono za to zapłaciłem i za żadne skarby świata nie chciałbym jeszcze raz przez to przechodzić. Ale brakuje mi tej szczerości.

Brakuje mi Christine.

–I jak poszło – zapytała Heather.

–Tess jęknęła.

– Moim zdaniem wszyscy nauczyciele z podstawówek powinni iść żywcem do nieba. Albo wszyscy ćpają, co mało prawdopodobne, jeśli wierzyć statystykom, albo mają niewyczerpane pokłady cierpliwości. Nie pojmuję, czemu nie tłuką tych bachorów do nieprzytomności.

– Bo to wbrew prawu – zauważyła Heather. – Zresztą pewnie marzą o tym na każdej lekcji, a potem wyżywają się w domu, na małżonkach, jak wszyscy.

Brzmi rozsądnie.

Miała za sobą pierwsze zajęcia z drugą klasą, czyli sześć- i siedmiolatkami. Pani Bowers udzieliła jej kilku wskazówek, czego się może spodziewać.

– Nie oczekuj zbyt wiele – poradziła dyrektorka. – To bardzo żywe dzieciaki i chodzi nam tylko o to, żeby je troszkę uspokoić ćwiczeniami. Może naucz ich technik oddechu? Pamiętaj, ma być zabawnie i prosto, a wszystko pójdzie dobrze!

Brzmiało nieźle i Tess była przekonana, że w porównaniu z wymagającymi kobietami z poprzedniego dnia to będzie bułka z masłem. Powitała uczniów swoim najśłodszym głosem.

– Dzień dobry, dzieci, nazywam się pani Keane. Proszę bardzo, wszyscy mówimy: dzień dobry, pani Keane!

– Dzień dobry, pani Keane – zaintonowały dzieci, znudzone, ale posłuszne, co w oczach Tess stanowiło znośną kombinację.

– Teraz wszyscy wyobrażamy sobie, że jesteśmy drzewami, wstajemy i wyciągamy gałązki wysoko, wysoko... Jeszcze wyżej...

Niestety, kiedy sama podniosła ramiona, przenikliwy ból kazał je natychmiast opuścić. Zapomniała, że jeszcze nie doszła do siebie po poprzedniej przygodzie z jogą. Postanowiła uciec się do sztuczki, która okazała się skuteczna z dorosłymi. Chodziła po klasie, chwaliła i poprawiała, aż znalazła swoją gwiazdę.

– A teraz, proszę, niech wszyscy spojrzą na... jak masz na imię, skarbie?

– Davakurunibajeeti – powiedziała dziewczynka, tak przynajmniej zabrzmiało to w uszach Tess.

– Ślicznie! – uśmiechnęła się, żeby tego nie powtarzać. Dlaczego nie masz na imię Julie, Mary, Ropucha czy jakoś tam, byle byłabym w stanie to wymówić? – Proszę bardzo, wszyscy patrzą na... na tę zdolną dziewczynkę. – Klasa posłusznie patrzyła, jak zdolna dziewczynka rytmicznie wspina się na palce i zgina w talii.

Mały chłopczyk podniósł rękę.

– Proszę pani!

– Tak? – Tess z ulgą skorzystała okazji, żeby odjeść od dziewczynki z najdłuższym imieniem świata.

– Czy umie pani założyć sobie nogi za uszy? Moja mama mówi, że poprzednia nauczycielka jogi to umiała. Ja też! Widzi pani?

Położył się, podniósł nogi i od niechcienia zarzucił je za głowę. Tess zrobiło się niedobrze. Sam widok przypomniał jej, jak bardzo boli ją głowa przy najmniejszym ruchu.

– Jesteś bardzo zwinnym chłopcem – pochwaliła go. Nienawidziła i jego, i matki, która go spłodziła.

– A moja mama była wczoraj na pani zajęciach i powiedziała, że pani jest do bani – oznajmiła inna dziewczynka. – Powiedziała, że nic pani sama nie umie i każe innym pokazywać.

Nienawidzę jej i jej matki, pomyślała Tess. Tyle, jeśli chodzi o mój genialny pomysł.

– Czasami mamusie mówią różne rzeczy, chociaż wcale tak nie uważają – wyjaśniła słodko.

Dziewczynka nie dała się tak łatwo przekonać. – Moja mama naprawdę tak myśli. Powiedziała to tacie i na koniec dodała: „mówię poważnie”, jak zawsze, kiedy z nim rozmawia.

Tess czuła, że zaraz straci panowanie nad sobą. I nagle coś przyszło jej do głowy.

Zacisnęła kciuki i przetestowała teorię Maksa o wewnętrznej modlitwie – wczoraj wspomniał o tym przelotem.

– A teraz wszyscy kładziemy się na podłodze i zamykamy oczy. Kładziemy rączki na brzuskach... Czujemy, jak się podnoszą i opadają przy oddychaniu... A teraz oddychamy wolniej...

Dzieciaki zasnęły w ciągu trzech minut. Tess usiadła na podłodze i wyjęła z torby spray przeciwbólowy, który kupiła w drodze do szkoły. Popsikała się, co tylko spotęgowało jej bóle. Zażyła kilka tabletek przeciwbólowych, tych, które się reklamuje jako „ekspresowo szybkie”, siedziała na podłodze i czekała, aż jej umęczone ciało wróci do normy.

Na kilka minut przed końcem lekcji ostrożnie wybudziła dzieciaki z drzemki.

– Odpoczęliście? – zapytała.

Nie odpowiadali, ciągle zaspani. Właściwie wyglądali jak stado małych katatoników. I dobrze, pomyślała, przynajmniej biedak na następnej lekcji będzie miał ułatwione zadanie. Jak w transie wyszli z sali i pomaszerowali do klasy.

Pochyliła się, żeby upchnąć rozliczne lekarstwa do torby. Nagle coś jej strzyknęło w plecach, a złośliwy goblin dźgał nożem w jej kręgosłup – łup, łup, łup. Wstała energicznie. To znaczy, wstała w myślach, bo jej ciało pozostało zgarbione w klasycznej pozycji staruszki.

– Pomocy – powiedziała w przestrzeń.

– Proszę się nie ruszać – usłyszała w podpowiedzi.

Umarłam i anioł przyszedł po moją duszę, stwierdziła, otumaniona bólem. Obyśmy już zaraz wyruszyli tunelem w stronę światła, żeby już przestało boleć. No, szybciej! Jestem gotowa!

Poczuła w talii dwie ręce. Delikatnie pociągnęły ją w stronę krzesła, które cudownym sposobem zjawilo się za nią. Z ulgą dotknęła barkami twardego oparcia. W końcu otworzyła oczy i zobaczyła swojego wybawcę.

Nie był aniołem – chyba, że Levi's dostarcza teraz koszulki nawet w niebiosach – ale sprawiał takie wrażenie. Miał twarz poraną zmarszczkami mimicznymi i niesforną czuprynę. Trochę jak Max, przebiegło jej przez głowę. Kiedy jednak przyjrzała mu się bliżej, zmieniła zdanie. Jego włosy, choć niesforne, były starannie przystrzyżone, żeby loki niby naturalnie opadały na uszy. I choć zmarszczki w kąciach oczu zdradzały chęć do śmiechu, błyski w granatowych oczach mówiły o innej, bardziej niebezpiecznej skłonności – zamiłowaniu do ryzyka, nieprzestrzeganiu granic. Absolutne przeciwieństwo Maksa. Był od niej tylko trochę wyższy i zdziwiło ją, jak bardzo jej się to spodobało. Od lat zadzierała głowę, by spojrzeć na męża, i nagle uświadomiła sobie, że różnica ich wzrostu symbolizowała inną, głębszą przepaść.

– Wszystko w porządku? – zapytał nieznajomy i ukląkł przy niej.

Tess ostrożnie podniosła głowę i poruszyła nią na boki. Wyprostowała plecy i powstrzymała się od krzyku. Co prawda jeszcze nie umarła, ale nadal cierpi.

– Tak – szepnęła. – Chyba coś sobie naciągnęłam.

Mężczyzna zerknął na drzwi. Ostatnie senne dzieciaki zniknęły za progiem.

– Posłuchaj, to moi uczniowie, muszę iść. Jeśli zostawię ich samych na dłużej niż pół minuty, porąbią biurka na opał.

Dzisiaj nie, pomyślała dumnie. Dzisiaj będziesz miał szczęście, jeśli ci nie zasną w połowie lekcji.

– Idź – powiedziała. – Nic mi nie będzie. – Kiedy sobie pójdziesz, łyknę trochę tabletek. Mam spory zapas, taki koktajl na pewno mnie nie zabije. A nawet jeśli, to też dobrze.

Mężczyzna, choć nie do końca przekonany, wstał z kolan.

– Jeśli tak uważasz. A przy okazji, jestem Jerry Newton. Nie przedstawiono nas sobie.

– Tess Keane. Podałabym ci rękę, ale nie mogę jej podnieść. Musiałbyś usiąść mi na kolanach, a wtedy zacznę wrzeszczeć, bo wszystko mnie boli.

– Nie kuś – powiedział Jerry, puścił do niej oko i wyszedł.

Tess odprowadzała go zdumionym wzrokiem. Biegł jak chłopiec, beztrąsko i śmiało. Odwrócił się i uśmiechnął, wcale niezdziwiony, że na niego patrzy. Dopiero wtedy zauważyła, że jest dosyć korpulentny. I dobrze. Max zawsze ochraniał ją od góry, a Jerry osłoniłby ją całą, niczym koc.

Pokręciła głową, żeby się pozbyć tej wizji. To nie moja wina, tłumaczyła sobie. Flirtował ze mną. Na moment zapomniała o bólu. Oj, za to ból nie zapomniał o niej. Kiedy jednak tabletki zaczęły działać i ogarnęła ją błoga senność, przyłapała się na tym, że znowu o nim myśli. Przestała, zła na siebie; jest żałosna. I zameżna. A potem znowu o nim myślała.

– Bardzo sprytnie sobie poradziłaś – stwierdziła Heather z podziwem.

Tess przedstawiła jej skróconą wersję wydarzeń. Pominęła obolałe mięśnie, własną niezdarność i okrutny komentarz pewnej matki na temat jej talentów instruktorskich. No i jeszcze spotkanie z Jerryem – o nim też nie wspomniała.

– Pomyślałam, że muszą się wyciszyć. Kiedy do mnie przywykną, nauczę je kilku prostych ćwiczeń – tłumaczyła. Nie chciała wyjść na kompletną ignorantkę, choć nią była.

Słowa dziewczynki nadal bolały. Zdawała sobie sprawę, że jeżeli ma mieć odwagę, czy raczej czelność, by kontynuować, musi się z tym zmierzyć.

Głęboko nabrała tchu.

– Powiedz mi, ale szczerze, jak mi wczoraj poszło?

Heather długo się zastanawiała.

– Nie super, ale nie beznadziejnie. To twój pierwszy raz i wszystkie widziałyśmy, że się denerwujesz. Wspominałaś, zdaje się, że nie pracowałaś, odkąd urodziłaś Larę?

Tess skinęła głową. Starła się nie rumienić, słysząc to kłamstwo.

Heather wzruszyła ramionami.

– Wyszłaś z wprawy. Trochę potrwa, zanim na nowo się wciągniesz, a panie przyzwyczajają się do ciebie. Nasza poprzednia instruktorka była jak akrobatka cyrkowa, wywijiała się na wszystkie strony.

Tess zrobiło się słabo na samą myśl. Nic dziwnego, że jest beznadziejna. No, ale beznadziejna byłaby i tak, nawet bez porównania z akrobatką.

Heather dostrzegła jej minę.

– Nie, nie przejmuj się. Czułyśmy się przy niej jak ofiary. Nie miałyśmy szans jej dorównać. Nie wiem, jesteśmy inaczej zbudowane, czy co. Lepiej jest mieć instruktorkę, która nie onieśmiela.

– Chyba nie wszystkie panie są tego zdania – mruknęła Tess ponuro. Dobroć Heather tylko pogarszała jej nastrój. Najchętniej dałaby sobie spokój z kłamstwem i przyznała, że taka z niej instruktorka jogi, jak i pilot myśliwca.

I wtedy przypomniała sobie stos rachunków. W tej chwili pieniądze są ważniejsze niż zasady. Kiedy tylko zaczną z Maksem zarabiać tyle, żeby

znowu ich było stać na zasady, z własnej kieszeni zapłaci za instruktorkę jogi z prawdziwego zdarzenia. Zaprosi wszystkie panie na lunch. I będzie błagała Heather o wybaczenie.

Tymczasem jednak musi zdobyć pieniądze.

– W czym problem? – zapytała Heather.

Tess nie mogła się nadziwić – znowu czyta w jej myślach.

– Masz to wpisane na twarzy – wyjaśniła przyjaciółka z uśmiechem.

– Do tej pory nic nie miałam – zauważyła Tess. – Przecież ktoś chyba powiedziałby coś na ten temat.

Heather wzruszyła ramionami.

– Może nikt nie zwracał uwagi na twoje miny. Może tylko cię słuchali, uważali, że słowa w wystarczającym stopniu oddają twoje myśli.

Tess się zdziwiła.

– A ty tak nie uważasz?

– Masz taki zabawny zwyczaj, zanim odpowiesz na pytanie, wahasz się przez moment, jakbyś czekała na pozwolenie od wyższej instancji.

– Nieprawda – broniła się. I wtedy przypomniła sobie podświadomą decyzję, żeby nie wspominać o spotkaniu z roześmianym nauczycielem. Naprawdę w kółko to robię, zdziwiła się. Podświadomie cenzuruję własne wypowiedzi.

– Ależ tak. – Heather nie dawała za wygraną. – Mój mąż ciągle to robił i zaprzeczał, zupełnie jak ty. Nie był tego świadomy, może ty też nie. Nie wiem tylko, co ciebie do tego skłania. Mój mąż miał ten nawyk, bo był fantastą i kłamcą. Dlatego wpadliśmy w tarapaty. Filtrowanie słów do tego stopnia weszło mu w krew, że robił to automatycznie, nawet kiedy nie miał nic do ukrycia.

– A ja czemu? – zapytała Tess, nadal nieprzekonana, że Heather ma rację.

– Nie znam cię na tyle, by wiedzieć. Choć sądzę, że nie kierują tobą tak niskie motywy. Sama musisz do tego dojść.

Świetnie, pomyślała, kolejna rzecz, do której musi sama dojść.

– Cześć, to ja!

Mało brakowało, a Tim upuściłby słuchawkę. Myślał o Alison i akurat wtedy zadzwoniła. Od razu uwierzył, że łączy ich specyficzna więź. Oczywiście gdyby myślał logicznie, zauważyłby, że marzy o Alison praktycznie cały czas, a ona wspominała, iż dzisiaj zadzwoni, więc trudno tu mówić o zbiegu okoliczności.

– Myślałem o tobie – powiedział ściszym głosem, żeby koledzy w biurze go nie słyszeli.

– Czuję to.

Dla Tima nie było już odwrotu z drogi ku romantycznemu szaleństwu.

– Naprawdę? To niesamowite. W szkole w kółko to robiliśmy, pamiętasz?

– Nie tylko wtedy. Zaraz po moim wyjeździe czasami łapałam się na tym, że myślę o tobie w najdziwniejszych okolicznościach i miejscach, na szczycie góry czy na pustyni, i wyobrażałam sobie, że ty wtedy też myślisz o mnie.

Ponieważ miał na jej punkcie obsesję jeszcze przez dwa lata po jej wyjeździe, nic dziwnego, że i to uznał za znak opatrności.

– Tim, proszę na chwilę, kiedy skończysz! – zawołał jego przełożony i tym samym podrapał sentymentalną winylową płytę, która stanowiła muzyczną oprawę tej sceny. Tim wrócił do rzeczywistości, co nie znaczy, że odzyskał rozum.

– Przykro mi, Ali, nie mogę teraz rozmawiać. Mamy w pracy urwanie głowy.

– Nie ma sprawy, też jestem zajęta. Chciałam tylko zapytać, kiedy się znowu zobaczymy.

Romantyczna muzyka w jego umyśle nagle zmieniła się w temat z filmu *Szczęki*. Co prawda jego umysł działał z pozycji nastolatka, lecz dyrygent miał szerszy pogląd na całą scenę i wiedział dokładnie, co się święci.

– Nie zastanawiałem się nad tym – odparł. Było to gigantyczne kłamstwo, bo nie myślał o niczym innym. Lecz oprócz szaleńca, który traktował całą sprawę jak filmową produkcję z nastoletnim sobą w roli głównej, był jeszcze drugi, rozsądny Tim, chwilowo uwięziony w dźwiękoszczelnym pokoju.

Pytanie tylko, który jest prawdziwy? Muszą sobie na to odpowiedzieć, zanim podejmą wiążące życiowe decyzje.

Nagle stanęło mu przed oczami zdjęcie żony. Widział je, nawet kiedy przymknął powieki, starą fotografię, jeszcze sprzed pierwszego dziecka. Prawie nie poznał na niej Millie. Najzabawniejsze, że była trochę podobna do Alison. Dotychczas tego nie zauważał. Zdenerwowało go to odkrycie.

Ciekawe, z kim wychodzi? Znam wszystkich jej znajomych. Zazwyczaj mówi: Umówiłam się z Tess i Fioną, albo: Idę do Gill, wiesz, pracowałyśmy razem. A teraz tylko „stary znajomy”. Dziwne. Ta myśl zniknęła równie szybko jak się pojawiła.

Miał przed oczami inne zdjęcie, rodzinne. Millie, czwórka dzieci i on. Wszędzie były ręce i nogi. Ogólny bałagan. Naliczył na sobie trzy dłonie, z których żadna nie należała do Millie. Wszyscy wyglądają na szczęśliwych. Pamiętał, kiedy to zdjęcie było zrobione. Naprawdę byli wtedy szczęśliwi. Były wakacje, wszyscy byli opaleni, uśmiechnięci, wypoczęci.

W wyobraźni zakrył swoją twarz na zdjęciu; chciał zobaczyć, jak będą wyglądali bez niego, jak sam się poczuje bez nich. Uczucie było... dziwne. Nie było mu z tym dobrze, ale źle też nie.

– Tim? Jesteś tam jeszcze? – Wszystkie zdjęcia się rozplynęły, gdy usłyszał głos Alison.

– Przepraszam, zamyśliłem się. Nie wiem, czy to dobry pomysł.

Cisza w słuchawce.

– Halo?

– Teraz ja się zamyśliłam – powiedziała Alison. – Widzę, że jest ci ciężko. To moja wina. Przepraszam. – I się rozłączyła.

Tim był przerażony. Natychmiast do niej zadzwonił.

– Proszę, nie odkładaj słuchawki! To ja powinienem cię przeprosić. Jestem straszną gapą, ale o tym wiesz. – Milczała. Tim mówił szybko, zanim znowu się rozłączy. – Nie robimy nic złego, prawda? Rozmawiamy, wspominamy dawne czasy. Spotkajmy się. Jak najszybciej. Może jutro?

Tym razem, żeby wynagrodzić jej poprzednie wahanie, obiecał, że postara się zwolnić na całe popołudnie. Ku jego uldze, Alison wydawała się zadowolona.

Była nawet bardzo zadowolona. Kiedy odłożyła słuchawkę, uświadomiła sobie, że ryzykowała. Ale się opłaciło, Tim oddzwonił.

Dzięki Bogu, wcale się nie zmienił, pomyślała. Zawsze robił to, co chciałam.

– Cześć, Tess, tu Fiona. Jest dziesiąta. Zadzwoń, jak wrócisz. Pa.

– To znowu ja. Jest wpół do dwunastej. Masz wyłączoną komórkę. Nadal się spotykamy? Zadzwoń, jestem w domu.

– Trafiałaś, to znowu ja. Któraś z nas coś poplątała, pewnie ja. Myślałam, że mamy dzisiaj do ciebie przyjechać, miałyśmy tylko ustalić godzinę. Zadzwoń i tak, chciałabym pogadać.

Cholera. To moja wina, nie twoja, myślała Tess. Zapomniała na śmierć, że umówiła się z Fioną i Millie. Od przeprowadzki straciła wszelkie poczucie czasu. Jej rozkład dnia poszedł w zapomnienie, stare nawyki zostały w dawnej dzielnicy.

Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo do nich przywykła, że wyznaczały rytm jej życia. W ciągu ostatnich lat wypracowały sobie z Fioną – i czasami z Millie – ustalony wzorzec: w poniedziałki kawa w Organique, we wtorki wspólne zakupy, w środy kawa w domu u jednej z nich, w czwartki nudne prace domowe, w piątki lunch na mieście.

Chwilę trwało, zanim sobie uświadomiła, że dziś wtorek. Każdy dzień był nowy. Zdała się na Heather, liczyła, że wprowadzi ją w nowe sąsiedztwo, powie, gdzie chodzić, gdzie nie. Zdawała się na nią także w innych sprawach. Heather była jej tutejszą przyjaciółką. Fiona była przyjaciółką z innego świata. Wolą ją rozdzielać. Choć kochała Fionę jak siostrę, nie mogłaby się jej zwierzyć z obecnych problemów.

Gdyby powiedziała o rachunkach, które przyniósł listonosz, Fiona po prostu dałaby jej pieniądze, a to zniszczyłoby ich przyjaźń. Do tego jeszcze ta sprawa z jogą – Tess ciągle się tego wstydziła. I czułaby się nie w porządku wobec Maksa, gdyby mówiła o nim coś złego do wspólnych znajomych.

Ale to wszystko nie tłumaczy tego, że zapomniała o spotkaniu. Natychmiast podniosła słuchawkę.

– Halo? – Daphne, wyraźnie zdyszana, odebrała telefon. O niej Tess też zapomniała.

– Pani Guinn, dzień dobry! Tu Tess, przyjaciółka Fiony. Jak się pani czuje w nowym domu?

– Wiem, kim jesteś. Moglibyście przestać mnie traktować jak idiotkę.

Teraz Tess już wiedziała, czemu Fionie tak zależało na tym spotkaniu. Dziwiła się, że Daphne jeszcze żyje. Każda inna córka zadusiłaby ją gołymi rękami.

– Zastałam Fionę? – zapytała grzecznie.

– Nie, wyszła.

– Wie pani może dokąd?

– Nie musi mi mówić, gdzie idzie. Nie jestem strażnikiem więziennym.

– Spróbuję ją złapać pod komórką. Do widzenia. – Tess odłożyła słuchawkę, zanim nawrzeszczy na matkę Fiony.

Dlaczego taka jestem? – zastanawiała się Daphne. Dlaczego jestem taka niemila? To nie moja wina. Słyszałam to w jej głosie, mówiła do mnie jak do dziecka. Denerwuje mnie to. Dlaczego przyjaciółki Fiony nie odzywają się do mnie normalnie? Dlaczego nie pytają mnie o zdanie, o to co czytam, o cokolwiek? Teraz pewnie myśli, że jestem żalospną starą jędzą. A nie jestem, naprawdę.

Żalospna stara jędza, pomyślała Tess i zadzwoniła na komórkę Fiony. Przyjaciółka odebrała po pierwszym sygnale.

– Fi! Słuchaj, bardzo przepraszam, że dzisiaj tak wyszło. Mam tu urwanie głowy, Maksa w kółko nie ma w domu, jeszcze się nie rozpakowałam i szukam pracy.

– Nie ma sprawy – powiedziała Fiona. – Rozumiem. Spotkamy się, kiedy się urządzisz.

Czy mówi chłodno, czy sobie to wmawiam? – zastanawiała się Tess.

– Gdzie jesteś? – zapytała. – Jeśli niezbyt daleko, może się spotkamy?

– U Millie. Dajmy sobie dzisiaj spokój. Zanim tu przyjedziesz, będziemy musiały jechać po dzieci do szkoły. Pogadamy innym razem.

– No dobrze, to cześć. – Tess było przykro, gdy się rozłączała. Czuła się też odrzucona na myśl o Fionie i Millie. W sumie to bezczelność z jej strony, zważywszy że wystawiła Fionę do wiatru, bo pochłoneła ją nowa przyjaciółka. W życiu nie będę miała romansu, pomyślała. Nie poradziłabym sobie ze wszystkimi komplikacjami. Patrzyła na rachunki na stole, chyba na wszystkich widniały słowa: PŁATNE NATYCHMIAST wypisane tłustym drukiem.

Romans to chyba jedyna komplikacja, która mnie ominęła w życiu, pomyślała.

– Jak myślisz, Graham ma romans?

Millie parsknęła śmiechem, ale umilkła, widząc minę Fiony.

– Odpowiem ci, nawet nie znając faktów. Nie, Graham nie ma romansu. I nigdy nie będzie miał. Gdybym miała wskazać jednego mężczyznę, który tego nie robi, wybrałabym właśnie jego.

– Chcesz powiedzieć, że żadna by go nie chciała? Że jest nudny? – Fiona się oburzyła w imieniu męża. Zawsze podejrzewała, że przyjaciółki nie dostrzegają jego zalet.

– Skądże – zapewniła Millie, znudzona ciągłym uspokajaniem.

Męczyło ją to, zwłaszcza że sama by chciała, żeby ktoś ją uspokoił. Dlaczego Fiona nie może się wyżalić Tess? Dzisiaj nie mam na to siły, uznała.

– Przepraszam, Millie, nie chciałam. Wiem, o co ci chodzi. Też nie sądzę, żeby mnie zdradzał, ale coś go gryzie, a ja nie mam pojęcia co. Chyba że ma romans, co, sama to wiem, jest mało prawdopodobne.

Millie przyglądała się jej uważnie.

– Kiedy ci mówiłam, że martwię się o Tima, kazałaś mi z nim porozmawiać, spędzać więcej czasu, sprawiłaś, że poczułam się winna, że między nami coś się psuje. Teraz właściwie mogłabym ci powiedzieć to samo.

Nie wiadomo, która z nich była bardziej poruszona jadem w tych słowach. Była to pierwsza nieprzyjemna rzecz, jaką Fiona kiedykolwiek słyszała z ust Millie, i było jej przykro, że padło akurat na nią.

– Boże, Fiona, przepraszam cię. Nie powinnam była tego mówić. Wcale tak nie myślę. – Myślała, ale po co do tego wracać?

Fiona zdecydowała się wielkodusznie przyjąć przeprosiny.

– Więc Tim nadal jest dziwny? – zapytała cicho. Millie ponuro skinęła głową.

– Jeśli już, jest coraz gorzej. – Już miała powiedzieć przyjaciółce, co wymyśliła, ale nie miała siły wysłuchiwać jej nieuniknionych protestów.

– Może to tylko kryzys wieku średniego? – Fiona myślała na głos. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej odpowiadało jej to wytłumaczenie. – Pomyśl tylko, są mniej więcej w tym samym wieku, mają po czworo dzieci, obaj od dawna pracują w tej samej firmie, obaj przeżywają rewolucję w domu. Inni faceci na ich miejscu uciekają w romans, ale jeśli to odpada, co im zostaje?

Millie była zbita z tropu.

– A nie mogą postępować tak jak my? Pić kawę i jeść ciasto, aż im się zrobi niedobrze?

– Faceci są inni. Chyba mają inny system nerwowy. Ignorują problemy, pozwalają im narastać. A potem marzy im się romans bez wyrzutów sumienia.

– Nie wiem, do czego zmierzasz. – Millie nie podobała się ta rozmowa.

– My! Mogą mieć romans z nami!

– Co? Mają się zamienić żonami? – Millie szeroko otworzyła oczy.

Fiona się skrzywiła.

– Oszalałaś? Nie, musimy urozmaicić nasze małżeństwa, przywołać romantyzm.

Millie się skrzywiła.

– Mamy wciągać brzuchy i czesać się przed spaniem? Fiona wzdrygnęła się, słysząc jej definicję romantyczności,

i zaczęła współczuć Timowi.

– To na początek – zgodziła się ostrożnie.

Millie nie była przekonana. Wołała nie mówić, że już tego próbowała i efekt tych starań rósł w jej brzuchu. Po tej ciąży nie ma zamiaru urozmaicać małżeństwa, póki jedno z nich nie podda się sterylizacji. Albo oboje, tak na wszelki wypadek.

Fiona czekała na jej reakcję. Millie wybrała opcję pośrednią.

– Poczekam do Prowansji. Wiem, będę wtedy grubsza, ale na wakacjach jest inaczej.

Fiona sądziła, że Millie powinna zacząć już teraz, ale nie powiedziała tego.

– Nadal masz mdłości? – zapytała, żeby zmienić temat.

– Tak, ale nie to jest najgorsze. – Millie ucieszyła zmianą tematu.

Przysiadła na wysokim stołku i, zrezygnowana, splotła dłonie za głową.

– O co chodzi? – Fiona się zaniepokoiła.

– Byłam wczoraj na USG.

Fiona otworzyła szeroko usta.

– O nie. Chodzi o dziecko, tak? Wszystko w porządku? Mówiłam ci, żebyś poszła wcześniej, ale ty mnie nie słuchałaś i...

– Nic z tych rzeczy. – Millie wpadła jej w słowo. – Ale masz rację, powinnam była pójść wcześniej. Tylko nie widziałam sensu. Na początku i tak

nic nie widać. Znam swoje ciało na tyle, że wiedziałabym, gdyby był jakiś problem z ciążą, a gdyby było coś z dzieckiem, to i tak byłoby to widać dopiero teraz.

– Więc jeśli z dzieckiem wszystko w porządku, o co chodzi?

Millie spojrzała na zdjęcie czwórki dzieci na ścianie.

– O to, że będę miała bliźniaki.

– Co to za miejsce, Archie? – dopytywał Max.

– Mówiłem ci, klub. Nazywa się: U Cartera. Musisz do niego należeć, ale nie martw się, załatwię ci członkostwo.

Max zachichotał pod nosem na myśl, że miałby się przejmować tym, czy przyjmie go klub mieszczący się w pokoiku nad restauracją. Owszem, jestem mistrzem świata w martwieniu się, drżałem nawet o wynik meczu w ping-ponga między nieznajomymi na urlopie, ale ta sprawa nawet mnie nie spędzi snu z powiek.

– Zrób sobie coś do picia – zaproponował Archie wielkodusznie. Wskazał chwiejny stolik w kącie. Stał na nim czajnik elektryczny, słoik kawy rozpuszczalnej, pudełko herbaty ekspresowej, śmietanka w proszku i cukier. Zastawę stanowiły poobijane fajansowe kubki.

– Spóźniliśmy się na ciastka – mruknął Archie. – Carter przynosi je, zanim o dwunastej otwiera restaurację, ale błyskawicznie znikają. Chodź, poznaj chłopaków.

Zaprowadził Maksa do półkola sfatygowanych foteli. Grupa mężczyzn omawiała wczorajszy mecz piłkarski.

– Len, Harry, Mickey, Terry, Rav, Davros, Billy – to Max, mój nowy kierowca.

– Drogi przyjacielu! – Chwilę trwało, zanim Max rozpoznał w rozpromienionym Azjacie Rava, sprzedawcę ze sklepu monopolowego i

eksperta od bombajskich win w jednej osobie. Tego dnia miał na sobie sweter z panoramą Nowego Jorku. Bliźniacze wieże WTC nadal smutno dominowały nad miastem i zdradzały, że pulower ma ponad dwa lata. Maksa zaintrygowało, czy swetry Rava to dzieło jego żony, czy może efekt działań kreatywnych krewnych z Bombaju.

– Znowu się spotykamy. – Pochlebiało mu, że Rav go rozpoznał. – Ty też jesteś członkiem? – zapytał.

– Tak. – Rav dumnie wypiął pierś. – Spotykają się tu wszyscy lokalni biznesmeni. Tutaj załatwiamy interesy.

Max stłumił uśmiech.

– Weź sobie coś do picia i przynieś krzesło – polecił Archie.

Max poszedł zrobić sobie kawę. Miał wrażenie, że został porwany przez UFO i znajduje się w bardzo dalekiej galaktyce. Kiedy zalewał szarawy proszek wrzątkiem, usłyszał szept Archiego:

– Tak, dopiero co u mnie zaczął. Jest pilny i pracowity. Niedużo mówi, ale chyba ma kłopoty. Pomyślałem, że może go trochę rozweselimy, może nawet pomożemy, kiedy się dowiemy, czym się zajmuje. Od razu widać, że jest inny.

Pomruki aprobaty sprawiły, że Max poczuł gulę w gardle. Nieznajomi, z których tak łatwo przyszło mu się nabijać, byli dla niego o wiele lepsi, niż na to zasługiwał. Oceniał ich po zniszczonych fotelach i jakości kawy – nabrał tego zwyczaju, obserwując klientów w Organique. I proszę, co mi z tego przyszło, pomyślał cynicznie.

Dołączył do kręgu – fotel już na niego czekał. Kiedy siadał, ogarnęło go dziwne uczucie przynależności. Nie jestem snobem, powiedział sobie, przynajmniej taką mam nadzieję, ale nigdy bym nie powiedział, że to ludzie mojego pokroju. A jednak dobrze mi wśród nich.

– Opowiedz, czym się zajmowałeś, zanim tu trafiłeś – zaczął Rav.

Trochę czasu upłynęło, zanim do Maksa dotarło, że to ich naprawdę interesuje. Kiedy opowiadał im o bankructwie, przyszła mu do głowy dziwna myśl: jestem wśród przyjaciół.

Droga Christine

Przepraszam, że tyle trwało, zanim odpowiedziałem na twoje e–maile, ale wiesz, że nigdy nie robię niczego impulsywnie. Zawsze cię to wkurzało! Pewnie jesteś ciekawa, czemu nie napisałem wcześniej i czemu w końcu się na to zdecydowałem.

Oczywiście wiesz, że jestem żonaty i mam czworo dzieci, przeczytałaś to na stronie internetowej. I że jestem księgowym. Mówisz, że to za mało, ale tylko tyle podaję do publicznej wiadomości. Akurat te rzeczy w moim życiu są pewne i z nich jestem dumny.

Więc dlaczego tak długo zwlekałem, zanim ci odpisałem? Jesteśmy w tym samym wieku i pewnie oboje przeszliśmy przez bolesną analizę własnego życia, jak wszyscy w okolicach czterdziestki. Wpadłaś w panikę, bo się troszkę postarzałaś, troszkę utyłaś, ja odrobinę wyłysiałem... najprościej oglądać się za siebie, w przeszłość. Najbezpieczniej!

A dla mnie przeszłość oznacza ciebie, nas. Szczerze mówiąc, Chris, przeraża mnie to, co tam widzę. Nie podoba mi się to. Zresztą to bez sensu. Nie można cofnąć czasu. Po co marnować go na bezowocne rozważania, czy nasze życie byłoby lepsze, gdybyśmy byli razem?

To nieistotne. Mamy to, co mamy. Jestem szczęśliwy. Przykro mi, że tobie się nie ułożyło. Nie zapominaj, sama dokonałaś wyboru.

Życzę ci wszystkiego najlepszego. Graham

Brzmiało to bardzo pompatycznie i gorzko, zdawał sobie z tego sprawę, ale starannie przemyślał każde słowo. Nie chciał jej zachęcać do dalszej

korrespondencji, chciał za to grubą kreską odciąć się od przeszłości. Kusilo go, by jak Tim odnowić kontakty, po prostu z nią porozmawiać. Bardzo chciał z nią pogadać, lecz zdrowy rozsądek odradzał mu takie głupstwo.

Nie, postąpiłem słusznie, przekonywałem sam siebie. A teraz usunę jej adres, by mnie nie kusilo, żeby do niej jeszcze raz napisać.

Na to się jednak nie zdobył.

Tess wędrowała po supermarkecie z kalkulatorem ręki. Wyliczyła, że tygodniowo nie może wydać na życie więcej niż pięćdziesiąt funtów, ale ponieważ nie znała żadnych cen, dodawała wszystko w miarę, jak zapełniał się jej wózek.

Starannie wybierała produkty i myślała, że jest bardzo oszczędna, póki nie zerknęła na kalkulator. Okazało się, że to, co ma w koszyku, kosztuje pięćdziesiąt trzy funty i czterdzieści dziewięć pensów, a jeszcze nawet nie doszła do serów.

– Cholera!

– Zdarza mi się mówić do siebie, ale jeszcze nie doszedłem do etapu rozmowy z martwymi przedmiotami. Jak dla mnie, to trochę za dużo.

Odwróciła się na pięcie i zobaczyła nauczyciela z podstawówki. Zarumieniła się na myśl, że znowu spotykają się w krepującej dla niej sytuacji.

– Jerry Newton!

– Jestem pod wrażeniem – mruknął. – Wydawało mi się, że rano nie byłeś w stanie niczego zapamiętać.

– Szpanuję. – Ciekawiło ją, jak czerwona się stanie, zanim pękną jej żyłki w twarzy – Chcę ci udowodnić, że moje nieliczne szare komórki jeszcze pracują.

– Więc w czym rzecz? – spojrzał na kalkulator.

Zamarła. Nie może przecież omawiać z nim swoich problemów finansowych. Wychowano ją w przekonaniu, że o pieniądzach się nie rozmawia.

– Niech zgadnę. – Jerry zauważył jej zmieszanie. – Doszłaś dopiero do połowy listy, a już przekroczyłaś budżet?

Poczerwieniała jeszcze bardziej. Coś takiego, pomyślała, nie wiedziałam, że większy rumieniec jest możliwy. Ten facet albo ma intuicję niespotykaną u mężczyzn poza filmami z Tomem Hanksem, albo już wie o moich kłopotach finansowych. Pewnie jestem tematem numer jeden w pokoju nauczycielskim, pomyślała i znów poczerwieniała ze wstydu.

Jerry ciekawie szperał w jej wózku. Tess była przekonana, że nie jest to społecznie akceptowane zachowanie, ale po swoich ostatnich wybrykach nie czuła się na siłach go krytykować.

– Ile was jest? – zapytał. – Pięcioro? Sześcioro?

– No nie, troje. Ja, mój mąż i nasza córeczka. – Nie mieściło jej się w głowie, że odpowiada na jego bezczelne pytania, lecz było w nim coś pociągającego. Przejął kontrolę nad sytuacją, która ją przerastała, a ją to bardzo ucieszyło.

Jerry pokręcił głową z dezaprobatą i cmoknął głośno.

– I to wszystko dla trzech osób! Nigdy tego nie robiłaś, co?

Tess gapiała się na niego. Czuła się coraz bardziej nieswojo, ale przynajmniej przestała się rumienić.

– Czy zawsze komentujesz prywatne życie ludzi, których prawie nie znasz? – warknęła gniewnie.

– Oczywiście. To jedna z moich wad. Właściwie jedyna, jak o tym myślę.

Uśmiechnęła się wbrew sobie i wzruszyła ramionami. Było to nowe doznanie, jak wszystko, co ją ostatnio spotykało, ale czerpała z tego dziwną pociechę.

Jerry spokojnie zabrał jej wózek, zawrócił i wyruszył w odwrotną stronę. Odkładał połowę jej zakupów z powrotem na półki. Tess, posłusznie, bezwolnie szła za nim i uważnie słuchała wykładu o sztuce robienia dużych zakupów za małe pieniądze.

– Zostawiamy obrane i pakowane warzywa i owoce. Kupuj je luzem, a dostaniesz więcej za te same pieniądze. Dzięki nim zużyjesz mniej mięsa. Daruj sobie piersi kurczaka, kupuj udka, do tego dodamy te marchewki, trochę zwiędłe, ale za pół ceny, tym sposobem masz dwa obiady, placek i zapiekankę...

I tak przez cały czas. Kazał Tess wszystko liczyć. Zajęło im to około dwudziestu minut, nie obeszło się bez paru kłótni –o francuskie sery i świeżo wyciskany sok pomarańczowy – ale w końcu doszli do kasy z wózkiem pełnym jedzenia na cały tydzień. I to za czterdzieści siedem funtów i dwadzieścia pensów.

– Powinieneś robić to zawodowo. – Tess nie mogła wyjść z podziwu. – Uczyć ludzi, jak przeżyć za grosze.

– Robię to zawodowo – zachnął się. – Jestem nauczycielem podstawówki i wynajmuję mieszkanie w Londynie.

Dopiero teraz zauważyła, że Jerry nie ma swojego wózka.

– A twoje zakupy?

– Później. Wyczerpała mnie walka z twoimi burżuazyjnymi zachciankami.

Gwałtownie odwróciła głowę, chcąc się upewnić, że żartuje. Był poważny, tylko w oczach lśniły mu wesołe iskierki. Przyłapała się, jak szturcha

go łokciem w bok, jak Maksa, kiedy się z nią drażnił. Zaskoczyła ją ta niemal instynktowna bliskość z nieznanym. I przestraszyła.

– Nie martw się, jak mi się odwdzięczyc – powiedział. – Postawisz mi kawę i ciastko. Po wpół do piątej za pięćdziesiąt osiem pensów, więc cię na to stać.

Nim zdążyła się sprzeciwić, pchał jej wózek w stronę kafeterii i wziął tacę. Szła za nim, kiwała głową, kiedy wybierał kawę i ciastka, i odprowadzała go wzrokiem, jak zręczny niósł tacę jedną ręką, drugą pchając wózek. Zostawił ją przy kasie.

– Teraz jestem utrzymankiem – oświadczył, kiedy usiadła naprzeciwko niego. – Zawsze o tym marzyłem. I do tego jesteś mężatką. Wspaniale!

Tess wpadła mu w słowo.

– Na twoim miejscu nie dodawałabym teraz, że jestem od ciebie trochę starsza!

Opuścił kąciki ust w komicznej rozpacz i zaraz pochłonął pół pączka jednym kęsem. Obserwowała go zafascynowana.

– Czy nauczycielom powodzi się aż tak źle, że muszą porywać wózki z zakupami i wymuszać ciastka na niczego niepodejrzewających kobietach?

Jerry się zamyślił.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Ale skoro już zacząłem, dodam to do moich zajęć pozalekcyjnych, jak taniec na rurze i zapisanie ciała akademii medycznej. A ty co? Czy w twoim życiu panuje taka pustka, że chce ci się przez godzinę siedzieć z nieznanym w sklepowej kafejce?

Zaniepokoiły ją te słowa. W zamierzeniu były żartobliwe, jednak stawiały przed nią pytania, których dotychczas unikała. Pytania o jej małżeństwo, a dokładnie, tę jego część, która nie dotyczyła Lary. Ale to nieodpowiednie miejsce na takie rozważania.

– Poznałam mojego męża w kafejce – powiedziała tęsknie, bardziej do siebie niż do Jerry'ego.

– Ale chyba nie takiej jak ta – roześmiał się.

– No nie. – To była tawerna na Krecie. Oboje byli na samotnych wakacjach i okazało się, że są jedynymi Anglikami w odległej wiosce. Usiedli przy jednym stoliku, poszli na spacer w góry, a potem do ciasnego pokoiku, przerobionego ze stryszku. Siedzieli razem w samolocie powrotnym i wkrótce zamieszkali razem.

– Miłość od pierwszego wejrzenia i do tego wakacyjna miłość.. . kiepskie początki małżeństwa – ostrzegała ją matka, podobnie jak wszyscy znajomi. I może miała rację, myślała Tess podczas gorszych okresów, coraz częstszych z każdym mijającym rokiem.

Jak wiele innych par, pobrali się, ciągle upojeni pierwszym zauroczeniem. Zanim wrócili na ziemię i przekonali się, że zauroczenie było czysto fizyczne, byli już małżeństwem.

Tak jak decyzję o własnej firmie pomógł im podjąć opór rodziców, tak i pobrali się szybko, ponaglani ich sprzeciwem. Po tych doświadczeniach jednego byli pewni. Obiecali sobie, że Lara nigdy nie będzie musiała podejmować pochopnych decyzji tylko po to, żeby zaznaczyć swoją niezależność.

– Jadłaś kiedyś pączka, nie oblizując ust? – zapytał Jerry pogodnie, widząc, że posmutniała.

Tess szybko wróciła do rzeczywistości, o wiele jaśniejszej niż jeszcze kilka godzin temu. Lubiła go. Jeszcze nigdy nie miała przyjaciela mężczyzny i nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle. Ale na razie jest dobrze, bardzo dobrze.

To był naprawdę świetny pomysł. – Wobec starych przyjaciół Max wrócił do roli przemilego gospodarza. Wszyscy siedzieli przy głównym stoliku U Cartera: Tess i Max, Fiona i Graham, Millie i Tim. I Daphne.

– Wieczorem jest tu zupełnie inaczej, prawda? – zwróciła się Tess do męża.

Rozejrzał się.

– Nie wiem, byłem tylko w klubie, na piętrze.

Tess chichotała, ilekroć wspominał o klubie. Max się oburzył.

– Czy ja się nabijam z twoich pań, które ćwiczą w holu i twierdzą, że uprawiają jogę?

– Bez przerwy.

– No tak – przyznał. – Więc jesteśmy kwita.

Nagle salę wypełnił mocny głos Nany Mouskouri, śpiewającej... Cóż, nikt nie wiedział co. Zgodzili się, że wszystkie jej piosenki brzmią tak samo.

– Tak jak muzyka, której słuchają twoje dzieci – zauważyła Daphne z wyrzutem, parząc na Fionę. Przeniosła wzrok na Millie. – Moim zdaniem Nana Mouskouri jest bardzo dobra. Kiedyś miała serial w telewizji, wiecie?

Millie uprzejmie kiwała głową i zastanawiała się, czym zgrzeszyła, skoro ukarano ją miejscem obok starej sekutnicy i wielbicielki przedpotopowych programów telewizyjnych.

– Teraz wiem, o co chodziło w piosence *Albatros* – szepnął Max do Tess. Daphne rzucała ponury cień nie tylko na ich stół, ale na całą salę.

– Mamo, spróbuj przynajmniej dobrze się bawić – syknęła Fiona.

– Nie prosiłam, żeby tu przyjść. Powiedziałam, że chętnie zostanę z dziećmi.

I mówiła szczerze. Po kilku dniach spędzonych u córki ból osłabł i stał się znośny. Najchętniej zostałaaby w domu do końca życia. Starła się nawet jak najmniej narzekać, mówić pogodnie w nadziei, że dadzą jej święty spokój.

Lecz jej zabiegi przyniosły dokładnie odwrotny skutek. Rano niechcący usłyszała rozmowę Fiony i Grahama.

– Nie możemy zostawić jej samej – szeptała Fiona.

– Nie będzie sama, tylko z dziećmi – zauważył Graham.

– No tak, ale nie jestem pewna, czy jest w stanie się nimi zająć,

– Moim zdaniem tak – Graham zaczynał podejrzewać, że Fiona chce myśleć o matce jak najgorzej. Szczerze mówiąc, bardzo mu odpowiadała spokojna atmosfera ostatnich dni, wolał nie doszukiwać się w tym teorii spiskowych i ciszy przed burzą.

– Chyba coś przed nami ukrywa – stwierdziła Fiona stanowczo. – Pewnie jest poważnie chora i nie chce mnie martwić.

– Nie wygłupiaj się. Po prostu stara się dopasować.

Niech ci to Bóg wynagrodzi, Graham, pomyślała Daphne. Fiona nie dała się przekonać.

– Nie zapominaj, że znam ją lepiej od ciebie. Ostatnio była taka milutka, kiedy ojciec od nas odchodził. Nawet wtedy długo nie wytrzymała i budziła w nas wszystkich przekonanie, że odszedł z naszego powodu.

Nieprawda, pomyślała Daphne i przywarła do poręczy. To niesprawiedliwe. Robiłam co w mojej mocy, żeby ich chronić. Dzień w dzień powtarzałam, że to nie ich wina. To oni brali winę na siebie. To normalne u dzieci, uważają się za pępek świata. Chcieli się obwiniać. Fiona powinna to wiedzieć, w końcu jest matką.

Lecz choć była matką czwórki dzieci, wobec swoich rodziców pozostała dzieckiem i do dziś postrzegała siebie jako centrum ich wszechświata. Nadal

podświadomie wierzyła, że wszystko, co robili, robili z powodu jej i braci, choć jako jedyna dziewczynka, uważała, że głównie przez nią.

Daphne, starsza i mądrzejsza od Fiony, musiała zaakceptować, że w głowie córki wizja dzieciństwa i rodzinnej historii utrwaliła się na dobre. Nie musiało się to jej jednak podobać.

Odchrząknęła głośno, żeby uprzedzić o swoim przybyciu.

– Cześć, mamó – zaczęła radośnie Fiona.

Daphne łypnęła na nią groźnie i podeszła do kuchenki.

– Zaparzę ci herbaty. – Fiona wyrwała jej imbryk z dłoni. – Usiądź sobie.

Daphne odebrała imbryk.

– Sama sobie poradzę, wielkie dzięki.

Graham posłał Fionie ostrzegawcze spojrzenie. Wycofała się niechętnie.

– Rozmawialiśmy o dzisiejszym wieczorze – zmieniła temat.

– I co? – Daphne skoncentrowała się na tym, żeby nie upuścić imbryka podczas nalewania wody. Coraz trudniej było jej utrzymać cokolwiek cięższego. Cholera, pomyślała, rozpadam się po kawałku. Szkoda, że nie mogę winy za to zwalić na Fionę, tak dla odmiany, skoro ona o wszystko obwinia mnie.

– Idziemy na kolację z przyjaciółmi, wiesz, z Tess, Maksem, Millie i Timem.

– Świetnie. Bawcie się dobrze. Zostanę z dziećmi, zaoszczędzicie na opiekunce. – O proszę, powiedziała to najmilej Jak umiała. I właśnie to zmartwiło Fionę.

– Właściwie pomyśleliśmy sobie z Grahamem, że byłoby miło, gdybyś z nami poszła. Nie wychodziłaś nigdzie, odkąd tu mieszkasz. To ci dobrze zrobi.

– Wolałabym zostać w domu.

Fiona szukała wsparcia u Grahama, lecz tym razem postanowił trzymać się z boku.

– Widzisz, rzecz w tym, że już dawno zamówiliśmy opiekunkę do dzieci i jeśli teraz, w ostatniej chwili odwołamy, i tak będziemy musieli jej zapłacić. W każdym razie chcemy powiedzieć, ja chcę powiedzieć, że zależy mi, żebyś z nami poszła.

– Świetnie. – Daphne ucięła dyskusję.

– Słucham?

– Powiedziałam: świetnie. Jeśli uważasz, że nie jestem w stanie zająć się wnukami, pójdę.

Nie mogła przecież powiedzieć, że woli zostać, bo w domu czuje się lepiej, gdyż to tylko umocniłoby Fionę w podejrzeniach, że jest poważnie chora. A jeśli może być coś gorszego niż córka, która właśnie zrozumiała, że matka ma rację, to na pewno jest to matka, która przekonuje się, że córka była bliższa prawdy. Przenikliwe dziecko to najgorsza kara od losu.

I dlatego zgodziła się pójść.

– Nie mam ci za co dziękować – burknęła Fiona do Grahama, gdy matka poszła się dąsać na górę.

Graham podniósł głowę znad gazety.

– Wiesz przecież, że jestem po twojej stronie, ale nie będę ukrywał, jeśli będziesz się wygłupiać. W kółko powtarzasz, że problemem twojej matki jest to, że ojciec nigdy jej nie mówił, kiedy się wygłupiała, więc przestała się hamować. A potem odszedł, bo było za późno, żeby się zmieniła.

O nie, pomyślała Fiona. Mam się nie wygłupiać. To najlepszy dowód, że w naszym związku wypaliła się namiętność. Mówi do mnie jak starszy pan do wiekowej damy. Wkrótce zacznie się do mnie zwracać „złotko” i podawać swetry w chłodniejsze dni.

Była z siebie bardzo dumna, że wychwyciła kryzys w małżeństwie, zanim doszło do załamania. Teraz muszę działać, postanowiła. Nie będzie z nami jak z Timem i Millie, którzy czekają na urlop, żeby ratować związek i pozbyć się zahamowań.

Spontaniczność, oto czego nam brakuje. I elementu zaskoczenia. W naszym związku przydałoby się więcej niespodzianek. Udowodnię mu, że nie wie o mnie wszystkiego, że nadal potrafię go zaskoczyć. Skupiła się na planowaniu, gdzie, kiedy i w jaki sposób uda jej się najlepiej zaszokować męża.

Akurat takiego szoku Tess wcale nie potrzebowała. I nie chodziło tu bynajmniej o męża upozowanego w samych stringach na desce do prasowania.

– Cztery i pół tysiąca – powtarzała tę sumę zmieniając ton, jakby chciała zobaczyć, czy może w którejś chwili zabrzmie mniej groźnie. – Jakim cudem mamy kolejne cztery i pół tysiąca długu? Oprócz tych starych, które i tak nie wiadomo, jak spłacimy?

– To nie moja wina. – Max nienawidził siebie za to, że ucieka się do tej wymówki. – Podano mi szacunkową wartość wyposażenia sklepu, ale ponieważ sprzedawaliśmy je na aukcji, nie mieliśmy pewności, że dochód będzie akurat taki.

– I co teraz zrobimy? – mruknęła do siebie.

Max uznał, że pytanie było do niego, i fakt, że Tess nadal zwraca się do niego w poszukiwaniu wyjścia z tej sytuacji, sprawił mu przyjemność.

– Dobrze mi idzie na taksówce. Spokojnie zarabiam ponad sto funtów dziennie, podatkami nie musimy na razie zawracać sobie głowy, bo pieniądze dostają do ręki. Do tego twoja joga...

– Max, to wszystko razem do kupy nie wystarczy nam na życie i spłatę długów. Zresztą pieniądze są nam potrzebne natychmiast. I nie liczyłabym na

fortunę z moich zajęć. Kupiłam kasetę wideo, podręcznik, a po zajęciach wydałam w drogerii dwadzieścia trzy funty na maści, spraye i tabletki przeciwbólowe, więc w najlepszym wypadku wyszłam na zero.

Zrozpaczona opadła na kanapę. Max do niej podszedł.

– Wszystko będzie dobrze – powtarzał.

– Niby jakim cudem?! – krzyknęła. – Jak może być dobrze? ! – Zerwała się na równe nogi, nerwowo przechadzała i po raz pierwszy zauważyła, jak ciasne jest ich nowe mieszkanie.

– Muszę znaleźć drugą pracę, nie wiem, w sklepie, w pubie, gdziekolwiek. Jutro zacznę szukać.

Max pokręcił głową.

– Nie ma sensu. Nie możemy oboje pracować całymi dniami, co z Larą? Zresztą i tak nie zarobiłabyś tyle, ile nam potrzeba, nie jako niewykwalifikowana pomocnica.

– Więc co zrobimy? Aukcje się skończyły. Sprzedaliśmy wszystko, co mieliśmy do sprzedania. A odsetki rosną z dnia na dzień.

Max ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć oczywistej rzeczy. Nie wiedział, jak Tess to zniesie. Kiedy jednak widział, jak siedzi ze łzami w oczach, zrozumiał, że musi znaleźć rozwiązanie. On ich w to wpakował i on powinien ich wyciągnąć. Tess nie spodoba się, co zaproponuje, ale nic innego nie przychodziło mu do głowy.

– Jeszcze nie wszystko sprzedaliśmy – powiedział spokojnie.

– O co ci chodzi? – warknęła. – Chyba nie chcesz sprzedać moich pierścionków! Zachowam do nich prawo, nawet jeśli ogłosimy bankructwo, sam mi to mówiłeś!

– Oczywiście, że nie chcę sprzedać twoich pierścionków. Uspokoila się. Mniej więcej. Max denerwował się tym, co ma powiedzieć, ale jeśli tego nie zrobi, uzna, że naprawdę chciał sprzedać jej biżuterię.

– Mamy też inne rzeczy– powiedział.

Łypnęła na niego.

– Nic innego nie przychodzi mi do głowy. – Rozejrzała się po spartańsko urządzonej saloniku. – Popatrz tylko.

– Nie tutaj. Ale mamy mnóstwo rzeczy, których nie zabraliśmy.

Nie rozumiała, do czego zmierza, ale dał jej czas, żeby się domyśliła. W końcu do niej dotarło.

– Masz na myśli nasze rzeczy? Wszystkie?

Skinął głową. Przyglądała mu się z niedowierzaniem.

– Nie możemy tego sprzedać.

– A niby dlaczego nie?

Tess westchnęła, rozdrażniona jego głupotą.

– Bo będą nam potrzebne, kiedy... – I wtedy naprawdę do niej dotarło. – Chcesz powiedzieć, że nie będą nam potrzebne, bo nigdy nie wrócimy?

Usiadł koło niej, wziął ją za rękę.

– Jeśli coś innego przychodzi ci do głowy, spróbujmy. Ale moim zdaniem nie mamy innego wyjścia.

Starła się jakoś to ogarnąć. Zniosła wszystko, co ich dotąd spotkało, bo w głębi duszy wierzyła, że to tylko przejściowe. Choćby to miało trwać latami, wierzyła, że wrócą do dawnego domu.

Zresztą wystarczyła świadomość, że ich rzeczy są gdzieś tam, razem, by nie mieli uczucia, że stracili całą przeszłość. Czerpała z tego pociechę; myślała, że Max także. Nie rozmawiali o tym. Mieli na głowie tyle przyziemnych problemów, że nie było czasu na dywagacje o emocjach.

– Wszystko? – zapytała słabo. Max westchnął.

– Pamiętasz, jak to przeglądaliśmy w zeszłym tygodniu? Boże, zaledwie w zeszłym tygodniu, pomyśleli jednocześnie. Mieli wrażenie, że minęły lata. Mówił dalej:

– Zabraliśmy wszystko, co miało dla nas jakąkolwiek wartość. Skoro mieliśmy bez tamtych rzeczy mieszkać przez kilka lat, poradzimy sobie i dłużej.

– Nie chodzi o to. – Tess nie dawała za wygraną. – Po prostu lepiej się czuję, wiedząc, że one gdzieś tam są.

– Ja też – tłumaczył cierpliwie. – Ale nie mamy wyboru. Żadnego.

Myślała i myślała, aż zaczęło jej się kręcić w głowie. Westchnęła i rozejrzała się po pokoju.

– Niewiele nam zostanie po piętnastu wspólnych latach, co? Max się uśmiechnął.

– Niewiele, jeśli nie liczyć Lary i małżeństwa, które przetrwało najgorsze burze. Chyba nie aż tak mało, co?

– Chyba nie. Wiesz, pomyślałam jeszcze o czymś, co możemy sprzedać. Podniósł rękę.

– Nie sprzedamy nic stąd, ani twojej biżuterii, ani prezentów...

– Nie, nie o tym myślałam. Pamiętasz ten sklep, Dress Exchange, niedaleko Organique?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– A niby czemu miałbym go pamiętać? Jeśli nie sprzedawał ekologicznych bananów po konkurencyjnych cenach, nie interesował mnie. A co?

– To taki ekskluzywny szmateks. Osoba sprzedająca dostaje część zysków. Widzisz, chodzi o to, że w mojej szafie wisi majątek. A przecież nic nie robiłam w tych ciuchach, tylko chodziłam na zakupy i piłam kawę.

– Nie możesz sprzedać ubrań. Musisz w czymś chodzić.

– Tak, ale kupię sobie nowe rzeczy, bardziej praktyczne, bardziej odpowiednie do tego, co teraz robię. Jeszcze na tym zarobię, uwierz mi, wiem, ile kosztują takie ciuchy.

Max pokręcił głową.

– Nie pozwolę na to. Te ubrania to część ciebie. I właśnie dlatego chcę się ich pozbyć, pomyślała.

– Zdecydowałam już– oznajmiła stanowczo. –Ale robię to z pobudek egoistycznych, więc się nie martw.

Max uniósł brew.

– Czymś muszę się martwić – zażartował.

Mieszkamy tu zaledwie od kilku dni, pomyślała, zapewne znajdzie się jeszcze niejeden powód.

– A czego sobie życzy piękna dama?

Fiona, Tess i Millie zachichotały uprzejmie, póki nie zdały sobie sprawy, że Carter ma na myśli Daphne. Wtedy roześmiały się histerycznie.

– Fiona, podrywają ci matkę! – szepnęła Tess przez stół.

– Cicho! – syknęła Fiona. – Uśmiecha się po raz pierwszy od dziesięciu lat. Nie przerywajmy jej.

Daphne robiła, co mogła, by ukryć wrażenie, jakie na niej robiły zaloty Cartera, ale nikt nie dał się oszukać. Nawet pod centymetrową warstwą pudru z lat pięćdziesiątych widać było jej rumieniec.

– A co pan poleci? – zapytała. Mocowała się z ogromną kartą dań, a nie chciała zakładać okularów.

Carter z namysłem gładził się po brodzie.

– Wygląda mi pani na damę o wysokich wymaganiach, więc ośmielałam się zaproponować halibuta z warzywami.

– Brzmi smakowicie.

– Pewnie okaże się, że to mrożony groszek z marchewką – mruknął Tim do Grahama.

Tess łypnęła gniewnie.

– Mylisz się. Carter ma dostawcę, farmera z Kent. Przywozi mu warzywa dwa razy w tygodniu. Jeśli jest na nich lód, to dlatego że na dworze pada śnieg.

Tim schylił się pokornie. Nie podobały mu się ceny w tej knajpie. Choć znacznie wyższe niż w czasie lunchu, i tak było podejrzenie tanio. Poszukał sobie innego powodu do złości. Wszystko, byle nie myśleć, że będzie ojcem sześciorga dzieci.

– Sześcioro dzieci? Sześcioro?

Millie zaczynała podejrzewać, że Tim kwalifikuje się do psychiatry. Nie ruszał się, nawet nie mrugał. Stał na środku pokoju i w kółko powtarzał:

– Sześcioro dzieci?

– Też byłam zaskoczona – zaczęła. Miała nadzieję, że postępuje słusznie, mówiąc do niego. Może jest jakaś zasada postępowania w takich przypadkach. Lunatyków na przykład nie można budzić. Nie chciała, żeby Tim wpadł w szal, zwłaszcza że dzieci oglądają *Simpsonów* w sąsiednim pokoju. Już widziała nagłówki w brukowcach. Co prawda na razie wydawał się spokojny – jak psychopata.

– Sześcioro dzieci? – powtórzył po raz kolejny.

– Na rany boskie, przestań to powtarzać! – Millie już się nie martwiła o stan jego umysłu, była po prostu wściekła. – Ja też będę miała sześcioro dzieci i racz zauważyć, że to na mnie spadnie większość obowiązków. Ty będziesz

codziennie uciekał do pracy na dziewięć czy dziesięć cudownych, spokojnych godzin.

– Nic nie mów, muszę pomyśleć. Uderzyła go w ramię, mocniej niż zwykle.

– Korzystaj z okazji, za sześć miesięcy nie będzie na to czasu.

Nie chcę ich, miał na końcu języka. Nie chcę tego wszystkiego. Chcę stąd uciec, włóczyć się po świecie i wrócić, kiedy dzieci podrosną. Chcę mieć rodzinę, w której jedno dziecko brzdąka na pianinie, drugie haftuje, trzecie tłumaczy łacińską poezję, a najmłodsze siedzi koło mnie, dotrzymuje mi towarzystwa, kocha mnie. Czy to tak wiele?

Rozsądnie zatrzymał to pytanie dla siebie, pewnie dlatego że znał odpowiedź. Nieważne jednak, jak bardzo dokuczała mu rodzina z czwórką dzieci, rodzina z szóstką była nie do pomyślenia.

– Nie zmieszczą się do samochodu – powiedział. Sprzeciw narastał, w miarę jak ustępował początkowy szok. – Nie mamy dosyć sypialni. Ani rzeczy dla dzieci. Właściwie nie mamy żadnych rzeczy dla dzieci. Oddaliśmy wszystko po Nathanie.

– Część zachowałam – przyznała Millie spokojnie.

Tim gwałtownie odwrócił głowę.

– Zachowałaś? Po co? Przecież uznaliśmy, że czworo wystarczy?

– Zachowałam najładniejsze rzeczy dla znajomych, może nawet dla naszych wnuków. Mają dla mnie wartość sentymentalną. Nie mogłam tak po prostu oddać ich biednym.

Tim nerwowo mrugał lewą powieką. Uważnie przyglądał się Millie, szukał dowodu, że go oszukuje.

– Zaplanowałaś to, prawda?

Miała ochotę go uderzyć, ale tylko wrzasnęła:

– Nie! O ile pamiętasz, to ciebie poniosło, nie mnie!

Tima zaskoczyły te słowa. Nie pamiętał i wcale nie chciał pamiętać. Zdecydował już, że to wszystko wina Millie, i nic nie zmieni jego zdania.

Najgorsze, że nie może nic zrobić. Nie ma wyjścia. Choć rozkoszował się marzeniami o wyjeździe z Alison i powtórce z młodości, wiedział, że to tylko marzenia. Jednak przyświecała mu wątła nadzieja, że już niedługo dzieci będą na tyle duże, że nie będą za nim bardzo tęsknić.

Nie, żeby poważnie zastanawiał się nad tym, czy od nich odejść, ale przecież nic się nie stanie, jeśli o tym pomarzy. Lecz szóstki dzieci nie zostawi. Będzie im potrzebny do końca świata. Kiedy już straci wszystkie pieniądze na ich wykształcenie, zaczną się śluby i kupowanie domów, na które w przyszłości nikogo nie będzie stać.

Będzie pracował do dziewięćdziesiątki, zresztą nawet na emeryturze będzie musiał dorabiać w supermarkecie budowlanym, żeby zarobić na prezenty urodzinowe dla siedmiuset wnuków i prawnuków.

Widział przyszłość – szlak z pieluch od dziś po grób.

– Dokąd idziesz? – zapytał Millie, gdy rzuciła się do drzwi, o ile kobieta w ciąży z bliźniakami może się rzucać.

– Mówiłam ci, umówiłam się ze starym znajomym.

– Z kim? – nie dawał za wygraną.

Irytowały go jej wykrętne odpowiedzi.

– Ma na imię Daniel. – Wyrzuciła z siebie imię chłopca, w którym kochała się w przedszkolu, i wyszła.

Co to za Daniel? Tim głowił się przez cały wieczór.

– Super, naprawdę – zapewniał entuzjastycznie Graham i pochłaniał ogromną porcję. –I wcale nie tak daleko od nas. Dziwne, że to tej pory nie słyszeliśmy o tej knajpie.

Kilka tygodni temu któryś z nich skomentowałby złośliwie lokal w Dolinie Blokatorów. Teraz uważali na każde słowo. Było nie było, mieszkają tu Tess i Max.

– Cześć, Tess!

Tess poruszyła się niespokojnie. Zapomniała, że tu mieszka i są duże szanse, iż spotka w lokalu kogoś, kogo poznała w ciągu ostatnich kilku dni. Żałowała, że umówili się akurat tutaj.

– Cześć.

Poznała tę kobietę – chodziła na jogę. Nie wiedziała, jak wybrnąć z tej sytuacji. Wszyscy czekali, aż im ją przedstawi. Kobieta zaoszczędziła jej wstydu.

– Tess nie wie, jak mam na imię. Jestem Sandy.

Rozległ się zbiorowy pomruk: „Cześć, Sandy”, i wszyscy czekali, aż Tess wyjaśni, jak się poznały. Nie ma wyjścia.

– Sandy i ja znamy się z jogi – powiedziała.

Wszyscy skinęli głowami, jakby to wszystko wyjaśniało. Bo wyjaśnia, uświadomiła sobie nagle. Nie sądzą, że prowadzę te zajęcia, niby dlaczego? Udało mi się!

– Jest świetną instruktorką – powiedział Sandy.

Nie, nie udało mi się.

Fiona i Millie spojrzały na Tess pytająco. Graham nie zwracał na nic uwagi, pochłonięty jedzeniem. Tim chyba rozmawiał z talerzem. Max się świetnie bawił.

– Później wam opowiem – rzuciła Tess od niechcienia. Kiedy już wymyślę, jak to przedstawić, żeby nie wyjść na oszustkę. Zyskała chwilę, gdy zjawił się Carter z winem.

– Nie przypominam sobie, bym zamawiał wino – zdziwił się Max.

Carter się uśmiechnął.

– To prezent od tamtego pana – wskazał stolik przy oknie. Siedział tam Rav w towarzystwie dwójki bardzo schludnych i bardzo grzecznych dzieci. Podniósł kieliszek i skinął głową. Max odpowiedział, podnosząc kciuk. Zauważył, że tego wieczoru Rav nie ma na sobie żadnego ze swetrów, które chyba stanowiły jego znak firmowy. Zamiast niego włożył indyjską tunikę, bogato haftowaną złotem i srebrem, zdobioną cekinami.

Graham starał się odcyfrować napis na etykiecie, kiedy Carter nalewał wino. Zmarszczył brwi. Najwyraźniej nie wierzył własnym oczom.

– Tak, dobrze widzisz, z Bombaju – powiedział Max.

Graham podniósł głowę.

– Gdzie jest Bombaj?

– W Indiach, idioto – prychnęła Daphne.

– Proszę, proszę, nie tylko piękna, ale i mądra – zachwycił się Carter. Daphne chrząknęła zawstydzona.

– Z pewnością chodzi o inny Bombaj – tłumaczył Graham z anielską cierpliwością. – W Indiach nie produkuje się wina.

– Powiedz to mojemu przyjacielowi – mruknął Max.

Kiedy Carter napełnił wszystkie kieliszki, podnieśli je i badali kolor. Niewiele mogli powiedzieć, nie dlatego że ze światłem było coś nie tak, tylko dlatego żadne z nich nie wiedziało, czego tak naprawdę szuka.

– Wygląda dobrze – ocenił Graham. Co znaczyło mniej więcej : nie ma kawałków korka i jest czerwone. Kiedy ustalili fakty, upili po łyku.

Nikt nie chciał wypowiedzieć się jako pierwszy. Max czuł na sobie niespokojny wzrok Rava i uznał, że musi przejąć inicjatywę, zanim któryś ze starych przyjaciół go obrazi.

– Cóż, moim zdaniem jest bardzo... wyraziste.

Graham upił kolejny łyk. Czuł, jak wino rozpuszcza mu szkliwo na zębach i wyżera połowę języka. Czuł też, że Max na niego patrzy, i zrozumiał. Przełknął z nadzieją, że jego wnętrzności przeżyją kontakt z indyjskim winem.

– Hm – mruknął. – Z charakterem. Bardzo silnym charakterem.

Tim opróżnił kieliszek jednym haustem.

– Mnie smakuje.

– Coś z nim nie tak? – szepnęła Tess do Fiony.

– Później ci powiem – odparła.

– Dlaczego Millie tak dziwnie rusza oczami? – zainteresowała się Tess.

Fiona spojrzała na Millie, która najwyraźniej starała się dać jej coś do zrozumienia. W końcu sobie przypomniała. Miała poruszyć temat wakacji, wybadać, czy Tess będzie przykro, jeśli pozostali wyjadą bez nich.

Takt nie był mocną stroną Fiony. Była typem, który najpierw mówi, potem przeprosza. Wiedziała jednak, że musi to zrobić. Millie oddałaby wszystko za urlop przed urodzinami bliźniąt, a nie miała siły na wyjazd tylko z Timem i dziećmi.

Fiona nie owijała w bawełnę.

– Myśleliście już o urlopie?

Tess parsknęła śmiechem.

– Nie myśleliśmy nawet o przyszłym tygodniu! Skończyły się czasy, gdy cokolwiek planowaliśmy! Chociaż z każdym dniem sytuacja wygląda odrobinę lepiej.

Myślała przy tym o sprzedaży ubrań, lecz Fiona zinterpretowała te słowa jako szansę na wspólny wyjazd. Odprężyła się, zadowolona, że będzie mogła rzucić Millie okruszek nadziei. Czuła się podle, ale już postanowili z Grahamem, że nie pojedą tylko z Millie i Timem. To byłoby nie w porządku.

Jednak nawet jeśli Prowansja jest jeszcze realna, musi myśleć o Daphne. Matka nie wytrzyma dwunastogodzinnej podróży samochodem.

– Max!

Wszyscy podskoczyli, gdy rozległ się tubalny głos.

– Cześć, Archie! Chodź tutaj, poznaj moich przyjaciół. – Max wstał i serdecznie przywitał się z kolegą z klubu. Przedstawił wszystkich zebranych. – Nie mówiłeś, że wpadniesz.

– Przychodzę co wieczór. Nie chce mi się gotować dla jednej osoby i mamy z Carterem układ: darmowe posiłki za darmowe taksówki. I czasami odbieram ciężarówką jego zamówienia.

– Nie możesz jeść sam – stwierdził Max. – Dosiądź się do nas. – Celowo ignorował nerwowe spojrzenia Tess, które, jak wiedział, w ich małżeńskim kodzie spojrzeń oznaczały rozpaczliwe SOS.

– Nie chciałbym przeszkadzać.

– Skądże, jest dość miejsca. – Max dostawił kolejne krzesło.

Carter błyskawicznie przyniósł stek z ziemniakami i gotowaną marchewką.

– Rewelacyjna obsługa – zauważył Max.

– Jem to samo w każdy piątek – wyjaśnił Archie. – I zawsze przychodzę tu za kwadrans dziewiąta. Nie wychodzę z biura na długo, są godziny szczytu.

– Czym się zajmujesz, Archie? – zapytał Graham uprzejmie.

– Prowadzę korporację taksówkarską. Max właśnie u mnie zaczął, a już jest jednym z lepszych kierowców. Od pięciu dni nikt nie złożył na niego skargi, to rekord w południowym Londynie.

Tim wbił w Maksa zdumiony wzrok.

– Od kiedy jesteś taksówkarzem?

– Archie przed chwilą to powiedział, od pięciu dni – wyjaśniła Daphne i uraczyła Tima swoim firmowym spojrzeniem, które zdawało się mówić: myślisz, że jestem głupia, bo jestem stara, ale ja przynajmniej nie tracę wątku w rozmowie.

Ciekawe, czy Alison poznała podczas tych wszystkich podróży ludzi typu Daphne, zastanawiał się Tim. Może prymitywne plemiona otaczają ich kultem. Musi być jakiś powód, dla którego ewolucja utrzymała ich przy życiu. Może jej istnienie ma jakiś głębszy cel, który musimy odkryć. Nie zabiję jej na wszelki wypadek, a nuż się okaże, że jej żółć leczy raka czy coś takiego.

– Czy mogę prosić jeszcze odrobinę tego pysznego wina?

Wszyscy obejrżeli się, ciekawi, kto to powiedział. Uważali się za dowcipnych, ale ten żart zakrawał na absurd. Znowu Daphne.

– Mamo, nie sil się na złośliwość! – syknęła Fiona. Daphne spojrzała na nią wyniośle.

– Nie silę się. Naprawdę chciałabym jeszcze wina. Wyciągasz mnie na kolację, chociaż chętnie zostałabym w domu, a kiedy proszę– grzecznie – o odrobinę wina, zarzucasz mi złośliwość. Teraz wiem, co czują nastolatki, gdy dorośli niesprawiedliwie ich traktują.

– Naprawdę uważasz, że to wino jest dobre? – zapytała Fiona z niedowierzaniem.

– A mówiłabym to, gdybym tak nie sądziła? Złośliwości są dobre dla młodych. Z wiekiem zrozumiesz, że życie jest za krótkie, by bawić się słowami.

To wiele tłumaczy, pomyślał Graham i przypomniał sobie okrutne i głupie słowa, które w przeszłości Fiona słyszała od Daphne.

Max zamówił jeszcze jedną butelkę.

– Ma pani bardzo wyrafinowany gust, pozwolę sobie zauważyć. – Carter z podziwem zwrócił się do Daphne. – Nie wszystkim smakuje nasz Bombaj. To wino dla smakoszy.

Daphne uśmiechnęła się słodko i opuściła oczy. Właściwie zgadzała się z pozostałymi, wino jest okropne, ale po pierwszej lampce całe jej ciało ogarnęło przyjemne ciepło i ból się rozplynał (prawdopodobnie razem z większością organów wewnętrznych). To cud, najprawdziwszy cud.

– Czy mogę się dołączyć? – zapytał Archie. – Zazwyczaj wieczorami nie piję, bo nie chcę, żeby Carter otwierał butelkę dla jednego kieliszka, ale gdybym mógł postawić tę butelkę...

Fiona obserwowała matkę z niedowierzaniem. Przyprowadziła ją tu, żeby dyskretnie ocenić, jak bardzo jest schorowana, a tymczasem Daphne działa na facetów jak geriatryczna modelka *Playboya*. Pozamieniali się miejscami, tak żeby Archie siedział koło Daphne.

Graham poszedł do łazienki, a po drodze szepnął Fionie do ucha:

– Powinniśmy przyprowadzać ją tu co wieczór. W takim tempie do Gwiazdki wydamy ją za męża.

Fionę to rozbawiło czy raczej wiedziała, że powinno ją to rozbawić. W rzeczywistości czuła się nieswojo. Matka wychodziła z przegródki, którą dla niej stworzyła. Miała tam siedzieć, póki sobie wszystkiego nie wyjaśnią. Dopiero wtedy pozwoli jej odejść.

Nie pozwolę mu odejść, nie tym razem, dumiała Alison. Siedziała na fotelu przy oknie wchodzącym na ogród. Gabriel umocował oświetlenie przy rabatkach, zanim odszedł.

– Nie chcę niczego sadzić – mówił. – To oznacza zapuszczanie korzeni, ale możemy cieszyć oczy tym, co już rośnie.

Wieczorami siadywali w ogrodzie i rozkoszowali się ciszą. Snuli niekończące się rozmowy o podróżach, dawnych i przyszłych. Czasami przynosili ze sobą globus, kręcili go i na chybił trafił uderzali palcem. Zastanawiali się, czy warto tam pojechać. W ich życiu nigdy nie było stagnacji, wszystko zawsze parło do przodu.

– Gabriel, co zrobimy na starość? – zapytała pewnego wieczoru.

Spojrzał na nią, jakby nie rozumiał tego pytania.

– To bardzo europejskie podejście do życia – powiedział. – Zakładasz, że w pewnym wieku wszystko musi się zmienić. To skutek waszego dziwnego systemu, tego, że przechodzicie na emeryturę w wieku sześćdziesięciu czy sześćdziesięciu pięciu lat. W innych krajach pracuje się do śmierci albo póki choroba czy niedołęstwo nie zwali cię z nóg.

Alison wzruszyła ramionami.

– No dobrze, to co będziemy robić, jeśli zniedołężniejemy przed śmiercią? Co wtedy?

Gabriel gładził jej dłoń.

– Zawsze będziemy silni. Widziałem cię w górach i na pustyni. Masz duszę wojownika, jak ja. I dlatego cię kocham.

Jeśli chodzi o niego, temat się wyczerpał. Lecz Alison myślała o tym bez przerwy. Owszem, jest silna, ma duszę wojownika, ale ostatnio coraz częściej dopadało ją zmęczenie. Nie fizyczne, po prostu znużenie udawaniem, że jest tą samą osobą co piętnaście lat wcześniej.

Odkąd wróciła do Anglii, pochłaniała pisma kobiece, nadrabiała zaległości w kulturze masowej, której jej brakowało. Przesłanie było bardzo jasne – kobiety muszą być młode co najmniej do sześćdziesiątki.

Miała trzydzieści osiem lat, zdobyła Mount Everest, sporo osiągnęła. Miała prawo się ustatkować, utyc, rozleniwic. Chciała żyć zgodnie ze swoim

wiekiem, faktycznym, a nie tym, w którym poznała Gabriela. Miała dosyć dwudziestominutowych sesji przed lustrem, żeby ukryć oznaki upływającego czasu na twarzy. I chciała mieć dziecko.

Potrzeba posiadania dziecka, a była to zdecydowanie bardziej potrzeba niż pragnienie, potęgowała się jak choroba. Czuła fizyczny ból, który uśmierzyć mogło jedynie dziecko. Oczywiście poruszała ten temat w każdy możliwy sposób, lecz Gabriel był nieugięty.

– Ustaliliśmy to na samym początku – powtarzał. – Żadnych dzieci. Wyraźnie to mówiłem.

– Przecież to nie musi niczego zmieniać – błagała. – Możemy zabierać dziecko z nami. Pomyśl, ile dzieci spotykaliśmy w podróżach, jakie miały wspaniałe dzieciństwo, poznawały cały świat. Nasze też mogłoby...

Ale Gabriel nie dawał się przekonać.

– To nie to samo. Nie zabierzemy dziecka do strefy działań wojennych, a ustaliliśmy już, że to będzie nasz następny krok.

Jakby chcąc ją zmusić do podjęcia ostatecznej decyzji, nawiązał kontakt z organizacją Lekarze Bez Granic. Organizacja była zachwycona, oto wolontariusze gotowi poświęcić nieograniczony czas na pracę w najbardziej niebezpiecznych regionach.

Alison poszła razem z nim na rozmowę kwalifikacyjną, bezmyślnie słuchała wszystkich surowych ostrzeżeń, obejrzała film przedstawiający pracę lekarzy na krańcach świata i wiedziała, z całą pewnością, że nie pojedzie.

– Jestem za stara – orzekła. Gabriel spojrzał na nią gniewnie.

– Bzdura. Nie jesteś. Zresztą widziałas na filmie, wyjeżdżają ludzie dużo od ciebie starsi.

– Jeśli nie jestem teraz, to na pewno będę, kiedy wrócimy. Widziałeś, jaka to męcząca praca.

Objął ją, podekscytowany.

– I właśnie to jest najwspanialsze – tłumaczył z zapałem. – Nie musimy wracać. Nigdy. Możemy jeździć z miejsca na miejsce. Ludzie się starzeją, jeśli tkwią w jednym miejscu, kiedy widzą, jak się zmieniają i porównują się z innymi. Gdy patrzą, jak ich dzieci dorastają, a rodzice umierają.

Lecz zamiast przekonać ją do wyjazdu, tylko umocnił Alison w decyzji, żeby zostać.

– Ale ja pragnę widzieć siebie na tle innych. Nie chcę do końca życia trwać w izolacji. To nienaturalne. Wydaje mi się, że przynajmniej tego nauczyliśmy się w tych wszystkich wioskach, które odwiedziliśmy. Chcę widzieć, jak ludzie się starzeją. Poczuć, jak sama się starzeję. Chcę obserwować, jak dorastają dzieci.

Przede wszystkim moje dzieci.

To nie było przyjacielskie rozstanie. Gabriel miał wrażenie, że go oszukała. Nie mieściło mu się w głowie, że po prostu zmieniła zdanie.

Więc oto jestem, myślała. Prawie czterdziestoletnia, samotna i bezdzietna. To normalne, że pomyślała o Timie i się do niego odezwała. Zresztą to takie proste. Znalazła go na stronie internetowej i uśmiechnęła się, czytając skromną, jak się spodziewała, notkę biograficzną. Jedno ją uderzyło. Czworo dzieci! Miał czworo dzieci!

To mogłam być ja, myślała z goryczą. Mogłam za niego wyjść i mieć czworo dzieci. Mieszkałabym z nim w domu z ogrodem pełnym kwiatów, ba, nawet drzew, które sama zasadziłam. Mogłabym pozwolić sobie na zmęczenie, bo Tim zaopiekowałby się mną. Zawsze to robił. Mogłabym obserwować, jak moje dzieci rosną, i nie robić nic więcej, bo osiągnęłabym w życiu coś stałego.

Nie planowała rozbić jego małżeństwa, odebrać ojca jego dzieciom. Nie była zła. Po prostu zżerała ją potrzeba. A ponieważ, jak słusznie zauważył

Gabriel, całe dorosłe życie spędziła w izolacji, nie nauczyła się współżyć z innymi. Nie zdawała sobie sprawy ze swego egoizmu. Nigdy nie martwiła się konsekwencjami swoich czynów, nie zrobi tego i teraz. Pragnęła tylko dwóch rzeczy. Tima i dziecka.

Podano rachunek; leżał przed Maksem. Zanim zaczęły się tradycyjne dyskusje, kto płaci, Tess porwała karteczkę.

– My zapłacimy! – krzyczał Graham. – Bez dyskusji!

Max poczerwieniał. Poczul się uraczony sugestią, że go nie stać, żeby za siebie zapłacić. Naprawdę go nie stać, ale nie w tym rzecz. Martwiło go też, że Tess porwała rachunek. Chyba nie chce zapłacić za wszystkich?

Tess szperała w torebce, aż wyjęła z niej zwitek skrawków. Pozostali obserwowali z zainteresowaniem, jak układa je na stole.

– Dobrze, zobaczmy, co tu mamy. Proszę bardzo: „dwa w cenie jednego, kup jedno danie główne, drugie dostajesz za darmo”. Weźmiemy to z Maksem. Dalej: „Butelka bombajskiego wina na koszt firmy dla grup powyżej czterech osób; promocji nie można łączyć z ofertą dwa w cenie jednego”. Niech to weźmie wasza czwórka, to lepsze niż dwa w cenie jednego. O, ale możemy to połączyć z „dziesięć procent rabatu dla grup sześciuosobowych i większych”, więc to dotyczy nas wszystkich. I jeszcze to: „darmowe desery, gdy dwie osoby wydadzą ponad dziesięć funtów”. Tim i Graham, to chyba wy, jedliście steki, więc jeśli weźmiecie ten kupon...

Patrzyli na nią, jakby wyjęła sobie oczy z głowy i turlała je po stole. Z niedowierzaniem wsłuchiwali się w szczegółowe rozważania na temat kuponów. Max nie wiedział, co ze sobą zrobić, najchętniej wyrzuciłby kupony do śmieci, sam zapłacił za wszystkich i odwiózł Tess do psychiatry.

Jeszcze nie skończyła:

– Ponieważ to nasza pierwsza kolacja, możemy poprosić o kartę stałego klienta i dostać kolejne dwa i pół procent zniżki. A Daphne skończyła sześćdziesiąt lat, więc ma pięcioprocentowy rabat na jedzenie, ale nie na alkohol. O, spójrzcie! To jest dobre: „goście, którzy złożą zamówienie przed dziewiętnastą, płacą ceny obiadowe”. Teraz to nas nie dotyczy, ale warto zapamiętać. Dobrze, zamówiliśmy pieczywo czosnkowe, ale dostaje się je za darmo, jeśli dwie osoby zamówiły dania włoskie, poza eskalopkami...

Zanim wyczytała coś jeszcze ze stosu, który wcale nie malał, Graham spokojnie zabrał rachunek, położył na nim kartę kredytową i podszedł do Cartera, który stał nieopodal z kalkulatorem.

Wrócił po chwili.

– Nie przyjmują kart – mruknął. – Tylko gotówkę.

– Nie mówiłam wam? – zdziwiła się Tess.

Przyjaciele przecząco pokręcili głowami. Najchętniej wsadziliby jej te kupony w...

Zanim dopowiedzieli w myślach to zdanie do końca, podszedł Carter.

– Czy mogę? – zapytał. Zwinnie zabrał stertę kuponów i wrócił na swoje miejsce przy kasie.

Obserwowali z podziwem, jak stuka w klawisze kalkulatora w zawrotnym tempie i notuje coś na skrawkach papieru. W końcu wrócił do Tess i wręczył jej plik poszczególnych rachunków, pokrytych skomplikowanymi wyliczeniami. Zamiast imienia gościa, u góry widniało danie główne.

– Świetnie – rozpromieniła się. – Kto jadł stek w sosie pieprzowym? Graham? Osiem dwadzieścia cztery. Lasagne?

Minęło kolejne pięć minut. Tess rozdawała rachunki jak nauczycielka klasówki. Zdążyli się też pokłócić. Czy Tim jadł pieczywo czosnkowe, czy nie?

Cofnęli się do studenckich lat, znowu śledzili każdego pensa na rachunku.

– Słuchajcie, mam pieczywo czosnkowe na moim rachunku – dowodził Tim – a wcale go nie jadłem. Zamówiłem je dla Millie, powinno być u niej.

– To i tak nieważne – wtrąciła się Daphne – bo było za darmo przy dwóch włoskich daniach. – Cmoknęła, zniecierpliwiona jego ignorancją. Dla niej to wszystko było bardzo proste i bardzo rozsądne. Archie poklepał jej dłoń. Był zachwycony. Nigdy więcej nie będzie narzekał na samotne kolacje, jeśli tak wyglądają wieczory z przyjaciółmi.

W końcu siedzieli w milczeniu, każdy ze swoim rachunkiem. Graham odezwał się pierwszy.

– Słuchajcie, trochę mi głupio... ale nie mam przy sobie gotówki.

– Ja też nie – przyznał się Tim, a ślad za nim Fiona i Millie.

– A ja mam tylko za siebie i Tess – wyznał Max przeprasząco.

– Proszę się nie martwić – włączył się Carter. – Zapiszę to wam na kreskę. Zapłacicie następnym razem. Max jest członkiem klubu, ufam mu.

Tim był zbulwersowany. Spojrzał na Grahama.

– Nigdy niczego nie brałem na kreskę. A teraz musimy tu wrócić! Nie wiem, czy jeszcze raz wytrzymam to zamieszanie z kuponami.

Graham tymczasem świetnie się bawił. Było zupełnie inaczej niż zazwyczaj na wspólnych kolacjach i dzięki temu w ogóle nie myślał o Christine. Do tej pory.

Rav obserwował ich od swojego stolika. Tacy mili ludzie, pomyślał. Dobrze jest widzieć przyjaciół razem. Ja nie mam przyjaciół, tylko rodzinę i mężczyzn w klubie. Bardzo miło z ich strony, że zabrali też starszą panią. Jest piękna, ale bardzo cierpi, to widać. Bolą ją plecy i chyba nogi. Dobrze, że moje

wino pomogło! Oby szybko wróciła. Chciałbym ją jeszcze zobaczyć, może porozmawiać, napić się wina.

Widział zamieszanie z rachunkiem i zawołał Cartera na stronę.

– Zapłacę za nich, ale nie mów, że to ja, będzie im wstyd. Niech myślą, że to na kreskę, żeby musieli tu wrócić.

Carter się zgodził. A Rav może się cieszyć na ponowne spotkanie z piękną panią.

TTLRR

Nie podoba mi się to – mruzczał Max ponuro, wiążąc krawat. Ostatnio miał na sobie garnitur podczas bezowocnej rozmowy w banku, w sprawie kolejnej pożyczki.

– Rozmawialiśmy o tym – tłumaczyła Tess. – Robimy to ze względu na Larę. Zgodziłeś się.

– No tak, ale już chodzi do tej szkoły. Teraz już jej nie wyrzucą tylko dlatego, że nie chodzimy do kościoła.

Tess zmarszczyła brwi.

– Obiecaliśmy pani Bowers, że będziemy chodzić do kościoła, powiedziałam to też Johnowi. Nie możemy się teraz wycofać.

– Johnowi? Od kiedy jesteś z wikarym po imieniu? Od kiedy w ogóle znamy jakichś wikarych?

Tess rozsądnie puściła to mimo uszu. Lara biegała po całym domu w poszukiwaniu ulubionej gumki do włosów.

– Wszyscy tam będą, mamó! Będzie super! A później dają ciastka!

Max z westchnieniem wyszedł z domu za żoną i córką. Zazwyczaj w niedzielne ranki spał do południa. Po sześciu dniach w sklepie wreszcie mógł odpocząć. Tess przynosiła mu kawę i gazetę do łóżka, a potem do południa chodziły z Larą na palcach.

Moja pierwsza niedziela po stresującym tygodniu, a ja idę do kościoła, myślał Max. Jeszcze nawet nie widziałem gazety. Czy na tym świecie już nie ma świętości?

Kościół sprawiał pocieszające wrażenie, przynajmniej z zewnątrz. Miał, tak jak powinien, wysoką wieżę, witraże i tablice informacyjne pełne najróżniejszych ogłoszeń, zrozumiałych tylko dla wtajemniczonych. Tess i

Max przekroczyli progi świątyni z należnym skupieniem i natychmiast poraził ich nietypowy widok.

W zdumienie wprowadził ich nie tylko tłum w kościele, ale przede wszystkim ogłuszający hałas. Ludzie nie siedzieli w ławach z głowami pochylonymi w modlitwie; gadali, krzyczeli do znajomych.

– Czy to na pewno kościół anglikański? – zapytał Max szeptem. – Niezbyt uroczysty, a kościół anglikański jest podobno bardzo uroczysty. A ci tutaj na pewno mają tamburyny. Słyszałem o takich świątyniach.

– Spójrz, mamó, Ruthie! – Lara pomachała nowej koleżance i już jej nie było. Podbiegła do grupy dzieci na samym przodzie.

– Nie może tam siedzieć, musi zostać z nami – denerwował się Max.

– Dlaczego? – zdziwiła się Tess.

– Ludzie zobaczą nas bez dziecka i pomyślą, że przyszliśmy tu z własnej woli. Uznają, że chodzimy do kościoła.

Tess poklepała go po ramieniu.

– Powinniśmy zrobić sobie plakietki z napisem: GRZESZNY I DUMNY.

– Śmieję się, ile chcesz, nie lubię kościołów – mruknął. – A szczególnie takich. Skąd wiadomo, co robić, skoro wszyscy łążą bez celu? I gdzie organy?

Tess pociągnęła go w stronę wolnych siedzeń i pchnęła lekko. Naburmuszył się. Oboje podskoczyli, gdy kościół wypełniły dźwięki syntezatora i ostra rockowa perkusja. Wszyscy zerwali się na równe nogi i zaczęli śpiewać.

Max i Tess nerwowo szukali śpiewnika, aż ktoś im pokazał wielki ekran, który zjechał spod sufitu. Śpiewany wers świecił się na zielono, lecz niewiele im to pomagało, bo nie znali tej pieśni. Obserwowali z niedowierzaniem, jak wierni klaszczą do taktu. Tess złapała się na tym, że wybija rytm stopą, póki Max nie łypnął na nią groźnie okiem.

Dzieciaki na przodzie tłoczyły się dokoła skrzyni pełnej instrumentów muzycznych. Były tam tamburyna, dzwonki i grzechotki, wszystkie kiczowate i głośne.

– A nie mówiłem? – syknął Max. – Mają tamburyna! Tess sprawiał przyjemność widok szczęśliwych dzieci,

zwłaszcza szczęśliwej Lary. Szturchnęła Maksa w bok, żeby spojrzeć na córkę, i widziała, jak łagodnieje. Wytrzymali tak do końca piosenki.

Wtedy pojawił się John. Ku uldze Tess i wbrew zapowiedziom Maksa, nie miał na sobie stroju klauna. Wyglądał... normalnie. Jak na wikarego, dodał Max w myśli. Jasnobrązowe włosy były starannie i schludnie przystrzyżone, co natychmiast napełniło go zazdrością. Miał chłopięcą, uśmiechniętą twarz. Był po trzydziestce, lecz nie widać było po nim stresów, które u Maksa i jego rówieśników zostawiały worki pod oczami. Kolejny powód do zazdrości. Jego paskudny humor łagodził jedynie fakt, że Wspaniały Wikary ma jednak szczątkowe poczucie przyzwoitości.

Ledwie Tess i Max usiedli, muzyka zabrzmiała od nowa. Zerwali się, ciekawi, czy będą śpiewać przez całe nabożeństwo. Tym razem piosenka wymagała wykonywania określonych ruchów. Max obserwował z niedowierzaniem, jak dorośli ludzie machają rękami, kręcą się dokoła własnej osi i wydają zwierzęce odgłosy. Ku jego przerażeniu, Tess się włączyła i najwyraźniej dobrze się przy tym bawiła. A Wspaniały Wikary wiódł prym.

– Wiesz, tamburyno to instrument sekciarski – szepnął Tess do ucha.

Roześmiała się, przekonana, że żartuje, co rozwścieczyło go jeszcze bardziej.

Chciał wyjść, ale zablokowali go spóźnialscy, którzy usiedli obok i teraz entuzjastycznie śpiewali.

W końcu, ku jego uldze, wszyscy usiedli. Harmider ucichł, choć jak dla niego atmosfera i tak była zbyt swobodna. Po pewnym czasie dzieci pomaszerowały do szkółki niedzielnej. Lara radośnie pomachała rodzicom.

Ledwie dzieci poszły, John stał się zdecydowanie bardziej taki, jak na wikarego przystało, przynajmniej w rozumieniu konserwatystów, do których Max od dzisiaj należał. Wygłosił kazanie – interesujące, zdaniem Tess i Maksa, choć może zbyt przyziemne. Kilka razy się nawet roześmieli.

Po fragmentach liturgii, niezrozumiałych, a jednak znajomych dzięki staroświeckiemu językowi, zaśpiewano hymn, który oboje znali.

– To mi się bardziej podoba – szepnął Max i ochoczo dołączył się do pieśni. Czas płynął szybko i ani się obejrzeni, już szli z innymi do zakrystii, gdzie, jak mówiła Lara, czekały ciastka, kawa i herbata.

– Nie możemy teraz sobie iść? – mruknął pod nosem z nadzieją, że Tess go usłyszy.

– Najpierw musimy się pokazać – odparła. – Inaczej to wszystko nie ma sensu. Chyba widziałam panią Bowers. Przywitam się z nią, ty pogadaj z wikarym. Kiedy nas zauważą, uciekamy.

Zostawiła Maksa z filiżanką herbaty, pączkiem i postanowieniem, że nie będzie rozmawiał z żadnym wikarym, wspaniałym czy nie.

– Jak ci się udało wymknąć w niedzielę? – zapytała Alison.

– Nie mam dużo czasu – tłumaczył Tim niespokojnie. – Powiedziałem Millie, że muszę wpaść do biura po dyski, nad którymi miałem popracować w weekend. Mamy tylko kilka godzin. Powiedziałem, że to tyle zajmie, bo w niedzielę jest fatalna komunikacja.

– Mamy mnóstwo czasu. – Alison od niechcienia wzięła go pod ramię i pociągnęła w głąb parku Battersea. – Odwiozę cię prawie pod sam dom, to nam da kilka minut więcej.

Tim nie posiadał się z radości, że Alison trzyma go pod rękę, lecz nadal robiło mu się niedobrze na myśl, że okłamał nie tylko Millie, ale i dzieci.

– Tatusiu, obiecałeś, że pogramy w Monopol! – płakała Carly.

– I że naprawisz mi rower! – krzyknął Nathan.

– Mieliśmy zbudować robota – chlipnęła Lucy.

– A mnie miałeś pomóc przy wypracowaniu o Kolumbie! –dodała Ellie.

Millie milczała. Skoro nie wzruszyło go rozczarowanie dzieci, skoro bez oporów sprawia im zawód, nie powstrzymają go jej narzekania i prośby.

Niedziela to dzień rodzinny. Zawsze tak było, to święta zasada. Nieważne, co się działo w ich życiu, niedziele spędzali razem. Czasami dołączali do nich bliscy przyjaciele, ale oni też w pewnym sensie należeli do rodziny. Tim nigdy, przenigdy nie chodził w niedzielę do biura. Jego koledzy, z tego co Millie wiedziała, też nie. Było dla niej oczywiste, że kłamie, i bała się nawet pomyśleć, dlaczego to robi.

Wiedziała, że załamała go wiadomość o bliźniętach – sama też nie była zachwycona i miała nadzieję, że po prostu potrzebuje trochę czasu dla siebie. Za kilka miesięcy stracą ostatnie wolne chwile. Żadnego innego wytłumaczenia nie brała pod uwagę.

Tylko że gdy się nie zastanawiała, przed jej oczami stawał pewien obraz. Był tam Tim z kobietą, piękną, spokojną, o idealnie płaskim brzuchu. Był zadowolony i zrelaksowany. Na horyzoncie nie było żadnych dzieci, co, jak podejrzewała, stanowiło powód jego dobrego humoru. Nigdy nie widziała Alison, Tim nigdy jej nie opisał, więc obawiała się najgorszego.

Nietrudno było dojść do takiego wniosku. Tim od dawna był nieszczęśliwy. Kilka tygodni temu poszedł na lunch z dawną ukochaną i od tego czasu coraz rzadziej bywa w domu i ma coraz mniej wiarygodne wymówki.

Mdłości nękały ją przez cały dzień, rano z powodu ciąży, po południu – ze zdenerwowania. Nadal jednak za bardzo się bała, żeby z nim szczerze porozmawiać. I tak ugryzła się w język, żeby nie narzekać i nie wypytywać, a potem podjęła swoją kampanię wzbudzenia w nim zazdrości o fikcyjnego byłego ukochanego.

Kiedy szykował się do wyjścia, za długo, jak zauważyła, weszła do sypialni, żeby schować prasowanie.

– Nie wiem, czy już ci mówiłam, jutro znowu wychodzę.

Podniósł głowę zdumiony.

– Drugi raz w ciągu tygodnia – zauważył.

– Tak?

– Z tym, jak mu tam, Danielem?

– Tak. – Millie wyszła. Jej skąpe odpowiedzi doprowadzały Tima do szaleństwa, nawet tak wytrawna manipulatorka jak Alison pochwaliłaby jej taktykę. Millie tymczasem odpowiadała tak zwięźle, bo nie miała siły na snucie skomplikowanych opowieści, nie teraz, gdy były w niej trzy serca.

Tim starał się nie myśleć o dziwnej minie Millie, gdy rano odprowadzała go wzrokiem. Wydawało mu się, że widział w nim podejrzliwość. Ale może to co innego. Nie wie, co się dzieje w jej głowie, w jej życiu. Nie miał ani czasu, ani ochoty się nad tym zastanawiać. Wiedział jednak, że jest jej źle, i czuł to samo na myśl, że sprawił rodzinie zawód. W tym jej, zauważył. Zdziwiło go to.

– Masz wyrzuty sumienia, że sprawiłeś rodzinie zawód.

Nie ukrywał zaskoczenia.

– Zawsze wiesz, o czym myślę!

Alison uśmiechnęła się pod nosem. Dobrze, że Tim tak młodo się ożenił i nie miał większego doświadczenia z kobietami. Nadal był niewinny, łatwo nim

manipulować. Millie to szczęściara, pomyślała. Sama jest sobie winna, jeśli tego nie dostrzega i nie umie go przy sobie zatrzymać.

– Zawsze czytałam w tobie jak w książce – powiedziała miękko. – Wiesz, nie powinieneś się tym gryźć. Masz przecież prawo do prywatności. Pracujesz przez cały tydzień, a potem każdą wolną chwilę poświęcasz rodzinie. Nawet Millie ma trochę wolnego, gdy dzieci są w szkole.

– Święta prawda! Że też o tym nie pomyślałem! – Tim się oburzył. – W kółko narzeka, jak to z trudem ze wszystkim zdąża, ale nigdy nie brakuje jej czasu na lunch z przyjaciółkami.

– Więc potraktuj to jako lunch z przyjaciółką.

– Racja. Niby dlaczego nie mogę mieć przyjaciółki? Muszę się cieszyć wolnym czasem, póki mogę.

– Jak to? – zapytała. Sądziła, że chodzi o nawał pracy. Tim odwrócił wzrok. Zdawał sobie sprawę, że celowo zataił

przed Alison fakt, że Millie jest w ciąży. Nie wiedział tylko, dlaczego to zrobił. Niezrozumiały instynkt ostrzegał, że Alison się to nie spodoba. Jednak musiał jej powiedzieć, musiał z kimś szczerze o tym pogadać, a miał tylko ją.

– Millie jest w ciąży – oznajmił. – Będziemy mieć bliźniaki.

Alison przestała oddychać. Pacjenci często mówili, że to im się zdarza, i zawsze twierdziła, że to tylko wyobraźnia. Teraz jednak wiedziała, że to prawda. Jej serce się zatrzymało, mózg na chwilę przestał pracować.

Tego nie było w jej planach! Jak to napisał w notce biograficznej?

„...czworo dzieci w wieku szkolnym, na szczęście. Planujemy powrót do normalnego życia!”

Nie napisałyby do niego, gdyby wiedziała, że kolejne dziecko jest w drodze, a co dopiero dwoje. Nie dlatego że zasady nie pozwalały jej odbijać męża ciężarnej kobiecie – po prostu uznałyby to za nierealne. Żadna z niej

kusicielka, tylko Tim uważał, że jest piękna. Gabriel zawsze powtarzał, że kocha jej duszę. Liczyła, że niedokończony romans z młodości przyciągnie do niej Tima w chwili stagnacji, między pieluchami a ponownym ożywieniem życia małżeńskiego.

Lecz Tim, którego pamiętała, nie zostawi kobiety w ciąży. Szła w milczeniu.

Tim rozkoszował się ciszą, tak różną od hałasu, który towarzyszył niedzielnym spacerom jego rodziny. Jedno z dzieci wspina się na drzewo, drugie je spycha, trzecie kopie piłką w staruszkę, czwarte znikło im z oczu, a Millie biega dokoła z obłędem oku.

Alison rozkoszowała się ciszą, bo musiała pomyśleć.

– Wiem, o czym myślisz – oznajmił dumnie. Przeraziła się, ale szybko do niej dotarło, że to niemożliwe.

Nawet jako nastolatek nie był szczególnie bystry i nic nie wskazywało, by coś się zmieniło od tego czasu.

– Tak? O czym?

– Zastanawiasz się, jak wyglądałoby twoje życie, gdybyś została ze mną, a nie pojechała do Azji.

Błąd! Uśmiechnęła się ciepło.

– Trafiłeś. Skąd wiedziałeś?

– Też o tym myślałem. Zastanawiałem się, co robilibyśmy w tej chwili, gdybyś wtedy zdecydowała inaczej.

– I co?

– Bylibyśmy w jakimś zakątku świata, którego pewnie nawet nie ma na mapie, może w namiocie. Nad naszymi głowami latają cudowne ptaki, których nikt nigdy nie fotografował. Słońce zachodzi w gamie niesamowitych kolorów. Nie wiemy, jaki dziś dzień, która godzina. I trzymamy się za ręce, bez przerwy.

Rany, przemknęło jej przez głowę. Nadal ma osiemnaście lat i ani dnia więcej.

– Więc nadal bylibyśmy razem? – zapytała od niechcienia.

– Oczywiście. Nigdy nie mielibyśmy siebie dość, nie podczas podróży.

– A jest tam miejsce dla twoich dzieci?

– Skąd! Ty i ja nie mielibyśmy dzieci, wystarczylibyśmy sobie nawzajem.

Szli dalej. Tim był zadowolony, że podzielił się z nią swoim marzeniem. Miał nadzieję, że uczucie błogości, choć ulotne, pomoże mu przetrwać nadchodzące lata. Z szóstką dzieci.

Alison nie czuła żadnej błogości. Musi wszystko od nowa przemyśleć. Tim nie zostawi żony, nie ma o czym mówić. Zresztą nawet gdyby to zrobił, nie sądziła, by mogła z nim wytrzymać. Był dokładnie taki, gapowaty i sentymentalny, jakiego zapamiętała.

Zainteresowała się nim tylko dlatego, że przechodziła fazę buntu. Czerpała perwersyjną przyjemność z uganiania się za najnudniejszym chłopakiem w klasie maturalnej. W porządku, grał na saksofonie, to było super, ale na Boga, w jego pokoju wisiały plakaty Osmondów!

Owszem, z czasem go polubiła. Pochlebiało jej jego oddanie, zresztą wiedziała, że po maturze wyjeżdża i nie zdąży się nim znudzić.

Sama nie wiedziała, czemu go poprosiła, żeby z nią pojechał. Chyba z braku innego kandydata. Od początku planowała, że go rzuci gdzieś na trasie, ledwie pozna ciekawsze towarzystwo. Tymczasem odmówił i to był dla niej szok. Zapewniał, że pójdzie za nią na kraj świata, a nie dotarł nawet do Bretanii.

To odrzucenie, jedyne, jeśli nie liczyć rozstania z Gabrielem, sprawiło, że jeszcze bardziej starała się go przekonać, ale był nieugięty. I ten upór był

pierwszą cechą, która się jej naprawdę spodobała. Lecz było to zbyt mało, aby z nim zostać. Teraz, kiedy widziała, kim się stał, gratulowała sobie mądrej decyzji.

A zatem nie będzie miała Tima. Nawet gdyby mogła go mieć, było oczywiste, że nie chce mieć więcej dzieci. A ona nadal pragnie dziecka, a na horyzoncie nie ma nikogo innego. Myśl, myśl!

Doszła do jedyne logicznego wniosku. Będzie miała z nim dziecko, ale Tim się o niczym nie dowie. Uwiedzie go, a potem delikatnie odepchnie, niech wraca do żony i rodziny, ożywiony przelotnym romansem z przeszłością. Niech się cieszy, że na zawsze zamknął tamten rozdział.

Nikom nie stanie się krzywda. Plan idealny.

Niech tu nie podchodzi, błagam. Nie tutaj, proszę, nie, nie... Za późno.

– Zapewne Max Keane. – Wikary wyciągnął rękę.

Max uścisnął ją po chwili wahania.

– Jestem pod wrażeniem – powiedział. – Czy każdy duchowny to potrafi? A może noszę niewidzialny dla laików boski identyfikator? – Czemu gadam takie bzdury? – zastanawiał się.

– Nic takiego, niestety. Twoja żona mnie przysłała.

Max przez ramię zerknął na Tess, która pomachała mu złośliwie. To już koniec, pomyślał, to najgorsza kara. Owszem, zrujnowałem jej życie, ale nie musiała nasyłać na mnie wikarego. Teraz jesteśmy kwita.

Chwilowo zapomniał o wszystkim, zdumiony zmianą w jej wyglądzie. Rano tak bardzo pochłonęły go narzekania, że idą do kościoła, iż nawet nie zauważył, że włożyła nowe ciuchy, zupełnie odmienne od tego, co zazwyczaj nosiła.

Poprzedniego dnia niemal do dna opróżniła swoją garderobę i zaniósła wszystko do sklepu z używaną odzieżą.

– Może upłynąć trochę czasu, zanim wszystko sprzedadzą, a tymczasem muszę w czymś chodzić.

– Nie ma sprawy powiedział. – Miałem wczoraj dobry dzień. Proszę.

Wyjął z tylnej kieszeni plik banknotów. Tess patrzyła to na niego, to na pieniądze.

– Ile tu jest? – zapytała w końcu.

– Dwieście pięćdziesiąt funtów – oznajmił dumnie. – Pracowałem ponad dwanaście godzin, w nocy miałem dwa kursy na lotnisko. Archie chyba zachowuje dla mnie wszystkie lukratywne zlecenia. Bardzo mi pomaga, odkąd należę do klubu. –I odkąd mu opowiedziałem żalną historię mojej klęski i tego jak mi się nie udało wyciągnąć nas z kłopotów tak, abys się o nich nie dowiedziała. I że chciałbym ci udowodnić, że umiem o ciebie zadbać. I że nie masz pojęcia o połowie problemów, przed którymi chcę cię uchronić.

Nie mieściło mu się w głowie, że wszystko to opowiedział obcemu mężczyźnie. Lecz odkąd zaczęły się problemy finansowe, nie miał z kim pogadać. Za bardzo się wstydził, by zwierzać się Grahamowi czy Timowi. Podstawą ich przyjaźni był podobny styl życia, sukces i aspiracje. Miał przeczucie, że w obliczu klęski byliby równie bezradni jak on.

Lecz Archie i inni mężczyźni z klubu okazali się dobrymi słuchaczami i doradcami. Archie będzie mu dawał więcej zleceń, pod warunkiem że Max nadal będzie dobrze pracował. A Carter wspomniał, że chciałby z nim porozmawiać o pewnym projekcie.

Dzięki temu miał nadzieję. A gdy mógł dać żonie pieniądze, pieniądze, które uczciwie zarobił, nappełniło go to taką samą radością, jak chwila, gdy kupował jej za pięć tysięcy funtów pierścionek z brylantem po narodzinach Lary. Z drugiej strony pamiętał, iż pierścionek był wyrazem miłości i

wdzięczności, a gdy wręczał jej banknoty, przede wszystkim dokuczały mu wyrzuty sumienia.

– Super! – roześmiała się. – Lara! Chcesz iść na zakupy?

Jeszcze nie skończyła mówić, a córka była przy nich, już w płaszczu.

– Za prawdziwe pieniądze? – zapytała bez tchu.

Tess pękało serce, gdy widziała, jak na małą spadają kolejne ciosy. Podniecenie wywołane przeprowadzką szybko opadło, gdy stało się jasne, że w nowej rzeczywistości traci niemal wszystkie przyjemności. Nie chodziła już na balet ani na gimnastykę, nie dostawała dziesięciu funtów na nowe spinki do włosów.

Max nie pojmował, jak mógł od razu nie dostrzec zmian w Tess. Co prawda nie włożyła mini z lycry ani obcisłej koszulki z cekinami, jednak nie było już mowy o stonowanych kompletach, którym była wierna przez tyle lat.

Miała na sobie obszerną czarną spódnicę i czerwony sweterek, i wyglądała jakoś cygańsko, artystycznie. A we włosach miała dwie błyszczące spinki, zamiast klasycznej drewnianej opaski.

Było w niej coś dzikiego, nieposkromionego. Kogoś mu przypominała. I nagle zrozumiał – przypominała mu Tess, którą poznał przed laty, Tess sprzed lat walki o dziecko, uwieńczonych narodzinami Lary, sprzed lat gnuśnej stagnacji, która, jak sądzą, potrwa aż do emerytury.

Ciekawe, czy wie, że ubiera się jak dawniej, zastanawiał się.

Upił kolejny łyk herbaty, gdy do niego dotarło, że wikary nadal stoi obok. Pewnie wygłosił jakiś niezmiernie głęboki teologiczny komentarz, który uszedł jego uwagi, bo się gapi na własną żonę.

Postanowił jakoś nadrobić ten nietakt.

– Czy dzisiaj wszystkie kościoły są takie? – zapytał.

– Jakie? – zdziwił się John. – Popularne? Pełne życia? Zabawne?

Max wycofał się szybko.

– Nie, takie... nowoczesne.

John się roześmiał.

– Jak rozumiem, nie podobają ci się nowe pieśni i to, że dzieci tańczą po całym kościele?

– Nie, nie wiem tylko, co złego w tradycyjnym nabożeństwie czy w tym, żeby dzieci siedziały z rodzicami. Ludzi mojego pokroju są przywiązani do tradycji. To nam daje poczucie ciągłości. – Był bardzo dumny z tego wyводу.

– Ach, więc zazwyczaj chodzicie do takich kościołów, tak? – John był wyraźnie rozbawiony.

Max od razu pożałował, że się zapuścił w takie tematy.

– Nie, ale gdybym chodził do kościoła, wolałbym coś tradycyjnego. – Zrobiło mu się głupio, wiedział, że Wspaniały Wikary zapędził go w koziego róg.

John skinął głową.

– Niewierzący zawsze tak mówią.

Max się zaczerwienił.

John się roześmiał i pokręcił głową.

– Przykro mi, nie powinienem był. Wiem, przyszedłeś tu wbrew własnej woli i umierałeś ze strachu, że wikary zaczną cię wypytywać i nawracać, to normalne.

– Ależ skądże – wystękał Max.

Ratunku! Tess, pomocy! Zastanawiał się, czy w tych okolicznościach może sobie pozwolić na jakże skuteczną sztuczkę z modlitwą. Tym razem poprosi o łaskawe uwolnienie od rozmowy z anglikańskim wikarym. Nie był jednak pewien, jak tam u Boga z poczuciem humoru, więc sobie darował.

– Muszę już iść. – John ponownie uściskał mu dłoń.

Rany, pomyślał, jestem w tym coraz lepszy. Wystarczy, że o czymś pomyślę, a już się spełnia. Nie muszę nawet mówić amen. Szkoda, że nie znałem tej sztuczki, kiedy mój interes się walił.

– Do widzenia – powiedział serdecznie, bo wikary już odchodził.

– Pewnie niedługo zobaczymy się u Cartera – pożegnał go John.

– Jak to?

– Archie ci nie mówił? Jestem jednym z członków–założycieli klubu.

Super, pomyślał Max ponuro. Teraz jeszcze tylko brakuje, żeby przyjęli Daphne, śmierć we własnej osobie, i będę w niebowzięty.

– Przepraszam, mamó, co mówiłaś? – Fiona przyglądała się matce, jakby ta nagle oznajmiła, że będzie głosować na Partię Zielonych.

– Że Archie zabiera mnie na spacer. Co ty, ogłuchłaś czy zgłupiałaś?

Daphne chciała, aby córka już sobie poszła, żeby mogła się przygotować. Tak zaplanowała zażywanie lekarstw, by podczas spaceru mieć spokój. Teraz musi poeksperymentować z ciuchami i makijażem, jeśli chce znośnie wyglądać.

– Nie znasz go! – sprzeciwiła się Fiona. Daphne westchnęła ciężko.

– Przecież go poznałaś. Jadł z nami kolację. Mąż twojej przyjaciółki pracuje w jego firmie. Zaproponował, że mnie zabierze do parku Battersea na spacer i na herbatę. Nie idziemy na długo, bo musi wracać do pracy. Jeśli nie wrócę do jutra, uznasz, że mnie zamordował, i będziesz mogła do woli powtarzać: „a nie mówiłam?” A na razie zostaw mnie, z łaski swojej.

Fiona zeszła na dół. Była w szoku.

– Słyszałaś? – zwróciła się do Grahama.

– Moim zdaniem to wspaniałe – odparł. – Odkąd twój ojciec się z nią rozwiódł, ciągle powtarzam, że najlepiej jej zrobi nowy mąż. Dzięki temu da ci

spokój. – Mało brakowało, a powiedziała by „nam”, i był dumny, że w ostatniej chwili ugryzł się w język.

– Co ty opowiadasz? Mama miałyby wyjść za taksówkarza? Oszalałeś?

– Nie jest taksówkarzem, tylko właścicielem korporacji, sam mi to mówił. A to oznacza, że jest biznesmenem. To brzmi lepiej? – Pocałował ją w czoło i pobiegł na górę, rozsądzić spór, do kogo należy skarpetka.

Fiona irracjonalnie obwiniała Tess. Gdyby nie zaciągnęła ich w piątek do tej knajpy, nie doszłoby do tego. Zadzwoiła do niej. Odezwała się automatyczna sekretarka, więc się rozłączyła.

Gdzie oni się podziewają w niedzielny rano, do cholery?

Heather wypatrzyła przyjaciółkę w tłumie wychodzącym z kościoła. Przywitały się serdecznie.

– Nie widziałam cię w środzku – zdziwiła się Tess.

– Byłam w żłobku, co miesiąc mam tam dyżur. Polecam to jako doskonały sposób na depresję. Nie ma to jak dwudziestka maluchów wyjących do wtóru hymnom!

Tess uśmiechnęła się grzecznie. Z zasady unikała dzieci, ich widok otwierał stare rany. Nie rozmawiała z Heather na ten temat i uznała, że nie jest to odpowiedni moment.

– Jakie masz plany? – zapytała.

– Zazwyczaj idziemy na lunch. Może do nas dołączycie? Tess zerknęła na Maksa.

– Nie, dzięki, niedziela to nasz rodzinny dzień. A to nasza pierwsza niedziela w nowym mieszkaniu.

– Nie mówiłem ci? Pracuję dzisiaj. – Max się dziwił, że Tess o tym nie wie.

– Nie, nie mówiłeś – odparła lekko. – Jak długo zamierzasz pracować siedem dni w tygodniu?

– Jak długo będę musiał. Wpakowałem nas w ten bałagan, teraz nas z tego wyciągnę. Archie prosił, żebym go zastąpił w biurze, chce na chwilę wyskoczyć. Zapłaci mi za to ekstra. Poza tym niedziele są jak noce, kursy droższe o dwadzieścia procent.

Tess zrobiło się nieswojo. Cofali się. Było jak na początku ich małżeństwa, gdy robili karierę i starali się o dziecko. Nie mieli czasu na zwykłe bycie razem i rozmowę. W głębi duszy doszła do wniosku, że celowo uciekali w pracę, żeby unikać konfrontacji swoich zmartwień. Gdyby nie pojawiła się Lara, rozstaliby się.

Potem Lara poszła do szkoły i nadszedł kolejny kryzys, z którym sobie poradzili, otwierając sklep. Po raz kolejny zajęli się pracą, byle się unikać. Kiedy istniało Organique, rozmawiali chyba tylko o firmie i córce.

Zrozumiałaś już, idiotko? – pytała się w myślach. Bo znowu są w punkcie wyjścia. W tarapatach, między innymi dlatego że ze sobą nie rozmawiali, a Max stara się ich z tego wyciągnąć... pracując tyle, że nie ma chwili na rozmowę. Doskonały pomysł.

– Idź na lunch z Heather – poradził. – Ja coś przekąszę w klubie.

Niecierpliwie machnęła głową na wzmiankę o klubie. Kiedy jej o nim opowiadał, uznała, że to urocze. Teraz ją drażnił.

– Dobrze – rzuciła sucho. – Rób, jak uważasz.

Max wzruszył ramionami, pocałował ją i odszedł. Nie wiadomo dlaczego odebrała to jako pocałunek Judasza.

Max siedział w biurze i żałował, że nie umie znaleźć lepszego wyjścia z sytuacji. Oby się okazało, że postępuje słusznie. Problem w tym, że okłamał Tess. I to bardzo. Był równie zaskoczony jak ona, gdy w zeszłym tygodniu

przyszła kolejna porcja rachunków. Ba, chyba nawet bardziej niż ona, bo wiele innych przechwyił i przed nią ukrył.

Zupełnie zawałił sprawę. Nie wiedział, gdzie się pomylił, w każdym razie gdzieś coś dodał, zamiast odjąć, albo przestawił cyfry. Tess proponowała, że przejrzy księgowość, ale nie zgodził się, ciągle upokorzony klęską. Liczył, że wyposażenie sklepu przyniesie większy zysk, niż szacowano. To by troszkę pomogło. Dostali mniej, a to oznaczało katastrofę.

Nie wiedział, jak jej powiedzieć, że jeśli zaraz, natychmiast, nie zaczną sporo zarabiać, będą musieli ogłosić bankructwo. Stracą dom i wszystkie rzeczy. Właśnie dlatego chciał jak najszybciej sprzedać, co się da.

Jeśli w najbliższym czasie nie wydarzy się cud, znajdą się w beznadziejnej sytuacji, z której nie wyciągnie ich nawet Wspaniałe Wikary.

Graham usłyszał sygnał komórki – ma wiadomość. Ustawił ją tak, by informowała go o każdym nowym e-mailu na konto w pracy. Było to ważne ze względu na rozliczenia międzynarodowe i często odbierał korespondencję w domu, wieczorem.

Z westchnieniem zerknął na zegarek. Nie oczekiwał niczego ważnego, ale czasami na cudzoziemskich giełdach zdarzały się problemy, o których dowiedziałby się dopiero po weekendzie.

Lecz ten e-mail nie miał nic wspólnego z pracą. Był od Christine. Zdziwił się, jak bardzo go to cieszyło.

– Co to?

Podskoczył, gdy Fiona podeszła do niego od tyłu. Szybko skasował wiadomość w komórce.

– Nic, praca. Nie zakradaj się tak od tyłu.

Prychnęła.

– Kiedyś to lubiłeś, zapomniałeś już?

Ciągle starał się opanować emocje. W domu starał się w ogóle nie myśleć o dawnej dziewczynie. W mniejszym stopniu miał wrażenie, że zdradza żonę i rodzinę, kiedy trzymał Christine z dala od domu. Przez całe życie radził sobie, szufladkując uczucia. Stanowił pod tym względem przeciwieństwo Fiony, która wyrzucała wszystko na stół i informowała każdego w pobliżu: Patrzcie! To ja! Taka jestem, czy wam się podoba, czy nie!

Bał się, że mógłby się jej nie spodobać, i nie chciał ryzykować.

– Przepraszam – mruknął i wziął ją za rękę.

Odsunęła się.

– Daruj sobie – fuknęła i uciekła do kuchni.

Zaparzyła matce herbatę, ekspresową, z czystej złośliwości.

Kiedy już ochłonęła, uznała, że nie może dłużej zwlekać, musi coś zrobić w związku z Grahamem.

Jutro, zdecydowała. Jutro sprawię mu największą niespodziankę jego życia.

Heather nie wyglądała na zachwyconą, że była świadkiem tej wymiany zdań.

– Przepraszam, że się odezwałam.

– Nie przepraszaj – mruknęła Tess. – To nie twoja wina. Nie pozwolę, żeby popsuł mi humor. Chodźmy. Dokąd idziemy? Pozwól, niech zgadnę. Do Cartera?

– Bingo! Gdzie dzieciaki? – Rozejrzały się i zobaczyły, jak Lara i dwaj synowie Heather grają w piłkę czekoladowym pączkiem.

– Chodźcie, dzieci! – zawołała Heather. Razem ruszyli do restauracji.

– Zje z nami jeszcze ktoś – zaczęła Heather. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Tess zerknęła na nią ukosa.

– Czy kiedy mówisz „ktoś”, masz na myśli mężczyznę?

Heather skinęła głową.

Tess pisnęła głośno.

– Wspaniale! Kto to? Od dawna się znacie? Co robi?

Heather jęknęła, słysząc tyle pytań.

– Nie ciesz się za bardzo. To dopiero początek. Znamy się od dawna, ale spotykamy od kilku miesięcy.

– Dlaczego nic nie mówiłaś?

– Chciałam poczekać, czy nie odpadnie na pierwszym zakręcie. Ale zaczynam wierzyć, że to ten jeden jedyny.

– Cudownie! Bardzo się cieszę.

– O wilku mowa. – Heather się roześmiała, gdy zobaczyła mężczyznę idącego w ich stronę.

Tess spojrzała za jej wzrokiem, ciekawa mężczyzny, który, jak miała nadzieję, uszczęśliwi jej przyjaciółkę. Zmarszczyła brwi, niepewna, czy oczy jej nie mylą. Nie myliły. Ukochanym Heather „jednym, jedynym” był Jerry Newton, nauczyciel, który podszedł do Tess po jej pierwszych zajęciach. Jej pierwszy przyjaciel płci męskiej. O którym starała się nie myśleć.

Bezskutecznie.

Od dawna się spotykacie? – zapytała, jakże nonszalancko. – Od kilku miesięcy – odparła Heather. – Znamy się od lat, odkąd moje dzieciaki chodzą do szkoły, ale zaprzyjaźniliśmy się dopiero, kiedy zaczęłam działać w Komitecie Rodzicielskim.

Szły do domu kultury, na jogę. Tym razem Tess się należycie przygotowała. Znieczuliła się na zapas: dwie tabletki ibuprofenu, spora dawka sprayu rozluźniającego mięśnie, gorąca kąpiel poprzedniego wieczoru i trening psychologiczny jak z filmu *Rocky IV*.

– Co o nim sądzisz? – zapytała Heather nieśmiało.

– Miły. – Tess powiedziała to na tyle chłodno, że udało jej się ukryć, że jej zdaniem jest o wiele więcej niż miły.

Właściwie nawet gdyby zadano jej to pytanie dzień wcześniej, nie wiedziałyby, jak odpowiedzieć. Fakt, że teraz doszła jeszcze Heather, tylko wszystko komplikował.

Nadal nie wiedziała, co o nim sądzić. Owszem, lubiła jego towarzystwo, czuła się przy nim swobodnie, nie było między nimi tej niezręczności, charakterystycznej dla spotkań z nieznanymi. Nie mogła jednak dłużej ukrywać, że ją pociąga. Był pierwszym mężczyzną, oprócz jej męża, który budził w niej takie uczucia.

Oczywiście dostrzegała innych mężczyzn, ba, zdawała sobie nawet sprawę, że w innych okolicznościach byłaby nimi zainteresowana. Nigdy jednak nie pojawiała się iskra, która zaburzyłaby jej spokój. Innymi słowy, uważała, że nie jest typem romansowym.

Nawet kiedy jej małżeństwo przechodziło kryzys, nigdy jej nie kusilo, by zdradzić meza. Wręcz przeciwnie, miała dosyć mezczyzn jako takich i szukała pociechy u przyjaciółek.

Ta rozkwitajaca znajomosc z mezczyzna stanowiła przyjemna nowosc. Taką samą jak zakupy w supermarkecie i późniejsza kawa. Podobało jej się, gdy z nią flirtował i drażnił ją; tego nie było w jej przyjaźniach z kobietami.

Lubiła z nim rozmawiać, tak samo jak dawniej z Makssem, w czasach gdy jeszcze interesowało ich, co druga osoba ma do powiedzenia. Z przerażeniem stwierdziła, że im rzadziej komunikowała się z mężem, tym mniejszym darzyła go szacunkiem. Już dawno przestali się starać. Znajomość z Jerrym uświadomiła jej, iż w miejscu, gdzie kiedyś między nią i Makssem było zrozumienie, teraz ziała pustka.

Owszem, zastanawiała się, czy z tej przyjaźni może być coś więcej. Oczywiście czysto teoretycznie, tylko dla zabawy. Przecież nie myśli poważnie o romansie czy nawet flircie, o nie.

No dobrze, może i myśli, ale to nic złego. Zresztą czytała, że fantazje pozytywnie wpływają na związek, zwłaszcza w sytuacjach stresowych.

Lecz gdy zobaczyła Heather z Jerrym, miała wrażenie, że nacisnęła nieodpowiedni guzik i uruchomiła ukrytą zapadnię w podłodze, zamkniętą od lat. Jeszcze jeden krok i będzie za późno. Jeśli wpadniesz w pułapkę, wylatujesz z gry. Możesz tylko słuchać, co się dokoła dzieje, i złościć się, że stanęłaś w niewłaściwym miejscu.

– Jerry, poznaj Tess. Tess, to Jerry.

– Mogłabym powiedzieć, że dużo o tobie słyszałam, gdyby nie to, że Heather nie pisnęła ani słowa – zaczęła. Nie wiedziała, jak to rozegrać, czekała, co zrobi Jerry.

– I wzajemnie – odparł.

A więc tak, pomyślała. Nie powiemy, że się znamy, że już dwa razy mnie uratował, że przynajmniej ja ciągle o nim myślę.

Wraz z tą decyzją ich znajomość zbliżyła się odrobinę do krainy, no cóż, romansów.

Heather mówiła dalej:

– Pewnie nieraz spotkacie się w szkole. Właściwie to dziwne, że jeszcze się nie widzieliście.

Tess i Jerry wymienili niespokojne spojrzenia. Zrozumieli, że skłamali niepotrzebnie, a teraz, skoro już to zrobili, połączyło ich zatajenie prawdy.

Lunch przebiegał w niezręcznej atmosferze. Heather w towarzystwie Jerry'ego zachowywała się inaczej, była swobodniejsza, mniej spięta. Tess z jednej strony cieszyło, że po długim ciężkim okresie samotności nowa przyjaciółka znalazła szczęście, z drugiej była zazdrosna, że zdarzyło się to akurat z Jerrym.

Zbyt skomplikowane, stwierdziła. Weź się w garść! Widziałaś tego faceta dwa razy. Nie pogłaskał cię po policzku, nie zakochał się w tobie przy akompaniamencie ckliwych skrzypek. Nie było żadnych magicznych momentów, nie wstrzymywałaś oddechu, nie padły żadne wyznania. Posadził cię na krzesło, kiedy sobie nadwierzężyłaś plecy, wprowadził w tajniki tanich zakupów i naciągnął na ciastko. To nie romans z Harlequina, tylko mała komplikacja z rodzaju tych, które zwiększają oglądalność w operach mydlanych. Gdyby to się działo w telewizji, lunch skończyłoby się krwawą jatką, a Heather wymachiwałaby nożem nad zwłokami Tess i Jerry'ego. Ta wizja ją rozbawiła.

– Z czego się śmiejesz? – zapytała Heather.

Tess nie zdawała sobie sprawy, że naprawdę się uśmiecha. Lara spojrzała na matkę z niesmakiem.

– Mamo, mogę usiąść z Ruthie? Jest tam, z rodzicami. Będziemy razem na wycieczce do Szwajcarii w przyszłym roku!

Zanim Tess odpowiedziała, już jej nie było.

– Do Szwajcarii? – powtórzyła zdziwiona. Heather skinęła głową.

– Szósta klasa co roku jeździ na narty. Zanim spytasz, w szkole jest fundusz dla dzieci, których nie stać na wyjazd.

Których nie stać na wyjazd? Tess chciało się płakać. Więc oficjalnie są nędzarzami. Max się wścieknie. Nie, nie może teraz o nim myśleć. Łączyło ich przekonanie, że szczęście Lary jest ważniejsze niż ich duma. Będzie musiał się z tym pogodzić, tak jak ona.

Na myśl o Larze poczuła się jeszcze bardziej nieswojo. Siedziała w końcu naprzeciwko Jerry'ego i dumiała o rzeczach, które wprawiłyby córkę w rozpacz.

Gubiła się w tym coraz bardziej. Jerry natomiast chyba niczym się nie przejmował. Jeśli już, bawiło go ich małe oszustwo. Nawet prowokował Tess.

– Powiedz, czym się zajmujesz w szkole? – zapytał z niewinną miną.

– Prowadzę zajęcia jogi. – Poczowała znajomy rumieniec na policzkach. Czemu od razu się czerwienię? – zastanawiała się. Heather to zauważy i zacznie coś podejrzewać. Co robić? – Może napijemy się wina? – zapytała nagle.

Heather się zdziwiła.

– Wydawało mi się, że nie miałaś ochoty. Dlatego nie zamówiliśmy butelki. Białe czy czerwone?

– Czerwone – zdecydowała szybko. Doskonały pomysł! Wypiję kieliszek duszkiem i powiem, że rumieniec to skutek alkoholu. Jestem sprytniejsza, niż sądziłam.

Niestety, myliła się. W tej kwestii, podobnie jak w przekonaniu, że może udawać instruktorkę jogi, zdradzała niewiarygodną głupotę. Zapomniała bowiem, że kiepsko znosi alkohol, zwłaszcza tanie wino pite duszkiem. Co prawda wyjaśni rumieniec, ale pojawi się nowy problem – straci zahamowania.

Carter błyskawicznie przyniósł butelkę czerwonego bombajskiego. Trudno sobie wyobrazić naczynia krwionośne, które się nie rozszerzają po tym specyfiku, cieszyła się Tess. Szybko wychyliła swój kieliszek i tupiała do taktu Nany Mouskouri.

– Czy Carter nie ma innych płyt? – zapytała głośno. Heather się uśmiechnęła.

– Uwielbia Nanę Mouskouri. W kółko tańczył z żoną do tej płyty. Kiedy Maria umarła, nie mógł tego słuchać, aż nagle, jakieś pół roku temu, doszedł do wniosku, że wystarczająco długo ją opłakiwał i od tej pory puszcza tylko to. Mamy nadzieję, że to tylko faza przejściowa.

– To urocze – stwierdziła Tess. – W dzisiejszych czasach rzadko zdarza się wierność „póki śmierć nas nie rozłączy”.

Heather czule wzięła Jerry'ego za rękę.

– Jerry też jest uroczy. To wieczny kawaler, ciągle czeka na odpowiednią kobietę.

Tess spojrzała na niego innym wzrokiem. Łatwość, z jaką z nią flirtował, sprawiła, że uznała go za kobieciarza. Świadomość, że za flirtowaniem nie kryje się nic więcej, rozczarowała ją. Jakby było mi trzeba czegoś więcej, pomyślała.

– Szczęściara z ciebie – rzuciła lekko. To znaczy, miało być lekko, a wyszło gorzko.

Heather przyglądała się jej uważnie. Tess wpadła w panikę, zdumiona, że jest zazdrosna. Wskazała wino.

– Nie słuchaj mnie, to przez alkohol. Poza tym Max zamienia się w maszynę do robienia pieniędzy. Właściwie w ogóle go nie widuję. Zresztą nawet kiedy go widywałam, nie było między nami najlepiej.

Zacisnęła usta. Kiedy zaczynam o małżeństwie, jest ze mną naprawdę niedobrze, pomyślała. Heather się uśmiechnęła.

– Więc o to chodzi – stwierdziła tajemniczo.

Zwróciła się do Jerry'ego:

– Macie z Tess coś wspólnego – oznajmiła.

Jerry ani drgnął, za to Tess poruszyła się niespokojnie. Trudno, zaryzykuje, pomyślała i łyknęła spory haust czerwonego bombajskiego.

– Jak to? – zapytał Jerry.

– Oboje chowacie się za fasadą. Ty żartujesz i uśmiechasz się, wmawiasz, że jesteś powierzchowny, tak że nikt nie sprawdza, jaki jesteś naprawdę.

Tess obserwowała, jak jego uśmiech gaśnie, póki Heather nie zwróciła się do niej.

– A Tess opracowała plan ochronny. Myśli, zanim się odezwie; czasami to nawet widać, jeśli pyta się ją o coś, przy czym mogłaby się za bardzo odsłonić.

Teraz Jerry obserwował, jak ona wierci się niespokojnie.

– Jeśli chcesz korepetycji z maskowania – zażartował – służę pomocą.

Heather nie zwróciła na to uwagi.

– Ale właśnie się okazało, że kieliszek wina osłabia samokontrolę Tess. Nigdy razem nie piłyśmy, dlatego zauważyłam to dopiero teraz. Któregoś dnia muszę cię porządnie upić!

Tess natychmiast odstawiła kieliszek. Nadal mogę się tłumaczyć, że rumieniec to skutek alkoholu. Ale już nigdy nie napiję się z Heather, przynajmniej dopóki Jerry nie wywietrzeje mi z głowy.

Następnego dnia Heather podniosła głowę znad klucza w zamku domu kultury i spojrzała na Tess.

– Mam wyrzuty sumienia, że wczoraj zrezygnowałaś z wina przeze mnie.

Tess przecząco pokręciła głową.

– Nie przez ciebie – skłamała. – Rozboliła mnie głowa. Piłam za szybko, bo byłam wściekła na Maksa, i tyle. Ale masz rację, odrobina alkoholu i za dużo gadam.

Heather się oburzyła.

– Wcale tego nie powiedziałam! Chodziło mi o coś innego. Moim zdaniem nie powinno się dusić uczuć w sobie. Zresztą po to są przyjaciele, żeby się można było przy nich wygadać, zwierzyć ze wszystkiego, czego nie powiesz mężowi czy matce!

Niestety, pomyślała Tess, jedyne, co teraz w sobie duszą, to coś, z czego akurat tobie nie mogą się zwierzyć. Ani tobie, ani Maksowi. Ta świadomość stanowiła kolejną cegłę w coraz wyższym murze między nimi.

Tego ranka Max był wyjątkowo troskliwy. Gdyby Tess nie zaprzętały inne sprawy, zaniepokoiłoby ją to.

– Zrobię ci masaż – nalegał. Posłusznie przewróciła się na plecy, żeby mógł rozluźnić jej mięśnie. Leżała w milczeniu i zaciskała zęby z bólu, gdy przesadzał. Jeśli to wytrzymam, zniosę też dziewięćdziesiąt minut wygibasów, żeby zaimponować moim uczennicom, i trzy lekcje z hiperaktywnymi bachorami.

– Jak było wczoraj? – zapytał. Wrócił do domu o trzeciej nad ranem. Inna kobieta być może zastanawiała się, co porabiał przez cały dzień i pół nocy, lecz Tess nawet przez sen poczuła zapach piętnastu godzin w pracy.

Jego włosy przesiąkły papierosowym dymem w biurze i syntetycznym aromatem plastikowej choinki, w którą co chwila uderzał głową w samochodzie. Odświeżacze powietrza w taksówkach były niezbędne, ze względu na nie zawsze czystych pasażerów.

Miał nadzieję, że nie wyczuła, iż się bał. Podczas każdej minuty w pracy w jego głowie działał wewnętrzny kalkulator. Po tylu godzinach, nie robiąc sobie niemal żadnych przerw, nie zarobił nawet tyle, by zapłacić odsetki, które narastają w ciągu jednego dnia.

Nigdy jeszcze nie znajdował się w takiej sytuacji. Do tej pory udawało mu się utrzymać rodzinę ze swojej pracy. Co prawda nie zarabiał milionów, ale nawet kiedy w sklepie nie szło najlepiej, wystarczało na spłatę hipoteki, szkołę Lary i tryb życia, którego, jak sądził, Tess chciała i oczekiwała. Teraz musiał się pogodzić ze świadomością, że może pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę, a i tak nie uchroni ich przed bankructwem. Ogarnęło go poczucie beznadziejności.

Tess niczego nie zauważyła. Za bardzo pochłaniał ją strach, że Max się domyśli jej zdrady.

Przecież niczego nie zrobiłam, tłumaczyła sobie. Stosowała tę samą technikę, którą przez lata chroniła Maksa przed niewidzialnymi bądź wyimaginowanymi troskami. W przysiędze małżeńskiej nie ma ani słowa o stawianiu pączków innym mężczyznom czy rozmowach na temat płynu do zmiękczenia tkanin.

Nie zrobiłam nic więcej. Cała reszta jest w mojej głowie i póki tam zostanie (a tak będzie, jeśli więcej nie wezmę do ust indyjskiego wina), nie krzywdzę Maksa.

Nie ma sprawy; czy raczej nie byłoby, gdyby Heather nie wyznała, że Jerry tydzień wcześniej poprosił ją o rękę.

– Nie mów mu, że tu jestem – szepnęła Fiona do sekretarki Grahama. – To niespodzianka.

Annie, przyziemna, ale troskliwa asystentka Grahama od pięciu lat, nie wiedziała, co myśleć o tak nieoczekiwanym obrocie rzeczy. Znała Grahama jak własnego męża. Wiedziała, iż nie znosi niespodzianek. Co więcej, boi się ich. Jednocześnie było jej szkoda Fiony.

Annie nie umknęło dziwne zachowanie Grahama ostatnimi czasy. Nikt inny nie powiedziałby, że jest w nim coś dziwnego; nie skubał sobie brwi, nie chodził na zastrzyki z botoksu, ale częściej niż dawniej zamykał drzwi do swojego gabinetu. Zakładała, że gryzą go problemy domowe, bo o jego pracy wiedziała wszystko i nie było żadnych powodów do zmartwień.

Nieoczekiwana wizyta Fiony potwierdziła jej podejrzenia. Klasyczna sytuacja, gdy małżeństwo przechodzi kryzys. Zazwyczaj oznacza, że żona podejrzewa męża o zdradę i chce go przyłapać w najmniej oczekiwanym momencie.

Nie mieściło jej się w głowie, że Fiona mogłaby podejrzewać Grahama. Przede wszystkim nie miał okazji, żeby poznać jakąś kobietę. Firma miała etykietę seksistowskiej i kobiety rzadko zajmowały stanowiska wyższe niż średniego szczebla.

Przez moment Annie przeszedł dreszcz na myśl, że Fiona podejrzewa go o romans z nią, klasyczny układ szef–sekretarka, lecz zaraz wróciła na ziemię.

Nikt, kto ich znał, nie brałby tego pod uwagę, co Annie bardzo smuciło, ale to zostanie jej tajemnicą.

Jest tylko jedno wytłumaczenie, uznała. Czytała dużo romansów, żeby jakoś sobie osłodzić nieudane małżeństwo z pierwszym mężczyzną, który poprosił ją o rękę. Kiedy kobieta zaczyna na nowo uwodzić własnego męża, wnosi powiew świeżości do związku, zazwyczaj oznacza to, że go zdradziła i gryzą ją wyrzuty sumienia.

Annie nie mogła sobie wyobrazić, jak można zdradzić Grahama, który w jej mniemaniu był mężczyzną idealnym. Cóż, jeśli tak, będę na miejscu, żeby pozbierać okruchy, gdy rzuci go niewierna żona, zdecydowała rezolutnie.

– Halo? Annie? – Fiona przyglądała się jej uważnie.

Annie odchrząknęła.

– Przepraszam. Bardzo to wszystko dziwne. Rano, jak tylko przyszedł, zamknął się w gabinecie i prosił, żebym mu nie przeszkadzała.

Czyżby? – zastanawiała się Fiona. Zdaje się, że działałam w ostatniej chwili.

– Nic nie szkodzi – powiedziała. – Na mnie nie będzie zły.

Graham siedział w gabinecie i gapił się na monitor. Ledwie przyszedł, otworzył e-maila od Christine i czytał w kółko, analizował każde zdanie, każde słowo, doszukiwał się ukrytych znaczeń i podtekstów. Jeśli chce odpowiedzieć, a chciał, musi wiedzieć, do czego Christine zmierza. Już raz go zraniła, bardzo boleśnie, i choć nie pozwoli, by to się powtórzyło, nadał mogła zaburzyć jego spokój, a tego też nie chciał.

Drogi Grahamie,

nawet nie wiesz, jak mnie ucieszył Twój e-mail. I wiesz co, po prostu udam, że nie czytałam tych wszystkich aluzji, że nie chcesz, żebyśmy to

kontynuowali! Jestem przekonana, że to nie było na poważnie. Wydaje Ci się, że tak, ale to nieprawda.

Na pewno masz mnóstwo pytań. Celowo nie powiedziałam, dlaczego postąpiłam tak, a nie inaczej. Być może o pewnych rzeczach wolisz nie wiedzieć, masz do tego prawo, ale jeśli uważasz, że chcesz poznać prawdę, powiem Ci.

Pisałeś, że nie ma sensu patrzeć w przeszłość, spekulować, jak wyglądałoby nasze życie. Nie uważam, żeby to było bezcelowe. Jeśli zrobimy to rozsądnie, może się okazać bardzo przydatne, musimy tylko podejść do wszystkiego ze zdrowym rozsądkiem.

Uważam, że jeśli cofniemy się o osiemnaście lat, do tamtego dnia, powiemy sobie szczerze, co się stało, wreszcie zdołamy o tym zapomnieć. Raz na zawsze. I nie mów, że już się z tym uporałeś. Gdyby tak było, bez wahania odpowiedzialbyś na mój pierwszy e-mail, nie miałbyś się czego obawiać.

Mam też egoistyczny powód w tym wszystkim – chciałabym, żebyś mi wybaczył. To wredne z mojej strony, że odwołuję się do Twojej wyrozumiałości, która, jak przypuszczam, jest taka sama jak dawniej.

Tak więc, Graham, nie bój się, pytaj, o co chcesz, i może wtedy mi wybaczysz. To wielka ulga, wiem, bo sama ostatnio przez to przeszłam!

Całusy

Chris

Zmarnował niemal dwie godziny, bawił się słowami, konstruował zdania, które miały ją zranić, żeby cierpiała jak on wtedy, jak nadal cierpi. Potem spłodził wersję szczerą, której nigdy nie wyśle, ale która, jak liczył, sprawi, że poczuje się lepiej.

Droga Christine,

nie chcę dłużej myśleć, jak wyglądałoby nasze życie, bo robiłem to przez wiele lat i bolało jak cholera. Dałem Ci się poznać jak nikomu innemu, a Ty mnie odrzuciłaś. „Nie bierz tego osobiście”, napisałaś na tej pocztówce, o ile dobrze pamiętam. A niby co może być bardziej osobiste, do cholery?

Co by było gdyby? Gdybyśmy zostali razem, byłbym szalenie szczęśliwy, spełniony, zadowolony. Być może są ludzie, którzy godzą się z taką stratą uznają ją za młodzieńczą przesadę, pierwszą miłość i tak dalej. Nie ta, to inna – w tym stylu. Nie ja, ani wtedy, ani teraz.

Byłaś moją jedyną. Gdy odeszłaś, stałem się innym człowiekiem. Kiedy poznałem Fionę, byłem kaleką. Nigdy nie byłem taki jak dawniej, bo zabrałaś część mnie ze sobą.

Czy mam pytania? Owszem. Chciałbym wiedzieć, dlaczego...

– Niespodzianka!

Graham przerażony uderzył dłonią w klawiaturę, chcąc wykasować to, co miał na ekranie. Jego umysł miał kłopoty, żeby połączyć w logiczną całość okrzyk: „Niespodzianka!”, gabinet i Fionę. Nie wrócił jeszcze z bolesnej podróży w przeszłość, gdzie grzebał się w mętym mule i szukał ocalałych kawałków.

Nie mógł spojrzeć Fionie w oczy. Nie teraz, póki nie odzyska normalnego, spokojnego wyrazu twarzy, dopóki nie stanie się na powrót stałym, niezmiennym Grahamem. Wydawało mu się, że upłynęły całe wieki; w rzeczywistości minęło zaledwie kilka sekund i wrócił do normy, przynajmniej do normy w rozumieniu Fiony.

– Boże drogi. – Te słowa padły, zanim się zastanowił. Jednak nawet gdyby miał mnóstwo czasu na przygotowanie odpowiedniej reakcji, nie wymyśliłby nic bardziej wyrafinowanego.

Bo jego żona stała naprzeciwko, w rozpiętym prochowcu, pod którym miała tylko bardzo krótką koszulkę nocną z napisem: BIERZ MNIE, TYGRYSIE na piersi.

– Myślałam, że umrę ze wstydu – powiedziała, napiła się gorącej herbaty i z trudem powstrzymała łzy.

– Och, Fi! – Tess rzuciła się przez kuchnię (zaledwie dwa kroki) i objęła przyjaciółkę. – Co cię opętało? Gdybym zrobiła Maksowi coś takiego, umarłby ze strachu. Przede wszystkim dlatego że to coś nowego. Nie jestem pewna, czy ludzie naprawdę lubią niespodzianki. Ja na przykład nie. Nie możesz obwiniać Grahama, że nie wiedział, jak zareagować.

– Cóż, szkoda, że mi tego nie powiedziałaś, zanim zrobiłam z siebie idiotkę. – Niewypowiedziane oskarżenie zawisło w powietrzu.

– Przykro mi, Fi, że mnie ostatnio nie było w domu. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Mogłam się bardziej postarać. Przecież nie mieszkamy na krańcach świata. I to ja wszystko pochrzaniłam, wtedy, we wtorek, kiedy miałyśmy się spotkać. Jeśli to ci poprawi humor, biorę całą winę na siebie.

– Tak, jasne, powiem to dzisiaj Grahamowi, kiedy wróci z pracy i nie będzie w stanie spojrzeć mi w oczy. Tess, ta herbata jest koszmarna! W porównaniu z nią nawet to świństwo w Organique było lepsze!

– Z czasem się przyzwyczaisz – zapewniła Tess.

Fiona uwierzyła i piła dalej. Liczyła na coś mocniejszego, lecz kiedy Tess nie zaproponowała nawet lampki wina, uznała, że ich na to nie stać, i dała sobie spokój.

Tess tymczasem unikała alkoholu, odkąd sobie uświadomiła, że Heather miała rację. Postanowiła uważać na każde słowo, zwłaszcza teraz, wobec tylu burz w jej życiu. Na razie musi jej wystarczyć herbata Heather.

Fiona nadal analizowała przykre doświadczenie.

– Przecież nie oczekiwałam, że zamaszystym ruchem zwali wszystko z biurka i się na mnie rzuci! Ale myślałam, że się roześmieje!

Tess rozumiała ją doskonale. Gdyby kiedyś zdobyła się na odwagę, by zrobić coś równie szalonego, oczekiwałyby, że Max będzie zrywał boki ze śmiechu. Bo śmiech byłby o wiele intymniejszy niż dziki wybuch namiętności, jaki zazwyczaj towarzyszy takim scenom w kiepskich filmach.

A Graham był tylko przerażony. Siedział i gapił się na nią, chciał się zerwać i otulić ją płaszczem, a nawet na to się nie zdobył.

– Powiedz coś – szepnęła Fiona nerwowo i ciasno owinęła się prochowcem, jakby było jej zimno. I było, od środka.

Co mam powiedzieć? – pomyślał. Gdybym wiedział, co to miało znaczyć, wiedziałbym też, jak zareagować. Jesteśmy małżeństwem od dwunastu lat; myślałem, że znam jej nawyki, jej humory. Wiem, kiedy siedzieć cicho, kiedy ją pocieszać, kiedy się kłócić. Ale to coś innego.

Coś dużego, a więc ważne, żebym zareagował odpowiednio. Ale jak, do cholery?

– Dobrze, nic nie mów – warknęła Fiona, odwróciła się na pięcie i wyszła trzaskając drzwiami.

Chciał za nią pobiec, ale tym sposobem zwróciłby uwagę całego biura. Nie, poczeka, aż znajdzie się w domu. Może do tego czasu coś wymyśli, a Fiona się uspokoi lub wyładuje złość na matce i będą mogli porozmawiać. Albo i nie.

Dotknął klawiatury i ekran się rozjaśnił. Nadal widniały na nim słowa, których nigdy nie wysłał do Christine. Musi się z tym uporać, zanim będzie za późno. Wykasował wszystko i zaczął od nowa.

Tę wersję napisał w dwie minuty.

Droga Christine,

masz rację, mam wiele pytań. Na przykład: Dlaczego zgodziłaś się za mnie wyjść, skoro miałaś wątpliwości?

Dlaczego tuż przed ślubem nie powiedziałaś, że się rozmyśliłaś?

Czy byłaś ze mną w ciąży? Graham

– Szkoda, że mi nie powiedziałaś, iż martwisz się o Grahama – ciągnęła Tess. Wróciła dawna bliskość.

– A co byś zrobiła? – zapytała Fiona ponuro.

– Zaprosiłabym was na kolację, obserwowała, zadała kilka pytań, no wiesz.

– Nadal możemy to zrobić! Millie jest do niczego, biedaczka. Jest pewna, że Tim ma romans z dawną ukochaną. I może naprawdę ma. Ale wydaje mi się, że przez to, iż ona panikuje, sama zaczęłam widzieć dziury w całym.

Tess się zachnęła.

– Graham w życiu cię nie zdradzi.

– Jasne, powiedz od razu, że to nie ten typ! – Fiona zerwała się z miejsca, wyjrzała przez okno na mikroskopijny ogródek. I to jej przypomniało, że Tess zмага się z własnymi kłopotami. – O Boże, Tess, przepraszam! Wpadam tu i robię ci awanturę, że to wszystko twoja wina, bo cię nie ma w domu, a ty przecież masz dużo większe problemy.

Tess łzy napłynęły do oczu. Ostatnio chciało jej się płakać z byle powodu. Ledwie poczuła ból, miała ochotę kłaść się na podłodze i szlochać. Po niezbyt udanych pierwszych zajęciach postanowiła sobie, że teraz zdobędzie szacunek uczennic.

Przećwiczyła kilka ruchów i odkryła, że ma stosunkowo zwinne ramiona i może odchyłać je daleko w tył. Super, stwierdziła, przez większość zajęć będziemy robić ćwiczenia na mięśnie ramion i zaimponuję im zręcznością.

Uknuła podstępny plan. Rozgrzeje się na godzinę przed zajęciami, rozciągnie mięśnie ramion na tyle, na ile pozwoli jej organizm, ale uczennicom nie da na to czasu. Dzięki temu, kiedy przyjdzie co do czego, pobije je na głowę.

Plan był rozsądny i powiódłby się, gdyby kobiety były w lepszej kondycji. One też potrzebowały porządnej rozgrzewki, żeby nie zrobić sobie krzywdy. Dla większości rozciąganie się oznaczało wyciągnięcie ręki po pilota od telewizora.

Po kilku prostych ćwiczeniach Tess kazała im pochylić się do przodu, spleść dłonie i unieść ramiona nad głowę. Zademonstrowała to swobodnie i z dumą poczuła na sobie spojrzenia pełne podziwu. Potem wszystkie poszły w jej ślady, przy akompaniamencie strzykających stawów, jęków i głośnego łomotu, gdy większość wylądowała na podłodze.

– Nic się nikomu nie stało?! – krzyknęła przerażona. Za szybko opuściła ramiona i boleśnie nadwerżyła sobie barki. Biegała po sali, pochylała się nad każdą uczennicą. Na szczęście chyba żadna nie zrobiła sobie krzywdy. Wstawały, jęcząc i rozcierając obolałe miejsca.

Tess miała dosyć zajęć, ale potrzebowała tych pieniędzy, żeby dać Larze na wycieczkę szkolną, a nie chciała prosić Maksa, nie teraz, kiedy widziała, że martwił się bardziej niż dotychczas.

Wybrała technikę z podstawówki – kazała im położyć się na podłodze i uśpiła je. Sama była przytomna; bardzo się zdenerwowała, że naraziła je na ryzyko. Musi dać sobie z tym spokój, zanim komuś naprawdę stanie się krzywda.

– Na twoim miejscu nie zawracałabym sobie tym głowy – mruknęła Heather po zajęciach. – Same sobie winne.

– Jak to? – zdziwiła się Tess. – Przecież to instruktor odpowiada za ich bezpieczeństwo.

– Uznały, że jesteś równie niewysportowana jak one, i wykonały ćwiczenie bez namysłu, przekonane, że jest banalne, skoro tobie się udało. Właściwie dzięki temu chyba je do siebie przekonałaś.

Super, pomyślała Tess. Więc tak to się robi – zadajesz ból i zyskujesz szacunek. Kolejna wersja kultury macho.

Jednak nawet po ćwiczeniach rozciągających przyszło jej zapłacić bolesną cenę za szpanowanie. Jej ramiona drżały przez cały dzień.

Opowiedziała Fionie o wszystkim, poczynając od pierwszego spotkania z Heather i kłamstwa na temat swoich kwalifikacji.

– Rany! – krzyknęła przyjaciółka. – Ja nie miałabym na to odwagi!

– Bo jesteś zbyt rozsądna.

Fiona otworzyła usta ze zdumienia.

– Teraz już wiem na pewno, że świat stanął na głowie. I co teraz?

– Jak to?

– No przecież nie możesz tego ciągnąć. Po pierwsze, nie dożyjesz następnych urodzin, jeśli będziesz się tak katować, po drugie, chyba za mało zarabiasz, żeby ci się to opłacało.

Tess opuściła wzrok.

– Szczerze mówiąc, chciałabym pracować więcej, zatrudnić się w innych szkołach i ośrodkach. Gdybym miała więcej zleceń, wystarczyłoby nam na życie z moich zarobków.

Fiona z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Moim zdaniem to szaleństwo. Chyba możesz robić coś innego!

– Zastanów się, Fi. Co ty byś robiła na moim miejscu?

Fiona się zamyśliła i doszła do przykrego wniosku, że nie nadaje się absolutnie do niczego. Szybko uporała się z tą przykrą świadomością— przestała o tym myśleć.

– Jak to jest uczyć dzieci? – zapytała.

Tess wolałaby nie rozmawiać na ten temat. Nie mogła powiedzieć Fionie o Jerry, po pierwsze dlatego że to śmieszne zwierzać się z głupiego zadurzenia, a po drugie Fiona ma własne kłopoty małżeńskie i nie zechce słuchać o problemach w cudzych związkach. Trwałość Tess i Maksa stanowiła w jej oczach przeciwwagę dla rozchwianego małżeństwa Millie.

– Mniej wiedzą, więc więcej uchodzi mi na sucho. Porównują mnie ze zwykłą nauczycielką wuefu, a nie boginią z gumy i niewiele oczekują. Są bezczelne, ale to znam z domu, od Lary. Właściwie – podsumowała – radzę sobie z nimi.

Gorzej z nauczycielami.

– Musisz mi zdradzić twój sekret – szepnął głos. – Oddałbym wiele za godzinę snu podczas lekcji.

Tess podskoczyła. Nie słyszała, kiedy Jerry wszedł do sali.

– Też masz z nimi lekcję? – zapytała. – Wydawało mi się, że z drugą klasą?

Skinął głową.

– Owszem, kazałem im liczyć do tysiąca z zamkniętymi oczami. Wpadłem się tylko przywitać.

Tylko tyle, pomyślała zdenerwowana.

– Cześć – burknęła.

– Jesteś zła o wczoraj – domyślił się. – Przepraszam, że to tak wyszło. Ale przecież mogłaś powiedzieć, że już się znamy.

– Nie wiedziałam, jak to zrobić. Czekałam na to, co powiesz.

Jerry wzruszył ramionami.

– Improwizowałem. Szczerze mówiąc, szczeka mi opadła, kiedy się okazało, że przyjaźnisz się z Heather.

– Przyjaźnię się to za dużo powiedziane – zauważyła Tess nielojalnie. – Niezbyt długo się znamy. – Więc gdyby chciał ją rzucić ze względu na ciebie, nie będzie tak źle? – pytał wewnętrzny głos. Zamknij się, burknęła do sumienia, wcale nie.

– Wczoraj przez cały wieczór było mi głupio z tego powodu – ciągnął Jerry, poważny po raz pierwszy w ciągu ich znajomości. – Sam nie wiem, czemu skłamałem.

– Właściwie nie oszukiwaliśmy – zaczęła Tess, świadoma, że to największe kłamstwo ze wszystkich.

Jerry uniósł brew. Tess poczuła znajomy już rumieniec, który wypełził zza kołnierza, przez kark, w stronę twarzy. Muszę sobie kupić ten zielony korektor, który maskuje czerwone plamy, postanowiła. I to od razu największą tubę, jeśli chcę dłużej pracować w szkole.

Zerknęła na zegarek. Zaraz zaczniesz budzić dzieci. Nie chciała, żeby inni nauczyciele dowiedzieli się, że usypia uczniów. To przejściowa strategia, póki jej ciało się nie przyzwyczai do zwiększonego, wysiłku. Skończy z tym, kiedy przestanie umierać z bólu przez dwa dni po każdych zajęciach.

Jerry dostrzegł jej niepokój.

– Zjemy razem lunch?

Nie, pomyślała.

– Dobrze. Gdzie?

– Gdziekolwiek, byle nie U Cartera.

Przypomniała sobie, że panie z jej zajęć spotykają się tam co poniedziałek. Powiedziała, że nie może do nich dołączyć, bo ma lekcje w szkole.

– Może w kawiarni za rynkiem? – zaproponowała. Było to jedyne miejsce w okolicy, do którego na pewno nie zajrzy nikt z jej znajomych. Za brzydkie, za brudne, za tanie. Nie zobaczy nas tam nikt, kogo znam, pomyślała. Nie żebym cokolwiek ukrywała. Idę tylko na lunch z przyjacielem. Po prostu będzie łatwiej, jeśli to zostanie między nami.

– A tak przy okazji, dzwoniłam do ciebie, ale cię nie było – stwierdziła Fiona przed wyjściem. – I miałaś wyłączoną komórkę.

– Tak, byłam na lunchu z kobietami z zajęć. – Tess skłamała bez mrugnięcia okiem. Było to kłamstwo z premedytacją, bo podczas lunchu z Jerrym, o którym postanowili nikomu nie mówić, oboje zrozumieli, że z przypadkowej znajomości powoli robi się coś więcej.

I to Tess zrobiła pierwszy krok. Zapytała Jerry'ego o zaręczyny z Heather.

Graham wysiadł dwie stacje wcześniej, chciał iść do domu na piechotę i pomyśleć. Poza tym starał się jak najbardziej odwlec spotkanie z Fiona. Ledwie wysłał e-mail do Christine, czego natychmiast pożałował, okazało się, że nie jest w stanie skupić się na pracy.

Annie co jakiś czas pukała do drzwi i proponowała mu kawę, herbatę i kanapki – wiedziała z wielu lat lektury romansów, że to odpowiednia strategia. Irytowała go coraz bardziej, aż w końcu warknął coś nieuprzejmie.

Jutro dam jej kwiaty, postanowił. Może Fionie też. Tylko właściwie za co miałbym ją przeproszać? Szedł, gapił się na wystawy i myślał. Doszedł do wniosku, że nie ma sensu dłużej się nad tym głowić. Zmarnował na to cały dzień i do niczego nie doszedł.

Mijał właśnie bar, którego nie było, gdy ostatnio tędy szedł. Nikt go nie znał, nadał świecił pustkami. Nie wiedział, co go podkusiło, by zajrzeć przez szybę do środka, lecz gdy to zrobił, zobaczył przy stoliku samotną kobietę. Millie.

Fiona po raz setny zerknęła w okno. Spóźniał się, chociaż nigdy mu się to nie zdarzało. No, bardzo rzadko. Chciała zadzwonić do niego na komórkę, ale uznała, po rannych wydarzeniach, że narzucała mu się wystarczająco jak na jeden dzień, ba, nawet jak na jeden związek.

Daphne obserwowała ją i współczuła, bo wiedziała, że Fiona nie zechce jej wsparcia. Niech go szlag trafi, myślała. Jej mąż też taki był. Wydawał się wierny i oddany. Wszyscy za nim przepadali, każda kobieta chciała go za zięcia. A potem, gdy urodziły się dzieci, zaczął się od niej oddalać. Wracał coraz później, miał coraz mniej wiarygodne wymówki, aż w ogóle przestał się tłumaczyć. Zostawił ją i dzieciaki dla innej kobiety i nigdy więcej się nie pokazał.

Między innymi dlatego nigdy nie zaufała Grahamowi. Tak, wydaje się solidny, i wcale nie chciała, żeby Fiona wyszła za playboya, który skrzywdziłby ją na pewno. Lecz taki Graham jest jeszcze bardziej niebezpieczny. Wmawia ci, że zostanie z tobą do końca życia, a kiedy odejdziesz, cios jest tym boleśniejszy.

A po tym, co widziała wczoraj, dużo myślała o bolesnych ciosach.

- Dlaczego drugi raz nie wyszłaś za mąż? – zapytał Archie.
- To osobiste pytanie! Za mało się znamy, żebyś pytał o takie rzeczy!
- Mam sześćdziesiąt trzy lata. W tym wieku czas się mierzy inaczej.

Daphne była zdumiona. Jego taktyka ubierania się jak mężczyzna o piętnaście lat młodszy okazała się skuteczna. Nie знаła nikogo po pięćdziesiątce, kto nosiłby dzinsy.

Archie mówił dalej:

– Jeśli od razu nie mówisz tego, co ci przyjdzie do głowy, później możesz nie mieć okazji.

– Niedawno usiłowałam wytłumaczyć to córce – mruknęła. – Nie rozumiała. Uważa, że jestem wredna.

– Moje dorosłe dzieci mają mnie za marudnego starca. Nic mnie to nie obchodzi. – Wziął ją pod rękę i poklepał po dłoni, zanim poszli dalej.

Daphne akurat doznała jednej z bardzo rzadkich cudownych chwil bez bólu. W takich momentach dochodziła do wniosku, że warto jeszcze trochę pożyć. Od ponad dwudziestu lat nie trzymała mężczyzny pod ramię, jeśli nie liczyć pielęgniarzy w szpitalu.

– Chyba uznałam, że to nie w porządku wobec dzieci – zaczęła w odpowiedzi na jego poprzednie pytanie. – Bardzo przeżywały rozpad naszego małżeństwa, te wszystkie płacze i kłótnie. Kiedy ich ojciec odszedł, zdały się całkowicie na mnie. Bałam się, że odbiorą to jako zdradę, jeśli i ja sobie kogoś znajdę. Zresztą nawet gdybym ponownie wyszła za mąż i dzieciaki nie miałyby nic przeciwko, ten nowy związek też mógłby się rozpaść, a wtedy straciłyby kolejnego ojca. Nie chciałam tego ryzyka.

Archie się zamyślił.

– Dziwne, chyba kierowały mną podobne motywy, chociaż nigdy nie nazwałem tego tak jasno. Po prostu nigdy nie wydawało się to właściwe.

– Żałujesz? – zapytała.

– Cały czas. – Nie wahał się ani chwili. – A ty?

– Cały czas – wyznała z uśmiechem.

Po dziesięciu minutach spaceru poczuł, że Daphne opiera się na nim coraz ciężej.

– Napiłbym się herbatki – stwierdził. – Jestem w gorszej kondycji niż ty.

Co ty na to?

Miała ochotę go uściskać z radości.

– Nigdy nie odmawiam herbatki.

Skrećili w stronę kawiarni. Dochodzili już, gdy Daphne zobaczyła parę przy stoliku przy oknie. Byli pogrążeni w rozmowie. Trzymali się za ręce i nie widzieli świata poza sobą.

Gwałtownie szarpnęła Archiego.

– Poczekaj. Chyba tam siedzi mój znajomy.

Archie spojrzął za jej wzrokiem.

– Czy to nie jeden z przyjaciół twojej córki?

Skinęła głową.

– Tim. Ma czworo dzieci i dwoje następnych w drodze. Przyjrzał się im uważniej.

– Nie przypominam sobie tej kobiety z piątkowej kolacji.

– Bo to nie jego żona – wyjaśniła Daphne po chwili.

Pozorna stabilność związków przyjaciółek Fiony zawsze stanowiła dla niej pociechę. Czerpała z niej nadzieję dla Fiony i Grahama. A tu nagle nadzieja się chwieje. Nie wiedziała, jak się postępuje, gdy przyłapujesz na zdradzie przyjaciela dorosłej córki. Powiedzieć coś czy nie?

Na decyzję Daphne wpłynął fakt, że nie rozmawiała z córką na tematy poważniejsze niż zasady parzenia herbaty i wyższość swetrów akrylowych – można je spokojnie prać – nad wełnianymi – kurczą się i mechacą. Dlatego nic nie powie. Takiego tematu nie ma na ich liście.

Zaniepokoiło ją jednak, iż Graham przejawia pierwsze, wczesne symptomy małżeńskiej niewierności – spóźnia się do domu.

– Czekasz na kogoś?

Millie rozlała wodę. Spodziewała się wszystkiego, ale nie, że ktoś będzie chciał ją poderwać. Nie nawiązuje kontaktu wzrokowego, powtarzała sobie. Zignoruj go.

– Millie?

Zaskoczona podniosła głowę.

– Graham? Co ty tu robisz?

Uśmiechnął się.

– Przechodziłem obok i zobaczyłem cię. Nie czekasz przypadkiem na Fionę?

Millie przecząco pokręciła głową. Liczyła, że nie spotka nikogo znajomego. Początkowo zamierzała iść po prostu na długi spacer, wrócić i robić tajemnicze miny. Jednak było zimno, a ona czuła się zbyt zmęczona, by spacerować dłużej niż dwadzieścia minut. Kilka dni wcześniej przypadkiem odkryła ten bar i uznała, że idealnie nadaje się do jej celów. Nikt znajomy tędy nie chodzi, a w środku jest na tyle cicho, że będzie mogła poczytać książkę.

Graham zobaczył otwartą lekturę i wszystkiego się domyślił.

– Przyszłaś tu poczytać? – zapytał.

– Pewnie uznasz, że to głupie.

– Skądże. Codziennie robię to samo.

Teraz Millie się zdziwiła. Właściwie nie знаła Grahama, mimo wspólnych urlopów i tego, że widział, jak karmi piersią. Chociaż kiedyś nie spali całą noc i zajmowali się chorymi dziećmi, zmieniali im pościel i uciszali maluchy.

Nie wiedziała, jaki jest poza ich kręgiem. Wiedziała, czym się zajmuje, bo był ich doradcą finansowym, ale nie wyobrażała go sobie, jak czyta, kłóci się z Fioną czy marzy.

– Naprawdę? Codziennie? – zainteresowała się.

– Prawie. Raz na dwa tygodnie idę do biblioteki, to zajmuje całą przerwę na lunch. Czytam dwie książki w tygodniu.

– A ja chyba nie przeczytałam żadnej przez dziesięć lat –mruknęła. – Szczerze mówiąc, trudno mi się do tego zabrać. Pewnie uważasz, że to żałosne.

– Skądże. Czwórka dzieci pochłania mnóstwo czasu. Pewnie dziękujesz losowi za każdą wolną chwilę. Chyba niełatwo jest się odprężyć.

– Tobie się udaje – zauważyła z lekką pretensją.

Graham wyczuł, że nadciąga jedna z kłótni, do których wiecznie dążyła Fiona. Zręcznie ominął pułapkę.

– A co Tim na te twoje wypadki?

Dopiero teraz Millie przestraszyła się nie na żarty.

– Nie wie! – krzyknęła. Graham milczał.

– To znaczy, oczywiście wie, że wyszłam, ale nie wie, że siedzę tu sama i czytam. – Ukryła twarz w dłoniach, zbyt zmęczona, żeby przekonująco kłamać. – Równie dobrze mogę ci powiedzieć – szepnęła.

I powiedziała mu wszystko.

– Tylko ty wiesz – zakończyła. – Nawet Fiona nie ma o tym pojęcia. Nic jej nie mów.

Świetnie. Kolejny sekret, pomyślał Graham. Jednak był człowiekiem honoru i poważnie traktował obietnice. Nikomu nie powie o ich dzisiejszym spotkaniu.

Co to dokładnie jest wieczorek taneczny? – dopytywała się Tess.

Heather zjawiała się u niej nieoczekiwanie w środowy ranek. Wczoraj po raz pierwszy od początku znajomości nie widziały się ani nie rozmawiały. Tess miała nadzieję, że Heather niczego się nie domyśla.

– Fantastyczna sprawa! – zapewniła Heather entuzjastycznie jak zawsze.

– Najpierw wszyscy uczą się kroków, a potem tańczysz, z kim chcesz.

– Kroków? Jakich? – Tess miała nadzieję, że jej podejrzenia okażą się bezpodstawne.

– Różnych. Tańce retro, latynoamerykańskie, co tylko chcesz. Podejrzenia Tess się potwierdziły.

– Jezu! Czyli taki taneczny podwieczorek dla starszych pań w sukniach z cekinami i dla staruszków z wybrylantowanymi włosami, w sztucznych skarpetkach? – Oby Heather jak najszybciej wyprowadziła ją z błędu.

Lecz Heather nie zauważyła jej przerażenia.

– Dokładnie! Tylko że teraz to wygląda zupełnie inaczej. Teraz tańczą młodzi, oczywiście jeśli uznasz ludzi w naszym wieku za młodych.

Tess czuła się bardziej dotknięta podejrzeniem, że ktokolwiek mógłby pomyśleć, że pójdzie na taką imprezę, niż pytaniem, czy nadal uważa się za osobę młodą. Nie wiedziała, jak się z tego wykręcić, żeby przy okazji nie urazić Heather, nabijając się z jej hobby.

Heather nie dawała za wygraną.

– Wiem, co sobie myślisz. Też na początku byłam do tego sceptycznie nastawiona. Ale dzieciaki mnie namówiły.

– Dzieci też chodzą? – Tess wykazała większe zainteresowanie.

– Całe rodziny. To jedna z nielicznych imprez dla każdego. Nie dalej jak w niedzielę mówiłaś, że nie robicie z Makssem niczego wspólnie. Przekonaj go, żeby spróbował. To tylko godzina tygodniowo, za trzy osoby zapłacicie ledwie pięć funtów.

Tess się zamyśliła. Albo zaczną z Makssem robić coś razem, cokolwiek, albo przepaść między nimi stanie się nie do przebycia. Po poniedziałkowym lunchu z Jerrym poczuła, że musi obiektywnym okiem spojrzeć na swoje małżeństwo.

– Skoro wasz związek jest taki pewny, co tu ze mną robisz? – zapytał.

– Niby dlaczego nagle rozmawiamy o moim związku? Pytałam o twój.

– Jeszcze się nie ożeniłem – odparł. – A ty już wyszłaś za mąż. Więc zapytam jeszcze raz: dlaczego tu ze mną przyszedłaś? I nie wciskaj mi kitu o przyjaźni, i że to niewinne. Oboje wiemy, że ty się nie przyznasz Maksowi, a ja Heather.

Tess była w pułapce. Spodziewała się kolejnej uroczej godziny flirtów, po której będzie pełna życia do końca dnia i do której będzie mogła wracać w marzeniach, gdy dopadnie ją depresja. Nie liczyła na nic poważnego, co mogłoby mieć wpływ na jej rodzinę, jej przyszłość.

– Zawrzyjmy umowę – powiedziała. – Ty mi powiesz, czemu się żenisz z Heather, ja, czemu ciągle jestem z Makssem.

Trzymała kciuki, żeby odmówił, a wtedy wróć do poprzedniej niewinnej atmosfery. Lecz Jerry nie był takim tchórzem jak ona.

– Dobrze – mruknął. – Poprosiłem Heather o rękę, bo jest pierwszą kobietą, której całkowicie ufam. Podziwiam ją za to, że sama wychowuje dzieci i robi to wspaniale. Imponuje mi to, że przedkłada ich szczęście nad swoje. Potrafi mnie rozbawić, jest dobra i ciepła, praktyczna i rozsądna, i szanuję ją za to. Poza tym chce mieć więcej dzieci, a to dla mnie ważne.

Tess przymknęła oczy, gdy kolejny człowiek planował dzieci, jakby to było równie proste jak zamówienie ciuchów z katalogu. Nie będzie o tym myśleć, nie teraz.

– Słyszałam już bardziej romantyczne uzasadnienia – zauważyła. – A gdzie deklaracje wiecznej miłości?

– Och, owszem, kocham ją – zapewnił Jerry otwarcie. – Ale kochałem każdą kobietę, z którą się spotykałem, dosłownie każdą. Coś ze mną nie tak. Większość ludzi ma wrodzone predyspozycje, by darzyć uczuciem jedyną osobę, którą los postawi na ich drodze w krytycznym momencie. Niektórym zdarzają się jeszcze dwie, trzy na boku. A ja mam predyspozycje do kochania wszystkich. Jak kobiety, które rodzą się ze wszystkimi komórkami jajowymi, które wyprodukują w życiu.

Mógłby przestać nawiązywać do płodności, zauważyła.

– Więc zakochujesz się w każdej kobiecie? Nie przyszło ci do głowy, że w takim razie żadnej naprawdę nie kochałeś? Że nie spotkałeś tej jedynej, a do tej pory przeżywałeś tylko chwilowe zauroczenie?

Jerry się uśmiechnął.

– Owszem, brałem taką ewentualność pod uwagę, ale to bez znaczenia. Jeśli ja uważam, że to miłość, to tak właśnie jest. Może na nic więcej mnie nie stać. Jak mówiłem, może mam skazę genetyczną. A kiedy się już z tym pogodziłem i przestałem czekać, aż ziemia mi się zatrzęsie pod nogami, skupiłem się na bardziej przyziemnych powodach do małżeństwa.

Parsknęła śmiechem.

– Właściwie czemu nie pójdziesz do biura matrymonialnego? Wyliczysz wszystkie niezbędne cechy i znajdą ci partnerkę idealną. Jakbyś poszedł do sklepu z próbką materiału, niech ci znajdą farbę w takim kolorze. Skoro chemia się nie liczy, nie ma sprawy!

– Już próbowałem – odparł, czym znowu ją zaskoczył. – Byłem w trzech różnych biurach matrymonialnych, odpowiadałem na ogłoszenia towarzyskie, umawiałem się z dziewczyną na czacie. Problem w tym, że ludzie poznani w taki sposób albo kłamią na swój temat, albo sami nie wiedzą, kim są.

– W przeciwieństwie do ciebie, masz wysoką samoświadomość, tak? – zażartowała.

– Wiem, kim jestem – odpowiedział. – Ty nie?

Na szczęście Tess od trzech dni nie piła czerwonego bombajskiego i zwinnie ominęła to pytanie.

– Innymi słowy twierdzisz, że właściwie mógłbyś się ożenić z każdą i byłby to szczęśliwy związek?

– Pod warunkiem że do siebie pasujemy? Tak.

Tess zapuszczała się coraz dalej, może dlatego że wmówiła sobie, iż to ich ostatnia taka rozmowa.

– Pozwól, że ci zadam pytanie, oczywiście hipotetyczne.

Jerry nie czekał.

– Zastanawiasz się, czy nie wolałbym się ożenić z tobą zamiast z Heather, gdybyś nie była mężatką i chociaż dopiero co się poznaliśmy. Odpowiedź brzmi: tak.

Tess zatęskniła za indyjskim winem.

– Absolutnie, kategorycznie, stanowczo odmawiam. Nie pójdę na żaden wieczorek taneczny – zapierał się Max. Chciał do łóżka. Pracował przez całą noc, a za sześć godzin znowu zaczyna. Do tego obiecał, że wpadnie do klubu, bo Carter chciał z nim o czymś porozmawiać.

– Początkowo też tak zareagowałam – tłumaczyła Tess. – Uznałam, że to idiotyczny pomysł. Ale potem Heather mnie przekonała, że to dobrze zrobi nam i naszej rodzinie. Do tego to tania rozrywka.

– Nasza kochana Heather – mruknął pod nosem. Z każdym dniem darzył ją coraz większą niechęcią i obarczał winą za nagłą transformację Tess – z kobiety, którą znał, stawała się kimś obcym zarówno fizycznie, jak i psychicznie.

– Posłuchaj, Max, chcę, żebyśmy tam poszli – powtórzyła, bardziej stanowczo. – Lara powinna widzieć nas razem. Nie możesz cały czas tak ciężko pracować. Rozchorujesz się. Proszę tylko o jedną godzinę tygodniowo.

Chciał dalej protestować, ale nie dała mu dojść do słowa.

– Dobrze, powiem jasno, bo jesteś zmęczony i nic nie rozumiesz. Bardzo chcę, żebyśmy tam poszli. Jeśli nie możesz poświęcić jednej godziny tygodniowo na wspólną rozrywkę, uznam, że spisałeś nasze małżeństwo na straty.

Przyglądał się jej uważnie.

– Co ty znowu wymyślasz? Powiedziałem, że nie chcę się uczyć rumby z bandą obcych ludzi, a ty mi grozisz rozwodem?

Tess milczała. Postanowiła, że tym razem nie będzie go pocieszać. W pewnym sensie nie dziwiła się jego zdumieniu. Do tej pory sądził, że ich problemy są jedynie natury finansowej. Ona zaś wiedziała, że sięgają o wiele głębiej. Ponieważ jednak tylko ona przyjęła do wiadomości wszystkie fakty, musi walczyć za dwoje.

Po niepokojącym wyznaniu Jerry'ego tylko wzrosło jej postanowienie, by ratować swoje małżeństwo. Nie pozwoli sobie na zabawę z ogniem, który reprezentował nowy przyjaciel. Zbyt wielu już się przy tym poparzyło. Tylko idiotka brałaby to w ogóle pod uwagę.

Maksowi było niedobrze ze zmęczenia.

– Dobrze – mruknął ulegle. – Jak chcesz. Tylko nie licz, że będę się dobrze bawił ze względu na ciebie i twoją przyjaciółkę Heather.

Odwrócił się, poszedł do sypialni i zamknął drzwi. Chciał trzasnąć, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

Dopiero wtedy do Tess dotarło – skoro będzie tam Heather, czy to oznacza, że Jerry też?

Fiona poczuła się odrobinę lepiej po poniedziałkowej rozmowie z Tess. Nabrała przekonania, że choć jej zachowanie w gabinecie Grahama świadczyło o poważnych problemach psychicznych, jego reakcja nie oznacza nic. Czepiała się tej myśli przez całą godzinę, przez którą na niego czekała. Starła się nie dorabiać ponurych teorii do zwykłego spóźnienia.

Wieczór nie należał do udanych, prawdopodobnie dlatego że ilekroć zebrała się na odwagę, by poruszyć z nim temat porannej kłębki, dzwonił telefon. Było tak, jakby zły duch obserwował ją, czekał na odpowiedni moment i krzyżował jej szyki, każąc bogu ducha winnej istocie zadzwonić i dodać kolejne zmartwienie do stosu jej problemów.

– Mamo, do ciebie! – zawołała po pierwszym telefonie. Przed chwilą poprosiła Grahama, żeby odłożył gazetę, bo muszą porozmawiać. Minęło kilka minut, zanim Daphne pokonała schody i wzięła słuchawkę od wyraźnie zniecierpliwionej córki.

Fiona wróciła do saloniku. Graham posłusznie odłożył gazetę, gotowy na przesłuchanie.

– Co mówiłaś? – zaczął.

Chciał mieć to już za sobą.

– Cicho! – syknęła. – Słucham!

Obserwował rozbawiony, jak podsłuchuje rozmowę matki. Za często się śmiała jak na jej gust. Kiedy skończyła, Fiona zawołała ją do salonu jak niegrzeczną dziewczynkę.

– Co to znowu było? – zapytała i groźnie zaplotła ręce na piersi.

Daphne się uśmiechnęła.

– Zachowujesz się jak ja przed dwudziestu laty, kiedy skończyłaś rozmawiać z chłopakiem.

– Jest pewna różnica, mam – prychnęła Fiona. – Ja się po prostu interesuję tym, co robisz, upewniam się, że wszystko jest w porządku.

– A ja chciałam ci popsuć świetną zabawę, tak?

– Dobrze, nie mów, jeśli nie chcesz. Daphne pokręciła głową.

– Nic nie szkodzi, i tak bym ci powiedziała, nie musisz mnie przesłuchiwać. Nie mam nic do ukrycia. Wychodzę jutro wieczorem.

– Znowu z Archiem? Przecież wczoraj się z nim widziałaś?

Graham zakasłał, żeby ukryć zdradziecki chichot. Odkąd Daphne z nimi zamieszkała, powoli zmieniał o niej zdanie. Teraz widział, że sporą część ich kłótni wywoływała Fiona. Oczywiście nigdy żonie tego nie powie. Po porannym występie będzie bardzo uważał, żeby jej nie zdenerwować i nie wywołać kolejnego dowodu... tego, co chciała mu przekazać. Miał nadzieję, że napis na koszulce był przenośny, nie dosłowny.

– Nie, nie z Archiem – odparła Daphne. – Z Carterem. To ten uroczy właściciel restauracji. No, idę spać. Dobranoc.

– Słyszałeś? W ciągu dwóch dni dwóch facetów się z nią umawia. Co tu się dzieje?

– Najwyraźniej widzą w niej coś więcej niż my. Właściwie, jakby się nad tym zastanović, jest atrakcyjna jak na swój wiek.

Fiona była przerażona.

– Atrakcyjna? To wredna starucha, jak może być atrakcyjna?

– Może jeszcze nie dostrzegli jej ciemnych stron.

– Albo pokazuje je tylko mnie – jęknęła. – To najbardziej prawdopodobne.

Przez godzinę dumiała, jak to możliwe, że jej matka prowadzi bogatsze życie towarzyskie niż ona, zanim przypomniał jej się poranny koszmar.

– Graham – zaczęła – Jeśli chodzi o dzisiejszy ranek...

I znowu zadzwonił telefon.

– Pewnie listonosz, żeby się umówić z moją jakże atrakcyjną matką – syknęła, zirytowana. Lecz telefon był do niej.

– O, Millie, cześć, co u ciebie? – zaczęła, zła, że nie może porozmawiać z mężem.

– Coś się stało? – Millie wyczuła, że zadzwoniła w nieodpowiednim momencie.

Fiona nie zapomniała o problemach Millie, prawdopodobnie o wiele bardziej palących niż jej troski. Złagodniała.

– Przepraszam, miałam po prostu fatalny dzień. Co słyhać?

Millie zadzwoniła, przerażona, że Graham nie zrozumiał, jak ważne jest, żeby Fiona się o niczym nie dowiedziała. Wstydziła się swojego zachowania i po rozmowie z Grahamem postanowiła dać sobie z tym spokój. Gdyby wiedziała o porannym wybryku Fiony, nie czułaby się jak idiotka, ale teraz żałowała, że się odsłoniła przed jej mężem. Liczyła, że może on odbierze, lecz skoro to Fiona podniosła słuchawkę, musi delikatnie wybadać, czy coś jej powiedział. Odkąd straciła zaufanie do Tima, nie wierzyła nikomu.

– Co tam u Grahama? – zapytała niezdarnie.

Fiona wzmogła czujność.

– Dlaczego pytasz?

– Z grzeczności. – Millie była na siebie wściekła, że nie zaplanowała tego dokładnie, zanim sięgnęła po słuchawkę.

– Nieprawda. – Fiona nie dała się oszukać. Zamknęła za sobą drzwi, żeby Graham nie słuchał. Niepotrzebnie się martwiła – nie interesowały go jej

rozmowy telefoniczne. Stanowiły dla niego błogą chwilę spokoju i ciszy; dzięki nim nie musiał z nią rozmawiać.

Fiona ściszyła głos.

– Nigdy nie pytasz, co u Grahama, chyba że jest chory.

Millie gorączkowo szukała wyjścia ze ślepego zaułka.

– Wiem, że się o niego martwiłaś. A nie rozmawialiśmy od zeszłego tygodnia i zastanawiałam się, no wiesz... – Nie miała ochoty żyć, a co dopiero kontynuować tę mękę.

Fiona się odprężyła. Przesadzam, stwierdziła. Millie jest w ciąży, przerażona, że Tim ma romans. Pewnie chciała tylko usłyszeć, że inni też mają problemy.

– Cóż, teraz zachowuje się jeszcze bardziej dziwnie – przyznała zadowolona, że może się komuś zwierzyć. – Wrócił do domu godzinę później niż zwykle, a to do niego niepodobne. – Chciała powiedzieć Millie, co rano zrobiła, ale nie była w stanie, było jej bardzo głupio. Dobrze chociaż, że zwierzyła się Tess. Tess zrozumiała.

– Myślałam o nich obu, Timie i Grahamie – zaczęła Millie. – To chyba moja wina, przeze mnie stałaś się taka podejrzliwa. Posłucham twojej rady i zwyczajnie z nim porozmawiam. Zastanawiałam się nad, jak to ujęłaś, urozmaiceniem naszego związku, ale obawiam się, że to może nie wypalić i tylko wszystko skomplikować.

Dzięki, że mi to teraz mówisz, pomyślała Fiona. Może następnym razem, kiedy uznasz, że plotę bzdury, raczysz mnie o tym poinformować.

– Cieszę się, że z nim porozmawiasz. To najlepsze wyjście – powiedziała głośno i obiecała sobie, że ona i Graham zrobią to samo. Oczywiście pod warunkiem iż znowu nie zadzwoni telefon.

– Co u Millie? – zapytał Graham.

– W porządku – odparła z roztargnieniem.

– Czego chciała?

Tego było już dla Fiony za wiele. Dała sobie wmówić, że dociekliwość Millie a propos Grahama jest niewinnej natury, ale żeby on o nią pytał? I to dwa razy? Nie do pomyślenia. Nigdy nie pytał, co u jej przyjaciółek, przede wszystkim z obawy, że odpowie. Ze szczegółami.

Lecz dwa drobne pytania złożone do kupy tworzą jedno istotne. A Fionie przychodziła do głowy tylko jedna odpowiedź.

Coś ich łączy. Oddałyby dużo, żeby ktoś jej udowodnił bezsensowność takich podejrzeń, lecz najpierw musi je wygłosić. Z drugiej strony jeśli coś powie i okaże się, że nie ma racji, zniszczy przyjaźń Millie, a Graham... cóż, dla niego ten brak zaufania będzie równoznaczny ze zdradą.

Wtedy przyszło jej do głowy jeszcze jedno niewinne wytłumaczenie. Przypomniała sobie serię potajemnych rozmów telefonicznych, które odbyła z Timem, gdy planował dla Millie niespodziankę na rocznicę ślubu. Jak się później okazało, Millie niczego nie podejrzewała i była zachwycona, gdy Tim podarował jej idealnie dobrany pierścionek.

Usiadła, czując ulgą, że wreszcie znalazła rozsądne wytłumaczenie swoich problemów! Za miesiąc są jej urodziny, a Graham nie słynie z bujnej wyobraźni. To logiczne, że poprosił o pomoc jej przyjaciółkę, jeśli chce sprawić jej niespodziankę.

Poza tym Millie jest w czwartym miesiącu ciąży, upomniała się. Nie jest to odpowiedni moment na rzucanie się w romanse.

– Nic, chciała umówić się na spotkanie z Tess – zbyła go. To mu wystarczyło. – Posłuchaj, Graham, bardzo mi głupio z powodu...

I była gotowa przeprosić go serdecznie za ranny przyпіływ szaleństwa, pocałować i przestać się zamartwiać... Lecz telefon znowu zadzwonił.

– Nie do wiary! – sapnęła ze złością.

Graham się poderwał.

– Daj, odbiorę. Powiem, że się kapiesz, a twoja matka nie ma wolnych terminów.

Pocałował ją w czoło.

– Halo?

Fiona słuchała. Usiłowała domyślić się kto to. Jednak słyszała tylko serię westchnień i sprzeciwów, zanim Graham w końcu się zgodził, tylko na co?

– Co kupiłeś? – zażartowała. Zawsze był łatwym obiektem manipulacji, nie potrafił po prostu cisnąć słuchawką.

– Dzwonił Tim – powiedział cicho.

– Czego chciał? – Mężczyźni z ich kręgu nigdy do siebie nie dzwonili. To nie w ich stylu.

– Spotkać się na drinka. Mówi, że to ważne.

– Nie możemy się dzisiaj spotkać – tłumaczyła Tess. – Mam zajęcia przez cały dzień. A jutro jadę do śródmieścia na jogę. Jako uczennica! Pomyślałam sobie, że intensywny kurs dla zaawansowanych dobrze zrobi moim zajęciom. Nauczę się dziwacznych pozycji z trudnymi nazwami i zwalę sceptyków z nóg.

– Naprawdę musimy pogadać – jęknęła Fiona.

– Coś się stało?

– Jeśli to powiem, zabrzmiałoby głupio, ale zrozumiesz, kiedy ci opowiem wszystkie szczegóły.

Tess nie chciała jej zawieść, zwłaszcza że Fiona nieraz służyła jej pomocą.

– Wiesz co? Jeśli jesteś wolna jutro wieczorem, chodź z nami na wieczorek taneczny.

Wtedy Fiona wyrecytowała wszystko to, co mówiła Tess w rozmowie z Heather i Max w rozmowie z Tess.

– Wiem, wiem, ale jeśli nie wtedy, to zobaczymy się dopiero w przyszłym tygodniu. No, chodź! Będzie fajnie. I pogadamy.

Fiona zgodziła się niechętnie. Nie miała wyboru. Nie może porozmawiać ani z Millie, ani z Grahamem. Oczywiście, zawsze jest jeszcze jej matka.

Ha, ha, ha.

– Podrzucimy cię – zaproponowała Daphne.

– Kto?

– Carter i ja. Przyjedzie po mnie, my również idziemy na ten wieczorek.

Fiona jęknęła przerażona.

– Ty też?

Daphne westchnęła.

– Chyba właśnie to powiedziałam? Musisz sobie załatwić opiekunkę do dzieci, jeśli Graham także idzie.

– Skądże, Graham nie idzie! Nie pleć bzdur! – Była wściekła, bo wszystko układało się nie tak, jak zaplanowała.

– Tylko ci przypominam – zauważyła Daphne spokojnie. Fiona później się z tego śmiała, opowiadała jako żart sugestię matki, że Graham miałby pójść z nimi.

– Może być fajnie – stwierdził. – Chodźmy wszyscy. Fiona przyglądała mu się uważnie. Czyżby padł ofiarą kosmicznych porywaczy ciał?

– Słyszałeś, co powiedziałam? – upewniła się. – Wieczorek taneczny, a nie maraton filmów *Szklana pułapka*.

– Chodziłem na takie wieczorki jako mały chłopiec – powiedział. – Dzieciakom się spodoba.

– Nigdy mi nie mówiłeś. – Ciekawe, co jeszcze przed nią ukrył.

– Nie było okazji. Poza tym trochę się wstydzilem. To był straszny obciach, iść na tańce z całą rodziną. Pewnie nadał tak jest i dlatego nigdy tego nie proponowałem. Ale skoro Tess nas zaprasza, spróbujmy.

Fiona zadzwoniła do Tess i powiedziała, że przyjadą całą rodziną.

– Super! Max znieś to lepiej, jeśli będzie też Graham. Słuchaj, a może zaprosimy też Millie i Tima?

Fiona nie miała na to ochoty, bo chciała o nich porozmawiać z Tess, lecz nie przychodziła jej do głowy żadna rozsądna wymówka. Postarała się za to, by jej zaproszenie zabrzmiało najnudniej, jak to możliwe. To chyba nic trudnego, myślała. Graham jest prawdopodobnie jedynym człowiekiem przed sześćdziesiątką, który w całym południowym Londynie cieszy się na wieczorek taneczny.

– Super! – krzyknął Tim radośnie, gdy Fiona przedstawiła tę propozycję. Millie kapała dzieci.

Czy wszyscy oszaleli? – zastanawiała się Fiona.

– Chcesz powiedzieć, że naprawdę masz ochotę na wieczorek taneczny? Słuchaj, uprzedzam, to będzie taniec towarzyski, nie erotyczny.

Tim się roześmiał, po wariacku, oceniła później.

– Cóż, ja niestety nie będę mógł iść – wyjaśnił. – Muszę dokończyć projekt. Ale Millie dobrze zrobi wieczór poza domem. – Zwłaszcza z ludźmi, których znam, a nie z tym całym Danielem.

– Zabieramy dzieci – uprzedziła Fiona.

– Jeszcze lepiej! – wrzasnął. Fiona odsunęła słuchawkę od ucha. Chyba pił. Nieważne, co Graham mu obiecał, wyduszę z niego, o co tu chodzi, ze względu na Millie.

– Kto dzwoni, Tim?

Słyszała, że Millie weszła do kuchni, potem stłumione głosy i w końcu przyjaciółka wzięła słuchawkę.

– Fiona, o co w tym wszystkim chodzi? Westchnęła i zaczęła od początku.

– I Tim powiedział, że przyjdziemy? – Millie nie wierzyła własnym uszom.

Fionie zrobiło się głupio.

– No, nie do końca, powiedział, że ty przyjdiesz. On musi zostać w domu i pracować.

Millie milczała przez dłuższą chwilę.

– Czyli będę sama z dziećmi.

Fionę drażniła rezygnacja w jej głosie. Dlaczego nie wie, co się dzieje? Cieszę się, że jutro przyjdzie, zdecydowała. Graham zobaczy, do jakiego stanu Tim ją doprowadził, i może coś na to poradzi.

Dobry stary Graham, myślał Tim. Mówi, że mi nie pomoże, a potem wpada na taki genialny pomysł i jeszcze namawia Fionę, żeby Millie niczego nie podejrzewała! A przecież prosiłem go tylko o alibi. Nie liczyłem nawet, że wymyśli, w jaki sposób mogę się pozbyć rodziny i mieć wolną chatę!

– Nie, nie zrobię tego. – Graham uparcie trwał przy swoim.

– Chyba mnie nie słuchałeś! – przekonywał Tim. – Nie będziemy nic robić. A nawet gdyby coś się stało, musisz wiedzieć jedno. Nigdy nie odejdę od Millie czy dzieci. Wszystkich sześciorga – dodał, licząc na odrobinę współczucia.

Na darmo.

– To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony – zauważył Graham złośliwie. – Ale skąd ta pewność? Tydzień temu była mowa o jednym lunchu,

potem o jednym pikniku, teraz jeden wieczór, tylko we dwoje. Co ty właściwie planujesz, czego nie można zrobić w czasie lunchu? Karaoke? Kregle?

– Chciałbym się tylko przekonać, jak to jest być z nią. Gadać, póki nie wyczerpią się nam tematy.

Graham się roześmiał.

– Póki nie wyczerpią się wam tematy? A jeśli ta twoja Alison jest jak Fiona? Posiedzicie ze dwadzieścia lat.

– Więc nie pomożesz mi? – zapytał Tim po raz ostatni. – Mimo że podobno jesteście przyjaciółmi?

– Nie. Ale dlatego że podobno jesteście przyjaciółmi, nic nie powiem na ten temat.

– Wielkie dzięki. Ty po prostu nie rozumiesz, ile to dla mnie znaczy – oznajmił Tim gorzko i wyszedł.

Niestety rozumiem, pomyślał Graham. I dlatego ci nie pomogę.

Jego komórka odezwała się w środku nocy. Na szczęście Fiona nawet się nie poruszyła. Mógłby wrzeszczeć jej prosto do ucha, a i tak nie drgnie, ale wystarczy, żeby dzieci zapłakały przez sen, a zerwie się i nakrzyczy na niego, że nie zwraca na nie uwagi.

Sprawdził wiadomości. Dostał e-mail. Od Christine.

Zszedł na dół, do gabinetu i włączył komputer. Postanowił przeczytać list teraz, nie czekać do rana. Ostatnio w pracy nie mógł się skupić i uznał, że czas zmierzyć się z problemami i nie zabierać ich ze sobą do biura.

Czytanie wiadomości w środku nocy, bez obawy, że ktoś go przyłapie, sprawiło mu dziwną przyjemność. Poczul się jak podczas nocnych rozmów telefonicznych, które kiedyś prowadzili z Christine.

Drogi Grahamie, na moją ostatnią wiadomości odpowiedziałeś w ciągu kilku godzin. Jestem pod wrażeniem! W takim tempie wkrótce

spotkamy się na czacie. A może to dla ciebie zbyt spontaniczne?
Przepraszam, to cios poniżej pasa.

Zadałeś mi pytania, a obiecałam, że Ci odpowiem. Proszę bardzo:

**Dlaczego zgodziłam się za Ciebie wyjść, skoro miałam wątpliwości?
Nie miałam. Chyba to wiedziałeś, inaczej sam byś nie przyszedł!**

**Dlaczego nie powiedziałam ci wcześniej, że nie chcę ślubu? Bo sama
tego nie wiedziałam. Czy byłam z Tobą w ciąży? Tak.**

**Pewnie uznasz, że oszukuję, nie podając szczegółów. Nieprawda, są
po prostu zbyt skomplikowane, by je ująć w kilku słowach. Zadzwoń,
proszę. Wtedy powiem Ci wszystko.**

Buziaki

Chrissie

**Okrutna kobieta, myślał i starał się oddychać równomiernie. Tak, mam
dziecko, a nie podała nawet, chłopca czy dziewczynkę. To żadne odpowiedzi.
Miały mnie zaintrygować, wciągnąć. Ale ja się nie dam. Co to, to nie.**

**Pisał szybko, wysłał wiadomość, nawet jej nie czytając, zanim zdrowy
rozsądek podpowiedział mu, że to kiepski pomysł.**

Droga Christine,

**zaczęło się od prośby o wyrozumiałość, a skończyło podstępłą
rozgrywką. Jak możesz mi to robić? Napisałaś mi sześć e-maili i w ani
jednym nie wspomniałaś, że mamy dziecko. Uważasz, że to nieistotny
szczeół?**

**Jeśli kiedykolwiek ci na mnie zależało, wyjaśnij, co się stało. Błagam.
Nie mogę z tobą rozmawiać, jeszcze nie. Proszę, nie wymagaj tego.**

Graham

**A potem usiadł wygodnie i zastanawiał się, jak wygląda jego
dwudziestoletnie dziecko.**

Maksowi poprawił się humor, kiedy zobaczył Archiego, Rava i innych nowych przyjaciół. Zostawił Tess i podszedł do nich. Lara zniknęła, ledwie dostrzegła Ruthie, nową koleżankę.

– I znowu się spotykamy – powiedział miękko znajomy głos. Tym razem Tess nie musiała się odwracać, by wiedzieć, że to Jerry.

– Lubisz ryzyko? – zapytała. – Heather tam stoi. Wzruszył ramionami.

– O ile nie rzucisz się na mnie i tu, na podłodze nie zademonstrujesz dziwacznych orientalnych pozycji, które, jak mówią, joga umożliwia, nie wiem, co ryzykuję. O, jest! Rumieniec!

Zakłęła pod nosem.

– Czy dobrze słyszałem? Nic nie szkodzi, zapytam Wspaniałego Wikarego, jest tuż za tobą.

Tess wstrzymała oddech. John wlewał czerwone wino do wielkiej salaterki z ponczem.

– Wikarym wolno pić? – zainteresowała się.

Chwilowo zapomniała o swojej niezręcznej sytuacji.

– Nie bardzo się na tym znam, ale zawsze mi się wydawało, że wyższość chrześcijaństwa nad innymi religiami to umiłowanie dobrej zabawy. W Nowym Testamencie jest więcej mowy o winie niż o cierpieniu.

W końcu się uśmiechnęła.

– I dlatego tu jesteś, tak? Ze względu na alkohol? A może Heather zaciągnęła cię siłą?

Rozbawiła go.

– Pochopnie wyciągasz wnioski. To ja przyprowadziłem tu Heather, nie odwrotnie. Uwielbiam wieczorki taneczne. Wszyscy poznają te same kroki. Jak

już się nauczysz, nie musisz niczego nikomu udowadniać. Pocieszająca jest świadomość, że możesz zatańczyć określony taniec w każdej sali balowej, z każdym partnerem, choćby na końcu świata. To język międzynarodowy, o wiele skuteczniejszy niż esperanto.

– Właśnie dlatego nie znoszę musicali – przyznała. – Nie mieści mi się w głowie, że wszyscy aktorzy naprawdę znają kroki i tekst.

– Zaraz poczujesz się jak w musicalu, zobaczysz.

– A indywidualizm? – Nie dawała za wygraną. – Skoro wszyscy robią te same kroki, gdzie miejsce na kreatywność?

– Nadal masz swoje ciało, oczy... Spójrz, to podstawowy krok walca.

Przesuwał stopy – raz–dwa–trzy, raz–dwa–trzy...

– Możesz to powtórzyć?

– Oczywiście – oburzyła się. Powtórzyła krok, zawstydzona. Niepotrzebnie, bo wszyscy dokoła ćwiczyli.

– Wspaniale. – Nieoczekiwanie przyciągnął ją do siebie i poprowadził sześć kroków do tyłu. Prawie ją niósł. W głębi sali ktoś zagwizdał. Jerry skłonił się teatralnie i ją puścił.

Przesada zniknęła. Zanim się cofnął, ich dłonie stykały się przez kilka sekund.

I właśnie w tej chwili, w jedynym momencie, gdy Tess pozwoliła sobie na flirt ze zdradą, weszła Fiona.

– To nie tak, jak myślisz – zaczęła Tess niespokojnie.

– W kiepskich filmach scenarzyści wkładają te słowa w usta postaci, które mają się okazać słabe i bezmyślne. Tess, znam cię, pamiętaj o tym. Zapomnijmy o jakże przypadkowym, muśnięciu dłoni, mogę uwierzyć, że to przypadek. Ale widziałam, jak na niego patrzysz.

Tess już się nie kłóciła. To i tak bez sensu. Jerry wrócił do Heather, ledwie poczuł lodowaty wzrok Fiony.

– W co ty grasz? – zapytała Fiona i jednocześnie starała się widzieć jednocześnie całą czwórkę dzieci. Dostrzegła je po chwili, kątem oka – piły chciwie poncz. Uspokojona, ponownie skupiła się na Tess.

– Przysięgam, nie stało się ani nie stanie nic złego – szepnęła Tess. – Po prostu teraz nie jestem sobą. Ostatni miesiąc był koszmary. Nikt by się nie dziwił, gdybym zaczęła mordować albo kraść w supermarketach, a ja tylko stawiam paczki facetowi, który nauczył mnie, jak z jednej paczki kurzych udek zrobić dwa obiady.

Fiona spojrzała na nią z przerażeniem.

– Co, znowu pijesz indyjskie wino? To, co mówisz, nie ma sensu! – Uśmiechnęła się. Chwilowo wybaczyła przyjaciółce niewłaściwe zachowanie. – To wino ma właściwości niepojęte dla nas, zwykłych śmiertelników. – Pochyliła się Tess do ucha. – Odkąd moja matka się go napiła, mężczyźni tracą dla niej głowę.

Tess zachichotała po raz pierwszy, od kiedy zamieszkała w Heaverbury. Przypomniała sobie, jak się poznały, pomyślała o dziesięcioletniej więzi, której tak łatwo nie zerwie.

– Spójrz! – Fiona wskazała Daphne, która triumfalnie wkraczała do sali spowita w nylonową kreację. Pozazdrościłby jej każdy transwestyta.

Zanim Tess wygłosiła złośliwy komentarz, żeby podkreślić solidarność z przyjaciółką, dwóch mężczyzn podbiegło do starszej pani, jakby była gwiazdą filmową. Tess niemal oczekiwała, że Daphne wyjmie papierosa, żeby mogli się pokłócić, kto jej poda ogień. Nie zdążyli podsunąć jej ramion, gdy do sali wszedł Carter i zaborczym gestem położył dłoń Daphne na swojej.

– Od kiedy tak? – Tess nie kryła rozbawienia.

– Cóż, Hindus to nowość. A ci dwaj uganiają się za nią od tygodnia. Mówię ci, to przez to wino. Jeszcze z nią nie rozmawiałam, ale znalazłam butelkę w jej sypialni.

Tess znowu zachichotała.

– I co, może dzięki temu jest łagodniejsza?

– Chyba tak – przyznała Fiona.

– Na twoim miejscu kupiłabym jej skrzynkę i przestała narzekać.

Obserwowały ze zdumieniem, jak Daphne kroczy niczym królowa do honorowego stolika przy samym parkiecie. Fiona zobaczyła, że jej dzieci wygłupiają się bardziej niż zwykle.

– Mam nadzieję, że w ponczu nie było za dużo konserwantów – zaniepokoiła się.

Tess się domyśliła, co się stało, i już miała oświecić Fionę co do składników napoju, kiedy zobaczyła zbliżających się Heather i Jerry'ego.

– Ani słowa – syknęła.

– Nie przedstawisz nas? – Heather z daleka obserwowała, kto wchodzi na salę.

– Oczywiście! – zapewniła Tess. – To Fiona, moja najstarsza przyjaciółka. A to Heather, moja najnowsza przyjaciółka!

Fiona uśmiechnęła się do Heather i groźnie łypnęła na Jerry'ego. – I Jerry, jej narzeczony.

Tess widziała, jak Fiona ledwo dostrzegalnie zaciska usta; zawiodła się na niej.

– Ciekawe, kim jest ta geriatryczna seksbomba? – zastanawiał się Jerry.

– To moja matka – oznajmiła Fiona chłodno.

Jerry się uśmiechnął.

– Cóż, jeśli jesteś do niej choć trochę podobna, twój mąż będzie musiał cię pilnować, kiedy będziesz w jej wieku.

Fiona uśmiechnęła się wbrew sobie.

Zanim Jerry zrobił czy powiedział coś jeszcze, zjawiała się Millie, zmęczona i zdenerwowana, z czwórką dzieci. Dzieciaki rozpierzchnęły się na wszystkie strony, ledwie się zorientowały, ile możliwości niesie takie wielkie pomieszczenie. Tess postanowiła sobie, że każdemu wręczy duży kubek ponczu – może prześpią cały wieczór.

Serdecznie uściskała Millie i ugryzła się w język, by nie zwrócić jej uwagi, jak okropnie wygląda. Jest w ciąży z bliźniakami i ma już czwórkę dzieci. Niby jak ma wyglądać?

Millie szybko się do niej odsunęła.

– Posłuchaj Tess, przepraszam, muszę wracać do domu, czegoś zapomniałam. Popilnujesz dzieciaków przez ten czas?

– Przecież dopiero co przyszedłaś. O czym zapomniałaś? Mieszkam tu za rogiem, mogę ci pomóc?

– Nie! – zachnęła się zirytowana. Wzięła się w garść, widząc reakcje przyjaciółek. – Słuchajcie, przepraszam, chodzi o to, że... że chodzi o okulary, od tych boli mnie głowa. Zaraz wracam.

I już jej nie było.

Graham podszedł z tacą z napojami.

– A gdzie Millie? – zdziwił się.

Tess wzruszyła ramionami.

– Powiedziała, że musi wracać do domu. Zostawiła nam dzieciaki.

Tess skupiła się na dzieciach, a Graham myślał o Millie. Wiedział, czemu pojechała do domu, i wiedział, co tam zastanie. Nie wiedział jednego – jak na to zareaguje.

– Proszę bardzo, ustawiamy się w dwa koła, początkujący w środku, zaawansowani na zewnątrz. A teraz zaawansowany wybiera sobie partnera z początkujących.

Trochę trwało, zanim wszyscy trafili na miejsca, zwłaszcza Max i Fiona, którzy opierali się najbardziej, żeby tu przyjść. Z czasem jednak na parkiecie zrobiło się tłoczno. Wewnętrzne koło stało cierpliwie i czekało.

Jerry błyskawicznie porwał Tess. Miała nadzieję, że Heather i Max nie zauważyli jego entuzjazmu, ale wiele par rzuciło się radośnie do tańca.

Graham szarmancko wybrał Fionę, a Heather – Maksa. Dokoła Daphne zrobił się mały tłumek, bo Carter, Rav i Archie debatowali, który podszedł pierwszy. Daphne zdecydowała, że powinna zatańczyć pierwszy taniec z Carterem, w końcu on ją tu przyprowadził.

Rav i Archie zgodzili się niechętnie. Tak zawzięcie się kłócili, że sprzątnięto im sprzed nosa inne partnerki i musieli tańczyć razem.

– Ja prowadzę, bo jestem starszy – burknął Archie.

I tak się zaczął wieczorek taneczny.

Nie było tak, jak zaplanował Tim. Cieszył się na wieczór z Alison w pustym domu. Zapomniał, że to coś więcej niż budynek. To dom jego rodziny. Każdy mebel był częścią historii jego i Millie. Setki zdjęć na ścianach przypominały, że życie z Millie trwa o wiele dłużej niż krótki rok z Alison.

Kiedy ją tu zapraszał, zdawał sobie sprawę, że być może będą się kochać. Teraz wiedział, że nic z tego nie będzie. Wystarczyło, by Alison usiadła na pluszowym zwierzaku Nathana, i znikło całe pożądanie.

Nic nie szkodzi, powtarzał sobie. I tak chciałeś z nią tylko porozmawiać. Więc rozmawiaj!

– Napijiesz się czegoś? – zapytał skrepowany.

– Chętnie. Co masz?

Otworzył lodówkę. Sok pomarańczowy wzbogacony witaminami, mleko ekologiczne, koktajl truskawkowy. Żadnego wina. Millie w ciąży robiło się niedobrze od samego zapachu alkoholu i nie pozwalała mu trzymać wina w domu. Tim mógł się napić, kiedy wychodzili, zakaz obejmował tylko dom.

– Niech będzie sok pomarańczowy. – Alison stanęła za nim, ciekawie zaglądała mu przez ramię. Więc tak wygląda rodzinna lodówka.

Nalał jej soku, zły, że weszła do kuchni. To terytorium Millie; czuł się nieswojo, wpuszczając tu Alison.

– Chodźmy do mojego gabinetu – zaproponował.

Alison się uśmiechnęła.

– O Boże, mówię jak dziewiętnastowieczny stary satyr, który kusi służące, co? Mówię na to gabinet, a w rzeczywistości to tylko ciasna klatka z biurkiem i...

Alison położyła mu palec na ustach.

– Chętnie obejrzę twój gabinet – powiedziała.

Ledwie tam weszli, zdał sobie sprawę, że to też nie był dobry pomysł. Było tam tylko jedno krzesło, zresztą nawet na podłodze nie było miejsca dla dwojga. Stali przez chwilę. Alison patrzyła na komputer, biurko, krzesło.

– A teraz dokąd? Przegonisz mnie przez cały dom, zanim dasz mi usiąść?

Właśnie, teraz dokąd? – zastanawiał Tim nerwowo. Salon, nie ma wyjścia. Jest największy i przez to najbardziej niewinny.

Alison usadowiła się w wygodnym fotelu, ale przedtem przezornie sprawdziła, czy nie ma na nim zabawek i rodzynek.

– Przepraszam na chwilę. – Tim uciekł do łazienki, żeby się uspokoić. Co ja wyprawiam? Co mi strzeliło do głowy? Najdalej za godzinę Millie wróci z dziećmi. Powie to Alison, zaprowadzi ją na drinka do baru i wsadzi do taksówki.

Wrócił do salonu; Alison tymczasem zdjęła żakiet. Pod spodem miała tylko zwiewną koszulkę. To ubranie czy bielizna? –zastanawiał się i wiedział, że nie ma nawet kogo o to zapytać. Ale to i tak nieważne.

Bo w drzwiach zazgrzytał klucz.

– W skali od jednego do dziesięciu, jak bardzo ci się to nie podoba? – zapytała Heather Maksa.

– Dwieście osiemdziesiąt cztery – burknął.

– Pewnie Tess zaciągnęła cię siłą?

– A co, nie powiedziała ci? Myślałem, że wszystko sobie opowiadacie.

– Zdenerwowałam cię czymś, czy jesteś taki nieprzyjemny dla każdego, komu miażdżysz stopy?

Max się odprężył.

– Przepraszam! Kiepski ze mnie tancerz. Nie, nie zdenerwowałaś mnie. Czasami mnie złości, że Tess z przyjaciółkami rozmawia o wszystkim, a ze mną nie.

– Jesteś pewien, że nie próbuje?

Znowu się spiął. Teraz go naprawdę zdenerwowała.

– Jestem pewien. A jeśli próbuje, wybiera najgorszy możliwy moment. Kiedy oglądam mecz piłkarski, wracam z pracy po piętnastu godzinach, czytam gazetę, chcę sobie uciąć drzemkę...

– ...kiedy jest nów, kiedy informujesz ją telepatycznie, że nie masz ochoty rozmawiać, tak?

Denerwowała go coraz bardziej. Do tego jest za wysoka. Nie lubił wysokich kobiet. Chociaż nie mogła się z nim równać, nie mógł unikać jej wzroku i mówić w powietrze nad jej głową.

– Więc faceci nie umieją rozmawiać, nie dbają o swoje kobiety, wszystko to nasza wina. Coś jeszcze?

– To coś nowego, co? Rozmowa z przyjaciółką żony?

– Wolałbym pogadać z moim przyjacielem – burknął.

Heather powstrzymała bolesny jęk, gdy jego potężna lewa stopa zmiotła jej prawą. Oby ten taniec się szybko skończył.

Max miał tę samą nadzieję. Przyciągnął ją bliżej, zdecydowany prowadzić, chociaż nie miał pojęcia o krokach. To pierwsza sytuacja od kilku tygodni, którą może kontrolować, pomyślał.

Carter obejmował Daphne bardzo delikatnie. Zastanawiała się, czy stara się nie sprawić jej bólu.

– Szybko się uczysz – pochwalił, gdy zapamiętała kolejny krok po jednej demonstracji.

– Już kiedyś tańczyłam. Jak całe nasze pokolenie.

– No tak. – Carter skinął głową. – Ale to nie znaczy, że umieliśmy to robić.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio tańczyłam – mruknęła, bardziej do siebie niż do niego.

– Bardzo boli? Gwałtownie podniosła głowę.

– To aż tak widoczne? Znowu pokiwał głową.

– Moja żona cierpiała na artretyzm. Serce mi pękało, kiedy patrzyłem, jak się męczy, ale nie tolerowała mocnych tabletek. Powtarzała, że nie spędzi reszty życia śpiąc; to nie życie.

– Też tak uważam. – Daphne przyznała to po raz pierwszy. – To trochę jak poród. Wiem, że dzisiaj dają znieczulenie, ale jeśli cię trochę nie boli, jeżeli nie zwijasz się z bólu, nie doceniasz tej chwili na końcu, kiedy wszystko ustaje i podają ci dziecko.

–..No, nic nie wiem na ten temat – odparł Carter. – Większość facetów marzy o narkozie na samą myśl o wizycie u dentysty. Nie najlepiej znosimy ból.

Daphne się roześmiała.

– Tańczyłeś z żoną?

– Tak, i to tutaj. Przyszliśmy na pierwszy wieczorek taneczny w historii tego ośrodka, zaraz po otwarciu, trzydzieści lat temu. I bywaliśmy tu co czwartek, póki nie umarła. Nieważne, jak bardzo ją bolało, zawsze tańczyliśmy ostatni taniec wieczoru. Przychodziliśmy tu razem: ja i Maria, Archie ze swoją Eileen i Rav z Lilą. To były piękne czasy.

Daphne zazdrościła im szczęśliwych związków, a jednocześnie czerpała z tego nadzieję, że jednak udane małżeństwa są możliwe. Nadał się głowiła, czy wspomnieć Fionie, że widziała jej przyjaciela z inną kobietą w parku Battersea, ale zaraz zepchnęła to na dno świadomości i skupiła się na Carterze i jego wspomnieniach. Może między Fioną i Grahamem jeszcze się ułoży. Obserwowała ich niespokojnie.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio razem tańczyliśmy – stwierdziła Fiona.

– Zawsze tańczymy na ślubach – zdziwił się Graham. Pokręciła przecząco głową.

– To nie taniec, tylko podrygiwanie w miejscu przy Abbie albo wędrownka dokoła parkietu krokiem dwa na jeden z przygłuchą ciotką.

– No i jeszcze taniec– przytulaniec – dodał.

– No tak, zawsze go tańczymy. Ale teraz to co innego.

– Innego w pozytywnym czy negatywnym znaczeniu?

– Wiesz, na razie jesteś ode mnie lepszy, co mnie doprowadza do szału, ale kiedy już się nauczę, wyobrażam sobie, że może mi się to spodobać.

– Najfajniejsze jest to, że kiedy już nauczysz się kroków, nie myślisz o tańcu, możesz się skoncentrować na partnerce –zauważył, gdy Fiona nerwowo starała się przypomnieć, która noga jest prawa, która lewa.

Uśmiechnęła się.

– Spodziewałam się raczej, że wolisz tańce, gdzie trzeba myśleć o krokach, nie starać się rozmawiać z partnerką.

– Nie mam nic przeciwko rozmowie, po prostu nie umiem jej prowadzić. Przecież sama powiedziałaś, że wiecznie strzelam gafy i wszystkich denerwuję.

Pewnie, skarciła się w myślach. Było to bardzo rozsądne z mojej strony. Oto skutki bezmyślności. Gdybym wiedziała, że pewnego dnia będę chciała z nim szczerze porozmawiać, mógłby sobie do woli obrażać rodzinę i znajomych.

– Dlatego jestem przeciwna sterylizacji – powiedziała.

Myślała na głos.

– Słucham? – Graham nic nie rozumiał.

Fiona drgnęła. Nie zdawała sobie sprawy, że mówi głośno.

– Myślałam o sterylizacji. A dokładnie, że wiele lat temu niechcący dokonałam na tobie kastracji werbalnej i teraz mam tego skutki.

– Dlaczego? – zapytał, bardziej zaintrygowany niż zdenerwowany. Mieli czworo dzieci i ten temat pojawiał się już nieraz. Od dawna był zdecydowany poddać się zabiegowi, a kiedy się okazało, że Millie spodziewa się bliźniaków, niecierpliwie czekał, kiedy Fiona o tym wspomni. Ale ona milczała.

Starała się ukryć zdradzieckie myśli za wiarygodnym parawanem.

– Po prostu nigdy nie wiadomo, co się zdarzy, i nie powinno się podejmować nieodwracalnych decyzji. Nie wiadomo, kiedy zmienimy zdanie.

Graham się zmartwił. Szybko go pocieszyła.

– Nie zwracaj na mnie uwagi – poradziła i miała nadzieję, że nie weźmie sobie tych słów do serca na dłuższy czas. – Po prostu zastanawiałam się nad tym, co powiedziałaś, że się nie odzywasz, by nikogo nie drażnić. Nigdy nie chciałam, żeby to dotyczyło również mnie. Chcę, żebyś ze mną rozmawiał.

– I rozmawiam. Teraz rozmawiamy, prawda?

Nie tak, jak bym chciała, pomyślała i zaklęła pod nosem, gdy kopnęła się w kostkę.

– Jak chcesz uniknąć rozmowy ze mną przez cały wieczór? – zapytał Jerry.

– Nie mogę jednocześnie tańczyć i rozmawiać. – Tess dziękowała losowi, że udawała instruktorkę jogi, nie tańca towarzyskiego. Tu nie ma miejsca dla oszustów.

– A mnie się wydawało, że kobiety mają podzielną uwagę. Podobno jesteście w stanie jednocześnie ugotować trzydaniowy obiad, przeczytać książkę, uszyć sukienkę i obejrzeć talk-show w telewizji?

– Zamkniesz się czy nie? Nigdy się tego nie nauczę. – Co chwila zerkała na Maksa. Chyba dobrze się rozumieją z Heather, stwierdziła z ulgą.

– Zastanawiałaś się nad tym, co ci powiedziałem w poniedziałek? – zapytał Jerry cicho.

Tess wytrwale wbijała wzrok w stopy, równie nieokiełznane jak jej uczucia.

– Oczywiście – zachnęła się. – Przecież dlatego to powiedziałaś, prawda? Specjalnie to robisz, podpuszczasz ludzi. Ani przez sekundę nie wierzyłam, że mówiłaś poważnie.

A mówiłaś?

– Sama też nieźle podpuszczasz – odparł. – Ten wykład o miłości zmusił mnie do myślenia.

Tess słuchała jednym uchem. Pewnie zaraz wygłosi kolejną płomienną deklarację, która wprawi ją w zachwyt, póki sobie nie uświadomi, że Jerry tylko się z nią drażni.

– Tak?

– I może masz rację. Bo czuję do ciebie coś innego niż do Heather. Im więcej o tym myślałem, tym bardziej dochodziłem do wniosku, że to dlatego iż jedno jest prawdziwsze od drugiego.

Przeniosła wzrok ze swoich stóp na jego twarz, szukała znajomych zmarszczek w kącikach oczu, dowodu, że żartuje. Nie znalazła.

– I do jakiego doszedłeś wniosku? – zapytała lekko.

Zmarszczki pojawiły się dopiero teraz.

– Że chyba mógłbym się w tobie zakochać.

Millie patrzyła na nich spokojnie.

– Wiecie, w pewnym sensie mi ulżyło. Obawiałam się już, że tracę rozum, wpadam w paranoję. Fiona mi to wmawiała.

Alison skuliła się w fotelu. Millie stała w drzwiach, więc nie mogła się wymknąć, choć miała na to ochotę. Oby tylko nie wpadła w szal i nie zaczęła tłuc naczyń. Widziała takie sceny w filmach. Zdradzona żona tłucze ślubne zdjęcie, dźga kochankę odłamkiem szkła, osuwa się na podłogę i szlocha, tuląc pluszowego misia.

Albo może po prostu dźgnie ją kredką, ma ją w zasięgu ręki. W każdym razie wolą dać niewidzialną.

– Widziałam wszystkie symptomy – ciągnęła Millie. Patrzyła na Tima z goryczą. – Powiedziałeś mi nawet, kiedy umówiłeś się z nią po raz pierwszy.

– Bo to było zupełnie niewinne! – krzyknął. – I nadal tak jest. Między nami nic nie było, nic a nic.

– Więc dlaczego siedzi tu w bieliźnie?

Czyli to nie jest skąpa bluzeczka, pomyślał. Na przyszłość będę wiedział.

– Nie w bieliźnie! To bardzo droga bluzka! – obruszyła się Alison. Nigdy więcej jej nie włożę. Głupia sprzedawczyni przekonywała mnie, że nikt nie uzna tego za bieliznę.

Biedny Tim nie wiedział, co myśleć. Na przyszłość zapyta.

– Tim mówi prawdę, między nami nic nie było – dodała Alison, kierowana nie lojalnością, ale nadzieją na wyjście z tego domu w jednym kawałku.

– Siedź cicho. – Millie nawet na nią nie spojrzała.

– To nie było zaplanowane ani nic – brnął Tim. W wyobraźni już strzelił sobie w stopę, rękę i gdzie się dało, poza głową, co przydałoby mu się najbardziej. – Ale kiedy powiedziałaś, że wychodzisz, to był oczywisty wybór, to znaczy, zostać w domu, a nie gdzieś iść. Miało cię nie być, więc nie miałybyś powodu do zdenerwowania...

Alison zamknęła oczy. Panie Boże, jeśli mam mieć dziecko z tym mężczyzną, błagam, niech odziedziczy inteligencję po mnie, nie po tatusiu.

– Skoro to takie niewinne, dlaczego w ogóle ją tu sprowadziłeś? Dlaczego nie poszedłeś z nią do restauracji. Tam mogłeś gapić się na nią maślanym wzrokiem i wzdychać znacząco, bo żona cię nie rozumie. A skoro to nie takie niewinne, dlaczego nie zabrałeś jej do obscurnego hotelu na godziny? To byłoby bardziej na miejscu.

– Chciałem pokazać Alison mój dom – tłumaczył się blado.

Może i spędziłam wiele lat w dżungli, z dala od cywilizacji, ale nawet ja wiem, że mówi nie to, co trzeba, zauważyła Alison.

– Twój dom? – Millie wzięła do ręki rodzinne zdjęcie.

Zaczyna się! Alison szczelniej otuliła się żakietem. Millie odstawiła fotografię.

– Nie nasz dom, ale twój dom.

Wskazówką dla ciebie jest tutaj ciągle powtarzanie słowa „dom”, informowała Alison telepatycznie. Natychmiast przestań o tym mówić.

– Oczywiście, że to nasz dom – ciągnął Tim. Rozgrzewał się do tematu. – Jestem z niego dumny i dlatego chciałem go pokazać Alison. W końcu ja widziałem jej dom.

Alison jęknęła.

Do Tima dotarło, co zrobił, ale to niczego nie zmieniło.

– To znaczy, oczywiście nie byłem w środku, mijaliśmy go, kiedy jechaliśmy na piknik, taki niewinny piknik.

– A kiedy? – Millie zadała to pytanie z przerażającym spokojem.

– W zeszłym tygodniu – odparł, zadowolony, że jego wyjaśnienia najwyraźniej uspokoiły Millie.

Skinęła głową. Odwróciła się, obeszła całe mieszkanie, szczególnie uważnie sprawdzała sypialnię.

– Nie byliśmy tam! – zawołał za nią Tim tym samym łagodnym głosem, który już działał cuda. – Tylko w kuchni. I w salonie, oczywiście. O, i w moim gabinecie, ale krótko, bo jak wiesz, jest za mały dla dwóch osób.

Alison skorzystała z okazji, żeby zebrać swoje rzeczy.

– Pójdę już – szepnęła do Tima.

– Jak śmiesz szeptać w moim domu, do mojego męża! – wrzasnęła Millie.

Wróciła do salonu. – Zabieraj swoje rzeczy i wynoś się!

Alison nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Rzuciła się do drzwi. Nie obejrzała się za siebie.

Tim odprowadził ją wzrokiem. Był prawie zadowolony, że sobie poszła. Teraz wyjaśni Millie całe to nieporozumienie.

– A ty na co czekasz?! – krzyknęła do niego. Nie wiedział, o co jej chodzi.

– Myślałem, że teraz porozmawiamy. Przyglądała mu się uważnie.

– Już rozmawialiśmy. Wyjaśniłeś mi, czemu przyprowadziłeś tu dawną ukochaną i dlaczego jeździłeś z nią na pikniki.

Przecież pokazała ci swój dom, więc musiałeś jej pokazać twój. Wszystko zostało już powiedziane. Jadę po dzieci. Kiedy wrócę, ma cię tu nie być.

– Przesadzasz, bo jesteś w ciąży – zaczął łagodnie. – Tak jak wtedy, gdy spodziewałaś się Nathana...

– Wynoś się! – wrzasnęła.

W końcu do niego dotarło, że mówi poważnie. Poszedł na górę się spakować.

Przyznaję, dzisiaj dobrze się bawiłem – zaczął Max. Poza pierwszym tańcem z twoją cholerną przyjaciółką Heather. Nie wspomniał o tym, nie teraz, kiedy potrzebne mu wsparcie Tess.

– Mówiłam, że będzie fajnie. – Niewiele zapamiętała po kolejnej bombie Jerry'ego. Unikała go do końca wieczorku. Nie miała siły na kolejną rozmowę pełną aluzji, które nie dają jej zasnąć przez pół nocy.

– Tylko Millie zachowywała się jakoś dziwnie – dodał Max. –Przychodzi, zostawia dzieciaki, znika, wraca, zabiera dzieciaki, nawet nam nie podziękuje, że się nimi zajęliśmy.

– Nie musiała. – Tess miała wyrzuty sumienia. – Nie sprawiały kłopotu.

– Prawda. To też dziwne. Zazwyczaj to banda małych kryminalistów, a wczoraj tylko siedzieli na podłodze.

– Może były zmęczone. – To oczywiście nie ma żadnego związku z wielkimi szklankami ponczu, które im dałam, pomyślała. Chciała później zadzwonić do Millie, upewnić się, że wszystko w porządku, ale zapomniała, pochłonięta własnymi problemami.

– Dobrze, że mamy coś, co możemy robić razem – ciągnął Max. – Miałś rację, że to nam potrzebne. I chyba powinniśmy częściej ze sobą rozmawiać – dodał. Nie zapomniał słów Heather, chociaż bardzo go zdenerwowały.

Teraz Tess nabrała podejrzeń. Nie był taki miły, odkąd powiedział jej, że zbankrutowali. Kiepski z niego aktor, nie uda mu się załatwić tego niepostrzeżenie.

– O co ci chodzi? – zapytała otwarcie. Kiedy uniósł brwi w udawanym zdziwieniu, machnęła ręką. – Tylko mi nie mów, że coś sobie wyobrażam. Znam cię, już to przerabialiśmy. Powiedz prosto z mostu, o co ci chodzi.

Zakaszłał, żeby zyskać na czasie. Uprzedziła go i teraz zupełnie nie wiedział, jak zacząć.

– No dobrze – powiedział w końcu. – Moim zdaniem powinniśmy teraz wszystko sprzedać. Mówiłaś, że się na to zgadzasz. Teraz jest odpowiedni moment.

Tess usiadła.

– Powiedziałam tylko, że o tym pomyślę, a zdecydujemy się na to w ostateczności. Chcesz powiedzieć, że natychmiast potrzebujemy tych pieniędzy?

– Mniej więcej. Jęknęła zrezygnowana.

– Chyba nie dostaliśmy kolejnych rachunków? Myślałam, że to już koniec.

Usiadł obok i objął ją ramieniem.

– Nie, to nie to, przyrzekam.

– Więc dlaczego akurat teraz? – Nie miała głowy do poważnych decyzji, całą jej uwagę zaprzętał Jerry i jego gierki.

– Pamiętasz, jak mówiłaś, że nie powinniśmy oglądać się za siebie? Że powinniśmy zaplanować naszą przyszłość?

Tess jak przez mgłę przypomniła sobie jedno z umoralniających kazań, które ostatnio wygłaszała.

– Chyba powiedziałam, że powinniśmy się skoncentrować na przyszłości, a nie powrocie do dawnego życia. Staram się myśleć praktycznie.

Jej odpowiedź najwyraźniej go ucieszyła.

– Wziąłem sobie te słowa do serca. Masz rację. Musimy iść naprzód. A odkąd się tu sprowadziliśmy, drepczemy w miejscu, zarabiamy tylko na życie. Długo tak nie wytrzymamy, zgadzasz się?

– Zdawało mi się, że postanowiliśmy, że tak będzie, póki jedno z nas nie znajdzie lepszej pracy?

Wyprostował się dumnie.

– Cóż, w pewnym sensie to się właśnie stało.

Tess nie przypadło do gustu określenie „w pewnym sensie”, choć nowina była w sumie dobra.

– Czyli co? – zapytała ostrożnie.

– Przystąpiłem do spółki z Archiem, Carterem i Ravem.

Alison była zmęczona. Tim nie dał jej zmrzyć oka przez całą noc – gadał. Po koszmarnej konfrontacji z Millie marzyła jej się kąpiel, kubek gorącej czekolady, trochę uzalania się nad sobą i długi sen.

– Jak myślisz, co zrobi? – pytał w kółko.

– Nie wiem – odparła zniecierpliwiona. – W końcu to ty jesteś jej mężem od stu lat. Ja do dzisiaj nie widziałam jej na oczy.

– No tak, ale jesteś kobietą. Wiesz, jak myśli.

– Ale nigdy nie byłam w jej sytuacji. –I nie mam na głowie sześciorga dzieci. Nie mam nawet jednego, pomyślała z goryczą. I pewnie nie będę miała, jeśli do rana będzie spał na kanapie.

– Nie powinienem z tobą spać – wyjaśnił wcześniej. – Powiedziałem Millie, że między nami nic nie było, i chcę powtarzać to z czystym sumieniem, póki znowu mnie nie przyjmie.

– Chcesz powiedzieć, że nie miałeś niczego na myśli, kiedy wczoraj zapraszałeś mnie do siebie?

Tim do tej pory liczył, że nie zada tego pytania.

– Cóż, skłamałbym mówiąc, że nie miałem nadziei, że być może... no wiesz.

Alison zdenerwowała jego nagłą pruderyjność.

– Nie zachowuj się jak dziewica – syknęła. – Doskonale wiesz, że miałeś szczyry zamiar się ze mną kochać, u ciebie w domu, wczoraj wieczorem.

Dał znak, żeby ściszyła głos, jakby Millie mogła ich usłyszeć na drugim końcu miasta.

– No tak, ale od razu się zorientowałem, że to nie w porządku. Nie w naszym domu.

– Czyli zły jest nie sam czyn, tylko miejsce?

– Chyba tak. – Gubił się w tej rozmowie.

– W takim razie dlaczego nie chcesz ze mną spać w moim domu?

– Bo teraz Millie o nas wie i wszystko, co robimy, sprawi jej przykrość.

Póki nie wiedziała, była szansa, że nam się upiecze i nikt nie będzie cierpieć.

Alison potrząsnęła głową, zdenerwowana i znużona.

– Świetnie. Idę spać. Jutro rano mam operację. Tim jej nie słuchał.

– Myślisz, że będzie chciała się zemścić i sobie kogoś znajdzie?

– Mało prawdopodobne, żeby kogoś poderwała, kiedy jest w ciąży z bliźniętami.

Podniósł palec na znak sprzeciwu.

– Już kogoś ma. Tego Daniela.

– Kto to? – Alison wyraziła umiarkowane zainteresowanie.

– Nie wiem, była bardzo tajemnicza. Kilka razy się z nim spotkała.

Alison odrobinę poprawił się humor.

– Skoro chce się na tobie zemścić w taki sposób, nie musisz się powstrzymywać.

Tim się zadumał, a potem powoli pokręcił głową.

– Od tej chwili muszę bardzo starannie analizować każdy krok. Nie mogę robić niczego pośpiesznie. Musimy o tym pogadać. Przede wszystkim muszę sobie odpowiedzieć na pytanie, czy wiązę moją przyszłość z nią, czy z tobą.

Ja nie muszę o niczym gadać, pomyślała Alison. Zadałam sobie to pytanie i znam na nie odpowiedź. Jesteś pod moim dachem od kilku godzin, a już doprowadzasz mnie do szału. Zrób mi dziecko i wracaj do żony wariatki i rozpuszczonych bachorów! – chciała wrzasnąć.

Ułożyła się wygodniej i nagle zapragnęła znaleźć się w strefie działań wojennych razem z Gabrielem. Chciała przemykać się pod kulami, może nawet którąś oberwać. Wszystko jest lepsze niż to.

– Wyrzuciłam go – powiedziała. Chwilę trwało, zanim to dotarło do Fiony.

– Jesteś pewna?

Millie westchnęła.

– Nie, nie jestem pewna, może mi się zdawało, to podobno normalne w ciąży. Tak, jestem pewna!

Fiona skupiła się. Uważaj na każde słowo, upomniała się w myślach.

– Chodziło mi tylko o to, czy jesteś pewna, że coś między nimi było, kiedy weszłaś. To znaczy, czy oni...

– Czy leżeli nago na kanapie? Nie. Ale był z nią w moim domu. Tylko we dwoje. Siedziała w bieliźnie i piła sok, który kupiłam specjalnie dla Lucy, a Tim miał winę wypisaną na twarzy.

Fiona się zdziwiła.

– No dobrze, popełnił błąd, że ją tam przyprowadził nawet jeśli nic nie robili, ale i tak uważam, że powinnaś z nim porozmawiać.

– Cały czas to powtarzasz, także wtedy, kiedy mnie przekonywałaś, że sobie to wszystko wyobrażam, że to tylko kryzys wieku średniego i wystarczy, że sobie kupię seksowne majtki, a wszystko będzie dobrze. Porozmawiaj z nim, tak mówiłaś. Cóż, teraz na to za późno.

Fiona nie naciskała. Rana jest zbyt świeża, by Millie myślała racjonalnie.

– I co teraz? – zapytała.

Millie wzruszyła ramionami.

– Urodzę dwoje dzieci. Samotnie wychowam całą szóstkę. To co zwykle. Słuchaj, chciałam ci tylko powiedzieć, co się dzieje. Teraz muszę iść wymiotować.

Fiona wyzywała Tima od ostatnich, że tak potraktował Millie akurat teraz. Była też wściekła na siebie, że nie wzięła jej obaw na poważnie. Tylko skąd mogła wiedzieć, że była ukochana stanowi zagrożenie? Gdyby wiedziała, zrobiłaby coś, zaszantażowała Tima, żeby nie posunął się dalej.

Wtedy sobie przypomniła. Tim dzwonił do Grahama i umówili się na drinka. Graham nie chciał o tym rozmawiać.

Wiedział coś, odgadła. A jeśli Graham wiedział o Timie i Alison i pozwolił, by sprawy zaszły tak daleko, ona musi to odkręcić.

Tess leżała na kanapie i słuchała, kto do niej dzwoni. Jerry, co chwila.

– Tess, wiem, że tam jesteś. Odbierz, proszę.

– *Teachers in the night* – nucił.

– A znasz ten kawał o facecie, który się ożenił z niewłaściwą kobietą?

– Ściągnąłem twój pomysł i uśpiłem moich uczniów, chociaż wcale tego nie planowałem. Po prostu zanudziłem ich, tłumacząc, czym jest grawitacja, więc mamy dziesięć minut. Przyniosę ci jeszcze więcej wstydu, chyba że zaraz podniesiesz słuchawkę i mnie wysłuchasz.

– Wiesz, że w Tesco jest promocja marchewek? Co powiesz na wiarołomne tete-a-tete w dziale z warzywami? Potem zapraszam na pączka, moja kolej.

– Cześć Tess, to ja...

Zerwała się i podniosła słuchawkę.

– Cześć!

– Sprawdzasz, kto dzwoni? – domyśliła się Fiona. – Unikasz kogoś konkretnego?

– Nie, byłam w łazience.

– Kłamczucha – zaśmiała się Fiona. – Ale teraz to i tak nieważne. Pomyślałam, że zechcesz się dowiedzieć. Millie wyrzuciła Tima z domu.

Tess ze zdumieniem wysłuchała opowieści ze wszystkimi szczegółami, łącznie z tym, że ta kobieta siedziała w salonie w tandetnej bieliźnie.

– Biedna Millie! – jęknęła. – I dzieci!

– Tak to się kończy, kiedy związani ludzie pozwalają sobie na pozamałżeńskie figle.

– Fi, wiem, do czego zmierzasz, ale nie masz powodów do zmartwień. Do niczego nie doszło i nie dojdzie.

– No, nie tak to wyglądało. Zresztą Tim też był na pewno przekonany, że do niczego nie dojdzie. Ale nie wszystko jest tak, jak tego chcemy, i zobacz, dokąd go to doprowadziło. Zrobiłabyś to Larze?

– Powiedziałam ci już, nigdy do tego nie dojdzie!

Fiona się wycofała. Powiedziała, co myśli. Nic więcej nie może zrobić.

– Jak możemy pomóc Millie? – zwróciła się do Tess. – W tygodniu jakoś da sobie radę, dzieciaki są w szkole, ale weekend...

– Może spotkajmy się wszyscy w niedzielę, jak dawniej? – podsunęła Tess.

Fiona nie była przekonana.

– Może jej być przykro bez Tima.

– Nie, jeśli przyjedziecie tutaj. U nas jego nieobecność nie będzie się tak bardzo rzucać w oczy. Pójdziemy do Cartera na pyszny lunch...

– Nic lepszego nie przychodzi mi do głowy – zgodziła się Fiona niechętnie. – Mamy przyjechać z samego rana? Niech dzieciaki do woli nacieszą się Doliną Blokiersów?

Tess zignorowała złośliwość.

– Rano musimy iść do kościoła. To wymagania szkoły Lary.

– Boże, Tess, współczuję! – Fiona naprawdę się przejęła.

Tess się roześmiała.

– Szczerze mówiąc, wcale nie jest tak źle. W dzieciństwie było gorzej.

– Nigdy nie chodziłam do kościoła. Za nudny.

– Cóż, ten na pewno nie jest nudny. Wiesz co? A może przyjedźcie wszyscy? Na cały dzień?

– Nie chodzimy do kościoła – przypomniała Fiona słodkim głosem. – Straszni z nas poganie.

– A jeśli ci powiem, że dzieci idą na godzinę do szkółki niedzielnej?

Fiona wyobraziła sobie niedzielną godzinę bez dzieci i nawróciła się błyskawicznie.

– Mogę się zdrzemnąć w tym czasie – rozmarzyła się. – A Graham weźmie sobie książkę do czytania pod modlitewnikiem.. Może nie będzie tak źle.

– Millie też dobrze zrobi chwila spokoju – dodała Tess. Fiona skinęła głową.

– Czy ze szkółki niedzielnej można wylecieć? – Myślała o czwórce młodocianych przestępców Millie.

– Na pewno nie pierwszego dnia – zaśmiała się Tess. – Więc jak? Umawiamy się?

– Chyba tak. Zadzwoń do Millie. Przy okazji, nie zapomniam o tobie i tym facecie. Pomyśl o Millie, zanim cokolwiek zrobisz. Pomyśl, ile szkód może wyrządzić mały skok w bok.

– A jeśli to coś więcej niż skok w bok? To znaczy, oczywiście czysto teoretycznie, gdybym go kochała?

– Może Tim kocha tamtą kobietę – rzuciła Fiona szorstko. – Myślisz, że to mu daje prawo niszczyć życie tylu osobom?

Nie wiem, pomyślała Tess, ale za bardzo się wstydziła, by to powiedzieć.

Drogi Grahamie,

nie chciałam Cię zdenerwować. I nie bawię się w żadne gierki, naprawdę. Po prostu sprawa jest tak ważna, że wolę powiedzieć Ci osobiście. W rozmowie łatwiej wyjaśnić nieporozumienia, zanim wymkną się spod kontroli.

Ale powinnam była brać pod uwagę Twoje uczucia. Przepraszam.

Mamy córkę. Ma na imię Eloise, na cześć naszej ulubionej piosenki, pamiętasz? Urodziła się 15 listopada 1983 r., o 17.33, ważyła trzy i pół kilo. Mogłabym napisać książkę o jej życiu, ale poczekam ze szczegółami, póki się nie spotkamy. Jest teraz na uniwersytecie, studiuje filozofię w Sussex. Jest mądra i piękna.

Nie wie o Tobie. Na krótko przed porodem wyszłam za mężczyznę imieniem David i dorastała przekonana, że to jej ojciec.

David zmarł na początku roku. Eloise bardzo to przeżyła. Nie wiem, czy dobrze robię, ale chciałabym, by wiedziała, że David nie był jej prawdziwym ojcem, że jeszcze ma Ciebie.

Zdaję sobie sprawę, że w tej chwili nienawidzisz mnie za to, iż przez tyle lat ukrywałam przed Tobą jej istnienie, ale myślałam przede wszystkim o niej, nie o Tobie. Nawet teraz ona jest najważniejsza. Proszę

Cię więc, odłóż swoje pretensje na bok, pomyśl o Eloise i zadaj sobie pytanie, czy masz dość siły, by odegrać jakąś rolę w jej życiu.

Proszę o wiele, więc będę cierpliwie czekała na odpowiedź.

Całuję

Chris

Zadzwonił telefon. Graham bez namysłu podniósł słuchawkę.

– Twoja żona – oznajmiła Annie chłodno.

– Cześć, Fi. – Słyszał swój głos, ale nie wiedział, co ona mówi. Myślami był w Sussex z najstarszą córką. – Przepraszam, co powiedziałaś? – zapytał i wrócił na ziemię z łoskotem.

– Tim odszedł od Millie – powtórzyła Fiona. – A ty chyba wiesz dlaczego.

– Niby skąd?

– Bo w poniedziałek zaciągnął cię na drinka, chociaż nigdy tego nie robił, a nie sędzę, by chciał omawiać wady i zalety nowej linii bmw.

– Nie przypuszczałem, że postąpi pochopnie – mruknął. – Myślałem, że wybiłem mu to z głowy.

– Najwyraźniej nie wybiłeś. Może gdybyś mi powiedział, mogłabym coś wymyślić, ale nie, nie dałeś mi szansy i teraz jest za późno.

Zrobiło mu się niedobrze.

– Jak Millie to przyjęła?

– A jak myślisz? Robię, co mogę, ale tylko ty możesz przekonać Tima, żeby się opamiętał.

– Dlaczego ja? Nie jesteśmy bliskimi przyjaciółmi.

– W poniedziałek byliście – zauważyła kwaśno. – Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz. Częściowo to twoja wina, więc wymyśl, jak go przekonać, żeby wrócił do domu, zanim ta biedaczka sama urodzi bliźniaki.

– Świetnie. – Wiedział, kiedy dalsza dyskusja nie ma sensu.

– A, przy okazji – rzuciła na pożegnanie. – W niedzielę idziemy do kościoła.

Nie zrozumiał ostatniej tajemniczej uwagi, więc ją zignorował, skupił się za to na czymś, co rozumiał doskonale – że jakimś cudem to wszystko jego wina. Westchnął, zamknął pocztę elektroniczną i skupił się na cudzych błędach, żeby nie myśleć o swoich.

– Byłem równie zaskoczony jak ty! – stwierdził Max podczas lunchu. Nawiązał do wcześniejszej dyskusji. Tess miała nadzieję, że wszystko to sobie tylko wyobraziła. Że zasnęła między poszczególnymi telefonami Jerry'ego i przyśnił jej się koszmar. Ale nie, to prawda i Max śmiało dążył do sedna sprawy.

Siedziała na kanapie z kubkiem herbaty, mocnej niemal jak napój Heather. Wiedziała już, czemu przyjaciółka tak to lubi, herbata była prawie jak narkotyk, dozwolony przez prawo i tańszy niż czekolada.

Max opowiadał o wczorajszym spotkaniu w klubie.

– Myślałem, że będę tylko ja i Carter, ale dołączyli też Archie i Rav. I John – dodał po chwili.

– Jaki John? – zainteresowała się. Jedyne znany jej John to Wspaniały Wikary, a Maksowi nie udało się jeszcze wymówić jego imienia bez zaciskania pięści.

– No, John, wikary. Podobno to jego pomysł.

Czyżby? – pomyślała. Niby od kiedy księża mają pomysły? Nie wystarczy im pomoc ubogim i namawianie staruszek na zajęcia z układania kwiatów?

– W każdym razie – ciągnął – opowiadałem im o Organique i dlaczego poniosło klęskę. Podobno od dawna myśleli o czymś takim.

– O czym? Chcą otworzyć sklep, który jest skazany na klęskę i pośle ich w otchłań ubóstwa? Rozumiem, to ma swój urok.

– Czy możesz sobie przestać żartować?

Machnęła ręką, co uznał za zachętę i mówił dalej.

– Po pierwsze – tłumaczył z nowym zapalem – to nie tak jak z Organique. Restauracja jest własnością Cartera, podobnie jak grunty i od dawna chciał coś dobudować, więc czynsz będzie minimalny. Dobuduje niewielką część sklepową, gdzie zaczniemy sprzedawać ekologiczne produkty dla zwykłych ludzi, nic dziwnego czy bardzo drogiego, a restauracja – otwarta od rana – będzie czymś w rodzaju naszej kawiarenki.

Tess pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Nie rozumiem cię, Max. Po tym, co przeszliśmy, po tym, przez co ciągle przechodzimy, chcesz się łądować w nowe przedsięwzięcie? Dlaczego? Jak bardzo mamy upaść?

Spojrzał na nią błagalnie.

– Nie wiesz? – zapytał. – Jesteś ze mną od tylu lat i nadal nie rozumiesz?

Zawsze ją niepokoiło, kiedy kłótnia zmierzała od szczegółów do ogółów. Za dużo możliwości.

– Czego nie rozumiem? – zapytała ostrożnie.

Max przełknął ślinę.

– Jedyne, czego pragnę, czego kiedykolwiek pragnąłem, to spełnić się, osiągnąć coś. Jeśli nie uda mi się w małym sklepiku, nie mówię przecież o wielonarodowej korporacji, to znaczy, że całe moje wykształcenie i wszystko, co dotychczas robiłem, poszło na marne, wszystkie moje ambicje. Równie dobrze mogłem jak mój ojciec zostać urzędnikiem państwowym i zagrzebać się w przeciętności.

I nagle zrozumiała. Musiał udowodnić mamie i tacie, że zaszedł dalej od nich. Większość rodziców oczekuje tego od dzieci, a dzieci traktują to jako pierwszy stopień w drodze do góry. Musiał to zrobić, widziała to teraz, ale obawiała się, że desperacja go zaślepia.

Siedział w milczeniu, czekał na jej reakcję. Starannie dobierała słowa:

– Znasz ich od kilku tygodni, a oni godzą się sfinansować nasz interes, stuprocentowo pewny? W którym niczego nie ryzykujemy?

Poczerwieniał lekko.

– To nie tak. Ryzyko zawsze jest. Na podstawie moich doświadczeń wymyślił plan, bardzo rozsądny, ale oczywiście ja też muszę się dołożyć.

A jednak, przemknęło jej przez głowę.

– Tak myślałam. Trzeba się zaangażować finansowo?

– No tak. W innym przypadku to nie byłby nasz interes, a ja byłbym zwykłym sprzedawcą. Rav i Archie też inwestują. Oni ponoszą największe ryzyko.

– Chwała im za to. Tylko widzisz, jest między nami a nimi mała różnica

– oni mają pieniądze. My nie. Za to mamy długi.

– Wiem, ale wszystko przeliczyłem. – Pogratił sobie w duszy, że Tess nie wie, jak się skończyły jego ostatnie obliczenia, ale tym razem sprawdzał wszystko po kilka razy.

– I...?

Wziął to za dobrą monetę. Nie krzyczy, czyli jest gotowa go wysłuchać.

– Zorganizowałem wycenę naszych rzeczy, tych na przechowaniu. Wiem, nie powiedziałem ci o tym, ale nie sądziłem, że będziesz miała coś przeciwko temu. Byłem spokojniejszy, wiedząc, na czym stoimy, zanim cokolwiek zaplanuję.

– I...?

Te monosylaby zaczynały działać mu na nerwy.

– Jeśli wszystko sprzedamy, wystarczy na spłacenie długów – poza tymi, o których nie wiesz, oczywiście – i bardzo, ale to bardzo skromne życie przez dwa miesiące. A do tego czasu sklep zacznie przynosić zyski.

Nie powiedział, że zwrócił się już z tą propozycją do wierzycieli. Przekonali ich wiarygodni partnerzy i uznali, że plan brzmi rozsądnie, na tyle że chyba zdoła spłacić długi na czas. Wiedzieli także, że bankructwo Maksa oznacza dla nich utratę nadziei na odzyskanie czegokolwiek, szczególnie teraz, kiedy wszystko sprzeda. Jest jeszcze dom, to prawda, ale przy takiej hipotece lepiej niech go nadal wynajmują. Tym sposobem przynosi jakiś dochód.

Jak na razie brzmiało to bardzo rozsądnie i dlatego Tess była pewna, że to nie koniec. Wpatrywała się w Maksa bez mrugnięcia okiem.

– Jak już powiedziałem – ciągnął nerwowo – dzięki temu pozbędziemy się długów, ale, co też już wspomniałem, musimy zainwestować w nowy interes.

– Ile? – zapytała brutalnie.

– Cztery tysiące funtów – odparł. – Właściwie to nie tak dużo, jeśli się nad tym zastanowić. Inni włożą o wiele więcej, ale ja zainwestuję mnóstwo czasu, więc obniżyli mi wkład finansowy.

Tess się uśmiechnęła.

– A więc wszystko jasne.

– Naprawdę? – Max nie wierzył własnym uszom.

– Pewnie. Jeśli sprzedamy to, co oddaliśmy na przechowanie, a żaden bank nie da nam kredytu, to wszystko jasne. Nie mamy czterech tysięcy funtów i nie mamy skąd ich wziąć, nie zainwestujemy czterech tysięcy funtów.

– Jest pewien sposób – zaczął cicho.

Tess spojrzała na niego. Nie wiedziała, co ma na myśli, aż zobaczyła, na co patrzył.

Jej pierścionek z brylantem.

Graham zadzwonił do Tima do biura.

– Możemy się umówić na szybki lunch? – zapytał bez wstępów.

Tim jęknął.

– Kto cię nasłał? Millie?

– Fiona.

– To nie ma sensu. To sprawa między mną a Millie.

– I Alison – dodał Graham.

Obaj czekali, aż drugi coś powie. W końcu odezwał się Tim:

– Dobrze, ale na krótko, o wpół do pierwszej w Bolingbroke Mars.

Graham się zgodził, choć miał nadzieję, że Tim odmówi. Teraz musi jakoś to przeżyć.

– I co zrobisz? – zapytał. Nie było sensu pytać, dlaczego postąpił tak, a nie inaczej. To jasne, rozumiał go aż za dobrze.

– Nie wiem. Muszę porozmawiać z Millie, to najważniejsze. To znaczy, mam Alison i jest wspaniałą słuchaczką, ale mam wrażenie, że ciężko znosi tę sytuację.

Ponieważ Alison siedziała w swoim gabinecie i poważnie się zastanawiała, czy nie złamać zasad etyki lekarskiej i nie wypisać samej sobie recepty na prozac, Tim po raz pierwszy w życiu trafnie ocenił psychiczny stan kobiety.

Grahamowi wyczerpały się pytania. Liczył, że po pierwszym rozmowa sama się potoczy, jak między Fioną i jej przyjaciółkami. Ale tak się nie stało. Zestresowany Tim gapił się w przestrzeń, a Graham na zegarek, jakby tam szukał inspiracji.

– Zdziwiłem się, że tak bardzo tęsknię za dziećmi – powiedział nagle Tim, zadowolony, że może się komuś z tego zwierzyć. Wyczuł, słusznie zresztą, że Alison nie wykazałaby zbyt dużego współczucia.

– Dlaczego? Ja za moimi tęsknię, jeśli już śpią, kiedy później wracam z pracy.

– No tak, ale mówimy o moich dzieciach, nie zapominaj – podkreślił Tim. Graham pomyślał o czwórce potworów pod dachem Tima i przyznał mu rację.

– Może wszyscy rodzice powinni na jakiś czas wyjeżdżać z domu, zanim życie rodzinne wyjdzie im nosem. Może doceniałbym to bardziej, gdybym więcej podróżował służbowo.

Graham dostrzegł w tym cień nadziei.

– Czyli wystarczyła jedna noc, żebyś zatęsknił za rodziną? A miesiąc miodowy z Alison?

Tim pokręcił głową.

– Sam nie wiem, czego chcę.

Graham tracił cierpliwość.

– Przecież przed chwilą powiedziałeś, że stęskniłeś się za rodziną. Wracaj do nich. Walcz.

– Ale jeszcze nie zapomniałem o Alison, a muszę to zrobić, bo jeśli nie, wszystko zacznie się od nowa, będę miał pretensje do Millie, że nie jest nią.

Dopiero kiedy to powiedział, zrozumiał, że tu kryła się przyczyna jego rozczarowania swoim życiem.

– Muszę się zdecydować, z którą chcę być – stwierdził stanowczo. – Z Alison czy Millie.

Graham roześmiał się chłodno.

– Nie rozumiesz, prawda?

– Jak to?

– Siedzisz tu sobie i myślisz, że masz wybór między Alison i Millie.

– Bo mam. I to mój problem.

– Nie przyszło ci do głowy, że możesz stracić je obie?

Tim zgarbił się przybity. Nie, nie przyszło.

– Śliczny sweter, Rav – zachwycała się Daphne. Na pulowerze widniało mauzoleum Tadz Mahal wydziergane z wielką precyzją.

– Dziękuję, to dzieło mojej ukochanej żony, świętej pamięci. Zabawne, przez cały ten czas, który spędziła w Anglii, nauczyła się robić na drutach nawet najtrudniejsze wzory, ale nie poznała języka. Powtarzała, że ja będę mówił, a ona będzie robiła na drutach. Mara całą szafę takich swetrów. Kiedy je noszę, czuję, że nadal jest częścią naszej rodziny.

– Cudowne! – Daphne miała łzy w oczach, ale nie rozplakała się, bo do pomieszczenia weszły dwie śliczne dziewczynki.

– Daphne, poznaj moje wnuczki, Meerę i Geetę.

Dziewczynki przystanęły.

– Dzień dobry, pani Guinn. Jak się pani miewa?

Ujęły ją nieśmiałością i manierami.

– Idźcie się pobawić, zawołam was na herbatę. – Rav ucałował je serdecznie.

– Cudowne. Możesz być z nich dumny. Zbył komplement machnięciem ręki.

– To zasługa ich matki. Były grzeczne już wtedy, zanim ich rodzice zginęli.

Nalał Daphne spory kieliszek wina. Wypiła je chciwie. Chyba bardzo ją boli, pomyślał zatroskany.

– Nie było ci łatwo się nimi zaopiekować – w twoim wieku, dodała w myślach.

Rav machnął ręką.

– A co miałem zrobić? Gdybym ich nie wziął do siebie, pojechałyby do Indii, do mojej siostry, a to już małe Angielki, ich miejsce jest tutaj.

– Jak sobie dajesz radę? – zapytała. Widziała, że Rav rusza się równie sztywno jak ona i pewnie przy złej pogodzie też cierpi. Nie wyobrażała sobie, jak poradziłaby sobie z dwójką dzieci, choćby tak grzecznych jak jego wnuczki.

– Jakoś – odparł. – A ty? Z wnukami? Uśmiechnęła się smutno.

– Nie jest tak, jak sobie wyobrażałam. Myślałam, że pomogę Fionie w ich wychowaniu i będę patrzyła, jak rosną.

– A tymczasem masz ich dość?

Skinęła głową.

– Przez hałas. W domu jest wiecznie głośno, chyba że są w szkole. I ciągle się kłócą. Zupełnie jak moje dzieci, kiedy były małe. Zapomniałam już, jak to jest.

– Ale i tak pewnie ci miło, że mieszkasz z córką – zasepił się Rav.

To jest jeszcze gorsze, pomyślała, ale przecież nie powie tego komuś, kto stracił jedyne dziecko.

Gdy tak piła herbatkę z Ravem i jego wnuczkami, wyobraziła sobie siebie w tym domu, z tym mężczyzną i tymi dziećmi. Jak by to było? – zastanawiała się. Czy potrafię jeszcze wychować dzieci, które nie darzą mnie nienawiścią? Czy w ogóle warto próbować? Żeby się przekonać, czy uda mi się lepiej niż za pierwszym razem?

Wiedziała jednak, że najpierw musi zasypać przepaść między nią i córką, zanim w ogóle pomyśli o cudzych dzieciach.

– A co ty tu robisz?

Tess spanikowała. Zamknęła za sobą drzwi w Instytucie Jogi, na których napisano: JOGA DLA POCZĄTKUJĄCYCH, KURS INTENSYWNY.

– Heather! Co za zbieg okoliczności!

– Przyszłam po nowe maty do ćwiczeń dla ośrodka. A ty?

– No wiesz, trzymam rękę na pulsie – bąknęła Tess.

Heather ciekawie zerknęła na napis na drzwiach.

– Co powiesz na lunch? – zaproponowała.

Walka z bólem kosztowała Tess tyle wysiłku, że nie starczyło jej energii na kłamstwa.

– Heather, tak mi przykro! Nie mogę cię dłużej okłamywać! Chciałam ci wmówić, że prowadzę tu zajęcia, ale mam tego dosyć. Poza tym muszę cię prosić, żebyś pokroiła mi kanapkę na kawałki i nakarmiła mnie, bo straciłam czucie w górnej części ciała.

Heather roześmiała się głośno i podała jej pierwszy kęs.

– Dlaczego się śmiejesz? – zapytała Tess ponuro. – To wcale nie jest zabawne. Oszukałam cię! Nie jestem i nigdy nie byłam instruktorką jogi. Ba, nigdy nawet nie chodziłam na jogę, póki nie miałam pierwszych zajęć z wami.

– To jasne. – Heather starła jej majonez z podbródka.

– Jak to? Wiedziałaś?

Heather się zachnęła.

– Oczywiście, że wiedziałam. Byłaś beznadziejna. Nawet nie zrobiłaś nam porządnej rozgrzewki. I plątały ci się nazwy pozycji. I nawet jak na kogoś, kto wyszedł z formy, masz naprawdę fatalną koordynację ruchową. Co było też widać na tańcach – dodała złośliwie.

– To najgorsza chwila mojego życia – jęknęła Tess.

– Polemizowałabym. Moim zdaniem o wiele gorsze były twoje żalosne próby zaimponowania nam ruchami ramion.

– Chciałabym ukryć twarz w dłoniach, ale nie mogę podnieść rąk.

– Nie przejmuj się. Jeśli to ci poprawi humor, chyba tylko ja to zauważyłam. A jeśli nie, przekonałam je, że wszystko jest w porządku.

Tess straciła apetyt i patrzyła tylko, jak Heather kończy i swoją, i jej kanapkę.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś? – zapytała.

– Mówiłam ci, że kiedy sprowadziłam się do Heaverbury, byłam równie biedna jak wy.

– Pamiętam.

– Widzisz, mąż nie dawał mi pieniędzy, bo liczył, że to mnie zmusi do powrotu. W pewnym momencie nie miałam nawet na jedzenie dla dzieci.

Tess była wstrząśnięta.

– I co zrobiłaś?

– Akurat zaczęłam chodzić do kościoła, żeby przyjęli mojego najstarszego do szkoły, jak ty teraz. Zobaczyłam ogłoszenie, szukali przedszkolanki z doświadczeniem. Zgłosiłam się do Johna.

– Chociaż nie jesteś przedszkolanką z doświadczeniem?

– Ale to nie najgorsze. John mnie zatrudnił, chociaż mętnie tłumaczyłam, czemu nie mam żadnych zaświadczeń i dyplomów. Chyba od początku wiedział, że kłamałam.

– Ale nikomu nie stała się krzywda – wtrąciła się Tess. – A ja mogłam im wszystkim połamać ręce!

– Do moich obowiązków należało między innymi inkasowanie pieniędzy od matek i przekazywanie ich kościołowi. Zaczęłam je podkradać, po kilka funtów, żeby starczyło na jedzenie.

Tess była oburzona. Teraz Heather się zawstydzila.

– I co? – dopytywała się Tess.

– John wiedział od początku. Wbrew temu, jak sobie wyobrażałam wikarych, bardzo dobrze orientował się w księgowości.

– I co zrobił?

– Nic. Czekał, aż stopniowo wszystko oddam, co oczywiście zrobiłam. A potem wziął mnie na stronę, zapytał, czy już wyszłam na prostą, i powiedział, że następnym razem mam się do niego zwrócić, gdybym miała kłopoty.

Tess wzruszyła taka hojność. Obiecała sobie, że w kościele będzie mniej cyniczna.

– I dlatego chciałam jakoś się odwdzięczyć, dać szansę komuś innemu, przekazać dobro dalej.

– Nie wiem, jak mogę to naprawić – zmartwiła się Tess.

– Już to zrobiłaś – zauważyła Heather. – Chodzisz na zajęcia za własne pieniądze, żeby więcej umieć. Rób tak dalej. Tylko nie rezygnuj. Nasze panie są zadowolone, dajesz im to, czego potrzebują.

Tess wyciągnęła mały palec na znak wdzięczności.

– W tej chwili powinnam cię uściskać. Wiesz, o wiele mi lepiej, kiedy to z siebie wyrzuciłam. Okropnie się czułam, oszukując cię.

– Tess, czy mogę cię o coś zapytać, skoro rozmawiamy tak szczerze?

– Bardzo chętnie – zażartowała. – Już dosyć gadałyśmy o mnie.

– Nie wydaje ci się, że Jerry był w czwartek w kiepskim humorze?

Pogadajmy o mnie, pomyślała Tess, opowiem kolejną żenującą historię, byle Heather cofnęła to pytanie. Szukała w myślach delikatnej odpowiedzi, a Heather mówiła dalej:

– Właściwie nie chodzi tylko o czwartek. Od kilku tygodni jest jakiś taki chłodny. Może to reakcja na oświadczyzny. Wiesz, słyszy się o takich facetach, cieszą się na małżeństwo, a kiedy przychodzi co do czego, panikują.

– Może sobie to wszystko wmawiasz – zaczęła Tess.

Zbierało się jej na mdłości, dręczyły ją wyrzuty sumienia, a Heather była dla niej taka dobra!

– Nie sędzę. Był wobec mnie wręcz oziębły na wieczorku tanecznym. Nie zauważyłaś?

Jak mogłam zauważyć? – przemknęło Tess przez głowę. Za bardzo mnie pochłaniały rozważania jego miłosnych wyznań.

– Nie przejmowałabym się tak bardzo, gdybym nie była z nim związana – mruknęła Heather.

Tess starała się obrócić to w żart.

– W dzisiejszych czasach nikogo już nie ciągną po sądach za zerwaną obietnicę!

Heather nie zrozumiała od razu.

– Słucham? Och, nie, nie chodzi mi o to, że muszę za niego wyjść, bo przyjął oświadczyzny. Nie, to coś poważniejszego. Chyba jestem z nim w ciąży.

– Od dwudziestu czterech godzin nie myślałam o niczym innym – oznajmiła Tess tego wieczoru.

Max przełknął ślinę. Przyszłość, ich wspólna przyszłość spoczywa w jej rękach.

– I co?

– Zgodzę się na wszystko, na sprzedaż naszych rzeczy i mojego pierścionka, pod jednym warunkiem.

– Tak?

– Postaramy się o jeszcze jedno dziecko.

– Nie możemy. – Odezwał się bez namysłu. – Pomyśl, przez co przechodziliśmy poprzednio. To nas wykańczało, zwłaszcza ciebie.

– Zaryzykuję. Ciebie pochłonie nowy interes, nic nie zauważysz.

Max czuł się nieswojo. Nie wiedział, co jest tego powodem, ale wyczuwał determinację Tess. Poza tym nie miał wyboru. Zaplanował resztę życia, zakładając, że Tess wesprze go w zakładaniu kolejnej firmy, że po raz kolejny zaryzykuje, tym razem ostatni grosz.

Nie miała pojęcia o innych długach, które przed nią ukrył. Lecz i o nich pomyślał. Umówił się z nowymi współnikami, że część jego zysków trafi na specjalne konto. Tym sposobem spłaci wierzycieli, choćby miało to trwać do emerytury. Niemal się cieszył na tę myśl. To forma pokuty, która mu się należy.

– Dobrze – powiedział cicho. – Moim zdaniem to kiepski pomysł, ale jeśli wesprzesz mnie w nowej firmie, ja ci pomogę przy... tym.

Nie przypieczętowali tej umowy, która nierozzerwalnie wiązała ich ze sobą, uściskiem czy pocałunkiem, jak by się tego spodziewał.

Tess wręczyła mu pierścionek.

W tę niedzielę jest inaczej, zauważyła Tess. I ona, i Max przyszedli bez uprzedniej wrogości. No i tym razem towarzyszyli im przyjaciele. Oprócz Tima.

Graham był równie przerażony jak Max w poprzednią niedzielę.

– Przyzwyczaisz się – pocieszał Max. – Rób to co inni.

– Ale nie chodzą w kółko, nie dotykają się i nie chrzanią o pokój? – upewnił się Graham.

– Mam nadzieję, że nie – włączyła się Fiona szeptem. – Nie znoszę, kiedy dotykają mnie nieznajomi.

Millie sprawiała wrażenie, jakby była pod wpływem narkotyków. Bezmyślnie czytała wszystkie ulotki i informatory leżące w ławach. Dwoje jej dzieci robiło z nich papierowe samolociki i rzucało w przód. Pozostała dwójka gryzła batonik zbożowy, żuła go starannie i pluła w kamienne anioły na kolumnach.

Głośna muzyka wyrwała wszystkich z zadumy. Tym razem Max i Tess nie zareagowali tak gwałtownie. Max nawet włączył się do śpiewu. Oczywiście nie wykonywał żadnych ruchów, przy jego wzroście zwracałby na siebie powszechną uwagę, ale kilka razy pozwolił sobie na zwierzęcy odgłos.

– Czy to na pewno normalny kościół? – szepnął Graham do Fiony. – Ci ludzie coś za dobrze się bawią.

Liczył na ponure, smętne nabożeństwo, które odzwierciedlałoby jego obecny nastrój. A tymczasem nic z tego.

Daphne z przyjemnością obserwowała dzieci. Właśnie tak najbardziej kocha wnuki – rozbawione, w cudzym domu i z dala od niej. Obawiała się, że oszaleje, jeśli będzie musiała z nimi mieszkać do końca życia.

Millie wstawała i siadała z resztą wiernych i na tym kończył się jej udział. Odprężyła się tylko na chwilę, kiedy dzieci powędrowały do szkółki niedzielnej. No, ale wtedy odprężyli się wszyscy.

– Nic dziwnego, że tyle ludzi tu przychodzi, jeśli na godzinę zabierają dzieciaki – szepnął Graham. – Gdzie indziej trzeba płacić za coś takiego.

John wyszedł na środek.

– Zazwyczaj tego nie robimy – zaczął – ale dziś jest wśród nas tyle nowych twarzy, że warto przekazać sobie znak pokoju.

– Już mnie nie ma – oznajmił Graham.

– Cicho! – syknęła Fiona. – Ani się rusz!

Posłuchał. Niewykluczone, że ustaliła to z wikarym, by go ukarać, że dosłownie nie zawlókł Tima do Millie.

– Jeśli ktoś mnie dotknie, dostanie w twarz – mruknął. Po uprzedniej konsultacji z Maksym wiedział, że to najnormalniejsza reakcja pod słońcem.

– Niech sobie myśli, że jest bardzo macho. – Fiona machnęła ręką do Tess.

– Pokój nam wszystkim. – Uśmiechnięta kobieta wyciągała do niego rękę.

– A jakże! – Graham uścisnął ją serdecznie, po czym wsunął rękę do kieszeni i toczył dokoła groźnym wzrokiem, na wypadek gdyby ktoś jeszcze się odważył.

– Chyba mówiłeś, że każdy dostanie w twarz? – zauważyła Fiona niewinnie.

– W mojej wyobraźni zwija się z bólu na ziemi. – Graham postanowił, że sam będzie ponury i poważny, skoro kościół nie sprawi mu tej przyjemności.

Tess obserwowała z niedowierzaniem, jak Max serdecznie podaje rękę każdemu, kto do niego podszedł.

– Wydawało mi się, że tego nie znosisz – mruknęła pod nosem.

Łypnął na nią groźnie.

– To całkiem mili ludzie, trzeba tylko dać im szansę. – Nie najlepiej ukrywał zmieszanie.

Poczuł na sobie wzrok Johna i triumfalnie uniósł kciuk. John się uśmiechnął i odwzajemnił gest.

– Nie wiadomo kiedy wikary stał się twoim najlepszym przyjacielem – dziwiła się dalej. – Zdawało mi się, że nie znosimy duchownych.

– Jesteśmy prawie rodziną.

– Jak to?

– Nie mówiłem ci? To syn Cartera.

Tess aż usiadła z wrażenia. Myślała, jakie znaczenie ma dla nich ta nowina. Max uśmiechał się nieco zbyt entuzjastycznie jak na jej gust.

– Pomyśl tylko – cieszył się. – Teraz, gdy przystąpiliśmy razem do interesów, będziemy jedną wielką rodziną.

Fiona obserwowała Grahama. Gapił się na coś.

– Na co się gapisz? – zapytała.

– Nie wierzę własnym oczom – odparł.

Fiona rozejrzała się ciekawie. Żadnych gwiazd, żadnych członków rodziny królewskiej, wszystko normalne.

– Spójrz! – Graham wskazał parę na przodzie. – To Barry Downing, mój szef, z żoną.

– No i...? – Fiona nadal nic nie rozumiała.

– Nie do wiary! Wydaje się całkiem normalny! W przerwie na lunch nawet czasem wpada do pubu na piwo.

Fiona udała szok.

– Jak to? Nie wprowadził porannych modlitw dla całego biura? Nie intonuje hymnów w trakcie narady?

Graham łypnął na nią z ukosa.

– Zdziwiło mnie to, i tyle.

Barry Downing go zobaczył i uśmiechnął się ciepło. Graham odwzajemnił uśmiech. Wyprostował się i słuchał odrobinę uważniej. Po zabawnym kazaniu John spojrzął na zebranych.

– Módlmy się – powiedział.

Nie będę udawał, że w to wszystko wierzę, modlił się Max. Ale skoro już tu jestem, równie dobrze mogę dmuchać na zimne i spróbować. Było nie było, ostatnio mnie wysłuchałeś. Ty czy ktokolwiek tam jest.

Nie wiem, o ile można prosić, więc złożę wszystko razem, tak na wszelki wypadek.

Chciałbym mieć jeszcze jedną szansę, nadzieję odkupienia. Widzisz, nawet użyłem biblijnego słowa! Za to chyba dostanę kilka punktów ekstra?

Chcę, żeby nam się ułożyło z Tess. Jeśli ta nowa firma odniesie sukces, nie chcę zarabiać milionów, tylko tyle, żeby spłacić wierzycieli i zapewnić rodzinie przyzwoite życie. To będzie nasza szansa. Wiesz chyba, że jeden z moich wspólników jest ojcem wikarego, i że to właśnie wikary wpadł na ten pomysł? Nie żebym cię naciskał, ale to chyba coś znaczy, nie sądzisz?

A gdybyś jeszcze dorzucił dziecko dla Tess, i dla mnie też, byłoby już w ogóle idealnie.

Wiem, że jeśli to nam załatwisz, wszystko inne się ułoży.

No, to tyle, i ten, no, amen.

Tess przymknęła oczy, jak w dzieciństwie, w nadziei że ksiądz ją zobaczy i uzna, że się tak żarliwie modli.

Jestem gotowa w Ciebie uwierzyć, myślała, iść na całość. Mam propozycję. Dziecko za moją duszę. Daj mi jeszcze jedno dziecko, a będę Twoja na wieki. Na wieczność, jeśli to prawda. Osobiście nie jestem o tym przekonana, ale chętnie wysłucham argumentów za. Idea mi się ogólnie podoba. Wiem, myślisz, że żartuję, bawię się w Fausta. Widzisz, chyba nie rozumiesz, jak bardzo pragnę tego dziecka.

Tylko na tym mi zależy. No, poza oczywistymi sprawami, takimi jak ustrzeżenie Lary od wszelkiej krzywdy, chorób i chłopaków, póki nie wyjdzie za mężczyznę, którego zaaprobuje, koleżanek, które będą jej wmawiały, że ma grube nogi, i wszelkich życiowych rozczarowań. To chyba oczywiste, co? A jeśli nie, dodaj to proszę do mojej listy. Bo wiesz, właściwie po namyśle dochodzę do wniosku, że to nawet ważniejsze od dziecka.

A gdyby się jeszcze dało, żebyś miała to dziecko bez lat cierpienia, byłoby super. Chociaż samo staranie się jest lepsze niż bierność. Mamy jakiś cel, a nie tylko walczymy o przetrwanie.

Byłabym Ci także niezmiernie wdzięczna, gdybyś dał spokój tej sprawie z Jerrym. Gubię się w tym, nie mogę myśleć. Zaoferowałam Ci już moją duszę, Max sprzedaje wszystko, co mamy, więc nie mam nic do zaoferowania. Chyba że zainteresują Cię niezłe buty albo garnki do gotowania na parze?

No i tyle. Dziecko, szczęście Lary i Maksa też, ma się rozumieć. I moje. A Jerry... cóż, sama nie wiem. Nie zastanawiałam się nad tym; w tej sprawie jeszcze się skontaktujemy. Ale gdybyś zaczął od tego, co już podałam, wszystko inne jakoś się ułoży.

Amen.

Przychodzę tu już od jakiegoś czasu, zaczął Jerry. I nawet to lubię. Gadamy tak sobie co jakiś czas i wiesz, to mi dodaje otuchy. Z drugiej strony musisz przyznać, że nie jestem zbyt wymagającym petentem.

Owszem, może się czasami narzucałem – a to siwy włos, a to debet w banku, a to depresja na myśl o życiu w pojedynkę. Ale zazwyczaj jestem spokojny i wybaczyć, jeśli się przechwalam, chyba dobry.

Tym razem mam dużą prośbę. Chyba mi się to należy; tyle zainwestowałem, a niczego nie wypłacałem. Więc tak:

To trochę skomplikowane, słuchaj uważnie. Masz wybór, pomyślałem sobie, że to zwiększa moje szanse na szczęśliwe zakończenie.

Chciałbym albo zakochać się w Heather, tak naprawdę zakochać, miłością, o której wszyscy opowiadają, taką, która, zdaniem Tess, jest najważniejsza. Albo, jeśli to za wiele, proszę, uwolnij mnie przynajmniej od uczuć, które czuję do Tess. Nie wiem, co to jest, wydają mi się bardzo prawdziwe, ale to nie może być słuszne. Tess ma dziecko, męża i na dodatek przyjaźni się z Heather.

No i tyle. Jeśli czegoś nie rozumiesz, służę wyjaśnieniami. Tylko proszę, w Heaverbury daruj sobie płonące krzewy. Policja tego nie lubi.

Słyszałem, że ziarno wiary może sprawić, że drzewo pomaszeruje do morza. Dla mnie to marnowanie rośliny. Ale gdyby udało Ci się spełnić jedno z moich mało widowiskowych marzeń, wszystko inne jakoś się ułoży.

Podobno jestem wierząca, modliła się Heather. Wszystkim to mówię, ale w głębi serca nie jestem taka pewna. Zatrudniłeś dobrego wikarego, gratuluję, ale ostatnio w moim życiu jest jakoś mało cudów.

Myślałam, że wszystko zmienia się na lepsze, kiedy pojawił się Jerry. Przestałam się starać, a to chyba błąd. Czy to moja kara? Czy teraz mi go odbierzesz?

Posłuchaj, nie chcę go stracić i chcę mieć dziecko. I tyle! Co Ty na to?

Jeszcze nie robiłam testu, najpierw chciałam z Tobą pogadać. Już dawniej robiłeś mi kawały. Sprawiałeś, że wynik testu był pozytywny jednego

dnia, a kilka dni później – negatywny. Moim zdaniem to czysta złośliwość, ale sądzę, że masz swoje powody.

W każdym razie poczekam z testem do piątku, więc masz cały tydzień. Daj mi Jerry'ego i dziecko, o nic więcej nie proszę, a wszystko inne jakoś się ułoży.

Nie tak powinno się to robić, modliła się Daphne. Wychowałam się w przekonaniu, że trzeba paść na kolana i błagać o wybaczenie. Nikt mi nigdy nie powiedział, że można Cię o coś prosić (tylko kiedy mama pojechała do szpitala urodzić dziecko i nigdy nie wróciła).

Jak na mój gust, jest tu za wesoło. To nie pasuje do mojej wizji Ciebie, z długimi włosami, brodą i przenikliwym wzrokiem. Naprawdę Ci się podoba, jak dzieci i dorośli skaczą i śpiewają?

Może to Cię wprawia w dobry humor. Muszę przyznać, że mnie poprawiło nastrój. Wikary mówi, że mamy prosić o coś dla siebie. Dobrze, spróbuję. W końcu próbowałam już wszystkiego: tabletek, miedzianych bransoletek, awantur z dziećmi i czerwonego bombajskiego (swoją drogą polecam, gdybyś kiedyś miał artretyzm).

Chciałabym, żeby przestało mnie boleć. A jeśli to niemożliwe, żebym mogła utrzymać ból w ryzach minimalną dawką lekarstw. Nie jestem jeszcze taka stara i nie podoba mi się wizja kolejnych dwudziestu lat w takim stanie.

Jeśli to niemożliwe, czy mógłbyś przynajmniej sprawić, żeby moja córka mnie polubiła?

Wszystko jedno, co Ci się uda, dla mnie oba życzenia są nierealne.

Wystarczy, że spełnisz jedno, wszystko inne jakoś się ułoży. Amen.

Rany, modliła się Fiona, nie byłam w kościele od śmierci taty. Nie należałam wtedy do zbyt religijnych, ale chyba o tym wiesz.

Nie chciałam tego robić, lecz chyba wszyscy się modlą, więc równie dobrze mogę spróbować. W każdym razie Tess ma zamknięte oczy, a Grahamowi nie mam w tej chwili nic do powiedzenia, więc tylko z Tobą mogę pogadać.

Co u Ciebie? Myślałam, że ja jestem gadułą, ale Ty rozmawiasz bezustannie, od tysiącleci. Pewnie niewiele osób pyta, jak się masz, chciałam Ci sprawić przyjemność. Nie męczą Cię ciągle narzekania? Mnie tak. Zdradzę ci pewien sekret: mam dosyć cudzych problemów. Wiem, to egoistyczne, ale aż do zeszłego roku wszystko było w porządku. Chciałabym, żeby znowu tak było.

Wiem, że kawiarni Tess i Maksa już nie ma (może postanowiłeś ocalić świat od tej straszliwej ziołowej herbaty?) i że wyprowadzili się. To się już nie odstanie, ale czy nie mógłbyś załatwić, żeby wszyscy się do siebie dobrze odnosili?

Za ogólnie? Dobrze, uściślę. Niech Tim wróci do Millie, niech Tess i Max zarobią trochę, tylko tyle, żeby się nie martwili, niech Graham upora się z tym, co go gryzie, i wróci do mnie.

O, i jeszcze coś. Czy jest jakaś szansa, choćby malutka, że przekonasz moją matkę, by mnie polubiła?

Mam wybrać jedno? Cóż, znowu przemawia moje samolubstwo, ale wybieram to o mamie. Wtedy wszystko inne jakoś się ułoży.

No i co, amen?

Co za idiotyzm, nie dam się na to nabrać. Nie rozmawiam z Tobą, bo w Ciebie nie wierzę. Jeśli tam wysoko jest ktoś, czy coś, co może czytać w moich myślach – to nie jest modlitwa, słyszysz? Nie modlitwa.

Ciekawe, w co wierzy Eloise. Nie pamiętam, jaki stosunek do religii miała Christine. Jedno jest pewne, jeśli się dowie, że matka oszukiwała ją

przez całe życie, straci wiarę w ludzkość. Mam nadzieję, że znajdzie coś, co pomoże jej się pozbierać, bo nie bardzo widzę siebie w roli jej nowego bohatera.

Czy coś mogłoby mnie przekonać, że istniejesz? Jakiś cud? Nie dam się nabrać na żadną bzdurę typu: uwierzę w Ciebie, jeśli wygram w lotto. Poczekaj, niech pomyślę. O, już mam.

To nie lada wyzwanie. Spraw, żebym bez wahania wiedział, co zrobić z Christine, Christine i Eloise. Spraw, żebym był zadowolony z tego, co zadecyduje.

To dopiero będzie cud. Załatw to, a znowu pogadamy. Bo wtedy wszystko inne jakoś się ułoży.

Tak tu miło i cicho, myślała Millie. Ciekawe, o czym oni myślą. Niektórzy pewnie się modlą, ale reszta po prostu odpływa, jak ja. Zastanawiają się, czy wyłączyli piecyk, myślą, jak powinni byli odpowiedzieć na złośliwości usłyszane w minionym tygodniu, wyobrażają sobie, że są wolni i bezdzietni, usiłują sobie przypomnieć, czy biust wydaje się mniejszy w bluzkach we wzorek czy w gładkich, wyciągają brud zza paznokci.

Spójrz, jacy są skupieni. Nie skończyli jeszcze? Niemożliwe, żeby mieli tyle problemów. Wiem, też mają kłopoty, ale to nic w porównaniu z moim życiem.

Matka Fiony się do nich sprowadziła, a jest straszną babą. I co z tego? Wszyscy są cali i zdrowi, mieszkają w pięknym domu. Fiona sprowadza co tydzień goździki przez Channel Islands, co miesiąc robi permanentny makijaż u kosmetyczki. Gdzie jej trauma? Tess i Max musieli się przeprowadzić i nie mają pieniędzy. I co z tego? Mają tylko jedno dziecko. Powtarzam: jedno dziecko! Gdybym ja miała jedno dziecko, mogłabym mieszkać w kartonowym

pudle na ulicy i byłabym szczęśliwa. Poza tym Max nadal jest z Tess, nie uciekł do jakiejś szmaty, w której kochał się w szkole.

A Graham? Bóg jeden wie, co się z nim dzieje. Nic mnie to nie obchodzi. Nie ma żadnych wymówek. Fiona za nim szaleje, a jego dzieci nie odsyłają do domu, bo ukradły koleżance kostium na wuef czy pisały wulgarne słowa na tablicy.

Gdybym mogła o coś prosić, chciałabym, żeby czas się cofnął. No. Tyle. Zadowolony? A teraz co, mam wracać do domu i czekać?

Gdybym mogła cofnąć czas, załatwiłabym wiele spraw inaczej. A wtedy wszystko inne się ułoży.

Ale tylko tak sobie myślę. To nie modlitwa.

Poproszę Playstation 2, nowe adidasy, komputer i rolki, modliła się Lara w szkółce niedzielnej. Z całej siły zaciskała oczy. I jeszcze tygodniówkę w dawnej wysokości, i żeby moje włosy się tak nie kręciły, żeby na świecie nie było wojen i żeby mama i tata częściej trzymali się za ręce.

Amen.

Gdzie oni się podziewają w niedzielny poranek? – dziwił się Tim. Nie mogli wszyscy wyjść, Millie nie wyciągnęłyby ich z łóżek o tej porze, nie sama.

A Alison nawet nie napisała mi kartki. Po prostu wyszła, trzaskając drzwiami. Wiem, miała dyżur, ale myślałem, że mnie obudzi.

Nie chcę tu siedzieć sam. Właściwie dopiero teraz zrozumiałem, że w ogóle nie chcę być sam. Myślałem, że w domu oszaleję w ciągłym hałasie i zamieszaniu, ale najwyraźniej mi to służy.

Ale gier mi nie brakuje. To najgorsze, kiedy się ma dzieci – gry planszowe. Przychodzą falami. Najpierw kilka miesięcy Cluedo. I nieważne, jak bardzo starasz się przegrać, żeby zakończyć mękę, dzieciaki to czują i grają

tak fatalnie, że w końcu wygrywasz. Ale to i tak nie koniec, bo są jeszcze inne gry.

W Scrabble zawsze trafiają mi się same samogłoski, a wiadomo, że z samymi samogłoskami się nie wygra. Jestem beznadziejny w szachach, Carly mnie ogrywa, a ja udaję, że celowo pozwalam jej wygrać. I jeszcze Monopol, nienawidzę tej gry, ciągnie się godzinami. Co za bzdury piszą w instrukcji, że można grać w skróconą wersję, pokażcie mi dzieciaka, który się zgodzi na skróconą wersję, zaadoptuję go od razu...

Zadzwonił telefon i Tim wrócił na ziemię, zdezorientowany. Podniósł słuchawkę, zapomniał, że Alison prosiła, żeby tego nie robił.

– Millie ma twoją komórkę – tłumaczyła. – Nikt inny tu do ciebie nie zadzwoni.

– Halo? – odezwał się.

– Halo? – odpowiedział męski głos z silnym akcentem. – Kto mówi?

– Tim. Kto mówi?

– Co to za numer? Tim przeczytał.

– Zastąłem Alison? – zapytał mężczyzna.

– Nie, niestety wyszła. Coś jej przekazać?

– Proszę powiedzieć, że dzwonił Gabriel.

– Oczywiście.

Więc to był Gabriel. Miał głos jak Julio Iglesias i wydawał się mało rozbawiony.

Tim usiadł przy oknie i myślał o tym, co mu powiedział Graham, że musi zdecydować, czego chce. Cóż, to już wiedział.

Chciał wrócić do Millie i dzieci.

Ale potrzebował Alison. Millie nigdzie nie ucieknie przez kilka miesięcy.

Zobaczę, jak to jest z Alison, i wrócę do Millie. Inni mężczyźni w kółko tak robią. Wiem, czytałem o tym w gazetach. Pociągnę to jeszcze trochę. A wszystko inne jakoś się ułoży.

Zajdę w ciążę, a potem go wyrzucę. Tyle z nim wytrzymam. Alison kupiła butelkę wina w drodze do domu. Postanowiła go upić.

Chcę mieć dziecko, tylko tyle. Wszystko inne jakoś się ułoży.

Drogi Grahamie,

wiem, obiecałam, że nie będę Cię naciskać, miałam poczekać, aż Ty się do mnie odezwiesz, ale zmusił mnie do tego obrót wydarzeń.

Moja matka powiedziała Eloise o Tobie. Pamiętasz ją zapewne – wredna wścibska jędza. Cóż, wcale się nie zmieniła. Nie wiem, czy mi uwierzysz, ale zawsze trzymała twoją stronę i nigdy mi nie wybaczyła, że za Ciebie nie wyszłam. Przyzwyczaiła się do Davida, ale zawsze Cię wychwalała w jego obecności. Był dobrym człowiekiem i znosił to spokojnie, przede wszystkim ze względu na Eloise.

Powiedziałam mamie, że się z Tobą skontaktuję, i oczywiście oszalała z radości, wbiła sobie do głowy, że do nas wrócisz i znowu będziemy rodziną. Nie powiedziałam jej, że masz czworo innych dzieci. Nie miałam pojęcia, jak zareaguje, więc uznałam, że najlepiej będzie, jeśli dalej będzie snuła mrzonki. Przynajmniej dała mi spokój.

Wymusiłam na niej obietnicę, że nic nie powie Eloise, póki z Tobą wszystkiego nie ustalę. Niestety, Eloise pojechała do niej w zeszłym tygodniu i histeryzowała z rozpaczy za Davidem.

Więc mama jej o Tobie powiedziała. Przepraszam, to nie moja wina. Eloise wpadła w histerię, nie chce ze mną rozmawiać. Obwinia mnie, że tyle lat trzymałam to w tajemnicy. I ma rację.

Twierdzi, że nie odezwie się do mnie, póki z Tobą nie porozmawia i nie pozna Twojej wersji wydarzeń.

Naprawdę mi przykro, Graham. Będę czekała na wiadomość od Ciebie. Błagam, nie zwlekaj zbyt długo.

Całusy, Chrissie

TTLR

Moją wersję wydarzeń? – powtórzył Graham. Sam jej nie znam. Aż do zeszłego tygodnia nie wiedziałem, że jest jakaś moja wersja. I co teraz? Spotkać się z tą dziewczyną, z tą młodą kobietą i powiedzieć jej... co? Że oddałbym wszystko, żeby być jej ojcem, ale jej matka nie stawiała się na nasz ślub? Nie, nie wiem, dlaczego tak postąpiła, i bardzo się cieszę, że ją poznałem, ale niewiele mogę dla niej zrobić, bo mam czworo dzieci, które znają mnie od urodzenia i przywykły, że mają mnie tylko dla siebie i...

Przestał myśleć. Ostatnio był w tym coraz lepszy. Taniec bardzo przy tym pomagał.

Pierwszy taniec przeszedł bez problemów. Wszyscy znali kroki, bo od niego zaczął się wieczorek taneczny w ubiegłym tygodniu. Jak zawodowcy ustawili się w kręgi i tańczyli z każdym, kto się znalazł naprzeciwko.

Kiedy mieli się uczyć nowego, jak co tydzień, instruktor poradził, żeby zostali z partnerem z poprzedniego tygodnia.

Nawet taniec z Heather nie mógł zepsuć Maksowi humoru.

– Dzisiaj jesteś chyba w lepszym nastroju – zagadnęła.

– Tess ci jeszcze nie powiedziała? O naszej nowej firmie?

Heather zmarszczyła brwi.

– Nie. Dziwne, bo byliśmy w sobotę na lunchu, a w niedzielę widziałam ją kościele i U Cartera, i nic nie wspominała.

Max się rozpromienił.

– Może chce, żeby na razie to zostało między nami. Bardzo się cieszy. Ja też.

Heather spojrzała na Tess, która tańczyła z Jerrym. Nie widać było, by się jakoś szczególnie cieszyła.

– Tess... – zaczął Jerry.

– Zamknij się – warknęła. – Nie odzywaj się do mnie. Musimy jakoś wytrzymać do końca tego tańca.

– Unikasz mnie.

– Masz rację, unikam cię. Więc dlaczego nie przyjmiesz tego do wiadomości i nie zostawisz mnie w spokoju?

– Bo sobie wszystkiego nie wyjaśniliśmy.

– Nie mamy czego.

– Chyba mamy.

Tess oderwała wzrok od własnych stóp i spojrzała mu w oczy. Żadnych zmarszczek w kącikach.

– Musisz o czymś wiedzieć. O dwóch rzeczach. Max otwiera nową firmę, a ja mu pomagam. I postaramy się o jeszcze jedno dziecko. Zrozumiałeś czy nadal nie?

Jerry milczał, pomagał Tess utrzymać równowagę w skomplikowanym tangu.

– Boże, Graham, widziałeś rękę Tess?

– Fiona, skup się, to najtrudniejszy fragment. Jeśli nie zawrócisz w odpowiedniej chwili, będziesz na wszystkich wpadać.

– Nie ma pierścionka, tego z brylantem, wiesz.

Graham obojętnie spojrzał na jej dłoń.

– Może oddała go do czyszczenia.

Fiona zachnęła się ze zniecierpliwieniem.

– Słuchaj, to nie powieść Jane Austen. Kobiety nie posyłają biżuterii do czyszczenia do Bath, gdzie biedni rzemieślnicy polerują je przy świecach. Dzisiaj płucze się je płynem do naczyń albo raz w roku, na wystawie gospodarstwa domowego, stoi się w kolejce do darmowego polerowania.

– Więc ją zapytaj, Fi. Pierwszy raz będziesz przynajmniej miała powód, żeby się do niej odezwać. Zazwyczaj gadacie o niczym godzinami.

Fiona słyszała jego zniecierpliwienie, ale dała mu spokój. Widziała, jak się skończyła konfrontacja Millie i Tima, i bała się. Nie sądziła, by Graham przyjmował w domu kobiety w bieliźnie pod jej nieobecność. Tak więc nieważne, co go gryzie, poczeka cierpliwie, aż sam się z tym upora. A kiedy już wszystko wróci do normy, już ona mu pokaże! Zemści się za wszystkie swoje troski. Ta myśl poprawiła jej humor.

Christine świetnie tańczyła, pomyślał Graham. Pasowaliśmy do siebie idealnie, rozumieliśmy się. Nadal mi nie powiedziała, czemu ode mnie odeszła. Tylko czy naprawdę chcę wiedzieć?

Heather nie zauważyła braku pierścionka Tess. Za bardzo ją pochłaniało obserwowanie Jerry'ego. Przyglądał się Tess, która unikała jego wzroku. Taniec dobiegał końca. Tess wysunęła się z jego ramion kilka taktów za wcześnie. Szybko przyciągnął ją z powrotem.

– Musimy porozmawiać. Tylko ten jeden raz.

– Nie – uparła się. – Nie obchodzi mnie to, o czym chcesz rozmawiać. I proszę, przestań mi zostawiać te niby śmieszne wiadomości na sekretarce. Przecież Max może je odsłuchać. Jeśli już musisz puszczać piosenki przez telefon, to nagrywaj się Heather. Rozrywka dobrze jej zrobi.

– Ostatni raz, obiecuję. Już nigdy więcej do ciebie nie zadzwonię. Nie odezwę się. Ba, na ulicy udam, że cię nie znam. Będę odbierał uczniów z twoich zajęć z zamkniętymi oczami. Będę pisał o tobie wredne limeryki. Będę...

– Dobrze, wygrałeś – roześmiała się, sama zaskoczona śmiechem po kilku ciężkich dniach z Maksem. – Ale to będzie ostatni raz.

– Jeśli tak twierdzisz – zgodził się.

– O czym rozmawiałaś z Tess? – zapytała Heather nerwowo, kiedy do niej podszedł.

– Powiedziała mi, że się starają z Maksem o dziecko.

Odetchnęła z ulgą. Zdziwiło ją wprawdzie, że zwierzyła się Jerry'emu, nie jej, ale może kierowała się źle pojętą troską, bo wiedziała, że następnego dnia Heather miała sobie zrobić test ciążowy. Może myśli, że nie chcę o tym rozmawiać, póki nie będę pewna.

Chciała jej to powiedzieć, ale Tess gdzieś zniknęła. Spojrzała w stronę drzwi. Tess i Fiona witały się z kimś serdecznie. To zdaje się ta szalona kobieta, która zjawiała się na chwilę w zeszłym tygodniu, zostawiła bandę dzikich dzieciaków, żeby się upiły, i wróciła po nie godzinę później, w hysterii.

Ale dziś wyglądała zupełnie inaczej.

– Millie! Wyglądasz super!

– Nie do wiary! Jak to zrobiłaś?

Fiona i Tess obracały ją w kółko, zdumione jej metamorfozą.

– Rano poszłam do fryzjera, po raz pierwszy od dwóch lat zrobiłam sobie pasemka, potem do kosmetyczki na zabieg, a potem jeszcze na manikiur i pedikiur. Potem poszłam do sklepu, kupiłam trochę fajnych ciuchów, które będę mogła nosić w ciąży i później. A, no i najważniejsze, zdrzemnęłam się.

Tess pstryknęła palcami.

– Wiem, co jeszcze się zmieniło! Nie ma z tobą dzieci!

– Co z nimi zrobiłaś? Sprzedałaś w niewolę?

– Już próbowałam, nie chcieli ich – odparła radośnie. – Nie, Tim i jego ślicznotka odebrali je ze świetlicy i mają je na głowie przez cały wieczór.

– A tobie to nie przeszkadza? – zdziwiła się Tess. Nie chciałyby, żeby Lara spotykała się z Maksem i obcą kobietą.

– Oszalałaś? To raj! – A potem Millie poszła na parkiet i z Johnem, jedynym wolnym mężczyzną, zatańczyła skomplikowanego quickstepa, którego nauczyła się w ciągu kilku minut – oto zasługa popołudniowej drzemki.

Żeby przygotować lekarzy do pracy w strefie działań wojennych, nie muszą ich wysyłać na drogie kursy przetrwania. Wystarczy pożyczyć na jeden wieczór czworo dzieci Tima. Alison całkiem poważnie myślała, czy nie napisać do Lekarzy Bez Granic z tą propozycją.

To najgorszy wieczór w moim życiu, stwierdziła. Gorszy niż tamta noc w Islamabadzie, gdy złapałam amebę, gorszy niż wizyta u rodziny Gabriela w Brazylii, gdzie wszyscy klepali mnie w tyłek i wmuszali we mnie tłustą wieprzowinę na śniadanie. Jest nawet gorzej niż na szkolnej wycieczce, kiedy Tim przez całą noc nie dał mi spać i recytował grecką poezję. W oryginale.

Jestem w kręgielni z czwórką potworów, które należałoby trzymać na silnych środkach uspokajających. I nie jestem szczęśliwa.

– Millie zawsze powtarza, że dzieci powinny rozwijać się swobodnie, że nie powinniśmy ich ograniczać czy kształtować zgodnie z naszymi wyobrażeniami.

Tim tłumaczył to menadżerowi kręgielni, który się złościł, że Lucy i Carly naciskają guziki na tablicach wyników innych graczy.

Wystarczyło pięć minut w towarzystwie potworów, by Alison stała się zagorzałą zwolenniczką kar cielesnych i szkół z internatem. To nie ich wina, powtarzała sobie. Nikt im nie wyznaczył granic. Alison miała na studiach zajęcia z psychologii dziecięcej i znała wszystkie teorie.

Postanowiła zademonstrować Carly i Lucy, na czym polegają granice i zarazem wpłynąć jakoś na te dzieci.

– To nasza tablica wyników – zaczęła. Mówiła głośno i przesadnie wyraźnie, jak kiepska aktorka. – Możecie ją obsługiwać i na zmianę wciskać guziki. Inne tablice są zakazane. Nie wolno wam ich dotykać. – Przypomniała sobie jeszcze jedną ważną zasadę. Zawsze trzeba tłumaczyć dzieciom, czemu im się czegoś zabrania. – Jeśli je naciskacie, psujecie innym zabawę. Będą źli i pójdą na skargę, a wtedy wieczór skończy się źle dla wszystkich łącznie z wami, bo zostaniecie ukarane.

No proszę, pomyślała z satysfakcją, jeszcze zakończyłam bezpośrednimi konsekwencjami ich działań. Pewnie inni ludzie guzik je obchodzą, ale nie pozwolą, żeby coś popsuło im zabawę.

Carly i Lucy biegały po całej sali. Kiedy wcisnęły wszystkie guziki, stanęły przed Alison z anielskimi uśmiechami.

– Czy możemy iść do McDonalda? – zapytały.

John stał w holu i stukał palcem w mikrofon, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Czas na nasz taniec! – zawołał radośnie. Jego słowa powitano okrzykami entuzjazmu.

– Co to jest „nasz taniec”? – zapytała Fiona.

Zanim Millie zdołała wymyślić rozsądną odpowiedź, wszyscy ustawili się rzędami. John podniósł kciuk. Odpowiedzieli tym samym gestem.

– Dobra, pewnie wszyscy to znacie, ale dla tych, którzy nigdy tego nie tańczyli: Najpierw podnosimy rękę do góry, o tak, żeby zrobić Y, potem opuszczamy dłoń, żeby wyszło M, ramiona w jedną stronę i mamy C, a potem rękę do góry i jest A! No to zaczynamy YMCA.

Max obserwował go z niedowierzaniem.

– Żartuje czy co? – zapytał. – Chyba nie myśli, że będziemy to robić?

– Od lat tego nie tańczyłem! – zapalił się Graham i pobiegł na parkiet.

Max spojrział na Fionę.

– Wiedziałaś, że taki jest, kiedy za niego wychodziłaś? Nie znam go od tej strony. To przerażające!

– Wydaje ci się, że kogoś dobrze znasz, tymczasem nic z tego – zgodziła się gorzko.

Max obserwował, jak Tess się kołysze i wykonuje ruchy, jakby tańczyła to już setki razy.

– Teraz i ja się zdziwiłem – mruknął pod nosem. Pozwolił, żeby Lara zaciągnęła go do Tess.

– Chodziłaś potajemnie na wieczorki taneczne, podczas gdy ja harowałem w sklepie? – zapytał żartobliwie. – Widać, że już to tańczyłaś.

Tess na niego nie patrzyła.

– Gdybyś spędzał w domu więcej czasu, znałbyś mnie lepiej. A ja ciebie.

– Dlaczego jesteś taka tajemnicza? – syknął. Oby Lara nie słyszała, że zaczyna się kolejna kłótnia. – Nie możesz powiedzieć prosto z mostu, o co ci chodzi?

– Nie chciałbyś tego usłyszeć – odparła. – Chodź, Millie! – skinęła na przyjaciółkę. Millie weszła na parkiet, ale niezbyt dobrze się czuła, podskakując z dwójką dzieci w brzuchu.

– Chodź, Fiona! – krzyknął Graham. Fiona przecząco pokręciła głową. Graham nie przyjął tego do wiadomości. Obudził się w nim lew salonowy, a ona jest jego damą. Podszedł do niej, nadał robiąc litery ramionami. – Chodź – zachęcał. – Nie przyjmuję odpowiedzi odmownej.

– Nie teraz – burknęła. – Idę do łazienki. – Wstała i wyszła.

Graham odprowadzał ją wzrokiem, zaniepokojony jej humorem, ale uznał, że to wina Daphne. A potem zagrali *Agadoo* i zapomniał o wszystkim.

– Biją się! Policja!

Alarm podniosły dzieci Fiony. Nigdy nie widziały bójki, ale oglądały telewizję i wiedziały, co się krzyczy w takiej sytuacji. Fiona westchnęła.

– Wiedziałam, że wcześniej czy później tak to się skończy. Bez względu na to, co mówi Tess, ta dzielnica nie na darmo ma złą reputację. Oby tylko nie było to nic poważnego.

Dołączyli do tłumu gapiów przed ośrodkiem kultury.

– Gdzie mama? – zaniepokoiła się Fiona. Nie widziała jej od pierwszego tańca.

– Tutaj. – Graham wskazał centrum zamieszania.

Fiona przepychała się przez tłum, za wszelką cenę chciała uratować matkę przed zaćpanymi narkomanami, którzy chcą jej odebrać emeryturę.

Zaćpani narkomani to, jak się okazało, Carter, Archie i Rav. Kręcili się nieporadnie dokoła Daphne, która cmokała z irytacją i co chwila powtarzała, żeby się nie wygłupiali.

– On zaczął! – Rav wygrażał pięścią Archiemu.

– Powiedziałem tylko, że pierwszy umówiłem się z Daphne i to mi daje pewne przywileje, jak choćby to, że wy, dwaj zdrajcy, powinniście zapytać mnie o zdanie, zanim umówiliście się z moją damą.

– Nie musiałeś mnie popychać! – zauważył Carter.

– Nie popchnąłem cię – tłumaczył Archie. – Chciałem cię wyminąć, ale uparcie stałeś mi na drodze. Delikatnie przesunąłem cię na bok. A wtedy ty mnie pchnąłeś.

– Ty pierwszy!

– Widziałem, jak dolewasz jej wina, kiedy nie patrzy! – krzyknął Rav. – Dżentelmen tak nie robi!

– To w celach medycznych – tłumaczył Archie. – Widziałem, że ją boli. Powiedz mu, Daphne!

– Nic nie powiem. – Daphne świetnie się bawiła i nie miała zamiaru rozsądzać sporu.

– Chciałeś ją upić! – zarzucił Rav. – Kiedy chciałem jej powiedzieć, co wyprawiasz, odsunąłeś mi krzesło! Patrz! Mam drzazgę w palcu, tak mocno złapałem się stołu, kiedy leciałem na ziemię.

Daphne zerknęła na drzazgę.

– Chodź do światła, wyjmemy ją.

– Nie odsunąłem mu krzesła – burknął Archie.

Daphne szła coraz szybciej, co przyszło jej z trudnością. Sama odsunęła to nieszczęsne krzesło, chciała na nim usiąść. Nie spodziewała się, że Rav klapnie na podłogę jak bohater kiepskiej komedii.

Rav wszedł z nią do środka i na pożegnanie obrzucił Cartera i Archiego spojrzeniem pełnym wyższości.

John wyszedł na dwór. Akurat zdążył, żeby powstrzymać Cartera i Archiego przed dalszą kłótnią.

– Tato! – syknął. – Wstydz się! Bić się na oczach wszystkich!

– Co to za bójka. – Carter machnął ręką. – Krew się nie poląła.

– Ale Rav ma drzazgę, a ja migrenę – zauważył Archie.

– Do środka, obaj, i to już! – huknął John.

– Już ja ją dorwę! W domu! – syczała Fiona do Grahama. Była wściekła na myśl o roli Daphne w całym tym zamieszaniu.

– Czy możemy odwieźć je do domu? – błagała Alison. – Nie ma już miejsc, skąd mogliby nas wyrzucić.

– Nie możemy, póki nie będziemy pewni, że Millie już wróciła. Pamiętasz, jak źle zniosła twoją obecność w naszym domu. Umówiłem się, że odwieziemy je o dziewiątej.

Alison zerknęła na zegarek.

– To jeszcze całe dwadzieścia sześć minut. Co z nimi zrobimy przez ten czas?

– Chodźmy na plac zabaw – podsunął Tim.

– Jest za ciemno – zaprotestowała. Nawet nie jestem matką, a i tak wiem, że to idiotyczny pomysł. I chociaż o niczym innym nie marzę, jak o tym, żeby któreś, albo jeszcze lepiej wszystkie naraz miały poważny wypadek, to nie uśmiecha mi się cała noc na ostrym dyżurze, z hordami rozwrzeszczanych bachorów i rozhisteryzowanych rodziców.

W końcu wylądowali w Burger Kingu (do McDonalda i KFC mają zakaz wstępu), obiecali dzieciakom po pięć funtów, jeżeli zjedzą lody w spokoju, zamiast mazać nimi po ścianach, stołach, innych ludziach i ciuchach Alison. Mają także nie śpiewać niecenzuralnej wersji kolędy *Jingle Bells*, która już zwróciła uwagę policji na Streatham High Road.

– Dobrze wyglądasz – zauważył Tim żałośnie, gdy wreszcie odwieźli dzieci do domu. – Co zrobiłaś?

– Zaczęłam żyć, jak ty – odparła Millie. – Do widzenia.

Zamknęła mu drzwi przed nosem i uśmiechnęła się do siebie. Widziała jego zaskoczenie. Myślał, że pogrzyżyła się rozpaczy, że się nie myje i nosi ubrania tył na przód. Nie spodziewał się, że będzie wyglądała lepiej niż w ciągu ostatnich lat.

– Robi to dla faceta – stwierdził posępnie do Alison. – Dla mnie się nie starała, ale ledwie zniknąłem, popatrz tylko, jak się stara dla Daniela. – Wymówił jego imię z obrzydzeniem. Nienawidził go jeszcze bardziej, odkąd Millie przestała o nim wspominać. Wiedział z doświadczenia, na przykładzie jego znajomości z Alison, że tajemnice źle wróżą.

– A jeśli zechce za niego wyjść? – zajęczał. – Będzie ojczymem. Moje dzieci będą mówiły do niego tato. Będę je widywał co trzeci weekend i będę

musiał z nimi latać po parkach i ogrodach zoologicznych, i kupować im drogie prezenty, żeby mnie kochały bardziej niż jego. – Gwałtownie złapał Alison za rękę. –Jezu! A jeśli on jest ich ojcem? To znaczy, bliźnięt. – Alison obserwowała, jak oblicza coś w myślach. Odetchnął z wyraźną ulgą. – Nie, niemożliwe, pojawił się dopiero niedawno, zresztą chyba wiemy, kiedy to się stało. Poszliśmy do opery, Millie zamówiła dżin z tonikiem na pusty żołądek, a miała na sobie bluzkę z naprawdę dużym dekoltem i...

– Zamknij się!

Tim spojrzał na Alison z niedowierzaniem. Takie rzeczy mówiła, czy raczej krzyczała, Millie. Ale Millie jest jego żoną, a żony tak robią. A Alison jest... nie wiedział dokładnie, kim jest, ale ma na niego patrzeć z zachwytem, słuchać jego zwierzeń i rozwiązywać problemy.

– Boli cię głowa? – Szukał jakiegoś zrozumiałego wytłumaczenia jej wybuchu.

– Tak – odparła słabo. To łatwiejsze niż mówić mu prawdę. Zresztą właściwie nie skłamała. Głowa naprawdę ją boli. Wręcz pęka od natłoku rozbieganych myśli, które nie pozwalają jej się skupić.

Kilka rzeczy jest jasnych. Nie wytrzyma z nim dłużej. Z dziećmi czy bez, Tim doprowadzał ją do szału. Teraz już wiedziała, dlaczego go rzuciła. Jako nastolatek był taki sam, jękliwy, słaby i miękki. Wcale się nie zmienił.

Lecz Alison nie jest zła, przynajmniej sama tak uważała. Owszem, planowałam odbić go żonie, ale to by mi się nie udało, gdyby w ich małżeństwie wszystko było w porządku. To nie moja wina. I chciałam go uwieść, żeby mieć z nim dziecko, ale to nic złego, bo się o tym nie dowie.

Jednak to, że wyrzuciła go z domu, to moja wina. Poszłam tam, wiedząc, co chodzi mu po głowie. Włożyłam tę idiotyczną koszulkę, żeby go uwieść. Więc kiedy jego żona niespodziewanie wróciła wcześniej, do czego miała

święte prawo, to w końcu jej dom, nic dziwnego, że pomyślała to, co pomyślała. I co, ja też mam go wyrzucić? Chyba nie jestem aż tak okrutna.

W gruncie rzeczy Alison była zadowolona, że wszystko wyszło na jaw. Ostatnio zastanawiała się, czy nie jest złym człowiekiem, zwłaszcza kiedy snuła krwawe fantazje z dziećmi Tima w roli głównej.

Na razie jakoś go wytrzymam, postanowiła. Chociaż sama już nie wiem, czy chcę tego dziecka. Widziałam, co spłodził do tej pory i może lepiej byłoby sprawić sobie psa?

– Chyba się dzisiaj dobrze bawiłaś? – zauważył Max radośnie.

– Cieszę się, że się zgodziłeś, żebyśmy tam chodzili – odparła Tess ostrożnie. – Lara się cieszy, że robimy coś razem. Ale to chyba za mało.

– To może zobacz, co jeszcze oferują w ośrodku? Kiedy otworzymy sklep, nie będę pracował wieczorami, więc będziemy mogli chodzić też na inne zajęcia, nie tylko na tańce.

Cały czas liczył coś na kalkulatorze. Wyciągnął wszystkie stare faktury i studiował je zawzięcie.

– Czy możesz na chwilę przestać? – poprosiła.

Nie przerywał.

– Chciałbym to skończyć do jutra. Mamy spotkanie w przerwie na lunch.

– Max, przestań. – Podniosła głos najbardziej jak mogła, nie budząc Lary.

Córka spała za cienką jak papier ścianą.

Odłożył kalkulator.

– Długo to potrwa? – zapytał.

Tess odetchnęła głęboko. Może w powietrzu są atomy cierpliwości, bardzo jej teraz potrzebnej.

– Max, jeszcze zanim zaczniemy ten nowy interes, obiecajmy sobie, że nie popełnimy tych samych błędów co poprzednio.

– Przecież już mówiłem, że do tego nie dojdzie! Opłaty będą znacznie mniejsze...

– Nie chodzi mi o pieniądze – przerwała mu. – Tylko o nas. Popatrz na siebie. Już się zaczęło, cały czas tylko liczysz, sprawdzasz, planujesz. Kiedy otworzycie sklep, będziesz pracował do późna, testował nowe przepisy, ustawiał towar. Skończy się jak poprzednio, przestaniemy rozmawiać, nie będziemy się widywać.

Wziął ją za rękę.

– Nieprawda! Przysięgam, będzie inaczej! Co tydzień będziemy chodzić na tańce, jeśli chcesz, zaczniemy też robić coś innego. Poza tym musimy dalej chodzić do kościoła, zwłaszcza że teraz łączą nas z Johnem interesy. I będziemy się starać o dziecko! I spędzać razem mnóstwo czasu!

Pocałował wewnątrz jej dłoni, wrócił na kanapę i wsadził nos w obliczenia.

Tess obserwowała go i wszystko, co mówił, wyleciało jej z głowy. Bo to tylko słowa, wiedziała o tym. Wiedziała także, była tego całkowicie pewna, że dzień otwarcia sklepu będzie początkiem końca ich związku.

Graham nie spał, leżał w łóżku i układał listy, których nigdy nie napisze. Może mógłbym zdobyć e-mail Eloise, zastanawiał się. Nie, to nic nie da. Nawiązałbym kontakt. Musiałbym być gotowy na dalszy ciąg. Dziecko to nie zabawka...

Zszedł do kuchni i przygotował sobie kubek gorącej czekolady.

Nie robiłem tego od lat, ostatnio, kiedy dzieciaki były malutkie, chorowały i czuwałem przy nich całą noc. Ciekawe, kto siedział z małą Eloise, Christine czy David? Czy mieli do niej tyle cierpliwości, ile ja do moich dzieci? Do moich pozostałych dzieci?.

Co robić? Co robić? Zastosował metodę, bardzo skuteczną w problemach zawodowych. Trzymaj się faktów, tylko faktów, i wyłącznie na ich podstawie wyciągaj wnioski.

W porządku. Fakty: mam dwudziestoletnią córkę, która wie, że jestem jej ojcem. Zdaje sobie sprawę z tego, że ja wiem, iż jest moją córką.

Dwa wyjścia: nawiązać kontakt albo nie.

Opcja pierwsza: jeśli się do niej odezwę, muszę się liczyć z tym, że to się będzie ciągnąć do końca życia. Zbyt okrutne byłoby porozmawiać z nią raz i się wycofać. Zresztą co by jej dała jedna rozmowa, czy nawet spotkanie?

Opcja druga: Jeśli się do niej nie odezwę, nabierze przekonania, że rodzony ojciec ją odepchnął. Przeżyje kolejną utratę: śmierć przybranego ojca, potem wiadomość, że nie był jej tatą, a teraz to.

Ale, ale, ale. Eloise to także Christine. Widzę, co się dzieje z Timem i Millie. Zaczęło się od zwykłej rozmowy z Alison i dokąd ich doprowadziło? Nie wiem, czy mam więcej samokontroli niż Tim. Czy odważę się do niej zadzwonić?

A czy mogę tego nie zrobić? Dochodziło wpół do drugiej w nocy, ale sięgnął po słuchawkę.

– Więc zgadzamy się, że tak dalej być nie może? – upewnił się Carter.

Rav i Archie skinęli głowami. Siedzieli tam, gdzie wkrótce będzie sklep z żywnością ekologiczną. Dokoła szaleli robotnicy.

– Za długo się przyjaźnimy – przyznał Archie.

– I będziemy współnikami – dodał Rav. – Nie możemy pozwolić, żeby to nas poróżniło.

– Więc co zrobimy? – zapytał Carter.

– To proste – zaczął Archie.

Carter i Rav spojrzeli na niego z nadzieją. Archie odchrząknął.

– Wszyscy mamy pewne... zamiary wobec pięknej Daphne. Ponieważ już udowodniliśmy, że do bójek się nie nadajemy, musimy znaleźć inny, pokojowy sposób na rozwiązanie tej sprawy.

– Może rzucimy monetą? – podsunął Rav.

– Nie wygłupiaj się, moneta ma tylko dwie strony, a nas jest trzech – zachnął się Carter.

– Kto się wygłupia, co? – zaperzył się Rav.

– Przestańcie! ryknął Archie.

Rav i Carter posłuchali, ale łypali na siebie groźnie i mamrotali coś pod nosem.

– Dziękuję – mruknął Archie. – Nie, nie będziemy losować ani nic takiego. Mówimy tu o damie, nie o loterii fantowej. To proste. Pójdziemy do niej i zapytamy, którego wybiera.

– Nie powinnam była tu przychodzić, ale cieszę się, że to zrobiłam – powiedziała Tess. Przekasili coś na lunch i teraz spacerowali po parku.

– W którym momencie mam zacząć cię ignorować na ulicy? – zapytał Jerry.

Tess uderzyła go w bark. Złapał ją za rękę i wsunął sobie pod ramię. Zostawiła ją tam. Nie wiedziała, czy nowe uczucie sprawia jej przyjemność, czy nie.

Było lodowato. Odruchowo przytulili się do siebie.

– Czy powinniśmy? – zapytała nerwowo, kiedy zaproponował spacer.

– Pewnie. Tylko idioci wychodzą w taką pogodę. Spotkamy jedynie policjantów, psiarzy i inne pary, które się kryją.

Szli wolno, mimo przenikliwego wiatru, jakby bez słów uznali, że ten ostatni spacer ma trwać jak najdłużej.

– Dlaczego wyszłaś za Maksa? – zapytał nagle. – Wybacz, że to powiem, ale chyba nie bardzo do siebie pasujecie, a teraz wyraźnie nie jesteście szczęśliwi.

Tess nie zastanawiała się nad tym od lat. Nawet kiedy poważnie brała pod uwagę rozwód, nie pamiętała, czym się kierowała, wychodząc za niego za mąż.

– Chyba między innymi dlatego, że oboje jesteśmy jedynakami. Dusiliśmy się oboje, chcieliśmy jak najszybciej uciec z domu i mieć towarzystwo.

– Dla towarzystwa, o ile mi wiadomo, zenią się staruszkowie – zażartował Jerry. – Młodymi kierują bardziej romantyczne uczucia.

– Daruj sobie. Nam się udało. W pewnym sensie myśleliśmy tak jak ty. Upewniliśmy się, że chcemy tych samych rzeczy, wyznajemy te same wartości, czujemy do siebie to samo. Na początku była też namiętność. Myśleliśmy, że to miłość.

– Więc dlaczego nie jesteś szczęśliwa?

– Bo nie mamy tego, o czym marzyliśmy najbardziej, dużej rodziny. Nasze ideały się zmieniały, gdy każde z nas inaczej walczyło z rozczarowaniem. Uczucia się zmieniają, to normalne. A co do namiętności... – Wzruszyła ramionami.

– Współczesna tragedia – rzucił lekko. Delikatnie ścisnął jej dłoń i Tess z wdzięcznością przyjęła ten gest otuchy. – I co teraz?

Przyspieszyła kroku.

– Żyjemy dalej. Tak trzeba, kiedy się ma dziecko. Będzie dobrze.

– Mogłoby być lepiej niż dobrze.

Puściła te słowa mimo uszu.

– Nie masz czasami ochoty uciec, szukać szczęścia, zaryzykować? – spytał.

Zdziwiona, podniosła głowę.

– Pewnie że mam. Jakaś część mnie w kółko to robi. Dzięki temu wytrzymuję; jakiś fragment mnie jest niedostępny dla innych. Ta cząstka żyje, reszta mnie tylko wegetuje. Myślałam, że wszyscy tak mają.

Jerry przecząco pokręcił głową.

– Ja żyję w stu procentach. Dlatego od tylu lat zwlekam z małżeństwem, chcę mieć całkowitą pewność.

– Nie ma czegoś takiego – odparła Tess cicho. – A co z wami? To znaczy, z tobą i Heather?

– Nie wiem – przyznał. – Chyba się rozstaniemy. Dużo myślałem o tym, co powiedziałaś, o czekaniu na prawdziwą miłość, cokolwiek to jest. Znając mojego pecha, poznałbym ją tydzień po ślubie z inną!

– Więc nie rzuciłbyś jej i nie poszedł za głosem serca?

Spojrzał na nią z oburzeniem.

– Skądże! Za kogo ty mnie uważasz?

– Więc jak myślisz, jak mam reagować, kiedy opowiadasz, co do mnie czujesz? Po co w ogóle o tym mówić, skoro i tak nic z tego nie będzie?

Wzruszył ramionami.

– Bo dla mnie to wszystko jest nowe. Płynę z prądem, mówię, co czuję, i czekam, jak zareagujesz.

Tess była na siebie wściekła, że brnie głębiej w ten temat, ale tłumaczyła sobie, że rozmawiają o tym po raz ostatni. W ogóle rozmawiają po raz ostatni.

– Więc żeby wszystko było jasne: wiesz już, co do mnie czujesz? – Starła się, żeby pytanie zabrzmiało lekko i nonszalancko.

– O tak, wiem. Jest inaczej niż dawniej. To chyba zakochanie, o którym mówiłaś. – Zatrzymał się i spojrzał na nią. – Więc zanim dotrzymam słowa i na zawsze zniknę z twojego życia, powiem to, na wszelki wypadek, bo nie wiadomo, czy jeszcze będę miał okazję to powiedzieć tobie czy komuś innemu. Kocham cię.

I pocałował ją, po raz pierwszy i ostatni.

Ja też, chciała krzyknąć, ja też cię kocham! A w przeciwieństwie do ciebie już wiem, czym jest miłość, prawdziwa i fałszywa, i zdaję sobie sprawę z tego, że to bardzo prawdziwe uczucie! Ale nie mogła tego powiedzieć.

Punktem odniesienia do wszelkich uczuć, których doświadczała, była jej miłość do Lary, a z tym żadne uczucie nie mogło się równać. Lara to jej dziecko, być może jedyne. Tess święcie wierzyła, że każde dziecko ma prawo do beztroskiego dzieciństwa i przekonania, że jest najważniejsze dla rodziców. Przy takim nastawieniu poświęcenie na stałe wchodzi do słownika.

Może gdyby miała więcej dzieci, nie byłaby taka pewna. Może instynkt macierzyński nie byłby tak silny. Teraz w każdym razie nie wyobrażała sobie, że mogłaby świadomie i celowo skrzywdzić Larę.

Nie umknęło jej uwagi, że lojalność wobec Maksa nie miała żadnego wpływu na jej decyzję. Jeśli już, bardziej przejmowała się Heather.

Zastanawiała się, czy gdyby Jerry nie był narzeczonym Heather, nie odrzuciłaby zasad w kącie i nie wdała się nim w przelotny romans, który nie odbiłby się na jej rodzinie. Może to pomogłoby jej przetrwać ciężki okres w małżeństwie? Ale nie zrobi tego ze względu na Heather. Nie, zwłaszcza że ona jest w ciąży.

Pod Maksem ugięły się kolana. Zabawne, pomyślał. Tyle razy czytałem, że emocje mają wpływ na reakcje fizyczne, ale nigdy w to nie wierzyłem. A teraz proszą, trzęsą mi się nogi, jest mi niedobrze, nawet serce mi szybciej bije.

Nigdy się nie zastanawiałem, co poczułbym na widok Tess z innym mężczyzną. To znaczy, to nie to samo co Millie, która przyłapała Tima z tą kobietą w samej bieliźnie, ale w pewnym sensie jest jeszcze gorzej.

Przy nim Tess jest taka miękka. Wrażliwa. Uległa. Przy mnie nigdy taka nie była, nawet kiedy roniła, nigdy nie wtulała się we mnie w taki sposób. Zawsze kontrolowała uczucia, skrywała je przede mną, nie pozwalała, żebym ją pocieszył. A przy nim się otwiera. To niesprawiedliwe.

Jak daleko to zaszło? Całuje go publicznie, Bóg jeden wie, co robią z dala od ludzkich oczu. A mnie nigdy nie ma w domu:

Nigdy nie ma mnie w domu, powtórzył. Skąd ja to znam? Och, tak, Tess zarzucała mu to w czasach Organique. To był początek niezliczonych kłótni. Zawsze ignorowałem jej błagania.

Wtedy sobie przypomniałem, jak poprzedniego wieczoru nalegała na rozmowę. Ostrzegala, a on znowu puścił to mimo uszu. Oczywiście byłoby lepiej, gdyby po prostu powiedziała:

– Skarbie, wysłuchaj mnie, bo inaczej będę się całowała z innymi facetami. Albo i robiła coś więcej.

Zawsze była zbyt subtelna, za mało bezpośrednia.

Ale może to też moja wina. Powinienem był powiedzieć:

– O co ci chodzi, kobieto? Mów po ludzku. Jestem niezbyt bystrym, mało wrażliwym facetem, który nie umie czytać między wierszami. Myślałem, że wszyscy mężczyźni tacy są. Więc zanim podejmiesz pochopną decyzję, która mogłaby zniszczyć nasze małżeństwo, powiedz mi, o co ci chodzi?

Wziął się w garść, gdy sortował swoje uczucia w starannie opisane kategorie:

1. Najnormalniejsza w świecie zazdrość.
2. Wściekłość.

3. Ochota, by walnąć pięścią w drzewo, ale obawa przed pogruchotaniem palców.

4. Ochota na płacz, choć nie jest typem mazgaja.

5. Ochota na zemstę w postaci romansu z najlepszą przyjaciółką żony. Problem w tym, że żadna mu się nie podoba, a szczególnie Heather.

Poza tym zaraz ma spotkanie, a skoro zaangażowali się w to finansowo, musi być rozsądny. Zrobi tak: pójdzie na spotkanie, a potem wróci do domu, do Tess, i zacznie ratować ich małżeństwo.

Cześć, Tess, tu Heather. Chciałam ci tylko powiedzieć, że zrobiłam test. Wynik negatywny. No cóż, takie jest życie. Mam nadzieję, że tobie się bardziej poszczęści w tej dziedzinie. Pa.

Jeszcze raz mi przypomnij, dlaczego właściwie co tydzień chodzimy do kościoła? – zapytał Graham.

– Bo próbowaliśmy wszystkiego innego i nic nie działa – odparła Fiona ponuro. – Poza tym, chodzi tam twój szef i w przyszłym tygodniu jesteśmy do nich zaproszeni na kolację. Jeśli my nie pójdziemy, Millie też nie. Dzieciakom się podoba. Mnie też. I nikt cię nie dotyka, więc nie marudź – dokończyła. Graham opanował do perfekcji sztukę chowania dłoni w kieszeniach, ledwie ktoś spojrzał na niego z odrobiną sympatii.

Poszli do Cartera na niedzielny lunch. To był nowy zwyczaj, który wszyscy szybko zaadaptowali. Millie nadał wyglądała wspaniale.

– Jak to jest, cały weekend bez dzieci? – zapytała Fiona. – Pewnie bardzo za nimi tęsknisz.

Millie się roześmiała.

– Chyba żartujesz. Owszem, wieczorem mi ich brakuje. Lubię zaglądać do nich, kiedy śpią i stają się znowu dziećmi, a nie diablętami. Ale spokój jest cudowny.

Pogłaskała się po coraz większym brzuchu.

– Nie przeszkadza ci, że są pod jednym dachem z Timem i tą kobietą? – Tess podziwiała ją, że godzi się z tą sytuacją.

– Rozkoszuję się każdą sekundą. – Millie uśmiechnęła się złośliwie. – Wyobrażam sobie, jak niszczą jej pamiątki z podróży, wywalają sos do spaghetti na białą kanapą, rysują jej podłogą zabawkami...

– Ty sadystko! – krzyknęła Tess z zachwytem.

– Bardzo mi się to podoba. Wczoraj spałam dziesięć godzin. Nawet nie wstawałam do łazienki. Czuję się wspaniale. Zastanawiałam się, czy do was nie zadzwonić i nie wyciągnąć gdzieś wieczorem!

– Ani słowa więcej – ostrzegła Fiona. – Wyobrażam sobie dziesięć godzin snu. Co za rozkosz!

– Myślałyście już o tym wyjeździe weekendowym, o którym mówił John?

Wszyscy umilkli. John wspominał o wspólnym wyjeździe mieszkańców dzielnicy za dwa tygodnie. Koszt to tylko pięćdziesiąt funtów od rodziny. Tess od razu wyobraziła sobie, jak jadą wszyscy razem.

Byłoby super, pomyślała.

Koszmar, pomyśleli wszyscy inni.

– Max uważa, że to świetny pomysł, prawda? – zapytała. Max uśmiechnął się ciepło. Postanowił, że podoba mu się wszystko, co Tess zdecyduje. Jeśli zechce udawać instruktorkę czegoś innego, powiedzmy kick-boxingu albo spawania, nie tylko ją poprze i zapisze się na jej zajęcia, ale jeszcze oplakatuje całą dzielnicę.

Postanowił nie mówić jej, co widział. Mógłby w ten sposób otworzyć ranę, która nigdy się nie zagoi. Zamiast tego będzie mężem z jej marzeń i odzyska ją na dobre.

Graham odchrząknął. Zmusili go do chodzenia do kościoła, ale nie da się zrobić w cały weekend.

– Widzisz, Tess, ciągle myślimy o Prowansji.

Fiona posłała mu groźne spojrzenie. Uprzedzałam, żebyś o tym przy niej nie wspominał, mówił jej wzrok. Ale Tess wcale się nie zdenerwowała.

– Tak myślałam. Oczywiście w tym roku z wami nie pojedziemy, za dziesięć lat też pewnie nie! Ale to nasza jedyna okazja na chwilę odpoczynku i

myślałam, że wybieriecie się z nami, oprócz Prowansji. W końcu to tylko pięćdziesiąt funtów.

– Chcemy jechać! – rozkrzyczały się dzieci Fiony. – Tam są automaty do gry, gokarty, zapasy i zawody we wpychaniu tatusiów do basenu! I hamburgery, i wyścigi osłów.

– A najlepsze, że się mieszka w przyczepach kempingowych! – zawtórowała Lara.

Pozostałe dzieci przyjęły tę wiadomość z zachwytem.

– Super! Nigdy nie spaliśmy w przyczepie!

Bo tacy jak my nie mieszkają w przyczepach, pomyślała Fiona. My nocujemy w willach, hotelach, apartamentach, a raz, kiedyś, nawet w zamku, w Hiszpanii, ale nie w przyczepach. Wolę nie myśleć o toaletach. Wzdrygnęła się.

– Bardzo to lubiłem jako dziecko – odezwał się nagle Graham. – Zawsze jeździliśmy na wyspę Wight, na ten sam kemping. Było super.

– Więc dlaczego co roku wydajemy tysiące funtów i jeździmy za granicę? – zapytała Fiona kwaśno. – Może pojedźmy na wyspę Wight i jedzmy rybę i frytki w potokach deszczu!

– Mówiłaś, że nie podobają ci się takie wakacje – mruknął Graham.

– Ach, więc to wszystko moja wina, tak? A tobie nie podobały się nasze wakacje, tak?

Millie wyczuła nadciągającą burzę i szybko interweniowała.

– Słuchajcie, zanim was poniesie, chciałam powiedzieć, że na ten sam weekend zarezerwowałam domek we Francji. Jeszcze przed tą całą aferą z Timem – mieliśmy tam porozmawiać. Zupełnie o tym zapomniałam, dopiero teraz mi się przypomniało. Miałam nadzieję, że wszyscy ze mną pojedziecie.

Sama nigdzie się nie ruszę, nie bez Tima. Jak powiedziałam, wszystko już zapłacone. – Spojrzała na Grahama i Fionę.

– Brzmi super – zaczęła Fiona niepewnie. – Co ty na to?

Graham wolałby jechać do Bognor. Już się cieszył na przyczepę kempingową. Przypomnił sobie jednak niesmak Fiony na ostatnim wieczorku tanecznym i uznał, że typowe brytyjskie wakacje nie przypadną jej do gustu.

– Możemy jechać – zgodził się łagodnie.

– Super! – ucieszyła się Millie. – Ty i Max też! Z Larą! Nie zapłacicie ani pensa!

– Poza promem i benzyną – zauważyła Tess smutno. – Przykro mi, Millie, to świetny pomysł, ale nie możemy. Poza tym Lara bardzo się cieszy na wyjazd z nowymi przyjaciółmi.

Nie pytała Maksa o zdanie. Zgodnie z niepisaną zasadą, ona załatwiała wszystkie sprawy towarzyskie, a on nie oponował.

Carter podszedł, żeby przyjąć zamówienia. Wyczuł ponurą atmosferę?

– A gdzie się podziewa pani piękna matka? – zwrócił się do Fiony.

– W domu. Powiedziała, że jest zmęczona.

Carter przetłumaczył to sobie następująco: Daphne ma takie bóle, że nie ma nawet siły wstać. Nie miał okazji z nią porozmawiać, odkąd wraz z rywalami przedstawili jej ultimatum, i o niczym innym nie myślał.

– Czy dobrze słyszałem? Wybieracie się na nasz weekendowy wypad?

– Tak! – wrzasnęły dzieci.

– Nie! – warknęła Fiona. Nie zwracała uwagi na sprzeciwy dzieci. – Nie możemy, akurat wtedy jedziemy do Francji.

– A czy pani mama wytrzyma taką długą podróż? – zaniepokoił się Carter.

Fiona palnęła się w czoło.

– Cholera! Na śmierć o niej zapomniałam. Nie może zostać sama w domu. No, to po sprawie.

Carter się zamyślił.

– Chyba że pojedzie z nami do Bognor, prawda?

Fionę замуrowało. Jej matka, rzucona sama na pastwę trzech wielbicieli, bez córki, która przeprowadzi ją przez pole minowe. Wcale jej się to nie podobało.

Alison patrzyła, jak wskazówki zegara powoli pełzną po tarczy. Myślałam, że przeżyłam już najgorszą chwilę mojego życia w zeszłym tygodniu, kiedy zwiedzałam z czwórką bachorów Tima wszystkie fast foody w południowym Londynie. Myślałam, że na wsi będzie łatwiej. Myślałam, że będą hasały po polach, skakały przez żywopłoty, że pozbędą się skumulowanej energii, która powoduje ich fatalne zachowanie. Myślałam, że będziemy piekli kiełbaski, przytulimy się do siebie i opowiem im bajkę. A tymczasem niechcący wpuściłam czterech jeźdźców Apokalipsy w Bogu ducha winny zakątek hrabstwa Kent. Owszem, pozbywali się skumulowanej energii, ale zmieniła się w potężną siłę, która niszczy wszystko na swojej drodze. Właściciele sąsiednich farm pewnie jutro z samego rana zażądają, żeby się wyprowadziła.

– Widzi pani, paniusiu, kiedy ludzie wpuszczają psy na mój teren, mogę je zastrzelić.

Zastrzelcie dzieciaki! – chciała krzyknąć. Błagam! Przekonam ojca, żeby odstąpił od oskarżenia. Załatwię mu adopcję pokornych chińskich sierotek w zastępstwie. Millie niczego nie zauważy, będzie zajęta nową dwójką. Zresztą pewnie i tak ich nie rozróżnia, wszystkie jej się zlewają, gdy gnają przez dom niszczycielską falą.

– Czy ci ludzie sami nie mają dzieci? – dziwił się Tim, kiedy powiedziała mu o skargach rolników.

– Widzisz, chodzi o to, że dzieciaki wchodzą na cudzy teren. Wypuszczają kury, które może podusić lis, przeszkadzają w produkcji mleka. Rolnicy to ludzie interesu, a twoje dzieci przeszkadzają im pracować.

– Wieś należy do wszystkich, zawsze to powtarzam.

I wtedy doszła do wniosku, że go nienawidzi. Nienawidzi wszystkiego, co go dotyczy, włącznie, a raczej przede wszystkim z jego dziećmi, nawet tą dwójką nienarodzonych, bo na pewno będą takie same jak ich rodzeństwo.

Czy w szkole też taki był? – zastanawiała się. Oczywiście. Po prostu nie miał dość czasu, by wygłaszać głupie opinie na różne tematy. Wtedy wydawał się delikatny, romantyczny i w miarę oryginalny, skoro nie chciał się poddać trendom mody. Teraz zrozumiała, że nigdy nie będzie inny, a jego oryginalność to nic innego jak wrodzony brak samokrytycyzmu i chęci do pracy nad sobą.

Najlepiej zrobiłby mu korektor, który wymaze jego dziwactwa i upodobni go do jego rówieśników, uznała.

I po weekendzie mu to powiem.

– Możemy porozmawiać, czy to już molestowanie?

Tess podskoczyła. Jerry poszedł za nią do damskiej toalety.

– To prześladowanie – zauważyła. – Jeszcze kilka kroków, wejdiesz do łazienki i znajdziemy się w świecie filmów dla dorosłych.

– Nie mam nic przeciwko temu.

Tess się uśmiechnęła.

– Nie wejdziemy tam razem. Jesteśmy obserwowani.

Jerry się odwrócił i napotkał nerwowy wzrok Heather.

Uśmiechnął się i pomachał jej. Szybko odwróciła głowę.

– No, już. Więcej tu nie spojrzysz.

Tess zachichotała.

– Idź sobie!

Żadne z nich nie zauważyło Maksa, który dosyć skutecznie udawał, że dostał skrętu szyi. Przeciągał się co chwila, masował sobie kark i odwracał głowę, jakby chciał sprawdzić, czy mięśnie się rozluźniły. Za każdym razem widział, jak Tess rozmawia z tym mężczyzną. Bardzo się bał.

– Odchodzę od niej – powiedział Jerry.

Tess przestała się śmiać.

– Mam nadzieję, że nie ze względu na mnie. – Chociaż nie, w głębi serca mam nadzieję, że właśnie dlatego. Chciałabym, by ktoś mnie kochał miłością tak silną, że zmieniłaby jego los.

– Oczywiście, że ze względu na ciebie. Ale nie martw się, nie będę sterczał pod twoim oknem i śpiewał *Our Love Will Go On*.

– To dobrze, bo tego nie znoszę. W piosenkach, które się nadają zarówno na ślub, jak i na pogrzeb, jest coś perwersyjnego.

– W takim razie *Angels* Robbiego Williamsa – zaproponował.

– Albo *Love Is All Around Us Wet Wet Wet* – odrzuciła.

– Albo ta piosenka z *Robin Hooda, księcia złodziei* – dodał.

– O tak – zgodziła się. Jezu, jak on do mnie pasuje, przebiegło jej przez głowę. Przy nim puszczają moje wewnętrzne bariery. Ciekawe, czy warto byłoby na to pozwolić, przekonać się, czy jeden człowiek może wypełnić całe życie.

– Postanowiłem nie rezygnować. – Jerry patrzył w bok.

– Z czego? – Znała odpowiedź, ale grała na zwłokę.

– Z ciebie. Będę obok, chociaż będziesz mnie odpędzała, bo myślę, że w głębi duszy chcesz, żebym tu był. Przy mnie się uśmiechasz. Pewnego dnia się

obudzisz i stwierdzisz, że chcesz się uśmiechać cały czas. I wtedy do mnie przyjdiesz.

Tess się uśmiechnęła.

– Jeszcze długo poczekaasz.

Pokręcił głową.

– Nie sądzę.

Byli w Muzeum Rękodzieła, które wydawało się Alison doskonałym miejscem dla dzieci. Upewniła się, że nie ma tam żadnych zwierząt ani bezcennych chińskich waz. Weszli spokojnie i pewnie.

Zaczęło się powoli, przede wszystkim dlatego że zaserwowała im najbardziej ciężkostrawny obiad, jaki jej przyszedł do głowy: pieczeń, ziemniaki, makaron i ryż.

– Czy nie powinni jeść też warzyw? – Tima zaniepokoił dziwaczny zestaw.

– Jestem lekarzem, wiem, co powinny jadać dzieci – warknęła. Do późnej nocy szukała w Internecie potraw, które wywołują u dzieci senność. Kusiło ją, żeby wsypać im proszki nasenne, ale obawiała się, że straci prawo wykonywania zawodu, więc wołała nie ryzykować, jeśli jest inny sposób.

Cóż, może zwykle dziecko zapadłoby w śpiączkę po takim posiłku, dzieci Tima były jedynie lekko otumanione. Po zbiorowej wyprawie do toalety, którą zreferowali ze szczegółami, byli gotowi do drogi.

I wtedy się zaczęło.

Carly wsadziła patyczek w kołowrotek, na którym urocza staruszka przedła sierść lamy. Drewniane kółeczko pękło. Szkoda? Trzysta funtów.

Lucy ryła przekleństwa w glinianych naczyniach, które czekały na wypieczenie.

Ellie metodycznie pruć makramę z przyczepioną ceną (dziewięćdziesiąt pięć funtów), a Nathan stał przed kobietą z wózkiem, machał siekierą i wrzeszczał:

– Scooby–doby–doo!

Tim stał jak sparaliżowany. Dużo by oddał, żeby Millie tu była i wszystkim się zajęła. Alison zdała sobie sprawę, że wszystko pozostało w jej rękach. Wrzasnęła.

– Carly, Lucy, Ellie, Nathan! Wracajcie tu natychmiast! Czy może mam po was iść i złać was na kwaśne jabłko?

Powiedziała to, zanim zdążyła się zastanowić. W końcu jest w miejscu publicznym, ona miejscowa lekarka.

– Tylko żartowałam! – dodała słabo.

Lecz wyrazy niesmaku na twarzach zebranych świadczyły, że musi popracować nad poczuciem humoru. Niech was szlag trafi, pomyślała. Na pewno wszyscy mówicie dzieciom rzeczy, których nie myślicie.

Cała czwórka zalała się łzami. Alison była przerażona. I znowu wszyscy patrzyli na nią. Podbiegła do nich.

– Cicho! – syknęła. – Jak się zamkniecie, dam każdemu po pięć funtów.

– Tak się nie wychowuje dzieci – zauważył ktoś.

– On tak robi! – wskazała Tima. – To ich ojciec. Ja ich prawie nie znam. I nie lubię.

Łzy, które wyschły na myśl o pięciu funtach, znowu popłynęły. Głośniej, bardziej dramatycznie.

– Jezu, zamknijcie się już! – wrzasnęła.

Tim wkroczył do akcji.

– Chodźcie, dzieci, idziemy. – Minał Alison i poprowadził swoją gromadkę w stronę parkingu. Poszła za nimi do samochodu. W milczeniu wrócili do jej domu. Natychmiast kazał dzieciom iść się pakować.

Zareagowały, okazując po raz pierwszy szczerą, dziecinną radość.

– Dzisiaj się przekonałem, że posiadasz inną, obcą stronę charakteru – zaczął powoli. – Wiem, nie jesteś matką, więc niewiele wiesz o dzieciach, ale nie powinnaś na nie tak krzyczeć.

Alison nawet nie próbowała się bronić. Zauważyła już, że rodzice są kompletnie zaślepieni na punkcie dzieci. Widzą tylko ich zalety, choć nie miała pojęcia, jakie zalety Tim i Millie dostrzegają w swojej gromadce.

– Przykro mi, że nie lubisz moich dzieci – ciągnął. – Są częścią mnie, i to chyba niezłą częścią. Jeśli one nie akceptują ciebie, a ty ich, nie ma dla nas przyszłości.

Alison otworzyła usta ze zdumienia. Rzuca mnie? Znowu? Chciałam go przepędzić, ale z litości pozwoliłam zostać, póki nie przestaną mnie dręczyć wyrzuty sumienia. Wtedy chciałam go rzucić i wyrównać rachunki sprzed dwudziestu lat.

Jak on śmie? Jak... Zanim wygłosiła mowę swojego życia, Tim poszedł pomóc dzieciom się pakować.

– Ach, byłbym zapomniał – rzucił chłodno przez ramię. –W zeszłym tygodniu dzwonił twój mąż. –I poszedł zabrać swoje rzeczy.

Nie ma sensu na niego wrzeszczeć, że nie przekazał tej wiadomości, stwierdziła. Nie zmarnuje na niego ani odrobiny energii. Usiadła w ulubionym fotelu i z niesmakiem zdrapała zaschnięte żółtko. Myślała o przyszłości bez Tima i jego bachorów. Może z Gabrielem. A już z pewnością z kimś z daleka, kto nie ma własnych dzieci.

– Przyszedłeś wcześniej – rzuciła Millie oskarżycielsko.

Spojrzał na nią, jakby jej nie poznawał. Bo naprawdę tak było. Zmieniała się coraz bardziej każdego dnia jego nieobecności. I to nie tylko w dziewczynę, którą kiedyś poznał. Stała się kimś innym, kimś nowym.

– Zmieniłaś się – powiedział.

– Mam szkła kontaktowe.

– Myślałem, że ich nie lubisz.

Uśmiechnęła się.

– Przyzwyczaiałam się. Ale nie powiedziałeś, czemu jesteś wcześniej. –

Idę o zakład, że wiem.

– Mogę wejść? – poprosił. – Jest bardzo zimno.

Millie zastanawiała się przez chwilę, po czym go wpuściła.

– Odszedłem od niej – oznajmił.

Millie usiadła i czekała, co jeszcze powie.

– To wszystko?

Tim nie wiedział, co o tym myśleć.

– Odszedłem na dobre. I do niczego między nami nie doszło. Mówiłem ci, że tak będzie, i tak było. Byłem ci cały czas wierny.

Millie powoli biła brawo.

– O to ci chodzi? Aplauz?

Tim z trudem przełknął linę.

– Chciałbym, żebyś przyjęła mnie z powrotem. Zrobię wszystko. Wszystko! Popełniłem straszny błąd. Tęskniłem za tobą, za dziećmi. Za naszym życiem.

– Kobieta w tandetnej koszulce... co z nią?

– Chyba wyjeżdża z kraju. – Znowu ją przegoniłem, pomyślał. Nadal nic się nie wyjaśniło.

– A powody, dla których odszedłeś?

Millie nie puści mu tego płazem. Nagle zapragnął z powrotem znaleźć się w Muzeum Rękodzieła. Przerażenie i współczucie nieznajomych były lepsze niż taka wiwisekcja jego życia.

– Nigdy nie chciałem od ciebie odejść – zaczął i podniósł rękę, kiedy Millie chciała zaprotestować. – Ale zawiodłem twoje zaufanie, przez co mnie wyrzuciłaś, więc zaakceptuję wszystko, co powiesz. Dlaczego to zrobiłem? Kocham moje życie, ale nie jest idealne.

– Doprawdy? – zachnęła się. – Za to moje jest.

– Wiem, wiem, nikt nie ma idealnego życia, ale czasami nie sposób się nie zastanawiać, że może ten ideał jednak gdzieś jest, a myśmy go po prostu nie zauważyli.

– I myślałeś, że z Alison miałbyś idealne życie? – zapytała.

– Wiem, to głupie...

– Wreszcie się w czymś zgadzamy.

Tim mówił dalej:

– Ale czy czasami nie marzysz, że masz jeszcze drugie, równoległe życie? Lepsze?

Millie zamknęła oczy. No pewnie, ty idioto, ale nigdy się nie dowiesz, jak wygląda, to mój wentyl bezpieczeństwa. Jej milczenie dodało mu odwagi. Lepsze to niż kpiny.

– Byliśmy prawie dziećmi, była moją pierwszą miłością, jedyną przed tobą. – Spojrzał na Millie. Ciągle miała zamknięte oczy. – Nie wiem, jak to jest, kiedy związek powszednieje. Myślałem, że emocje narastają w nieskończoność, jak wtedy, kiedy wyjeżdżała.

Millie zrozumiała.

– A potem się ożeniłeś i okazało się, że życie stało się nudne, a uniesienie znikło?

Tim się spieszył.

– Myślałem, że może coś z nami nie tak, że gdybym pojechał z Alison, byłoby inaczej.

– Mówisz, jakbyś nadal miał osiemnaście lat – stwierdziła z niesmakiem.

– Czas dorosnąć.

Fiona nie mogła tego dłużej ignorować. Podniosła słuchawkę i wybrała numer. Na wszelki wypadek wcisnęła przedtem sto czterdzieści jeden, żeby jej numer się nie wyświetlał.

– Halo? – odezwała się jakaś kobieta. – Halo? – Nabrała tchu. – Jeśli to zboczeniec, uprzedzam, mam na sobie wełniany sweter, ogrodniczki i kalosze. Jeśli to cię podnieca, współczuję...

Fiona cisnęła słuchawkę na widełki. Wcale jej to nie pomogło. Numer prywatny, odebrała kobieta. Wystarczające powody do niepokoju.

Przyszedł rachunek za telefon i jak zwykle przeglądała billing, żeby sprawdzić, czy dzieciaki nie dzwonią na numery zero–siedemset albo na *Idola IV*. Jej uwagę zwróciła późna pora. Nikt nie dzwoni w środku nocy, nawet ona, chociaż miała świadomość, że spędza ze słuchawką przy uchu zdecydowanie za dużo czasu.

To musiał być Graham. Walburga nocowała u koleżanki, a Daphne i dzieci spały jak kamień od wieczora do rana.

Dzwonił do jakiejś kobiety po pierwszej w nocy. I rozmawiał ponad godzinę.

Musi z kimś o tym pogadać, z każdym, byle nie z Grahamem. Bała się tego, co mogłaby usłyszeć. Zaczęła od Tess.

– Wyszła – odparł Max krótko.

– Dokąd? – zdziwiła się. – Jest niedziela wieczorem.

– Sama jej to powiedz. Zadzwoiła Heather, a Tess oczywiście od razu wszystko rzuciła i poleciała do niej. Chociaż jutro otwieramy sklep i przydałaby mi się pomoc.

Fiona poczekała, aż przerwie dla złapania oddechu, pożegnała się i odłożyła słuchawkę.

Rany, jeszcze nawet nie otworzyli tego sklepu, a już się kłóć. A ja myślałam, że to wszystko załatwi.

Tess siedziała u Heather i piła herbatę. Wolałaby wino, ale nie ufała sobie na tyle.

– Tak mi przykro – powtarzała bezradnie.

Heather ukryła twarz w dłoniach.

– Wiedziałam, że się na to zanosi, więc nie powinnam być zaskoczona. Po prostu tego już za wiele. To i fakt, że nie jestem w ciąży...

– Mówił ci dlaczego? – Tess nie patrzyła jej w oczy.

– To co zwykle. Nie zna do końca swoich uczuć. Nie chce się wiązać, póki nie będzie miał stuprocentowej pewności, że to najlepsze dla nas obojga. I tak dalej.

– Może to prawda.

Heather przecząco pokręciła głową.

– Nie, za dobrze go znam. Ma kogoś.

Tess była wstrząśnięta. Miała wyrzuty sumienia, ale liczyła, że siłą woli zmieni je w wyraz niewinnej ciekawości na twarzy.

– Na pewno się mylisz! Skąd ci to przyszło do głowy?

Heather zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Widzę to, wszyscy to widzą. Wiesz, nawet się zastanawiałam, czy tobie czegoś nie powiedział.

Teraz Tess naprawdę miała wyrzuty sumienia.

– Niby dlaczego?

– Widziałam, jak z nim rozmawiałaś u Cartera. I czasami widujecie się w szkole. I razem tańczycie.

Kiedy wyliczyła to w ten sposób, Tess nie mieściło się głowie, że Heather nadal niczego nie zauważa. Bardzo ją to zabolalo. To znaczy, że przyjaciółka ufa jej do tego stopnia, że takie podejrzenia nawet nie przyjdą jej na myśl.

Oddychała powoli, liczyła do dziesięciu, żeby uspokoić serce, jak się tego nauczyła na intensywnym kursie jogi.

– Nic mi nie mówił – powiedziała spokojnie.

Kłamczucha.

– A o czym rano rozmawialiście? – W głosie Heather była tylko ciekawość, nie podejrzliwość.

Tess nerwowo grzebała w kufierku wymówek, tłumaczeń i kłamstw.

– Pytał, czy jedziemy na wspólny weekend.

– A jedziecie? – zainteresowała się Heather.

– Tak. To znaczy my i matka mojej przyjaciółki. Nie pytaj – dodała, widząc minę Heather.

– Już się na to cieszę. Taki wypad dobrze nam zrobi. Tylko trochę głupio, że Jerry też tam będzie.

– A będzie? – zapytała Tess bezmyślnie. – Nic o tym nie mówił.

– Oczywiście, jest głównym organizatorem. Załatwia nocleg.

– Wyszła – powiedział Tim.

– Tim! Co ty tam robisz? – Fiona nie spodziewała się, że go usłyszy.

– Wróciłem. Tak jakby.

– Co to znaczy? – zainteresowała się i chwilowo zapomniała o swoich problemach.

– Śpię w gabinecie, który mam przerobić na pokój dziecienny. Dopiero wtedy się zastanowi, czy wpuścić mnie do sypialni.

Niezły układ, oceniła Fiona. Zaoszczędzą pieniądze na remoncie, Tim będzie zajęty i ukarany. Brawo, Millie.

– Więc gdzie jest? – zapytała.

– Poszła do baru, poczytać książkę.

Fiona nie wiedziała, co o tym myśleć.

– Czy to jakiś tajny kod?

Tim westchnął.

– Nie, to też część umowy. Raz w tygodniu sama chodzi do baru i czyta książkę.

Fiona była zupełnie zbita z tropu.

– Po co? – Zaraz jednak przypomniała sobie dzieci Millie i wszystko stało się jasne.

– Możesz zadzwonić do niej na komórkę. Mnie nie wolno – dodał ponuro – ale nic nie mówiła o przyjaciółkach.

Fiona pomyślała o Millie rozkoszującej się chwilą spokoju, za którą drogo zapłaciła, i postanowiła jej nie przeszkadzać.

– Skoro mowa o kodach – zapytał Tim. – Millie powiedziała, że teraz chodzimy do kościoła. Co to znaczy? Coś przyjemnego? – Nie zdołał ukryć nadziei w głosie.

Fiona się roześmiała.

– Żaden kod. Naprawdę chodzimy do kościoła. Nie martw się, spodoba ci się. Zabierają dzieci na całą godzinę i macie z Millie trochę spokoju.

Brzmi świetnie, pomyślał.

Kto teraz? Fiona wpadła w panikę. Nie jest introwertyczką, inni ludzie są jej potrzebni, pragnęła kontaktów i rozmów. Ale jest niedziela, a jej dwie przyjaciółki są nieosiągalne.

Usłyszała trzaśnięcie drzwi. No tak.

– Walburga! – krzyknęła.

Niemka nerwowo zajrzała do kuchni.

– To nie moja wina. Mówiłam, że nie wolno dotykać. Jutro kupię nowy.

Fiona gapiła się na nią tępo.

– O czym ty mówisz? Nie chcę na ciebie krzyczeć.

Mało brakowało, a Walburga zemdlałaby z ulgi. I zdziwienia, bo zazwyczaj po to ją wołano.

– Siadaj.– Fiona poklepała stołek.

Walburga posłuchała. No proszę, a jednak można, pomyślała Fiona cynicznie. Zazwyczaj nie jest w stanie wykonać najprostszego polecenia. A mnie się zdawało, że Niemcy to naród ceniący porządek i posłuszeństwo.

– Może napijesz się herbaty? – zaproponowała.

Walburga się przeraziła. Jeszcze się nie otrząsnęła po ataku Daphne. Niewiedza, jak się ogrzewa imbryk, jest najwyraźniej równie karygodna jak bombardowanie Londynu. Albo gorsza.

– Ja zaparzę – uspokoiła ją Fiona. Boże drogi, czy warto? Wręczyła Walburdze kubek słabej herbaty i usiadła naprzeciwko.

– Masz wielu chłopców, prawda? – zaczęła.

– O tak. – Dziewczyna się rozpromieniła. – Wielu, wielu.

– I pewnie pewnego dnia zechcesz wyjść za mąż?

– O tak, pewnego dnia, kiedy będę taka stara jak pani. Puszczę to mimo uszu, zdecydowała Fiona.

– Pan Graham i ja jesteśmy małżeństwem od wielu lat, pewnie sobie nie wyobrażasz, jakie to uczucie.

Walburga napiła się herbaty.

– Moi rodzice też są małżeństwem do wielu lat. Moja mama krzyczy na tatę jak pani na pana Grahama.

Nie na to liczyłam, ale lepsze to niż nic. Fiona dzielnie brnęła dalej.

– Jak zareagowałaby twoja mama, gdyby twój tata, z którym jest od wielu, wielu lat, zaczął dzwonić do innych kobiet w środku nocy?

Było to długie, skomplikowane zdanie i trochę trwało, zanim Walburga je zrozumiała. Fiona usiadła wygodnie i czekała na mądry komentarz. Albo głupi. Na jakikolwiek.

Obserwowała, jak twarz Walburgi wykrzywia przerażenie.

– Nie, nie, nie!

Fiona zerwała się na równe nogi.

– Co się stało?

– To nie ja! Ja nie jestem taka!

– Jaka? O czym ty mówisz?

– Ja nie dzwonię do pana Grahama w środku nocy! Nie mam dość pieniędzy na kartę! To nie ja! Jestem porządną dziewczyną!

– Och, Walburgo, nie! – krzyknęła Fiona. – Nie to chciałam powiedzieć! Wcale cię nie oskarżam! Wiem, że jesteś porządną dziewczyną!

Walburga nie słuchała, krzyczała coś po niemiecku. W końcu się opanowała, mniej więcej, i spojrzała na Fionę.

– Pani nie jest dobra! Pani mówi na mnie złe rzeczy! Powiem w agencji, że pani jest okrutna i niesprawiedliwa! A pani mąż jest stary i brzydki! Mam przystojnych chłopaków. Nie chcę pana Grahama! Idę do agencji. Znajdą mi miłą rodzinę z miłą mamą. I powiem, że chcę, żeby mama mamy też była miła!

Pobiegła na górę się spakować.

Fiona wyciągnęła z kredensu czerwone bombajskie, żelazny zapas Daphne. Nalała sobie duży kieliszek. Dobrze poszło, nie ma co.

Godzinę później Graham wrócił do domu. Był z dziećmi w parku.

– Fi! Przed domem jest taksówka!

Wtedy zobaczył, że Walburga taszczy swoje walizki.

– Co się stało? – zapytał. – Czemu wyjeżdżasz?

– Proszę się do mnie nie odzywać – chlipnęła. – Pana żona jest bardzo zła! Powiem to w agencji. Niech tu nie przysyłają miłych dziewczyn.

Minęła Grahama, uważając, żeby go nie dotknąć. Odjechała. Wszedł do kuchni. Fiona zdążyła wypić pół butelki wina.

– Co tu się dzieje? Czym ją tak zdenerwowałaś?

Machnęła ręką.

– Nie mam pojęcia. To wariatka. Nie jest prawdziwą Niemką, nie ma w niej za grosz pokory. Millie miała Niemkę w zeszłym roku i tamta była zupełnie inna.

Graham uznał, że rozsądniej będzie teraz na ten temat nie rozmawiać. Teraz i nigdy później. Zabrał dzieci na górę, żeby je przygotować do wieczornej kąpieli.

Fiona bawiła się winem w kieliszku. Nie mogła zapomnieć o telefonie. Nawet przerażająca myśl, że agencja *au pair* skreśli ją z listy pracodawców, nie pozwalała jej zapomnieć. Muszę z kimś pogadać.

Ale nikogo nie było.

Póki nie trzasnęły drzwi wejściowe.

– Wróciłam – oznajmiła Daphne.

Balony były wszędzie, na rurach i rynnach, na oknach i framugach.

WITAMY w ORGANIQUE–HEAVERBURY, głośiły transparenty. Było w pół do ósmej rano, a w kafejce już panował tłok. Max posłuchał rad wspólników, menu śniadaniowe było krótkie i proste: ekologiczne jajka, kiełbaski, bekon i grzyby z gospodarstw ekologicznych, chleb, upieczony przez sześć kobiet, uczennic Tess; po dwa gatunki kawy i herbaty, trzy różne soki owocowe. I tyle.

Goście zmieniali się błyskawicznie. Robotnicy wpadali na szybkie śniadanie i wychodzili po dwudziestu pięciu minutach. W pewnym momencie ustawiła się nawet kolejka.

TTLR

– Nie do wiary! – mruknął do Tess, która pomagała w obsłudze. Lara spała u koleżanki, żeby oboje mogli zacząć pracę przed szóstą i wszystko przygotować. – Tu jest o wiele większy ruch niż w naszym starym sklepie. Szkoda, że wtedy nie wiedziałem, że nie trzeba wszystkiego przesadnie komplikować, żeby się udało.

Tess dumiała nad tymi słowami przez cały ranek.

Carter, Rav i Archie zjawili się z samego rana, żeby pomagać i cieszyć się sukcesem. Nadal czekali na werdykt Daphne i trochę się na siebie dąsali, ale chwilowo odłożyli animozje na bok.

– Sklep gotowy? – zapytał Archie.

Max skinął głową. „Sklep” to za dużo powiedziane. Był to kąt restauracji, oddzielony od głównej sali skrzynkami z owocami i warzywami.

– Jedno musisz mieć na uwadze, to Heaverbury – tłumaczył wcześniej Archie. – Tutejsi mieszkańcy nie są bogaci, nie będą wyrzucać pieniędzy na luksusy, ale dorzucą parę funtów za dobrą jakość. Ekologiczne marchewki, jabłka i ziemniaki, owszem, ale nie ma mowy o oliwkach zbieranych przez toskańskie dziewice.

Max wykazał się imponującym opanowaniem, ograniczył się do podstawowych produktów i był bardzo zadowolony z rezultatów. Nawet Tess była pod wrażeniem, gdy w miarę upływu czasu półki pustoszały.

Nie mogła się powstrzymać, porównywała nowy lokal ze starym Organique, pretensjonalnym i całkowicie nierentownym. Tutaj wykorzystano każdy skrawek podłogi, każdą poziomą powierzchnię zajmowały produkty, które ludzie naprawdę kupowali. Chyba Max w końcu trafił w dziesiątkę,

pomyślała zadowolona, że mu się udało, choć to oznaczało, że będzie jeszcze bardziej zaniedbywał rodzinę.

Przepaść między nimi się poszerzała.

– Ej, Rav – zagadnął Max. – Czy to twoje wino jest naprawdę ekologiczne? – Dopiero teraz zauważył, że na butelkach z trunkiem widniała nalepka głosząca, że jest to „ekologiczne czerwone wino bombajskie”. Zajmowały sporą część podłogi.

– Oczywiście! Skoro jest napisane: „ekologiczne”, to znaczy, że jest ekologiczne, prawda?

– Chodzi o coś więcej. – Max nie był przekonany.

Rav machnął ręką zniecierpliwiony.

– W porządku, jeśli chcesz, jedź do Bombaju, odszukaj moich krewnych, potem kogoś, kto choć trochę mówi po angielsku, i zapytaj, czym pryskają winogrona! Póki tego nie zrobisz, ja decyduję, czy wino jest ekologiczne, czy nie!

To wystarczyło.

Tess i Max pracowali razem i zjedli lunch, kiedy w kawiarni i sklepie była przerwa obiadowa.

– Co u Heather? – zapytał.

Starał się okazać zainteresowanie, którego wcale nie odczuwał.

– Jest załamana. Rozstała się z Jerrym.

– Dlaczego? – Dopiero teraz naprawdę się zainteresował.

– A dlaczego pary się rozstają? – Tess wzruszyła ramionami. Chciała skończyć ten temat.

– Z różnych powodów. Może ją bił. Albo ona jego. Albo wkładał skarpetki do łóżka, albo wsadzał piżamę do spodni. Może jest ktoś inny...

Tess rozlała wodę.

– Nie wiem, Heather też nie. Ale nie było żadnych dramatycznych powodów. Kiedy jedziesz po towar?

Nie była to zbyt udana próba zmiany tematu, ale Max tego nie skomentował. Wiedział, że nie wyciągnie z niej niczego więcej, i to go martwiło coraz bardziej. Dobrze chociaż, że sklep ruszył. Był przekonany, że jeśli rozwiążą problemy finansowe, małżeński kryzys się skończy.

To nie tak, że zapomniał, co mówiła – iż muszą pracować nad związkiem. Po prostu uważał, że wie lepiej.

Ja też dużo myślałem, powtarzałem sobie. Wszystko zaczęło i się od braku pieniędzy. W Clapham nie całowała innych mężczyzn, a wtedy pracowałem o wiele dłużej. Tak, tu chodzi o pieniądze. Kiedy wyjdziemy na prostą, wszystko się ułoży, także między nami.

Za kilka tygodni, kiedy zobaczy, jak dobrze nam idzie, nie będzie musiała szukać u innych pociechy, czy co on tam jej daje. Wróci do mnie.

– Cześć, Graham, to ja.

– Prosiłem, żebyś nie dzwoniła do domu. Dlatego podałem ci telefon do pracy. Numer domowy miał być tylko na wszelki wypadek.

– Myślałam, że skoro sam dzwoniłeś w środku nocy, to bezpieczne.

Fiona i dzieci już spali, a Graham często siedział do późna, chciał mieć trochę czasu dla siebie, na czytanie czy słuchanie muzyki. Lecz obawiał się, że akurat tym razem jego żonę obudził dzwonek.

Nie podobało mu się wieczne skradanie. Kiedy zdecyduje, jak postąpić w sprawie Eloise, jaką rolę odegrać w jej życiu, pójdzie do Fiony i o wszystkim jej opowie.

Najpierw jednak musi załatwić pewną ważną sprawę. Zanim poważnie o tym pomyślał, Christine wyjaśniła, czemu dzwoni.

– Rozmawiałam z Eloise i powiedziałam, że chcesz się z nią spotkać. Rozpłakała się. Nawet nie wiesz, ile to dla niej znaczy.

– Tak, ale...

– Poczekaj, teraz będzie najlepsze. Mówiłeś, że w przyszły weekend będziesz w Prowansji, w Fayence, zdaje się. No więc, wyobraź sobie, moi rodzice mają mały domek w Castellane, dwadzieścia kilometrów dalej. Pojadę tam z Eloise. Możemy się spotkać.

– Stawiasz mnie przed faktem dokonany – zaprotestował.

– Co? Chyba nie powiesz, że zmieniłeś zdanie?

– Nie, nic takiego. Jestem świadom moich zobowiązań wobec Eloise, ale mam pewien warunek.

Christine milczała, więc mówił dalej:

– Dużo o tym myślałem, uwierz mi, i doszedłem do wniosku, że nie chcę cię więcej widzieć. Nie mogę. Oczywiście spotkam się z naszą córką, ale uważam, że nasze spotkanie byłoby kuszeniem losu.

– Aż tak mnie nienawidzisz? – zapytała cicho.

– Nie, wcale cię nie nienawidzę. – A może tak. – Ale kiedy mnie rzuciłaś, długo trwało, zanim się pozbierałem. Jakaś część mnie wtedy umarła. – Zawahał się, nie ufał swojemu głosowi, gdy uczucia, które tłumził przez tyle lat, wydostawały się na wolność.

– Przepraszam – powiedziała.

Zamknął oczy. Wreszcie, zaśmiał się w myślach, w końcu przeprosiła. Jej słowa zaskoczyły go do tego stopnia, że nie uważał na to, co sam mówił:

– Wiesz, co mnie naprawdę ciekawi? Dlaczego tak szybko wyszłaś za innego? To znaczy, mogę zrozumieć, że się przestraszyłaś, że ślub jest taki ostateczny, i uciekłaś. Ale w takim razie dlaczego zdecydowałaś się na to zaledwie kilka miesięcy później? I to z kimś, kogo znałaś gorzej niż mnie?

Zrobił to, zadał pytanie, na które odpowiedź może się okazać gorsza niż lata niepewności. Christine zwlekała z odpowiedzią. Denerwował się coraz bardziej.

– Nie chciałam za ciebie wyjść – powiedziała końcu, okrutnie i nieodwracalnie. – Za ciebie ani za nikogo innego. Nie wtedy, nie w tamto popołudnie. Za dużo naraz – poprzedniego ranka dowiedziałam się, że jestem w ciąży. Nagle, w ciągu dwudziestu czterech godzin, całe moje życie było zaplanowane. W jednej chwili jestem wolna, kochasz mnie taką, jaka jestem, a w następnej czeka mnie przyszłość mężatki i matki. I osiemnaście lat wyjęte z życiorysu.

Graham patrzył, jak bieleją mu kłykcie, tak mocno ścisnął słuchawkę.

– Więc dlaczego mi tego nie powiedziałaś? Dlaczego uciekłaś? Chyba wiedziałaś, że zrozumiałbym! Rozmawialiśmy o wszystkim, świetnie się rozumieliśmy. Poczekalbym, przesunął ślub, póki nie byłabyś gotowa, zrobiłbym wszystko, żeby cię uszczęśliwić.

Christine łamał się głos.

– Wiem, ale musisz na to spojrzeć z mojego punktu widzenia. Byłam przerażona, wydawało mi się, że tracę rozum. A miałam tylko dwadzieścia jeden lat! Wydawało mi się, że jeśli ucieknę, jeśli udam, że nic się nie stało, wszystko zniknie.

Graham głośno odetchnął, zdumiony głupotą dziewczyny, którą kiedyś podziwiał za inteligencję.

– Wiem, wiem – jęknęła. – Nie masz pojęcia, ile razy żałowałam, że nie mogę cofnąć czasu i postąpić inaczej.

– Ale nie zrobiłaś tego. Nie poinformowałaś mnie nawet, że urodziłaś dziecko, moje dziecko. Po prostu wyszłaś za kogoś innego.

– Wtedy pogodziłam się z tym, że będę miała dziecko. Musiałam. Kiedy zdecydowałam, że urodzę, poczułam się inaczej. A kiedy pojawił się David, kiedy dał mi do zrozumienia, że zaopiekuje się nami, wtedy...

Graham niemal słyszał, jak wzrusza ramionami. W tej chwili chciał ją zamordować.

– Więc dlaczego nie wróciłaś do mnie, kiedy „poczułaś się inaczej”? Co, myślałaś, że się rozmyśliłem? Że odepchnąłbym ciebie i nasze dziecko? Nie rozumiem.

Opuścił wzrok na swoją rękę. Była mokra. Płaczesz, powiedział do siebie w myślach. Po tylu miesiącach codziennych łez, przez lata się kontrolowałem. A teraz znowu zaczynam.

– Nie potrafię tego wytłumaczyć – zaczęła znużona. – Chyba dlatego że sama tego do końca nie rozumiem. Coś się ze mną stało, kiedy uciekałam. Przeżyłam załamanie, chyba tylko tak mogę to opisać. Żyłam z dnia na dzień, a kiedy dotarło do mnie w całej okazałości, co zrobiłam, wiedziałam, że jest za późno, żeby wrócić. Co by to dało? Eloise uznała Davida za swojego ojca.

Znowu niemal słyszał wzruszenie ramion. Trawił poplątane tłumaczenie, w którym, widział to, była jakaś perwersyjna logika. Zawsze uważał, że prawda wyzwala, a tymczasem, przynajmniej na razie, nic z tego. Odetchnął głęboko. Teraz jego kolej.

– Dziękuję, że mi to powiedziałaś – oznajmił szorstko. – Byłoby lepiej, gdybyś zrobiła to wiele lat temu, ale to się już nie odstanie. Długo trwało, zanim się pozbierałem. Więc powtarzam, spotkam się z naszą córką ale nie z tobą. Może znowu „przejdiesz załamanie” i nie wiadomo, co z tego wyniknie. A teraz muszę chronić moją rodzinę. Nie ustąpię. Mówisz, że chodzi o Eloise, więc pozwól, żebym się z nią spotkał sam i trzymaj się z daleka ode mnie.

– Oddzwonię– odparła Christine cicho i odłożyła słuchawkę.

Gapił się na telefon. No, zrobiłem to. Wydusiłem z niej prawdę. Wysłuchałem i zachowałem spokój. I powiedziałem, iż nie pozwolę, żeby znowu mnie skrzywdziła. Ale było mi trudno, bardzo trudno. Nigdy się nie dowie, jak bardzo pragnę ją zobaczyć, przywiązać do krzesła i nie puścić, póki nie opowie o wszystkim, co robiła i myślała przez cały ten czas, odkąd mnie rzuciła, póki się ze mną nie skontaktowała dwadzieścia lat później.

Fiona leżała w łóżku i czekała. Nie spała, kiedy zadzwonił telefon. Nie mogła podnieść słuchawki w sypialni, Graham wiedziałby, że podsłuchuje. Mogła sobie tylko wyobrażać, co mówi i do kogo.

Starła się zwalczyć panikę. Pamiętała, co się wydarzyło w ciągu dnia. Po raz pierwszy w życiu dziękowała losowi, że rozmawiała z matką.

– Jeśli chcesz krytykować Grahama, możemy sobie od razu dać spokój.

– Przecież nic nie mówię! – oburzyła się Daphne.

– Ale zrobiłaś taką minę...

– Jaką?

– Jak wtedy, kiedy rozmawiałam przez telefon z chłopakiem, który ci się nie podobał.

Daphne westchnęła.

– Czy pamiętasz wszystko, każdy drobiazg, którym cię kiedykolwiek zdenerwowałam czy uraziłam?

– Tak.

Spojrzała na nią podziwem.

– Nie do wiary, że masz w głowie miejsce na przyjemne myśli, jeśli wypełnia ją tyle goryczy.

Fiona się nachmurzyła.

– Wiedziałam, że to kiepski pomysł.

– Nie mój. Przynajmniej za to nie możesz mnie obwiniać. Siedzisz sama, pijesz moje wino i nagle opowiadasz jakąś historię o rachunku telefonicznym. Nie chciałam cię nawet pytać, czemu się upijasz, żebyś mi nie zarzuciła wścibstwa.

Fiona nerwowo przechadzała się po kuchni.

– To nie żadna „historia o rachunku telefonicznym”, to prawda. Graham naprawdę dzwonił do tej kobiety w środku nocy, nie powiedział mi o tym. Nie wiem dlaczego. Nie wiem, co sobie myśli, zastanawiam się, czy kiedykolwiek to wiedziałam, pewnie nie i to mnie przeraża!

– Czy teraz mogę coś powiedzieć? – zapytała Daphne ostrożnie, gdy Fiona przerwała, żeby zaczerpnąć tchu.

– Pod warunkiem że nie będziesz wyniosła, złośliwa ani krytyczna.

– Wiesz, może lepiej pogadaj z uroczym wikarym.

– Ha, ha, ha. – Fiona gniewnie łypnęła na matkę, co Daphne odczytała jak pozwolenie. Oczywiście znowu powie nie to co trzeba, jak zawsze.

– Twój ojciec nie był dobrym mężem. Był nieuczciwy, ciągle sprawiał mi zawód. Kiedy odszedł, nie byłam zaskoczona. Od lat wiedziałam, że ma inne kobiety. Wiedziałam, kiedy kłamał, nawet kiedy broniłam go zaciekle wobec tych, którzy nazywali go nic niewartym śmieciem.

– Jeśli to ma poprawić mi humor, nic z tego – burknęła Fiona. – Wiesz, że nie znoszę, kiedy opowiadasz o tacie takie rzeczy.

– Czy chociaż raz w całym twoim egoistycznym życiu pojmiesz, że świat nie kręci się wokół ciebie?

Fiona się zdziwiła. Matka, owszem, narzekała, dokuczała i udawała męczennicę, ale nigdy nie krzyczała.

– Przepraszam. – Daphne wycofała się, niezbyt zręcznie, według Fiony – ale nie rozmawiamy o twoim ojcu, tylko o moim małżeństwie.

Fiona mruknęła coś pod nosem, żeby matka sobie nie myślała, że ma ostatnie słowo.

– Chcę ci powiedzieć, i jak widać, wcale mi to nie wychodzi, że w głębi serca sama wiesz, czy Graham jest dobrym, czy złym mężem. To nie znaczy, że masz o nim wszystko wiedzieć, że nie będzie miał przed tobą tajemnic. Ale sama wiesz, czy wasz związek jest udany. Wiem, że postawiłaś sobie za cel nie zgadzać się z niczym, co powiem, ale moim zdaniem Graham jest dobrym człowiekiem, dobrym mężem i dobrym ojcem. I wasze małżeństwo jest udane. Więc nawet jeśli czasami zachowuje się dziwnie, patrz na to z perspektywy wielu udanych lat, podczas których miałaś mniej zmartwień niż większość kobiet. No, już. Skończyłam, możesz rozerwać mnie na strzępy.

Boże, myślała Fiona. Denerwuje mnie, że ona może mieć rację. Nie powiem, że jestem wdzięczna, nie chcę stwarzać precedensu. Jeszcze trochę i będzie chciała, żebym jej pomagała przy przesadzaniu kwiatków, chodziła z nią po buty ortopedyczne i na drinka w środku dnia. Może nawet zwierzy mi się ze swoich kłopotów ginekologicznych. Wzdrygnęła się.

– Mogę ci powiedzieć, co mnie gryzie? – zapytała Daphne z wahaniem.

Nie, chciała krzyknąć Fiona. Dość zwierzeń jak na dzisiaj. Niech nam to nie wchodzi w krew!

– Czy to coś związanego z macicą?

– Skądże. – Daphne się zachnęła.

– No dobrze.

– Chodzi o Cartera, Raya i Archiego.

– Nie, nie, nie! – wrzasnęła Fiona. – Błagam! Wszystko, tylko nie mężczyźni! Matki nie rozmawiają z córkami o tych sprawach. To... niewłaściwe. Wiem, Joan Collins nie miałaby nic przeciwko temu, ale ona nie

ma za grosz przyzwoitości. Pogadajmy o środkach na niestrawność, o nowych modelach karmników, to tematy dla matki i córki.

Daphne przyglądała się jej ze zdumieniem.

– Nie chciałam rozmawiać o seksie.

Fiona zatkała sobie uszy palcami.

– La la la la la la! Nie słyszę, nie słyszę, nie słyszę! La la la la!

Skończyłaś już?

– Na miłość boską, Fiona, dorośnij wreszcie! Plecy i nogi tak mnie bołą, że żyć mi się nie chce! Pragnę ci zadać proste pytanie. Wysłuchasz mnie czy nie?

Fiona przełknęła z trudem i skinęła głową. Albo to, albo kolejna herbata, nie ma innego wyjścia. Co prawda nie była to może scena kominkowa z *Małych kobietek*, ale obie bardzo się starały omówić wady i zalety Archiego, Rava i Cartera. Nie chichotały, nie klepały się po plecach, ale wytrwały do końca, nie wyciągając dawnych krzywd, prawdziwych czy wymyślonych. To cud w ich wspólnej historii.

Fiona odchrząknęła.

– Wyglądem chyba nie musimy się przejmować.

Daphne się oburzyła.

– Dlaczego nie? Bo jesteśmy za starzy na te rzeczy? Bo powinno interesować mnie tylko, czy będzie w stanie pchać mój wózek i podawać mi basen, kiedy zupełnie zidiocieję?

Fiona westchnęła.

– Nie to miałam na myśli. Po prostu sądziłam, że nie zwracasz uwagi na takie rzeczy. Ojciec był przystojny i co wam z tego przyszło?

Daphne zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Moim zdaniem wszyscy trzej są przystojni. Carter jest dystyngowany, Rav egzotyczny, a Archie...

– ...wygląda jak geriatryczny gwiazdor muzyki country? – podsunęła Fiona.

Daphne łypnęła groźnie.

– To dobrzy ludzie. Oceniasz ich negatywnie tylko dlatego że nie są młodzi. Kobieta byłaby szczęśliwa z każdym z nich. Spójrz tylko, jak Rav wychowuje wnuczki i prowadzi sklep. A Carter jest taki wrażliwy, to, jak długo oplakiwał żonę, świadczy o jego szacunku do kobiet.

– A Archie? – Fiona starała się zachować powagę.

Daphne uśmiechnęła się z zadumą.

– Archie jest pełen życia. Niczego się nie boi, robi to, co chce.

Fiona przyglądała się jej z niedowierzaniem.

– Czy ty naprawdę chcesz wyjść za mąż?

Daphne wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, może po prostu zamieszkać z którymś z nich na kocią łapę.

Fiona walnęła kieliszkiem w stół i szykowała się do płomiennej mowy oburzonej córki, gdy zobaczyła, że Daphne chichocze.

– Odziedziczyłaś po ojcu całkowity brak poczucia humoru – poinformowała Fionę radośnie.

I mało brakowało, a Fiona by się roześmiała. Ale to w końcu jej matka i lepiej jej przesadnie nie ośmielać.

– Jak to, wychodzisz z matką? – zdziwiła się Tess. – Idziecie do lekarza? Do apteki?

– Nie – szepnęła Fiona. – Na zakupy.

– Jakie zakupy? – dopytywała się Tess. – Co będziecie kupować? Trumnę? Trutkę na szczury? Karabiny maszynowe?

– Ciuchy. Później ci wyjaśnię. Pa.

Tess poważnie się zastanawiała, czy nie zadzwonić na policję i zgłosić, że Daphne poddała Fionę praniu mózgu. A może Fiona przechodzi załamanie nerwowe? Ostatnio była wiecznie zdenerwowana, a Max mówił, że poprzedniego dnia bardzo chciała z nią rozmawiać.

Sama też chciała z nią pogadać, o Maksie. Przeszedł metamorfozę, z czulego małżonka, w którego bawił się całe trzy dni, stał się Biznesmenem Roku, przez cały dzień myślał, mówił i zajmował się wyłącznie pracą.

Jeśli w ten sposób daje mi do zrozumienia, że na liście jego priorytetów nasze małżeństwo jest na drugim miejscu, załapałam. Fiona zrozumie, nie będę musiała jej wszystkiego tłumaczyć. Już to ze mną przerabiała. Boże, dzięki za starych przyjaciół, chociaż, jeśli ma mieć załamanie nerwowe, mogłaby z tym trochę poczekać. Żartuję. Nie, nieprawda.

Stała na przystanku z zakupami i trzęsła się z zimna. Od tej pory będę starannie czytała programy wyborcze i głosowała na tych, którzy najwięcej zainwestują w komunikację miejską, obiecała sobie.

– Podrzucić cię? – Heather wystawiła głowę przez okno.

Tess nie trzeba było tego dwa razy powtarzać.

– Dzięki. Myślałam, że zamarznę.

– Spieszysz się? Bo muszę jeszcze podrzucić dokumenty mojemu eks.

– Nie ma sprawy. Przynajmniej odtaję.

– I zaoszczędzisz na ogrzewaniu – dodała Heather.

Tess zarumieniała się, bo dokładnie to sobie pomyślała.

– Nie do wiary, jak szybko zmienił mi się sposób myślenia. Kiedyś miałam włączone ogrzewanie dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– A teraz je wyłączasz i wkładasz dwa swetry?

Tess się zaśmiała, chociaż nadal czuła się nieswojo, rozmawiając o ich sytuacji materialnej. Tylko ci, którzy mają pieniądze, lubią o nich rozmawiać. Teraz to rozumiała.

Były mąż Heather mieszkał w Kingston. Jazda zajęła im prawie dwadzieścia minut. Kiedy krążyły bocznymi uliczkami, Tess wyobrażała sobie, jak rosną ceny nieruchomości. Zatrzymały się przed okazałym edwardiańskim domem. Tess na tyle orientowała się w bieżących cenach, że domyślała się, iż jest wart co najmniej pół miliona funtów.

– Heather, o ile pamiętam, mówiłaś, że twój mąż wszystko stracił.

– Bo stracił. A potem na nowo się dorobił.

Wysiadła, zadzwoniła do drzwi. Tess obserwowała, jak przeciętny mężczyzna w ubraniu na miarę, z drogą fryzurą, rozmawia z nią chłodno, bierze kopertę i zamyka drzwi.

– Co, przyjacielski rozwód? – zażartowała, gdy Heather wróciła do samochodu.

– Koszmarny. Chociaż nie rozumiem, czemu narzeka. Był na mnie wściekły, bo nie chciałam do niego wrócić, i postanowił, że tym razem odniesie sukces w interesach. I udało mu się. Idealna zemsta.

– Nie chcę, żeby to zabrzmiało cynicznie, ale czy kiedy znowu stanął na nogi, nie chciałaś do niego wrócić? Okradałaś kościół, byłaś zdesperowana!

– Oczywiście, że chciałam.

– Ale nie pozwalały ci na to zasady? – domyślała się Tess.

Heather parsknęła śmiechem.

– Masz o mnie za dobre zdanie. Wróciłabym natychmiast, ale wtedy już sobie znalazł inną.

– O Boże. Przykro mi.

– Niepotrzebnie.

Wracały do Doliny Blokiersów. Dlaczego podejmujemy ważne decyzje, nie wiedząc, co przyniesie przyszłość? – zastanawiała się Tess. Czy nie lepiej po prostu płynąć z prądem? Jeśli coś się nie uda, nie trzeba obwiniać siebie i dręczyć się pytaniem, co by było gdyby.

– Znowu się spotykamy! – Graham skłonił się szarmancko. – A pani nadal sama?

Millie odłożyła książkę, zadowolona, że go widzi.

– Tylko ty wiesz, że tu siedzę. Nawet Tim nie wie, dokąd chodzę.

– Zawsze tu zaglądam, ilekroć przechodzę.

– Więc często idziesz ostatni kawałek drogi na piechotę? – Millie nie zapomniała, w jakich okolicznościach odkrył jej kryjówkę.

Graham się uśmiechnął. Pochlebiało mu, że pamiętała.

– Tak, i tylko ty o tym wiesz. Teraz ty znasz mój sekret, a ja twój!

– Przybijmy to. – Millie wyciągnęła rękę. Uścisnął ją, zawarli pakt. Obojgu dobrze to zrobiło.

– Zostawić cię samą? – zapytał. Nie chciał się narzucać.

– Nie, nie. Szczerze mówiąc, czasami trochę mi się tu nudzi, ale tak walczyłam o prawo do tych wypadów, że uważam je za mój obowiązek.

– Czasami chciałabyś tu posiedzieć i poczytać w towarzystwie?

Pochyliła się nad stolikiem.

– Właśnie!

– Ja też. Chciałbym, żeby Fiona choć chwilę spokojnie posiedziała z książką. Lubię jej towarzystwo, ale czy musi ciągle coś robić? Męczą mnie, ale nie mów jej tego!

– Nie powiem. – Millie się roześmiała.

Graham spojrzał na nią ciepło.

– Zabawne, jak mało się kogoś zna. Spędzamy razem tyle czasu, a nie miałem pojęcia, że lubisz czytać.

– Więc znasz moją kolejną tajemnicę – rzuciła lekko. – Więcej ich nie mam.

– Fiona porównuje cię do kameleona – zauważył. –I teraz rozumiem dlaczego. Przy niej jesteś gadatliwa i roztargniona. Przy Tess bardziej skupiona. A teraz jesteś idealną towarzyszką do czytania; spokojna, opanowana, ciekawa.

Millie się spieszyła.

– Robię to odruchowo.

– Jak to?

– Jestem jedynaczką, jak Tess i Max, ale w przeciwieństwie do nich miałam pecha, jeśli chodzi o rodziców. Moi chcieli mieć dużą rodzinę, a mieli tylko mnie. Nie zmienili jednak planów, wychowywali mnie w przekonaniu, że muszę przeżyć tyle co czwórka dzieci. Dla taty byłam wysportowana, dowcipna i sklejałam modele samolotów, a dla mamy miałam dobre stopnie w szkole, grałam na fortepianie i wygrywałam dziecinne konkursy piękności. W końcu to przychodziło naturalnie. Byłam tym, kim miałam być. Nadal tak jest.

– A kiedy nie przerzucasz się z osobowości w osobowość, kim jesteś? – zapytał.

Spojrzała na niego, jakby pytanie nie miało sensu.

– Jak to? Matką, ma się rozumieć!

Graham nie dawał za wygraną.

– A co zrobisz, kiedy dzieci dorosną i się wyprowadzą?

– Nie wiem – przyznała.

Może będę podróżować, pomyślała. Jak Alison.

Daphne cieszyła się na wycieczkę. Archie zaproponował jej wyprawę po towar do rolnika w hrabstwie Kent. Kupił nawet piersiówkę i napełnił ją bombajskim ekologicznym, na drogę.

– To bardzo miło z twojej strony – ucieszyła się.

– Będzie ci potrzebna – zauważył. – Resory są w fatalnym stanie, a kiedy załadujemy wóz po brzegi, poczujesz każdy wybój.

Daphne przewidziała to i zażyła dodatkową porcję lekarstw. Fiona ją na to namówiła.

– Nie zapadniesz od tego w śpiączkę – tłumaczyła. – A przynajmniej jest nadzieja, że nie będziesz wrzeszczała na biedaka, ilekroć zmieni biegi.

– Nie jestem aż taka okropna – obruszyła się Daphne.

– Owszem, jesteś. Chyba że tylko na mnie bez przerwy wrzeszczysz?

– Fiona! – sapnęła ostrzegawczo.

– Wiem, wiem, nie jestem pępkiem świata. – Fiona przedrzeźniała ją złośliwie.

– Skoro tak się zachowujesz, pójdę już. – Daphne wybiegła za drzwi. To znaczy, chciała wybiec. W rzeczywistości wykuśtykała, stękając jak tenisista, ilekroć stawiała na prawą nogę.

Podczas podróży wcale nie kryła, że co jakiś czas podnosi butelkę do ust.

– Dlatego lubię towarzystwo rówieśników – mruknęła. – Nie muszę ukrywać, że coś mnie boli, bo wiem, że innych też ciało zawodzi.

– Rozumiem cię doskonale. Chcesz posłuchać o moich polipach?

– O nie. Nie chcę więcej myśleć i słuchać o chorobach. I jeśli odważysz się choćby pisnąć, gdzie je masz, naślę na ciebie moją córkę, żeby cię oświeciła, jak starzy ludzie powinni dożywać swoich dni. Jeśli po pięciu minutach nie będziesz na kolanach błagał o wybaczenie, masz wyższy próg wytrzymałości na ból niż ja.

– Szczęściara z ciebie, że masz rodzinę przy sobie – stwierdził Archie po dziesięciu kilometrach przyjaznej ciszy. – Chociaż twoja córka jest koszmarna. Mam nadzieję, że cię tym nie uraziłem?

– Skądże! – Daphne machnęła ręką. – Szczerze mówiąc, odkąd zawarłyśmy pokój, brakuje mi awantur z nią. Jeśli chcesz, podrażnij ją w moim imieniu.

– Brakuje mi Maksa w biurze. Pracował tam tylko kilka tygodni, ale zwierzał mi się ze wszystkiego. Przywykłem do jego obecności.

– Dobrze jest czuć się potrzebnym – przyznała. – Wszystko lepsze niż czasy, kiedy to my będziemy potrzebowali pomocy.

Dalej jechali w milczeniu. Czuli, że nie muszą rozmawiać. Mieli tyle ważnych rzeczy do przemyślenia.

– Co to? – Millie rozglądała się po pokoju, przyjemnie zaskoczona. Wszędzie płonęły świece, a Tim miał na sobie sweter, który kupiła mu w zeszłym roku na Gwiazdkę. Nie znosił go.

– Przygotowałem kolację.

Millie przyjrzała się uważniej i świece wydały się znajome.

– Wziąłeś je z komody? zapytała.

– Nic nie szkodzi, prawda? – Tim był gotów przyjąć jej wyrzuty z pokorą.

Millie skinęła głową.

– Prawda. Ale musisz wiedzieć, że te duże są po trzydzieści pięć funtów, a małe, zdaje się, po dziesięć. Są ze sklepu Tess i Maksa, mieli je zwrócić do producenta. Przechowywałam je do tego czasu. Jeśli zapaliłeś wszystkie, puściłeś z dymem mniej więcej pięćset funtów.

Uśmiechnęła się słodko, zadowolona, że w mdłym świetle nie widzi, jak pobladł.

– Nic mnie to nie obchodzi! – rzucił Tim impulsywnie. – Jesteś tego warta!

Millie nadśluchiwała.

– Na górze jest bardzo cicho. Chyba nie przywiązałeś ich do łóżek i nie obiecałeś każdemu po dwadzieścia funtów, jeśli będą cicho?

Tim cmoknął.

– Nie. Wszystkie śpią u kolegów.

– To dopiero! Jak znalazłeś rodziców, i to cztery pary, gotowych wziąć pod swój dach nasze dzieci? – Millie była bardzo ciekawa, bo jej nigdy to się nie udało.

Tim się spieszył.

– Poprosiłem tych, którzy nie znają naszych dzieci, rodziców najmniej lubianych bachorów, z którymi nasze się nie przyjaźnią. Byli tak wdzięczni, że ich potworki mają jakichś kolegów, że zgodziliby się na wszystko.

Teraz Millie pobladła.

– Dałeś im nasz numer telefonu, prawda? I do lekarza? I uprzedziłeś, że muszą wszystko schować? Wszystko?

– Uspokój się– poprosił. Już wcześniej postanowił odwdzińczyć się czwórce ojców dobrym winem.

Zaprowadził Millie do krzesła i wręczył kieliszek szampana. Chciała zaprotestować, ale ją uprzedził.

– Poprzednio też czasami piłaś odrobinę szampana – przypomniał jej.

A potem pomyślał, co z tych dzieci wyrosło, i wyjął jej kieliszek z dłoni. Nalał jej wody mineralnej i wzniosł toast.

– Za wieczór bez dzieci!

Millie podniosła kieliszek i powtórzyła za nim słowa toastu.

– Więc w ogóle nie będziemy rozmawiali o dzieciach?

– W ogóle.

Pa dziewięciu minutach skończyły im się tematy.

– Może ci opowiem o naszym kościele? – zaproponowała. Jęknął.

– Albo, jeśli chcesz; nauczę cię fokstrota, bo w czwartek idziemy na wieczorek taneczny i musisz znać krok. Chodzimy tam w każdy czwartek, tak przy okazji.

Zakrył sobie uszy poduszką.

– A, i chyba ci nie mówiłam, że w przyszłym tygodniu jedziemy na długi weekend do Prowansji, z Fioną i Grahamem, i dziećmi – ciągnęła.

W końcu dobra wiadomość. Siedzieli w milczeniu przez chwilę.

– No dobrze, poddaję się! – krzyknął. – Porozmawiajmy o dzieciach!

Spędzili cudownie normalne kilka godzin, omawiali szczepienia, choroby i imiona, nadrabiali ostatnie tygodnie. Tim wlał w siebie sporo wina, zanim zdobył się na odwagę i zadał Millie pytanie, które nie dawało mu spokoju.

– A co z Danielem?

Chwilę trwało, zanim zrozumiała, o kogo mu chodzi. Już chciała mu wyznać, że dawny ukochany to wytwór jej wyobraźni, ale zobaczyła, że Tim czeka na odpowiedź, która pozwoli mu o tym zapomnieć.

Uśmiechnęła się tajemniczo.

– Nie przejmuj się nim – odparła. – To już przeszłość.

Pakowanie się jest o wiele łatwiejsze, kiedy ma się mało rzeczy, stwierdziła Tess. Ta czynność nie drażniła jej, tak jak dawniej, pewnie dlatego że nadal ją bawiły eksperymenty z nowymi ciuchami.

Uwielbiam ubrania, które do siebie nie pasują i drażnią wzrok, rozmyślała.

Millie pierwsza zauważyła zmianę.

– Chyba komornik nie zajął ci wszystkich ciuchów? – zapytała.

– Nie, aresztowała je policja za gwałt na indywidualności – odparła poważnie Tess. Nagle do niej dotarło, że Fiona ciągle jest wierna bojówkom i bluzom. – Nie żebym miała coś przeciwko jednemu stylowi – zastrzegła się szybko.

Fiona uniosła brew.

– Nie musisz mnie przeproszać. Podoba mi się to, jak się ubieram, wolę, że ktoś za mnie podejmuje decyzję, nie przeszkadza mi, że wyglądam jak wszyscy dokoła. Moim zdaniem to indywidualność jest zbrodnią! Niby jak sobie poradzić ze zmieniającą się modą, nie robiąc błędów? O wiele łatwiej jest znaleźć koszulkę, która cię nie pije pod pachami, i kupić dwadzieścia takich samych, w różnych kolorach!

Millie pokręciła głową.

– Bawisz się w adwokata diabła.

I dopiero wtedy Tess i Fiona zauważyły, że i Millie wygląda inaczej. Była w ciąży, to jasne, ale nie miała na sobie obowiązkowych legginsów i bluzy, schludnego mundurka ciężarnej. Włożyła długą indyjską sukienkę obszytą dzwoneczkami. Podkreślała jej brzuch i sprawiała, że wyglądała

niebezpiecznie, jakby miała zaraz złapać cię za rękę i zaproponować wróżbę, jeśli zapłacisz jej funta.

– Przerzucasz się na styl etniczny! – krzyknęła Fiona. – Brakuje ci tylko kryształowej kuli i możesz dorabiać wrózeniem na targu!

– Czułam, że czas się zmienić – odparła Millie zwyczajnie. – Jak Tess. – Nie musiała mówić nic więcej. Fiona i Tess widziały, jak tworzyła się na nowo, gdy Tim odszedł z Kobieta w Tandetnej Bieliźnie.

– Myślisz, że stara się upodobnić do Alison? – zapytała wtedy Fiona.

Tess tak nie uważała. Wiedziała z własnego doświadczenia, że motywy takiej transformacji są mniej wyrafinowane.

– Chyba chce po prostu wyglądać inaczej. – Może dzięki temu poczuje się lepiej i stanie się nową kobietą. Taką przynajmniej miała nadzieję.

Tess kupiła trochę nowych rzeczy na wyjazd, same tanie szmatki, którym nie zaszkodzi udział w szalonych konkursach.

– Brzmi koszmarnie – narzekał Max. – Wolałbym zostać w domu i poprzestawiać towary na półkach. Wydaje mi się, że zmieści się jeszcze jeden regał, jeśli przestawię skrzynki z owocami bliżej kasy.

Tess się wyłączała, ilekroć zaczynał mówić o sklepie. Nie chciała tego słuchać. Każde słowo było gwoździem do trumny ich małżeństwa. Nie chciała być tego świadkiem.

– Zresztą – tłumaczył – boję się zostawiać sklep bez opieki. Carter zapewne też jedzie? Nikogo tu nie będzie.

Tess westchnęła.

– Owszem, jedzie, ale chyba nie musisz się obawiać złodziei czy wandalii. Lokalni przestępcy jadą z nami. W końcu to wyjazd z tej dzielnicy, wybierają się na niego wszyscy.

– Świetnie – zmartwił się. – Będziemy musieli starannie zamykać przyczepe.

– Po co? – zdziwiła się. – Nie mamy nic, co mogliby nam ukraść. – Podniosła rękę. Biały pasek skóry stanowił smutną pamiątkę po pierścionku z brylantem.

– Idę do sklepu – powiedział Max nagle i zostawił pakowanie na jej głowie.

Tess nadal nie przyzwyczaiła się do nowego mieszkania i ciągle otwierała nie te szafki i szuflady, zanim znalazła to, czego szukała. W ten sposób trafiła na rachunki, które przed nią zataił.

– Sama mogę się spakować – burczała Daphne, zadowolona, że córka robi to za nią.

– Tak, ale na wybrzeżu będzie zimno i muszę zadbać, abyś zabrała dużo ciepłych rzeczy. Nie będę cię mieć na oku, a chcę mieć przynajmniej pewność, że się ciepło ubierasz.

– I kto tu jest matką? – zdziwiła się Daphne.

Fiona spojrzała na nią.

– Odkąd stałaś się obiektem marzeń wszystkich emerytów w Heaverbury, ubierasz się ekstrawagancko, ale nie praktycznie.

– Czy za to można trafić do więzienia? Fiona westchnęła cierpliwie.

– Chcę tylko powiedzieć, że powinnaś nosić ciepłe, wełniane rzeczy. W kółko narzekasz, że ci zimno.

– Nigdy nie narzekam – oburzyła się Daphne.

– Nie musisz nic mówić. Widzę po minie, kiedy cię boli.

Fiona czuła, że zaczyna poznawać matkę, czy raczej zaczyna starać się ją poznać, poprawiła się zawstydzona. Nigdy nie zostaną przyjaciółkami, ale

może będą w stanie mieszkać pod jednym dachem i nie kłócić się codziennie, która której bardziej zmarnowała życie.

Daphne wzruszyła aluzja do jej stanu zdrowia i może nawet powodów, dla których ostatnio nie była zbyt dobrą towarzyszką.

– Mówiłam ci już, że Tim i Millie się pogodzili? – zagadnęła Fiona. – Jadać razem do Prowansji. Wspaniale, co?

– Wspaniale. – Daphne skinęła głową. – Słabo mi się robiło na myśl, że biedna Millie miałaby sama wychować sześcioro dzieci. Wiem, co to znaczy, i nikomu tego nie życzę.

Daphne obserwowała, jak córka pakuje jej najbrzydsze, najgrubsze swetry i spodnie, te z paskiem pod stopę, bardzo niewygodne. Ugryzła się w język. W Bognor też są sklepy, pomyślała. Kupię sobie coś ładnego na miejscu.

– To chyba był przyptyw szaleństwa. – Fiona zastanawiała się na głos. – To jego stara miłość, nie ma dzieci. Co zapewne oznacza, że ma wspaniałe ciało, żadnych zmarszczek i rozstępów. Rozumiem, co go mogło w niej pociągać.

– Moim zdaniem wyglądała raczej przeciętnie – odparła Daphne.

Fiona zastygła w bezruchu.

– A skąd wiesz?

Daphne zacisnęła usta w wąską kreskę, wściekła na siebie, że wzięła tabletki i nie trzymała języka za zębami. Wyczuła jednak, że córka tym razem nie ustąpi. Głęboko zaczerpnęła tchu i wyznała:

– Widziałam ją z Timem w parku Battersea. Archie mnie tam zabrał, pamiętasz.

– I uznałaś, że mi o tym nie powiesz? – wycedziła Fiona.

– Uznałam, że nie powinnam się wtrącać. Powiedziałaabyś, że wtykam nos w nie swoje sprawy.

Fiona sapnęła głośno.

– Bo wtykasz! W sprawy, które ciebie nie dotyczą, na przykład w to, za kogo wyszłam czy jak parzę cholerną herbatę! A kiedy możesz zrobić coś dobrego, milczysz!

– Niby co dobrego mogło z tego wyjść? – tłumaczyła Daphne. – Wszystko i tak się dobrze skończyło.

– Wcale nie! Millie już nigdy nie zaufa mu całkowicie. To, że znowu są razem, nie znaczy, że wszystko jest w porządku. Gdybyś mi o tym powiedziała, porozmawiałabym z Timem, zagroziłabym mu, przemówiła do rozumu. Może nawet przekonałabym go, żeby to skończył, zanim Millie się dowiedziała. A teraz między nimi już nie będzie tak jak dawniej.

– Może będzie jeszcze lepiej – podsunęła Daphne z nadzieją. Fiona gapiła się na nią z niedowierzaniem.

– Ach, więc cieszyłaś się, kiedy ojciec miał kochanki, tak? Czy dzięki temu między wami było lepiej? I sądzisz, że tak samo będzie z Grahamem? Myślisz, że dobrze nam zrobi, jeśli będzie miał kochankę? A może jego też widziałas z kobietą w tandetnej koszulce i uznałaś, że nie będziesz się wtrącać?

– Histeryzujesz. – Daphne mówiła spokojnie, żeby i córka się opanowała.

– Mam do tego prawo! – Fiona powoli pokręciła głową. – Jesteś niewiarygodna. Nie dalej jak wczoraj zwierzałaś mi się, jak to ojciec zmarnował ci życie, co miało jakoby usprawiedliwić to, że postawiłaś sobie za cel zmarnować nasze. A potem siedzisz z założonymi rękami i patrzysz, jak to samo spotyka moją przyjaciółkę? Tylko dlatego że nie chcesz się wtrącać?

Starła się oddychać powoli. Miała straszne przeczucie, że zaraz się rozpłacze.

Wtedy Daphne powiedziała coś głupiego. Matkom to się zdarza.

– Fiona, wydaje mi się, że martwisz się o siebie, nie o Millie. I o swoje małżeństwo.

Fiona rzuciła się na matkę. Nienawidziła jej, bo miała rację.

– Tak myślisz? A ja myślę, że jesteś wredną starą babą, i chcę, żebyś się wyprowadziła. Idź, zamieszkaj z idealnymi synami i ich cudownymi żonami. Idź i zmarnuj życie im i ich przyjaciółom!

Wybiegła, zanim Daphne zobaczyła jej łzy.

Tess wszystko zsumowała. Trzydzieści siedem tysięcy funtów. Mamy długi wysokości trzydziestu siedmiu tysięcy funtów. I to po tym, jak wszystko sprzedaliśmy i spłaciliśmy zobowiązania, o których wiedziałam.

Co on sobie myśli? Jak długo chciał to przede mną ukrywać? I co jeszcze zataja?

Ostatnie fundamenty ich związku legły w gruzach, gdy odkładała rachunki do nie najlepszego schowka. Zastanawiała się, co ją zabolalo najbardziej – rozmiary ich długów, które będą spłacać do końca życia, czy fakt, że Max ją oszukał.

Nie ma wątpliwości, kłamstwo jest najskuteczniejszą bronią, żeby zabić zaufanie.

Roześmiała się nieprzyjemnie. Dobrze, że ja taka nie jestem, co? To wspaniale, że jestem taka uczciwa! No, poza tym, że pracuję bez uprawnień w dwóch miejscach – to chyba wyłudzenie? O, i współczują przyjaciółce, chociaż to przeze mnie rozpadł się jej związek. I jeszcze udaję przed Makssem, że chcę ratować nasze małżeństwo, a jednocześnie poważnie rozważam, czy wszystkiego nie rzucić i nie uciec gdzie oczy poniosą z innym mężczyzną. Nie licząc tych drobiazgów, jestem święta i mam prawo potępić Maksa.

Akurat.

Ale ja przynajmniej wiem, że źle robię, i chcę to naprawić. Powiem prawdę. Wszystkim.

– I jak, nadaję się? – Alison siedziała u lekarza, znudzona i zniecierpliwiona. Chciała mieć to jak najszybciej za sobą, żeby planować wyjazd do Gabriela. Cała sprawa z Timem powoli stawała się koszmarnym snem. Czasami budziła się zlnana potem, wyobrażała sobie czwórkę dzieci, jak ją dotykają, chlapią keczupem na biały obrus, wołają do niej „mamusiu”.

Lekarz przeglądał jej kartę.

– We wtorek pobraliśmy pani krew – zaczął.

Zamarła. Nie mów, że mnie odrzucacie, bo odkryliście środek nasenny. Jadę do narkotykowej stolicy świata, chyba nie będziecie się czepiać drobiazgów?

Doktor się uśmiechnął, szeroko, ale i pytająco.

– Czy kiedy ubiegała się pani o przydział do strefy wojennej, wiedziała pani, że jest w ciąży?

– Zanim zaczniemy, chciałam coś ogłosić. To moje ostatnie zajęcia.

Rozległ się głośny jęk i nie było to zadowolenie, zauważyła Tess z radością.

– Wiem, to niespodziewana decyzja, i nie, nie jestem w ciąży jak moja poprzedniczka!

Roześmiały się, a Tess mówiła dalej:

– Jak wicie, mój mąż założył własny interes, niektóre z was nawet tam pracują, a ja postanowiłam mu pomagać.

No dobra, to nie jest szczerą prawdą. Nie miała zamiaru pomagać Maksowi, ale to najrozsądniejsza wymówka. Przynajmniej dzięki niej uwolni

się od pracy, która ciążyła jej sumieniu coraz bardziej. Nie można stać się zupełnie szczerym z dnia na dzień, zauważyła, to długotrwały proces.

– A ponieważ to nasze ostatnie zajęcia, postanowiłam, że dzisiaj się zabawimy.

Otworzyła torbę, wyjęła mini wieżę i włączyła muzykę – największe hity lat siedemdziesiątych. Wszystkie kobiety zerwały się na równe nogi i zaczęły tańczyć.

Powinam była od tego zacząć, stwierdziła Tess półtorej godziny później, gdy zmęczone panie siedziały na podłodze. Było o wiele zabawniej, przyjemniej i sto razy bardziej ucziwie!

Gdy wychodziła z ośrodka kultury – bez wynagrodzenia za ostatnie zajęcia, nie przyjęła pieniędzy od Heather – skreśliła w myślach jedną pozycję z listy. Jedno poszło, jeszcze dwa.

– Nie mogę być w ciąży! – zaprotestowała. – Nic nie robiłam!

Lekarz uniósł brew.

– Pani jest lekarzem, tak?

Alison zmarszczyła czoło.

– Tak. I nie jestem głupia. Mówię tylko, że nie pojmuję, jak mogę być w ciąży, skoro nie widziałam się z mężem do sześciu tygodni. – Tak, Tim jest chyba straszliwie płodny, zapewne zapładnia żonę tylko z nią rozmawiając, ale przecież niemożliwe, żebym była z nim w ciąży. Nie byliśmy nawet w jednym pokoju bez trzech warstw odzieży na sobie. A jeśli jeszcze ktoś nazwie moją bluzkę tandetną koszulką...

– Czy pani na pewno jest lekarzem? – powtórzył, tym razem z irytacją, facet za biurkiem. – Bo lekarka chyba zauważyłaby, że to ósmy tydzień.

A zatem to dziecko Gabriela, pomyślała rozbawiona. Byłam w ciąży, kiedy zaczęłam całą tę aferę z Timem. Zupełnie niepotrzebnie.

No cóż, nic złego się nie stało.

– Co ty tu robisz? Stało się coś? – Graham wpadł w panikę na widok Tima u siebie w biurze. Jego ostatnim niezapowiedzianym gościem była Fiona, półnaga pod szczelnie zapiętym płaszczem. Z niepokojem zauważył, że i Tim ma zapięty prochowiec.

Nie, niemożliwe, pomyślał przerażony, Fiona nie namówiła go do jakiegoś głupstwa?

Tim powoli rozpiął płaszcz. O Boże, myślał Graham, dlaczego to spotyka akurat mnie?

Przyjaciel wyjął butelkę whisky i postawił ją na biurku.

– Za co? – zapytał Graham z ulgą.

Tim się speszył.

– No wiesz. Chciałbym ci podziękować za rolę, którą w tym wszystkim odegrałeś, i prosić, żebyś, no, żebyś nic nie mówił Millie. Nigdy. Twierdzi, że chce wiedzieć wszystko ze szczegółami, ale chyba nie mówi poważnie.

Tim i wrażliwość. Cud.

– Jeśli o mnie chodzi, sprawa jest zamknięta – oznajmił Graham. – Zresztą nie miałem najmniejszego zamiaru przyznawać się, że to ja cię namówiłem, byś się zalogował na tej stronie. Żałuję, że w ogóle coś powiedziałem. Nie mieści mi się w głowie, że to wszystko dobrze się skończyło.

Chciał powiedzieć to inaczej, zadać pytanie, wybadać, czy ta wyprawa w przeszłość przyniosła Timowi jakieś korzyści. Nie musiał. Tim ochoczo opowiadał o swojej przygodzie. Po raz ostatni.

– Nie mogę powiedzieć, że to była katastrofa od początku do końca, bo pierwsze dni były cudowne.

Graham przypomniał sobie, jaki Tim był wówczas szczęśliwy. Kusiło go, żeby zaznać tego samego z Christine. Lecz teraz, gdy widział skutki, nie był już taki pewien.

– Więc kiedy się popsuło? – zapytał.

– Kiedy Millie się dowiedziała. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że krzywdzę całą rodzinę. Patrzyłem na Alison inaczej, widziałem w niej osobę, która może zniszczyć moje obecne życie, a nie ożywić przeszłość.

– Żałujesz czegoś?

– Wielu rzeczy. – Tim smutno pokręcił głową. – Nie dowiedziałem się, czy życie z Alison byłoby lepsze, a chyba o to mi chodziło.

– Czyli to wszystko to strata czasu.

– Nie. Między mną i Millie dawno nie było tak dobrze. – Speszył się nagle. – Mogę ci coś wyznać? Ale obiecaj, że o tym zapomnisz zaraz po tym, jak to powiem.

– Jeśli musisz. – Graham nie był zachwycony.

– Żałuję, że z nią nie spałem. Może to by coś zmieniło.

– Na dobre czy na złe?

Tim wzruszył ramionami.

– Po prostu zmieniło. Czy nie to jest najważniejsze?

– Teraz nie możesz na mnie wrzeszczeć. Dzwonię do pracy, tak jak prosiłeś.

Graham zacisnął dłoń na słuchawce. Nie chciał teraz rozmawiać z Christine. Jeszcze nie doszedł do siebie po wizycie Tima.

– Czy to nie może poczekać? – zapytał.

– Nie – odparła ostro. – Wieczorem wyjeżdżasz do Francji, prawda? Musimy coś ustalić.

– Wydawało mi się, że wszystko już ustaliliśmy. Jutro wieczorem zadzwonię do Eloise i się umówimy.

– Tak, ale nastąpiła zmiana planów.

Westchnął. Ciekawe, skąd wiedziałem? Mówiła dalej:

– Powiedziałam Eloise, że nie chcesz mnie widzieć, i bardzo się zdenerwowała.

Graham zastanawiał się cynicznie, do jakiego stopnia był to wpływ Christine. Cekał, aż wytłumaczy, na czym polega zmiana planów.

– No więc zgadza się na spotkanie z tobą, tylko pod warunkiem że ja też tam będę. Chce zobaczyć nas razem, jej rodziców, jej prawdziwych rodziców.

Nerwowo pocierał skronie, czekał, aż coś przyjdzie mu do głowy. Na darmo.

Christine jeszcze nie skończyła.

– Podejrzewam, że wbiła sobie do głowy, iż może znowu mieć rodzinę, że kiedy wszyscy się spotkamy, zechcesz do mnie wrócić. A ona znowu będzie miała oboje rodziców.

– Tylko że nie jest już małą dziewczynką – sprzeciwił się. – To dwudziestoletnia kobieta. Nie jest chyba na tyle naiwna, by sądzić, że zamieszkam z wami po tylu latach, że zostawię moją rodzinę tylko po to, żeby, kiedy ona czasem wpadnie do domu, ktoś zaniósł jej walizki czy zreperował rower?

– Mówiłam ci, była zrozpaczona po śmierci Davida. Nie myśli logicznie. Chyba możesz to zrozumieć?

Mogę, ale nie chcę, pomyślał.

– W takim razie chyba nie ma sensu zwodzić ją, że jej marzenia się spełnią. Poczuję się jeszcze gorzej, jeśli wrócę do żony i pozostałej czwórki dzieci.

W głosie Christine pojawiły się lodowate nuty.

– Mówię ci tylko, jak wygląda sytuacja. Będę z nią w ten weekend we Francji. Jeśli chcesz się z nią spotkać, zobaczysz się też ze mną. W innym wypadku możesz nie przyjeżdżać. To twoja jedyna szansa. Eloise powiedziała, że jeśli w ten weekend sprawisz jej zawód, nie chce cię znać.

– To dosyć nieoczekiwane – zauważyła pani Bowers surowo.

– Bardzo przepraszam – kajała się Tess. Czuła się, jakby dyrektorka ją wezwała za karę, bo zadarła spódniczkę podczas apelu. – Wszystko stało się tak nagle. Oczywiście poprowadzę zajęcia do końca tego tygodnia. I pomogę znaleźć nową nauczycielkę, wywieszę ogłoszenie w instytucie jogi, w którym... uczę. – No dobra, kolejny mały objazd na drodze do prawdomówności. Nie wszystko naraz.

Pani Bowers machnęła ręką.

– Nie, to nie będzie potrzebne. Właściwie to się nawet dobrze składa. Miałam zamiar wycofać jogę z programu po komentarzach rodziców.

Tess zarumieniła się po uszy.

– A co mówili?

– Nic złego. – Dyrektorka uspokoiła ją szybko. – Dzieci były zachwycone zajęciami.

Tess odetchnęła z ulgą.

Pani Bowers jeszcze nie skończyła:

– Inni nauczyciele byli pod wrażeniem twoich wyników. Wszyscy powtarzają że po twoich zajęciach dzieci są spokojne i bardziej uważają, mniej rozrabiają.

Rany, byłam lepsza, niż sądziłam, pomyślała Tess.

– Niestety, rodzice się skarżą, że w dniach, w których jest joga, dzieci nie chcą iść spać. A kiedy w końcu da się je zagonić do łóżek, kręcą się i marudzą. Nie wiadomo dlaczego.

Pewnie dlatego że ucięły sobie drzemkę w środku dnia, wyjaśniła Tess w myślach.

Pani Bowers klasnęła w dłonie.

– W każdym razie to było dla nas kształcące doświadczenie. Wszystkiego najlepszego na przyszłość.

Uścisnęła Tess rękę i odprowadziła ją do drzwi.

Przed zajęciami Tess pobiegła do kiosku i kupiła mnóstwo słodczy. Jej ostatnie zajęcia będą naprawdę fajne i żaden dzieciak nie zmruży oka.

A że kochane brzdące będzie rozpierała energia po dodatkowej porcji cukru? Niech tym się martwią rodzice. Dobrze im tak, przecież narzekali.

Uczciwość jest lepsza, niż sądziłam. Ale następna sprawa jest najtrudniejsza. I nie taka miła.

Fiona przeszukała biurko Grahama, jego komodę i kieszenie. Była na siebie wściekła, ale nie mogła się opanować. Sprawdziła jego koszule w koszu z brudami. Szukała zdradzieckich zapachów i plam ze szminki. Wygrzebała jego ostatni rachunek za komórkę i dzwoniła pod każdy nieznany jej numer.

Za pierwszym razem zmarnowała pół godziny na rozmowę z klientem z Glasgow, który się właśnie rozwiódł i Graham porządkował jego sprawy majątkowe. Musiał jej opowiedzieć, czemu żona od niego odeszła, nie obchodziło go, czy chciała słuchać, czy nie. Fiona rozumiała co dwunaste słowo, oczywiście jeśli akurat nie płakał. Zapewniła go, że jego żona to szmata i zasługuje na lepszą, i rozłączyła się. Później była rozsądniejsza – rozłączała się, ledwie ktoś odebrał telefon, i tylko się domyślała, co łączy daną osobę z jej mężem.

Nie znalazła niczego, co wiązałoby się z dwoma tajemniczymi telefonami, jednym do kobiety z Sussex (dowiedziała się tego po numerze kierunkowym), drugim od niej i była zła. Wszystko, co jej matka mówiła o Grahamie, o tym, że jest dobrym człowiekiem, straciło znaczenie. Już nie ufała Daphne. Grahamowi też nie. Nie może tak żyć, nie wiedząc.

Musi z nim porozmawiać.

– Australia? – Daphne przysiadła na taborecie i starała się wziąć w garść.

– Australia?

Archie powoli skinął głową.

– Od dawna o tym myślałem. Właściwie od wielu lat, odkąd moje dzieci zdecydowały się tam założyć rodziny.

– Wiem, że za nimi tęsknisz – przypomniała sobie.

– Właściwie uświadomiłem sobie to dopiero wtedy, z tobą, w ciąży.

Myślałem o tobie, jak mieszkasz z córką, patrzysz, jak wnuki dorastają, i pozazdrościłem ci.

– To nie takie piękne, jak się wydaje – zaczęła. Archie poklepał jej dłoń.

– Mówisz tak, żeby mnie pocieszyć. Właściwie zanim się tu sprowadziłaś, zacząłem załatwiać papiery emigracyjne.

– I co cię powstrzymało?

Obdarzył ją zalotnym uśmiechem, który tak pokochała.

– Ty, urocza staruszko! Dlatego postanowiłem zainwestować w ekologiczny interes Maksa. Planowałem zlikwidować korporację, zainwestować pieniądze, żeby przynosiły mi stałe zyski, i odpoczywać. Może z tobą.

Daphne się rozpromieniła.

– Skoro jestem uroczą staruszką, czemu chcesz uciec na drugi koniec świata?

Archie smutno pokręcił głową.

– Chodzi o coś więcej. Mój najstarszy syn... porzuciła go żona. Odeszła z innym, zostawiła dzieci, powiedziała, że tylko by jej przeszkadzały.

Daphne była wstrząśnięta.

– Archie, tak mi przykro.

– Syn pracuje od rana do nocy. Nie wie, co zrobić z dziećmi.

– Więc uważasz, że musisz tam jechać i mu pomóc. Skinął głową.

– Patrzę na Rava i jego wnuczki. Tak trzeba. To obowiązek rodziców, prawda? Przedkładać dzieci nad wszystko inne, do samego końca?

Zabierz mnie ze sobą, błagała w myślach. Mojej rodzinie nie jestem potrzebna! Pomogę ci. A upały działają cuda dla moich gości. Poproś mnie, błagam!

Archie delikatnie głaskał jej pomarszczoną dłoń.

– Tym sposobem Carter i Rav mają wolną drogę. Szczęściarz z tego, którego wybierzesz.

Już wybrałam! Właśnie dlatego tu przyszłam!

Archie zatarł dłonie, żeby sprawiać wrażenie zadowolonego, chociaż w głębi duszy było mu bardzo smutno.

– A czemu zawdzięczam ten zaszczyt, że mnie odwiedziłaś? – zapytał.

Daphne zaniósła się kaszlem.

– Och, ja, cóż, chciałam tylko zapytać, czy zawieziesz mnie do Bognor. U Fiony będzie ciasno. Carter jedzie z Jonem, Rav zabiera wnuczki, więc myślałam, że może ty mnie weźmiesz. Ale pewnie nie jedziesz? Masz teraz mnóstwo rzeczy na głowie.

Więc nawet nie mnie pierwszego wybrała na kierowcę, pomyślał Archie smutno, kiedy wyszła. Wiedziałem, że mnie nie wybierze. Dobrze, że jej nie

poprosiłem, by pojechała ze mną do Australii, chociaż cały czas o tym myślałem. To był głupi pomysł.

– Dlaczego dzieciaki bawią się w bombowce? – zapytał Jerry, gdy usiłował zaprowadzić w klasie jaki taki porządek.

– Nakarmiłam je słodyczami, puszczałam głośno muzykę i nakręciłam jak małe baki – wyjaśniła Tess spokojnie.

– Zakładam, że tylko głupiec by zapytał, czemu zrobiłaś coś takiego na lekcji jogi?

– Owszem, ale i tak ci odpowiem. To moja ostatnia lekcja. – Wy tłumaczyła, że rezygnuje z uczenia.

Jerry nie mógł ukryć rozczarowania, że w przyszłości będzie ją rzadziej widywał.

– Przeze mnie? – zapytał niespokojnie.

Uśmiechnęła się.

– Typowy mężczyzna, myśli, że wokół niego wszystko się kręci! Nie, chciałabym spróbować czegoś innego. Czuję, że przyszedł czas na zmiany w moim życiu.

– Jakież konkretne? – zapytał. Z wielkim zainteresowaniem wpatrywał się w swoje dłonie.

– Tak – odparła poważnie. – Rozważam, czy nie ufarbować włosów na różowo i nie zmienić proszku do prania.

Czule klepnął ją w ramię. Tess sprawiło to przyjemność.

– I jeszcze jedna. Po weekendzie odchodzę od Maksa.

W żółtych gaciach będzie szła – śpiewały dzieciaki na całe gardło.

– Nie mówi się gacie, tylko majtki – poprawiła Fiona odruchowo.

Ucieszyły się.

– *Żółte gacie, żółte majtki, tralalalala!* – Tak, ta piosenka podobała im się zdecydowanie bardziej.

– Zapomniałam, jak bardzo nie lubię długich podróży samochodem – jęknęła.

– To tylko dwanaście godzin – zauważył Graham. – W zeszłym roku do Toskanii jechaliśmy prawie dwa razy tyle, ze wszystkimi postojami.

– Tak, ale wtedy je uspiliśmy i wydawało się krócej. – Fiona z wielką radością odkryła, że środek, teoretycznie przeciwko chorobie lokomocyjnej, wspaniale usypia niesforne dzieci.

– Trzeba im było dzisiaj to podać, zanim wyjechaliśmy. Łypnęła na niego groźnie.

– Dam im, kiedy zejdziemy z promu, wtedy zaczniesz się najdłuższy odcinek. Nie będę faszerować ich lekami, co ze mnie za matka?

Graham znał odpowiedź na to pytanie. I milczał.

Millie i Tim słuchali *Madame Butterfly* i nie zwracali uwagi na wrzaski dochodzące z tylnego siedzenia. Jedną z zalet posiadania najgorzej wychowanych dzieci na całym świecie jest próg tolerancji znacznie wyższy niż u przeciętnego rodzica. Póki nikt nie odpinał pasów bezpieczeństwa i nie wyrzucał rodzeństwa z okien samochodu pędzącego autostradą, wyłączała się ze spokojnym sumieniem.

Max i Tess jechali w milczeniu. Lara słuchała bajki o goblinie, który obcina głowy małym dziewczynkom z kręconymi włosami.

Max rozważał, czy nie zapytać Tess, czy to aby odpowiednia bajka dla wrażliwego dziecka, ale sądząc po jej minie, nie miała ochoty na rozmowę.

– Wszystko w porządku? – zapytał, kiedy wrócił do domu.

– A co miałyby nie być? – warknęła.

Odpowiada pytaniem na pytanie, zauważył. Zły znak. Rozsądnie trzymał się z daleka, pozwolił, żeby sama dokończyła pakowanie. Ze złośliwą satysfakcją zabrała spodnie, które go piły w uda, i skarpetki, których nie znosił.

Właściwie powinnam być dla niego miła w weekend, który mu zrujnuje życie, ale nie mam na to ochoty. Ilekroć wątpiła w słuszność swojej decyzji, myślała o stosie rachunków. I o Jerry'm.

– Będzie super! – zawołała Lara, gdy zobaczyli pierwsze drogowskazy do Bognor. – Zobaczycie!

Tess nastawiła kasetę głośniej.

Fiona i Millie kontaktowały się co dwie godziny. Im później, tym bardziej się denerwowały.

– Co u ciebie? – zapytała Millie znużona.

Fiona westchnęła.

– Rzygają, jęczą, że będą rzygać, albo jedzą słodycze, których babcia dała im tyle, że na pewno będą po nich rzygać. A u ciebie?

Millie odsunęła słuchawkę od ucha w stronę tylnego siedzenia, gdzie jej pociechy darły się radosnym chórem.

– Nie ma ran ciętych ani kłutych. Żyjemy.

Fiona zamknęła oczy na myśl o weekendzie z tą bandą. To kiepska wróżba dla jej planów poważnej rozmowy z Grahamem, ale nic jej nie powstrzyma. Pozna prawdę.

– Nigdy nie byłam na kempingu – mruzczała Tess, gdy mijali kolorową bramę. To był inny świat, odrębne państwo, odcięte od świata na zewnątrz. Broszurka, którą dostali przed wyjazdem, zapewniała, że nie muszą wyjeżdżać poza bramy ośrodka – na jego terenie znajdą wszystko, czego tylko zapragną. Nie wszystko, pomyślała ze smutkiem i spojrzała na Maksa. Będzie bezradny, kiedy mu powie, że odchodzi.

Rozglądała się po przyczepie, zwracała uwagę na każdy szczegół miejsca, w którym jej małżeństwo dobiegnie końca. Lara była oczywiście zachwycona. Przyczepa miała mniej więcej takie wymiary jak jej domek do zabawy w ogrodzie przy starym domu. Lecz to, co dla Lary było zabawne, dla Tess było tylko męczące. Maciupieńki salonik i niemal papierowe ściany. W takich warunkach nie można porozmawiać na osobności.

Otworzyła drzwi i zabrała Larę na spacer po terenie. Rozpaczliwie pragnęła powietrza, natchnienia, czegokolwiek. Niech Max sam rozpakuje samochód.

Teren był zadziwiająco duży i zapchany przyczepami. Wszędzie widniały drogowaskazy; do basenów, pól minigolfa, siłowni, salonów gier, miejsc, w których znajdziesz rozrywkę i towarzystwo o każdej porze dnia i nocy. Zewsząd dobiegały głosy rozbawionych urlopowiczów i Tess poczuła, jak wszechobecna radość sprawia, że jej smutek i niepokój stają się odrobinę bardziej znośne.

Mijały plac zabaw. Lara dostrzegła koleżanki z szkoły i z kościoła. Puściła się biegiem.

– To najwspanialsze wakacje w moim życiu! – krzyknęła.

Tess zrobiło się ciepło na sercu na widok szczęścia córki.

Nie wydawała pieniędzy, nie domagała się gwiazdki z nieba, nie szukała nerwowo niebezpiecznych symptomów w związku rodziców, tylko beztrudnie bawiła się z przyjaciółmi.

A w niej od dwudziestu czterech godzin gotowały się złość i gorycz, wszystko przez Maksa. Nie dość, że ją oszukał, to jeszcze doprowadził do sytuacji, w której nie mogli pojechać do Prowansji ze starymi przyjaciółmi.

Lecz gdy obserwowała, jak Lara bawi się z koleżankami pod szarym niebem Sussex, wiedziała, że nie chciałyby być nigdzie indziej.

– Przykro mi, że Tess i Max siedzą w Bognor. Myślisz, że już tak zostanie, że nigdy nie będzie ich stać na nic lepszego niż wakacje w obskurnej przyczepie?

Graham uniósł brew.

– Najszczęśliwsze wspomnienia z mojego dzieciństwa dotyczą wakacji na kempingu. Nie jeździliśmy tam co roku, nie było nas na to stać, ale kiedy już się tam znaleźliśmy... Było super. Wstawałem o szóstej rano, czytałem program zajęć dla dzieci i planowałem, gdzie i o której muszę być. Brałem udział we wszystkim: w konkursach, balach, podchodach, zawodach. Raz wygrałem konkurs ortograficzny.

Teraz Fiona uniosła brew.

– Mówisz, jakbyś wolał być tam, nie tu.

Uśmiechnął się smutno.

– Tutaj też jest super, tylko inaczej. Chciałbym, żeby nasze dzieci też doświadczyły takich wakacji jak te z moich wspomnień, chociaż raz.

Fiona spojrzała na niego czule. Nagle do niej dotarło, jak rzadko o coś prosił. Chętnie sprawi mu przyjemność.

– Pojedziemy w przyszłym roku – obiecała.

Rozpromienił się.

– Naprawdę? – Objął ją. – Dzięki.

Opadła na łóżko, nagle wyczerpana podróżą.

– Właściwie dlaczego nie poleciliśmy? – zapytała rozdrażniona. – Bez sensu było jechać taki kawał tylko na długi weekend.

Przysiadł obok niej, pogłaskał ją po głowie.

– W drodze powrotnej możemy się gdzieś zatrzymać na kilka dni, bez Tima i Millie. Uprzedziłem w pracy, nie ma problemu.

Udawała, że ją to cieszy, choć w rzeczywistości martwiła się coraz bardziej. Graham nie lubił niespodzianek – ani ich robić, ani otrzymywać czy doświadczać. Przekonała się o tym na własnej skórze po katastrofie w jego gabinecie.

Nie mogli sobie pozwolić na luksus drzemki, nie przy czwórce dzieci, które usiłowały zdjąć pokrywę z basenu. Zrezygnowani zeszli na dół, gdzie udzieliło im się podniecenie dzieciaków.

– Ten dom ma tysiąc pokoi! – krzyczały. –I sto toalet, w tym jedną taką do kucania! Babcia mówiła, że tutaj to normalne!

Dom był rzeczywiście przestronny. Sześć sypialni wychodziło na korytarz, z którego rozciągał się widok na olbrzymi salon. W ogrodzie kwitły nieznane kwiaty, obce, ciężkie zapachy przesycaly powietrze. A gdy ignorowali krzyki dzieci, nie słyszeli nic. Stali bez ruchu, chłonęli spokój, czekali, aż dotrze do ich wnętrza.

Lecz Fiona nie mogła się wyciszyć; wewnętrzny głos przypominał jej, że musi porozmawiać z mężem. A Graham patrzył na panoramę Prowansji i wyobrażał sobie, że za każdym wzgórzem czeka nieszczęśliwa młoda kobieta.

Max i Tess nadal nie rozmawiali. Martwiło go to coraz bardziej.

– Będiesz taka przez cały weekend? – szepnął. – To ty chciałaś tu przyjechać, nie zapominaj.

Nie odpowiedziała, tylko posłała mu spojrzenie, najpierw gniewne, potem tylko smutne.

Teraz bał się naprawdę.

Daphne siedziała między Carterem i Ravem. Przezornie zabrali spory zapas bombajskiego ekologicznego, jak je uparcie nazywał Rav, i dyskretnie napełniali jej kieliszek, kiedy kelner nie patrzył.

– A co z pieniędzmi, które Archie zainwestował w nasz interes? – niepokoił się Rav.

– Nic – odparł Carter. – Powiedział, że nie będzie palił za sobą mostów. Daphne się zamyśliła.

Jerry chodził od stolika do stolika, upewniał się, że wszyscy są zadowoleni. Max obserwował go czujnie, śledził, jak szedł przez salę. Na pewno ominie Heather, która siedzi sama i nieszczęśliwa, i skończy przy naszym stoliku.

Miał rację. Jerry wyrósł jak spod ziemi i zasalutował komicznie.

– Jak wam się podoba przyczepa? – zapytał.

Starał się nie patrzeć Tess w oczy, zauważył Max.

– W porządku – odparł krótko. – A ty gdzie mieszkasz?

Jerry udał, że sprawdza na planie, zanim odpowiedział:

– Wygląda na to, że tuż obok was. Witam sąsiadów!

Max miał ochotę go uderzyć, ale nie przy Larze. Poza tym nigdy tego nie robił i bał się, że tylko sobie uszkodzi rękę. Zamiast tego posłał mu mordercze spojrzenie.

– No tak, to do zobaczenia po kolacji, na wieczorku powitalnym!

– Super! – Lara klasnęła w dłonie. – Wieczorek powitalny!

Jerry odwrócił się i szedł do drzwi. Max bez słowa wstał i poszedł za nim.

Klepnął, czy raczej walnął go w ramię.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – zapytał Jerry niespokojnie.

– Wiem o tobie i Tess – powiedział Max. – Wszystko.

Jerry zastanawiał się przez chwilę.

– Jeśli wiesz wszystko, wiesz też, że nie ma nic, czym mógłbyś się przejmować. – Chciał go wyminąć, lecz Max nie ustępował.

– No dobrze, nie wiem wszystkiego, ale widziałem, jak się całowaliście, a teraz ze mną nie rozmawia i patrzy na mnie smutnym wzrokiem, więc się domyślam, co będzie dalej. – Mówił coraz mniej pewnie.

Jerry'emu było go szkoda. Nietrudno o wielkoduszność, kiedy jest się pewnym zwycięstwa.

– Musisz z nią porozmawiać – poradził łagodnie. – Ale zapewniam cię, to nie ma związku ze mną. Chciałbym, żeby tak było, nie będę cię okłamywał, ale tu chodzi o was.

– Kochasz ją? – zapytał Max nagle.

Jerry zastanawiał się przez chwilę. Nadal nie był tego pewien.

– Tak, chyba tak. A ty?

Max gwałtownie odwrócił głowę.

– A co to za pytanie? Pewnie. Mam ci powiedzieć, jak bardzo? Tak bardzo, że jestem gotów pracować do końca życia, byle ją chronić i dać to, na co zasłużyła. I wiesz co? Kocham ją tak bardzo, że wybaczę jej wszystkie straszne rzeczy, które mi mówiła, gdy starałem się ją pocieszyć po kolejnych poronieniach. Kocham ją tak bardzo, że jej wybaczę, że ona nie darzy mnie takim samym uczuciem. Tak bardzo, że wybaczę jej, że kocha ciebie. Porównaj to i wasze tanga i fokstroty, wasz pocałunek w parku i co jeszcze? Obmacywanie w szkolnej szatni? Porównaj to i powiedz, że zasługujesz na nią bardziej niż ja!

Minał Jerry'ego. Potrzebował świeżego powietrza. Kiedy biegł, słyszał, jak Jerry za nim woła:

– Nie chodzi o to, na co zasługujemy, tylko o to czego ona chce!

Millie otworzyła drzwi samochodu i czwórka dzieci rozbiegła się na cztery strony świata. Ona i Tim podziwiali dom, oboje święcie przekonani, że ich dzieciom nic się nie stanie.

– To był dobry pomysł. – Tim czule objął jej brzuch. – Odmiana dobrze nam zrobi.

Millie nie oponowała, kiedy ją obejmował, ale nie przykryła jego dłoni swoimi. Jeszcze nie.

– Może odmiana przyda się nam też w innych dziedzinach życia – mruknęła. – Może musieliśmy przejść przez to wszystko, żeby dotrzeć do tej chwili. Ale póki wszystko między nami jest w porządku, a problemy nie narastają, będzie dobrze.

Tim skinął głową, choć w duszy pragnął o wiele więcej niż tylko, żeby było dobrze. Dlatego działał pochopnie. Myślał, że Millie czuje to samo. Prawdziwe wyzwanie to dalej żyć razem, ze świadomością, że ich oczekiwania tak bardzo się różnią.

Daphne obserwowała, jak Rav dzielnie towarzyszy wnuczkom w tańcach. Zazdrościła mu i jednocześnie wcale nie czuła zazdrości.

– Pensa za twoje myśli! – Carter usiadł koło niej. Wskazała Rava.

– Jest niesamowity – powiedziała. – Jest dla nich jednocześnie ojcem i dziadkiem. Nie wiem, jak on to robi. Ja padam z nóg po jednej partii Monopoly z wnukami.

– Robi, co musi – wyjaśnił Carter zwyczajnie. – Gdybyś musiała, zrobiłabyś to samo.

Daphne pokręciła przecząco głową.

– Nie, jestem za stara. Za bardzo mnie wszystko boli. Chciałabym, ale nie dam rady.

Carter wiedział, co chciała przez to powiedzieć.

– Mówiłaś mu?

– Jeszcze nie. Nie chcę mu psuć weekendu. Na razie dobrze jest, jak jest.

O nic więcej nie pytał.

– Zaczynamy Rozróbę Rodziną! – zawołał John. Wszyscy się ożywili, poza Maksem, który obserwował Jerry'ego. – Zapraszam panie na tę stronę, a panów tutaj!

– Idź, tatusiu! – krzyczała Lara. – Mama też się bawi!

Max poczłapał na drugą stronę nadmuchiwanej fortecy. Tess stała obok Heather. Chyba się świetnie bawiły.

– Wolałabyś być teraz w Prowansji? – zapytała Heather.

Tess zastanawiała się nad odpowiedzią i drżała z zimna.

– Wiesz, dzisiaj rano spojrzałam na niebo i po raz pierwszy sobie uświadomiłam, że już nie możemy uciekać do słońca, chociaż dawniej często to robiliśmy.

Heather spojrzała na nią znacząco.

– Są inne, tańsze sposoby ucieczki – zauważyła. Tess wolała puścić tę aluzję mimo uszu.

– Może, ale teraz, kiedy już tu jesteśmy, bardzo mi się tu podoba. Lara oszalała, jest z rówieśnikami, bawi się od rana do nocy. – Wzruszyła ramionami. – Przekonała nas. Błaga, żebyśmy w przyszłym roku też przyjechali, i mówi, że we Francji było strasznie nudno!

– Czyli z kłopotów jednak wynikło coś dobrego? – podsunęła Heather.

Tess nie była pewna, czy może to potwierdzić.

– Powiedzmy, że się przekonałam, że zmiany nie zawsze są na gorsze. Wszyscy się ich boimy, przynajmniej ja się bałam, dawniej, ale w przyszłości powitam je z otwartymi ramionami.

Max widział, że rozmawiają o czymś ważnym. Dobrze im, że mają z kim pogadać, pomyślał. Moim jednym przyjacielem tutaj jest Tess, a teraz odsunęła się ode mnie. Nie wiem dlaczego i boję się pytać.

W końcu wszyscy zajęli swoje miejsca.

– Uwaga, moje panie! – krzyczał John. – Rzucamy mokrymi gąbkami w panów, z całej siły! A panowie łapią gąbki i wyciskają wodę do pojemników z tyłu. Uwaga, trzy, dwa, jeden. Start!

Tess i Heather celowały z okrutną precyzją w Maksa i Jerry'ego, którzy przestali łapać pociski i starali się jakoś osłonić. To był bardzo zimny marzec.

Po pewnym czasie Max pocieszał się, ciskając gąbkami w Jerry'ego. Wyobrażał sobie, że to zdalnie sterowane rakiety, które rozrywają jego ciało i sprawiają, że umiera w męczarniach.

– Chyba nie wolno nam tego robić! – zawołał inny zawodnik ze śmiechem.

Max w odpowiedzi cisnął mu w twarz szczególnie mokrą gąbką i wrócił do upatrzonego celu.

– Nie chciałabyś bawić się z nimi? – zwrócił się Rav do Daphne, której zadaniem było mierzenie poziomu wody w cylindrach.. On sam ledwo dyszał po szalonej zabawie.

– Nie – odparła cicho.

Zaskoczyła go.

– Masz zły dzień. Napijesz się mojego wina i może zobaczymy cię w konkursie babć?

– Idę się położyć, Rav. To dla mnie zbyt męczące.

Posmutniał.

– Dziewczynki będą niepokieszone. Mówią o tobie bez przerwy. Chciały ci kibicować. Nie mają własnej babci i zaadoptowały cię.

Daphne delikatnie dotknęła jego dłoni.

– Mogą dopingować dziadka w konkursie dziadków. I mają wspomnienie prawdziwej babci. Wasza trójka ma szczęście, że macie siebie nawzajem.

Rav słyszał, z jakim naciskiem powiedziała „trójka” – ostatecznie, bez nadziei, by zrobiła się z niej czwórka. Pocałował ją w rękę.

– Jeszcze długie życie przed tobą, Daphne. Nie daj się bólowi.

– Nie mam takiego zamiaru – odparła i zerknęła na Cartera.

Tim został jednogłośnie oddelegowany do opieki nad dziećmi w pierwsze popołudnie. Jego stosunki z Millie, a także z przyjaciółmi, były jeszcze na tyle niepewne, że przyjął swój los ze spokojną rezygnacją. Zabawiał całą ósemkę, siedział na brzegu basenu i rzucał im piłkę. Raz za razem. Przez trzy godziny.

Fiona i Graham wybrali się na długi spacer, jak najdalej od dzieci i przyjaciół.

Trzymali się za ręce. Graham pomagał jej przy każdym wzniesieniu. Wzruszała ją jego cierpliwość.

– Pięknie tu – mruknął, gdy usiedli w uroczym zakątku. Widok zapierał dech w piersiach. – Fajniej niż w Bognor – dodał żartobliwie, zmartwiony tym, że pomyślała, iż wolałby być tam, nie tu.

Fiona oddychała coraz szybciej.

– Byłoby pięknie – zaczęła – gdyby nie to, że wszystko psuje fakt, iż narażasz mnie na wielki stres. – Pożałowała tych słów, ledwie padły, zła na siebie, że nie może po prostu rozkoszować się wspólną chwilą spokoju i cieszyć się wspólnym życiem, takim jakie jest, bez konfrontacji, zmian i szkód.

Graham natychmiast wrócił na ziemię. Usiadł koło Fiony.

– Teraz się spodziewasz, że cię zapytam, czym cię narażam na ten stres?

– A nie zapytasz? – burknęła, ciągle zła na siebie, że zaczęła tę rozmowę.

– Nie – odparł. – Bo wiem, co zrobiłem.

Przestań, przestań, błagała w myślach. Nie mów! Zmieniłam zdanie! Udam, że nigdy nie martwiły mnie te telefony, a ty więcej do niej nie zadzwonisz i wszystko będzie jak dawniej. Nie chcę nic wiedzieć!

Niestety, Graham nie czytał w jej myślach. Szło mu to równie opornie jak towarzyska rozmowa przy stole.

– Po pierwsze, nie masz się czym martwić. Nie zdradziłem cię i nigdy tego nie zrobię. Nie jestem taki jak Tim, nie pociągają mnie kobiety w tandetnej bieliźnie i jestem z tobą szczęśliwy. Chyba o tym wiesz?

Zwiesiła ramiona. Za długo zmierza do „ale”. Zasada jest taka: im dłuższy wstęp, tym gorsze „ale”. A on nadał zwlekał.

– I wszystko, co zrobiłem, chociaż właściwie nie zrobiłem niczego...

– Na rany boskie, kim ona jest?

Jej wybuch wytrącił go z równowagi. Zmierzał do „ale”, a teraz nie wiedział, co powiedzieć. – Kim ona jest? – powtórzyła Fiona, już spokojniej.

– Czy mówiłem ci kiedyś, że byłem zaręczony z dziewczyną o imieniu Christine?

Gapiła się na niego.

– Nie. Nie sędzę, że bym o czymś takim zapomniała.

Nie podnosił głowy.

– No więc, miałem wtedy dwadzieścia jeden lat. Nie pojawiła się na ślubie.

Fiona starała się jakoś przyjąć do wiadomości tak ważne wydarzenie w życiu męża, które tyle tłumaczyło, a które przed nią zataił.

– A teraz chce do ciebie wrócić, tak? Czego dokładnie chce? – Jej głos drżał.

Graham znieruchomiał. Fiona miała nie zadawać tego pytania, póki on nie znajdzie na nie odpowiedzi. Dlatego tak długo zmierzał do „ale”. Jednocześnie w jego głowie toczyła się debata, co zrobić z Eloise. I Christine.

Kiedy znalazł odpowiedź, była tak jasna, tak klarowna, że przyjął ją z ulgą i bez dyskusji.

– Nic – odparł. – Chciała się dowiedzieć, co u mnie słyszeć. Pisaliśmy do siebie e–maile, kilka razy rozmawialiśmy. Przyznaję, kusilo mnie, żeby się z nią spotkać, zadać kilka pytań, na które nigdy nie otrzymałem odpowiedzi. Ale w końcu uznałem, że nic, co mi powie, nie zmieni mojego życia. Więc więcej się do niej nie odezwę.

Przykro mi, Eloise, szeptał w myślach. Boże, jeśli istniejesz, przekaż jej tę wiadomość. Prosisz o zbyt wiele. Nie mogę ponownie spotkać się z twoją matką. Otworzyłbym stare rany, drzwi w życiu innych ludzi, które powinny zostać zamknięte. Znienawidzisz mnie, tak, i jeśli dzięki temu łatwiej się pogodzisz z tą sytuacją, nie mam do ciebie pretensji.

Lecz nie marnuj sił na nienawiść. Próbowałem, to nie pomaga. Wybaczenie przynosi ulgę, przekonałem się o tym, gdy wybaczyłem twojej matce.

Wiem, wyobrażałaś sobie, że staniesz się częścią mojej rodziny albo może wrócę do twojej matki. Tak nie będzie. Oczywiście nie mogę ci zabronić mnie szukać. A jeśli to zrobisz, nie odrzucę cię. Ale zastanów się, zanim podejmiesz taką decyzję.

Masz matkę i miałaś wspaniałego ojca. Jesteś szczęściarą. Nie odrzucaj tego na rzecz marzeń. Oplakuj Davida, bo to on był twoim prawdziwym ojcem, a potem napraw stosunki z matką.

Widziałem, jak bolesne mogą być kłótnie matki i córki, i nie życzę ci tego.

Kiedy wrócę do domu, napiszę ci to wszystko. W pierwszej chwili uznasz mnie za tchórza, ale mam nadzieję, że pewnego dnia zrozumiesz, iż nie mógłbym ci dać tego, czego pragniesz. Zawsze byłabyś mną rozczarowana.

Najtrudniejszą lekcją dla młodych jest świadomość, że nie są jedynymi ważnymi ludźmi w życiu ich rodziców. Moje życie jest szczególnie

skomplikowane – mam żonę i czworo dzieci. Znienawidzisz mnie, ale muszę o nich myśleć. To nieodpowiednie słowa, lecz uwierz mi, to najlepsze, co mogę zrobić. Może dzięki temu zrozumiesz, jakim byłbym ojcem.

Czy mam dodać „amen” na końcu?

– Graham? – Fiona przyglądała mu się podejrzliwie. – Dobrze się czujesz?

Ujął jej twarz w dłonie.

– Tak. Bardzo dobrze. A ty? W porządku?

– Mniej więcej – odparła niepewnie.

Więc jest dobrze, pomyślał, gdy wracali do willi. To mi wystarczy.

Daphne obserwowała, jak wszyscy oblewają się radośnie.

– Lubię patrzeć, jak inni się cieszą – powiedziała do Cartera. – Mam nadzieję, że Fiona i Graham równie dobrze bawią się we Francji.

– Ty też masz prawo do szczęścia – zwrócił jej uwagę.

– I z niego skorzystam. – Wyciągnęła rękę, żeby pomógł jej wstać, i nie puszczała jego dłoni. – Teraz idę się zdrzemnąć, ale może po południu zawieziesz mnie do miasteczka. Chciałabym kupić sobie coś do ubrania.

Carter wiedział, co ma na myśli, i uściśnął jej dłoń z wdzięcznością.

– Będę zaszczycony.

Daphne także wiedziała, co miał na myśli.

W sobotę wieczorem był wieczorek taneczny i wszyscy stroili się jak mogli. Daphne przebiła wszystkie panie, wystąpiła w jasnozielonej kreacji z gorsetem nazywanym cekinami, który zrobiłby furorę wśród transwestytów.

Uśmiechała się promiennie. Przed imprezą Carter namówił ją, żeby zadzwoniła do Fiony, do Prowansji. Pożyczył jej swoją komórkę, nawet sam wykręcił numer. Daphne trzymała aparat z dala od głowy, przerażona, że promieniowanie, o którym tyle czytała, zepsuje jej fryzurę.

– Mamo? Co się stało? Plecy? Byłaś u lekarza? Chcesz, żebym wróciła? Wsiądę w najbliższy samolot i...

– Nic mi nie jest – burknęła Daphne niecierpliwie. – Carter kazał mi do ciebie zadzwonić. Chciałam tylko zapytać, jak się bawicie.

Fiona rozważała wszelkie ukryte znaczenia tego pozornie prostego pytania, i doszła do wniosku, że nie ma żadnych podtekstów. To jedno z jej nowych postanowień – nie komplikować spraw, jeśli można załatwić wszystko prosto.

Cieszyła się, że matka zadzwoniła. Miała wyrzuty sumienia, że powiedziała jej straszne rzeczy. Poza tym po rozmowie z Grahamem była miękka i wrażliwa. Wiedziała, że nie powiedział jej wszystkiego, ale uznała, że wystarczy jej to, co już wie.

Może mama ma rację, przyznała niechętnie. Graham jest dobrym człowiekiem, dobrym mężem, dobrym ojcem. Powinnam to zaakceptować i nie doszukiwać się ukrytych znaczeń.

– Świetnie się bawimy, mamo! – odparła niemal serdecznie. – A ty? Ciepło się ubierasz?

Daphne opisała swoją suknię z sadystyczną rozkoszą. Fiona jęknęła.

– Przeziębisz się na śmierć!

Daphne roześmiała się głośno.

– Kupiłam ją, żeby uczcić moje zaręczyny. Nie mogę przecież świętować w bliźniaku i wełnianych majtkach!

Fiona nerwowo zamknęła oczy.

– Z kim? – zapytała szeptem.

– Ze mną – powiedział Carter i zabrał Daphne słuchawkę. – Obiecuję, że będę się o nią troszczył i że ją uszczęśliwię.

Fiona odetchnęła głęboko, żeby nie płakać. Sama nie wiedziała, czy byłyby to łzy radości, czy smutku. Zbyt dużo było w niej uczuć, by mogła je nazwać.

– Moje gratulacje.

Carter oddał telefon Daphne.

– Dziękuję – powiedziała matka, gdy powtórzyła gratulacje.

– Ale jeśli sobie myślisz, że będę druhną w obrzydliwej turkusowej sukni... – zaczęła groźnie Fiona.

Carter wskazał zegarek. Wieczorek zaraz się zacznie. Daphne pożegnała się z córką i oddała mu telefon. Podał jej ramię. Razem weszli do sali.

– Wszystko w porządku? – Graham się niepokoił.

– Mama wychodzi za Cartera – powiedział Fiona spokojnie.

Graham czekał na wskazówkę, jak ma zareagować. Nie było ani łez, ani krzyków.

– Cieszysz się?

Fiona się uśmiechnęła.

– Tak. Carter to dobry człowiek, a to najlepsze, czego możemy życzyć ukochanej osobie.

Spojrzała na męża i zobaczyła w nim dobrego człowieka, którego zawsze widziała w nim matka. Gwałtownie złapała go za ręce i ucałowała wnętrza dłoni. Wzruszyła go tym gestem. Przyciągnął ją do siebie. Wtuliła się w niego, zamknęła oczy.

Stali tak w milczeniu, póki słońce nie zaszło.

Tess siedziała koło Cartera przy stoliku niedaleko zespołu muzycznego.

– Pewnie jesteś wniebowzięty – uśmiechnęła się. – Moje gratulacje.

– Szczęściarz ze mnie – przyznał.

– Szczęście nie ma tu nic do rzeczy. Najlepszy zwyciężył!

Carter przyglądał się jej uważnie.

– Wcale nie. Chciała wyjść za Archiego, ale on wyjeżdża z kraju, a nie przyszło mu do głowy poprosić ją, żeby z nim pojechała.

Tess spoważniała.

– I to ci nie przeszkadza?

Carter się uśmiechnął.

– Niby dlaczego? Liczy się ostateczna decyzja, a nie to, jak do niej doszliśmy.

– A nie będziesz się zawsze czuł gorszy? – Nie zdawała sobie sprawy, jak okrutnie to zabrzmiało.

Carter się nie obraził.

– Młodzi zawsze tak myślą, analizują uczucia, dumają nad każdym kaprysem losu. W moim wieku już tego nie robisz. Wiesz, co jest słuszne dla ciebie i tej drugiej osoby, właśnie to wybierasz. I nie zmieniasz zdania.

– A jeśli pojawia się coś lepszego? – Tess patrzyła na Maksa, a myślała o Jerrym.

– Musisz sobie zadać pytanie, czy jest naprawdę lepsze, czy tylko inne. Zazwyczaj jest po prostu inne. A nie krzywdzi się bliskich dla samej odmiany.

Jerry obejmował ją ostrożnie, czuł wzrok Maksa i napięcie Tess. Tańczyli ten taniec wiele razy i kroki przychodziły im naturalnie, mogli zająć się sobą. Dokładnie odwrotnie niż za pierwszym razem, zauważyła Tess.

– Uważasz, że to jest słuszne? – zapytała go otwarcie.

– Nie kopiesz mnie tak często jak dawniej – odparł.

– Wiesz, że nie o to mi chodzi.

Wiedział. Miał złe przeczucie. Tess się nie uśmiecha. Zachowuje dystans.

– Bardzo słuszne – powiedział stanowczo.

– A ja nie – stwierdziła po pewnym czasie. – Jest dobrze, podniecająco, intymnie, może to najsilniejsze uczucie, jakiego w życiu doświadczyłam, może moja jedyna szansa na prawdziwą miłość. Ale to nie jest słuszne.

Przyciągnął ją bliżej.

– Mylisz się i chyba o tym wiesz. Dla ciebie to równie słuszne jak dla mnie.

Tess myślała, jednocześnie wierzyła i nie wierzyła w jego słowa. Przypomniała sobie, co mówił Carter, żeby rozróżniać słuszne od nowego. Nigdy do niej nie dotarło, że sztuka wyboru jest podstawową umiejętnością. Lecz gdy raz to sobie uświadomiła, decyzja do niedawna nie do pomyślenia stała się oczywista.

Heather obserwowała ich ze znudzeniem. Tańczyła z Johnem i chyba dobrze się bawiła. No nie, pomyślała Tess. Chyba nie Wspaniałe Wikary! Chociaż czemu nie? Nie spodziewała się tego, ale to chyba, no cóż, słuszne.

Jerry widział, jak patrzy na Heather.

– Wiesz, że zawsze kogoś obserwujesz? – zagadnął.

Tess spojrzała na niego.

– Bo wpływam na życie innych. Jestem za nich odpowiedzialna. Ty także.

Spojrzała na Maksa. Tańczył z Larą. Stała mu na stopach, właściwie ją nosił.

– Mamo, popatrz na nas!

Zamrugła szybko, żeby się nie rozplakać.

– Patrzę, skarbie. – Wróciła wzrokiem do Jerry'ego. – Właśnie dlatego to nie jest słuszne – powiedziała spokojnie. A jeśli to nie jest słuszne, tłumaczyła sobie, to czuję do niego jedynie przelotną namiętność, upojenie nowością. I jeśli będę sobie to w kółko powtarzać, może w końcu uwierzę.

– Zostaniesz z nim ze względu na córkę? – zapytał z goryczą.

Spojrzała na niego po raz ostatni.

– Zostanę z nim, bo to jest słuszne.

Tim potykał się co chwila.

– Tobie to dobrze – mamrotał. – Tańczysz dłużej ode mnie.

– A czyja to wina? – syknęła.

Przypomniiał sobie, gdzie był, gdy zaczynała, i umilkł.

Millie ustawiła na tarasie magnetofon i puściła romantycznego walca, którego po raz pierwszy usłyszała, gdy Tim i Alison wyszli z dziećmi. Podobała jej się świadomość, że to tylko jej wspomnienie, część jej życia bez niego. Taki niewinny sekret.

– Nie rozumiem tego – jęknął, kiedy wpadł na nią piąty raz z kolei.

Millie podniosła na niego wzrok. – Wykonujemy te same kroki, idziemy w tę samą stronę, zmierzamy do tego samego celu.

– Czy to się nie nudzi?

– Nie. Dodaje otuchy.

Uwierzył jej na słowo. Otucha mu wystarczy. Skupił się, by dotrzymać żonie kroku. Millie zauważyła jego wysiłki i w końcu odprężyła się w jego ramionach.

Czas na zmianę partnerów. Tess wybawiła Maksa od Lary. Nie pożegnała się z Jerryem, nie obejrzała się za siebie.

– Mamo! – jęknęła Lara.

– Ja też chcę zatańczyć z tatusiem – powiedziała.

Lara udawała, że się złości, ale Tess widziała, iż cieszy się, że rodzice dalej są razem.

Max objął ją niepewnie. Miał straszne przeczucie, że zaraz mu powie, iż odchodzi. Jeśli będę jej unikał, może zapomni, czemu przestała mnie kochać, tłumaczył sobie. Może nawet znowu mnie pokocha, tak z przyzwyczajenia.

– Postanowiłam wrócić do pracy – odezwała się. – W przyszłym tygodniu czegoś poszukam. Pieniądze są nam potrzebne. – Nic nie powie o ukrytych rachunkach, zrozumiała, że Max musi się z nimi uporać tak samo, jak ona ze swoimi błędami.

Zdziwił się. Nie tego się spodziewał.

– Chcesz tego? – zapytał. Chcesz tylko tego? – miał na końcu języka.

Skinęła głową.

– Tak. Będzie nam ciężko, ale damy sobie radę. Będziemy musieli uzgadniać godziny pracy, żeby zawsze był ktoś w domu, kiedy Lara wraca ze szkoły.

Max słyszał tylko poszczególne słowa: „kiedy” i „będziemy”, a nie, jak się spodziewał, „nie mogę”, „nie chcę”, „jeśli”.

Już otwierał usta, żeby zapytać dlaczego, lecz zobaczył, jak na niego patrzy, i milczał. Nagle wszystkie pytania straciły znaczenie.

Widzisz, pomyślała Tess do siebie, zawsze się zastanawiałaś, co to znaczy dorosnąć. Chyba już wiesz.

Nie wiem, gdzie popełniłem błąd, zastanawiał się Jerry. Obserwował, jak Tess tańczy z mężem. Robi te same kroki co ze mną, a jednak wyglądają inaczej, chociaż wpadają na siebie, a on nie umie prowadzić. Czy to miała na myśli, mówiąc, że to jest słuszne?

Patrzył na inne pary. Nie miał partnerki. Nie, żeby to był problem, mógł poprosić każdą. Na tym polega urok tańców towarzyskich. Partnerzy się zmieniają, kroki zostają te same.

Musi tylko poprosić. Ale nie dzisiaj.

Alison obejrzała się za siebie, patrzyła, jak wiejski krajobraz znika w oddali. Położyła rękę na brzuchu, wyobraziła sobie, że już rośnie.

Gabriel będzie na nią czekał. Nie powiedziała mu o dziecku, ale cieszył się, że postanowiła do niego dołączyć. I będzie zachwycony, kiedy się dowie o ciąży, powtarzała sobie.

A nawet jeśli nie, cóż, i tak je urodzę, dziecko, którego tak pragnę. Będzie upragnione przeze mnie.

Może są na świecie ważniejsze rzeczy, ale ja ich nie znalazłam.

Christine patrzyła na samolot na niebie. Ciekawe, dokąd leci, zastanawiała się. I ciekawe, czy ktoś w nim ucieka. A jeśli tak, czy to jest ona – bo chyba zawsze kobiety uciekają – czy przemyślała to gruntowniej niż ja.

Graham nie przyjedzie, w końcu się z tym pogodziła. Tak, zaskoczyło ją to, bo zawsze był taki porządny, taki przyzwoity i sądziła, że postąpi jak należy. Przyjedzie do córki, na pewno. Liczyła na to.

To moja wina. No proszę, przyznałam się. Usiadła i ukryła twarz w dłoniach. Mogę się tłumaczyć impulsywnością i złą oceną sytuacji, ale to i tak moja wina.

Brutalna prawda jest taka, że chciałam go dla siebie. Dla Eloise też, tak, ale przede wszystkim dla siebie. Potraktowałam to jak grę, rozdałam karty i przegrałam. A najbardziej ucierpiała Eloise i teraz muszę jej wytłumaczyć, że to nie wina ojca.

Samolot znikał na horyzoncie. Spojrzała na córkę stojącą przy drugim oknie. Starła się uporządkować swój świat i nagle wyglądała zupełnie jak jej ojciec.

Wcześniej nie dostrzegałam tego podobieństwa, pomyślała Christine, a przecież przez te wszystkie lata był ze mną w naszej córce. Nic dziwnego, że nie brakowało mi go tak bardzo, jak jemu mnie. Był tu przez cały czas.

I nieważne, kim się stał, najlepsza jego częśćka na zawsze pozostanie w Eloise. W tym sensie nigdy go nie zostawiłam.

Szkoda, że mu tego nie powiedziałam.

KONIEC

TTLR